



DERGROUND

SERIAL TV
Kulawe konie
z Garym Oldmanem
na podstawie
powieści
Herrona

LONDYŃSKIE ZASADY

MICK
HERRON

Mick Herron to John le Carré naszego pokolenia.

Val McDermid

MICK
HERRON

**LONDYŃSKIE
ZASADY**

przekład

ROBERT KĘDZIERSKI
ANNA KROCHMAL

 **insignis**

Tytuł oryginału

London Rules

© Mick Herron, 2018

First published in 2018 by John Murray (Publishers)

An Hachette UK Company

John Murray (Publishers), Carmelite House,
50 Victoria Embankment, London EC4Y 0DZ

johnmurray.co.uk

Przekład

Robert Kędzierski, Anna Krochmal

Redakcja i korekta

Katarzyna Zegadło-Gałecka, Pracownia 12A

Skład

Tomasz Brzozowski

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN pełnej wersji 978-83-67710-25-1



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

twitter.com/insignis_media (@insignis_media)

instagram.com/insignis_media (@insignis_media)

Dla Sarah Hilary

1

Zabójcy przyjechali jeepem piaskowego koloru i szybko rozprawili się z wioską.

Było ich pięciu i nosili niepasującą do siebie odzież wojskową. Dwóch czarną, a pozostali moro. Dolną część twarzy zakrywały im apaszki, górną okulary przeciwsłoneczne, a na nogach mieli ciężkie buty, jakby dotarli tu pieszo przez otaczające wioskę wzgórza. Do pasów podwiesili najróżniejszego rodzaju sprzęt bojowy. Pierwszy z nich, wysiadając z samochodu, rzucił butelkę wody na tylne siedzenie, a czynność ta w miniaturze odbiła się w szklach jego awiatorów.

Dochodziło południe, a słońce było tak białe, jak znali je tylko tutejsi. Gdzieś w pobliżu po kamieniach płynęła woda. Kiedy ostatnio zawitały tu kłopoty, przybyły z mieczami w ręku.

Gdy mężczyźni wysiedli już z samochodu, przeciągnęli się i splunęli na pobocze. Nie rozmawiali ze sobą. Wydawali się działać bez pośpiechu, ale równocześnie byli skupieni na tym, co robią. To było częścią operacji: przyjechać na miejsce, zaliczyć rozgrzewkę, odzyskać elastyczność ciała. Długo jechali w upale. Nie było sensu zaczynać, zanim nie dostroją się do własnych rąk i nóg i będą mogli ufać swoim odruchom. To, że przyciągali uwagę, nie miało żadnego znaczenia, bo nikt z tych, którzy ich obserwowali, nie mógł zmienić tego, co się miało wydarzyć. Przezorny nie znaczyło dzisiaj ubezpieczony. Wieśniacy mieli tylko kije.

Na jednym z takich kijów – prastarym i noszącym wiele charakterystycznych cech drzewa, z którego pochodził, sękatym i nierównym, solidnym

i niezawodnym – opierał się starszy mężczyzna, którego ogorzała twarz świadczyła o tym, że jest rolnikiem. Ale być może gdzieś w jego historii czało się wspomnienie wojny, bo spośród wszystkich, którzy obserwowali gimnastykę nowo przybyłych, on jeden zdawał się rozumieć ich zamiary i w jego oczach, i tak już trochę zażawionych od ostrego słońca, pojawił się lęk i coś w rodzaju rezygnacji, jakby od zawsze wiedział, że to, albo coś podobnego, kiedyś nastąpi i go pochłonie. Trochę dalej dwie kobiety przerwały rozmowę. Jedna trzymała płócienną torbę. Ręce drugiej uniosły się powoli do ust. W jakichś drzwiach pojawił się bosy chłopiec i wykrzywił twarz w ostrym świetle.

Gdzieś niedaleko zabręczał łańcuch, gdy jakiś pies sprawdzał, jak daleko może odejść od budy. W prowizorycznym kurniku, którego siatka i drewniane grzędę wyglądały jak mozaika najróżniejszych materiałów z recydingu, przysiadła kura, żeby złożyć jajko, po które nikt nigdy nie przyjdzie.

Mężczyźni wyjęli broń leżącą na tyłach wozu: lśniącą, czarną i straszną.

Ostatni normalny odgłos rozległ się, gdy staruszek upuścił kij. Kiedy to robił, jego usta się poruszały, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

A potem się zaczęło.

Z daleka mogło to wyglądać jak fajerwerki. Na okolicznych wzgórzach spłoszone ptaki zerwały się do lotu, w samej wiosce psy i koty szukały miejsca, w którym mogłyby się schronić. Kule przecinały powietrze w dziwnych zawijasach, jakby próbowały naśladować jakiś miejscowy taniec; z kurnika zostały tylko drzazgi, kamienie, które od stuleci pozostawały gładkie, teraz nosiły blizny. Inne kule odnalazły swoje cele. Staruszek padł na ziemię tak jak jego kij, a dwie kobiety zostały ciśnięte w przeciwne strony przez grudki ołowiu ważące mniej niż ich palce. Bosy chłopiec spróbował uciec. W zboczach wzgórz były wykute tunele i gdyby miał dość czasu, mógłby tam dotrzeć i odczekać w ciemności, aż zabójcy odjadą, ale tę możliwość przekreśliła kula, która trafiła go w kark i posłała po krótkim zboczku aż do rzeki, dziś przypominającej raczej niewielką strużkę. Wieśniacy na otwartej przestrzeni teraz się rozproszyli, rzucili biegiem na pola,

szukali osłony za murami i w rowach; nawet ci, którzy nie widzieli, co się stało, poczuli strach, bo katastrofa jest swoim własnym heroldem i gdy przybywa, ogłasza to jednakowo rannym ptaszkom i śpiochom. Ma pewną specyficzną woń, specyficzny ton. Sprawia, że matki krzykiem przywołują dzieci, a starcy zaczynają szukać Boga.

Dwie minuty później było już po wszystkim i zabójcy odjechali. Jeep, który w czasie tej krótkiej jatki pozostawał na jałowym biegu, pluł kamieniami, gdy przyśpieszał, a potem na krótką chwilę zapadała cisza. Oddalający się odgłos silnika rozproszył się w otoczeniu, a potem umilkł. Gdzieś w górze krzyknął myszołów. Bliżej, przy domach, z rozerwanego gardła dało się słyszeć bulgotanie, jakby ktoś próbował opanować nowy język, w którym pierwsze słowa miały być ostatnimi. A pod tym, ponad tym i wkrótce też wszędzie wokół wzniosły się krzyki ocalałych, dla których życie, jakie dotąd znali, skończyło się, tak samo jak dla zabitych.

W ciągu kilku godzin nadjechały ciężarówki wiozące kolejnych mężczyzn z bronią, tym razem wymierzoną na zewnątrz, we wzgórza wokół wioski. Lądowały tu helikoptery wypluwające z siebie lekarzy i personel wojskowy, a inne unosiły się w górze, przecinając niebo w zgodnej furii, podczas gdy kamery stacji telewizyjnych szukały lub wskazywały winnych. Na ulicach płachty materiału przykryły zabitych, a uwolnione kury włóczyły się nad rzeką i dziobały w ziemi. Rozległo się bicie dzwonu, a przynajmniej ludzie tak to zapamiętali. Możliwe, że tylko im się wydawało. Pewne było jednak, że nad hukiem helikopterów wciąż będzie niebo, którego błękit w jakiś sposób pozostał niezmacony, i krzyk myszołowa w oddali, i długie cienie rzucane przez ogłuszone wzgórza w Derbyshire.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Luzaki

2

W niektórych częściach świata świt rodzi różanopalcą jutrzenkę, by wygładziła zmarszczki pozostawione przez noc. Ale przy Aldersgate Street w londyńskiej dzielnicy Finsbury świt przybywa we własnej osobie w rękawiczkach kasiarza, żeby nie zostawić odcisków palców na parapetach i klamkach; mrużąc oczy, zagląda przez dziurki od kluczy, mierzy wzrokiem zamki i ogólnie rzecz biorąc, fachowo przeprowadza rekonesans, zanim nadejdzie dzień. Specjalnością świtu są nieposprzątane kąty i nieodkurzone powierzchnie, pomieszczenia i zakamarki, które dzień rzadko widuje, bo dzień obchodzą tylko spotkania biznesowe i to, żeby rzeczy były na swoich miejscach, zaś rolą jego młodszego brata jest skradanie się w ustępującej ciemności, kiedy to nigdy nie można być pewnym, co się tam zastanie. Rzucić na coś światło to jedno. Ale spodziewać się, że będzie błyszczało, to już co innego.

A więc gdy świt dociera do Slough House – obskurnego budynku, którego parter dzielą między siebie niedomagająca chińska restauracja i koszmarne kioski i którego frontowe drzwi, zapaskudzone przez czas i pogodę, nigdy się nie otwierają – wchodzi do niego tak jak włamywacz po dachach budynków naprzeciwko, a jego pierwszym przystankiem jest gabinet Jacksona Lamba, jako że znajduje się na najwyższym piętrze. Tu zastaje swojego jedyne rywala, lampę stojącą na stercie książek telefonicznych, które służą do tego celu od tak dawna, że zespoliły się ze sobą, a ich wilgotne okładki połączył mimowolny sojusz. Pokój jest ciasny i wygląda podejrzanie, jak nora, zaś jego dominującym motywem jest

zaniedbanie. Mówi się, że psychopaci zdobią ściany, wypisując na nich szalone rzeczy, kreśląc pętle i wzory niekończących się równań w próbie złamania szyfru, którego zakładnikiem jest ich życie. Lamb woli, by jego ściany mówiły same za siebie, zaś one o tyle poszły na współpracę, że pęknięcia w ich tynku i plamy grzyba tu i ówdzie zmówiły się, by wytworzyć coś, co faktycznie mogłoby być pismem – być może jakimś nabazgranym spostrzeżeniem – ale jakikolwiek sens zawarty w tych znakach o wiele za szybko zaciera się i blaknie, jakby po ich zapisaniu poruszający się palec, wbrew mądrości wieków, postanowił je ponownie zetrzeć.

Gabinet Lamba nie jest miejscem, w którym warto by zatrzymać się na dłużej, zresztą świt i tak nigdy tego nie robi. W biurze naprzeciwko znajduje mniej rzeczy, które mu nie pasują. Zwyciężył tu porządek i jest jakaś cicha skuteczność w sposobie, w jaki poukładano teczki, których krawędzie znajdują się pod kątem prostym do krawędzi biurka i których wstążki związane na kokardki równej długości; w tym, że kosz na śmieci jest pusty, a na dobrze wychowanych półkach nie widać śladów kurzu. Panuje tu spokój niepasujący do Slough House i gdyby ktoś spróbował zbalansować te dwa pokoje, leże szefa i kryjówkę Catherine Standish, być może odnalazłby równowagę, która mogłaby przynieść spokój temu budynkowi, choć zapewne nie trwałoby to długo.

Podobnie zresztą jak pobyt świtu w pokoju Catherine, bo czas pędzi nieubłaganie. Piętro niżej znajduje się kuchnia. Ulubionym posiłkiem świtu jest śniadanie, czasem składające się głównie z ginu, ale tak czy inaczej, znajduje tutaj niewiele dla siebie, bo na krzywej Dickensa zawartość szafek zdecydowanie leży po stronie Scrooge'a, nie zaś pickwickowskiego nadmiaru. W szafkach brakuje puszek z herbatnikami i słoików z dżemami, nie ma tu czekolady na „w razie potrzeby”, a powierzchni blatu nie szpecą miski z owocami ani paczki chrupkiego pieczywa. Znaleźć można tu najwyżej przypadkowe plastikowe sztucce, kilka wyszczerbionych kubków oraz czajnik, który wydaje się zaskakująco nowy. Fakt, jest tu lodówka, ale stoją w niej tylko dwie puszkę napoju energetycznego, obie z nalepką „Roddy Ho”, na których dopisano innym charakterem pisma: „jest

ciulem”, oraz pozbawiony kontrkandydatów pojemnik z humusem, którego zawartość albo ma miętowy smak, albo też jest zielona z innego powodu. Wokół lodówki unosi się woń, którą najlepiej oddałyby słowa: „powolny rozkład”. Na szczęście świt jest pozbawiony powonienia.

Po szybkim przeglądzie dwóch biur na tym piętrze – nijakich pokoi, których kolorystykę można by odnaleźć w prastarych próbkach kolorów spłowiałych do tego stopnia, że wszystko przeszło w odcienie żółci i szarości – i starannym obejściu ciemnej plamy pod kaloryferem, gdzie musiało wyciec coś rdzawego, świt wraca na stare skrzypiące schody. Jako jedyny jest w stanie używać ich bezgłośnie – to znaczy jedyny z wyjątkiem Jacksona Lamba, który, gdy przyjdzie mu ochota, potrafi wędrować po Slough House cicho jak duch, choć jest od niego bardziej korpulentny. Przy innych okazjach Lamb preferuje bezpośrednie podejście i atakuje schody, hałasując przy tym tak, jak mógłby hałasować niedźwiedź pchający taczka, gdyby taczka była pełna puszek, a niedźwiedź pijany.

Świt, który bardziej przypomina czujnego ducha niż pijanego niedźwiedzia, dociera do dwóch ostatnich biur i odkrywa, że niewiele odróżnia je od tych piętro wyżej, być może z wyjątkiem nierównej tekstury tynku za jednym z biurek, jakby położono tu świeżą warstwę farby bez starannego oczyszczenia ściany z jakiejś grudkowatej substancji – lepiej się nie zastanawiać, co to mogło być. Poza tym w owym biurze wyczuwa się tę samą atmosferę niezaspokojonych ambicji co w pozostałych, zaś ktoś tak wrażliwy jak świt o lepkich palcach wyczuwa tu także wspomnienie przemocy i być może obietnicę, że będzie jej jeszcze więcej. Ale świt rozumie, że obietnicę łatwo jest złamać, i ta możliwość nie zatrzymuje go nawet na chwilę. Rusza dalej, pokonuje ostatnie piętro i w jakiś sposób wychodzi tylnymi drzwiami, nie szarpiąc ich, czego zwykle wymagają. Te drzwi słyną z tego, że opierają się swobodnemu ich używaniu. Na małym wilgotnym podwórzu za Slough House świt przystaje świadomy, że jego czas prawie dobiegł końca, i cieszy się tymi ostatnimi przyjemnymi chwilami. Kiedyś, dawno temu, mógłby usłyszeć konia stąpającego ulicą, a bardziej współcześnie jego ostatnim chwilom towarzyszyłoby wesołe pobrzękiwanie wózka z mlekiem. Ale dziś słyhać tylko

ryk spóźnionej karetki i nim to wycie banshee przestanie odbijać się od ścian budynków, świtu już nie ma, a jego miejsce zajmuje sam dzień, który, gdy już znajdzie się w uścisku Slough House, okazuje się daleki od wcielenia pracowitości i pilności, na które się zapowiadał. Zamiast tego – podobnie jak dzień przed nim i ten jeszcze wcześniejszy – jest tylko kolejnym gnuśnym interludium, którego istnienie próbuje się wymazać ciągłym spoglądaniem na zegarek. Ponieważ dzień świetnie wie, że nikt w tym budynku nie może w żaden sposób przyśpieszyć jego odejścia, ani trochę mu się nie śpieszy, by zająć się swoimi sprawami. Od niechcienia, zadowolony z siebie, niedręczony wątpliwościami ani poczuciem obowiązku dzieli siebie samego pomiędzy biura w Slough House, a potem niczym leniwy kot układa się w najcieplejszych kątach, by zapadać w drzemkę, gdy wokół niego niewiele się dzieje.

Roddy Ho, Roddy Ho przez dolinę jedzie.

(kolejny z tych wpadających w ucho kawałków)

Roddy Ho, Roddy Ho zawsze jest na przedzie.

Są tacy, którzy uważają, że Roderick Ho jest dobry tylko w jednym; że może i jest królem komputerowej dżungli, ale nie radzi sobie już tak dobrze w innych dziedzinach życia, takich jak znajdowanie przyjaciół, bycie rozsądnym czy prasowanie T-shirtów. Ale oni nie widzieli jeszcze, na co go stać. Nie widzieli, jak rusza na polowanie.

Pora lunchu, niedaleko Aldersgate Street. Brzydkie betonowe wieże Barbican po prawej stronie, niewiele piękniejsze osiedle po lewej. Ale ten niedoceniany fragment Londynu jest jak teren pod ostrzałem; to pole bitwy, na którym wystarczy mrugnąć, by zostać pożartym. Człowiek dostaje tylko jedną szansę, by zdobyć czyjś skalp, a zdobycz Roddy'ego Ho mogła być wszędzie.

Świetnie wiedział, że jest blisko.

Poruszał się więc jak pantera między zaparkowanymi samochodami. Przystanął przy plakacie upamiętniającym jakieś zwycięstwo czy coś. W jego uszach, w których aż dudniły dźwięki z iPoda, rozbrzmiewało czułe wycie przesadnie

podnieconego czterdziestokilkulatka śpiewającego o tym, że zamierza zabić i zjeść swoją dziewczynę. Broda, którą Roddy zapuścił ostatniej zimy, była teraz bardziej fachowo wymodelowana, ponieważ w dość przykry sposób przekonał się, żeby nie używać do tego celu kuchennych nożyczek. Na głowie miał – nowość! – czapkę bejsbolową. Image ma znaczenie i Roddy był tego świadomy. Marka ma znaczenie. Jeśli chcesz, żeby przeciętni zjadacze chleba rozpoznawali twój awatar, to ten awatar musi coś mówić. We własnej ocenie trafił w samo sedno. Ładna bródka i bejsbolówka – oryginalność i styl. Roddy Ho to był pełen pakiet, tak jak kiedyś Brad Pitt przed tym przykrym incydentem.

(Właściwie, jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to na rynku pojawiła się luka. Będzie musiał porozmawiać ze swoją dziewczyną, Kim, żeby wymyślić im jakieś *nom de celeb*.

Koddy.

Rim...?

Nie. Trzeba będzie nad tym popracować).

Ale tym zajmie się później, bo teraz nadeszła pora, by uruchomić tryb wabienia; wyciągnąć to stworzenie na otwartą przestrzeń i je powalić. A to wymagało siły, wyczucia czasu i posługiwania się bronią: krótko mówiąc, jego podstawowych umiejętności... Ktokolwiek wymyślił Pokémon GO, musiał się wzorować na Rodericku Ho. Człowieku, to się nawet rymowało – zupełnie jakby był do tego stworzony. No dajcie mi już ten gwiazdny pył, pomyślał. Dajcie mi ten wspaniały gwiazdny pył i patrzcie, jak Roddy błyszczy.

W porze lunchu niczym uosobienie refleksu, siły i skupienia Ho lśnił jak najbardziej luźny wśród luzaków, najbardziej zajebisty wśród zajebistych, koleś nad koleśiami; tropił wroga, który nie istniał.

Kawałek dalej na ulicy wróg, który istniał, przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył się do ruchu.

Tego ranka w drodze do metra Catherine Standish zajrzała do kiosku po „Guardiana”. Za ladą opuszczono stalową roletę, by ukryć paczki papierosów,

jakby przypadkowe spojrzenie na nie miało doprowadzić do przedwczesnej śmierci. Na lewo od niej, na górnej półce stojaka, nieliczne czasopisma pornograficzne, którym udało się przetrwać w erze cyfrowej, były zapakowane w zgrzewaną folię, by nie mogły wywierać wpływu na pożądlive umysły. Tyle starań, pomyślała, by chronić nas przed impulsami uważanymi za szkodliwe, ale tuż obok, przy drzwiach, był regał z winem w promocji, dowolne dwie butelki za dziewięć funtów, a dalej przy ladzie stały najróżniejsze alkohole, wszystkie radośnie oznakowane obniżką o dwa funty. Wprawdzie żaden z nich nie zaspokoiłby wybrednego podniebienia, ale każdy z nich nadawał się, by nawet najbardziej spięty koneser urznął się jak świnia i stał się otwarty na propozycje.

Kupiła gazetę, podziękowała skinieniem głowy i wróciła na ulicę.

Kawałek dalej przypomniała sobie, że to jej kolej kupić mleko do biura – nie wymagało to jakiegoś specjalnego wyteżania pamięci, zawsze była jej kolej, żeby kupić mleko do biura – i zajrzała do sklepu obok Slough House, gdzie mleko stało obok piwa, lagera i puszek ginu z tonikiem. Pomyślała, że jej dzień nawet na dobre się jeszcze nie zaczął, a już bez szczególnych starań dwa razy mogła kupić sobie bilet do podziemi. Okazje do grzechu wymagały zazwyczaj trochę wysiłku. Ale dochodząca do siebie alkoholiczka mogła spokojnie sunąć sobie naprzód, a pokusy przychodziły do niej same.

Nie było w tym nic niezwykłego. To tylko napięcie powierzchniowe. Codzienne wyzwanie, z którym musi się mierzyć każdy, kto odstawił picie. W porze lunchu Catherine miała już za sobą pokusę przejścia na ciemną stronę i pochłonęła ją bieżąca praca: rozliczenia półroczne wydziału, które obejmowały również uzasadnienie „dodatkowych wydatków”. W tym roku Slough House miał ich całkiem sporo: wyważone drzwi, czyszczenie wykładziny; wszelkie naprawy konieczne po zbrojnym wtargnięciu do budynku. Większość z nich przeprowadzono niechlujnie, co Catherine specjalnie nie dziwiło ani nie martwiło – już dawno temu przywykła do drugorzędnego statusu kulawych koni. Bardziej niepokoiły ją długotrwałe skutki dla nich samych. Shirley Dander była irytująco spokojna; Catherine wyobrażała sobie, że tak właśnie musi wyglądać spokój

lodowej góry, zanim wbije się w kadłub pasażerskiego liniowca. River Cartwright też dusił wszystko w sobie, i to bardziej niż zwykle. Zaś jeśli chodzi o J.K. Coego, Catherine potrafiła rozpoznać granat ręczny, kiedy go już widziała. I nie sądziła wcale, by zawleczone tego granatu trzymała się mocno.

Roddy Ho był naturalnie taki jak zawsze, lecz widziała w tym raczej ciężar niż pocieszenie.

Całe szczęście, że Louisie Guy udawało się utrzymywać przy w miarę zdrowych zmysłach.

Siedząc nad stertami papieru, których krawędzie były równo, ale nie neurotycznie ułożone, Catherine brnęła przez pracę, korygując liczby w miejscach, gdzie wpisy Lamba przekraczały granice braku precyzji i wyglądały na ewidentnie sfałszowane, oraz zastępując jego uzasadnienia – „bo tak, kurwa, mówię” – własnymi, bardziej dyplomatycznymi sformułowaniami. Gdy przyjdzie pora, by wyjść do domu, wszystkie te pokusy znów będą przed nią paradować. Jednak jeśli codzienny kontakt z Jacksonem Lambem cokolwiek ją nauczył, to tego, żeby się zbytnio nie przejmować drobnymi wyzwaniem w życiu.

Lamb miał własny sposób, by zapewniać ludziom aż nadto o wiele większych zmartwień.

Shirley Dander miała za sobą sześćdziesiąt dwa dni.

Sześćdziesiąt dwa dni bez narkotyków.

Policzmy je...

Ktoś inny mógłby to robić, ale nie Shirley. Sześćdziesiąt dwa to była po prostu liczba, taka sama jak wcześniej sześćdziesiąt jeden, i jeśli przypadkiem jednak zwracała na to uwagę, to tylko dlatego, że wszystkie te dni następowały w oczywistym porządku i bardzo, ale to bardzo powoli. Rano liczyła minuty, popołudniami nawet sekundy i przynajmniej raz dziennie przyłapywała się na tym, że gapi się na ścianę, zwłaszcza na tę, przy której stało kiedyś biurko Marcusa. Gdy widziała go po raz ostatni, opierał się o nią, a jego krzesło było odchyłone pod

absurdalnym kątem. Od tamtej pory ścianę przemalowano. I nie zrobiono tego dobrze.

A oto jak Shirley rozwiązywała ten problem: myślała o czymś innym.

Była pora lunchu, słoneczny, ciepły dzień. Shirley wracała do Slough House na całe popołudnie wymuszonej inercji, a potem miała powlec się do Shoreditch na ostatnią ze swoich sesji PTKZ... Osiem miesięcy pieprzonego treningu kontroli złości i dziś wieczorem zostanie oficjalnie uznana za wolną od niej. Wspominano nawet, że może dostanie odznakę. To mogło stanowić problem, bo gdyby ktokolwiek spróbował przyczepić jej jakąś, zaniósłby swoje zęby do domu w chusteczce do nosa, ale na szczęście to, co miała w kieszeni, pozwalało jej się na czymś skupić. Przebrnąć przez wszelkie trudne chwile, które mogłyby doprowadzić do przedłużenia programu narzuconego jej wyrokiem sądu.

Malutka paczuszka najlepszej kokainy, jaką można było dostać w tej okolicy; jej nagroda za ukończenie kursu.

Sześćdziesiąt dwa to niby tylko liczba, ale Shirley nie wyobrażała sobie, że mogłaby wytrzymać więcej.

Pozostawanie czystą trochę obniżało intensywność jej przeżyć i ostatnio świat był bardziej płaski, bardziej szary i łatwiej się było z nim pogodzić. A to pomagało w całym tym PTKZ, ale zaczynało ją coraz bardziej wkurzać. W zeszłym tygodniu niespodziewanie zadzwonił do niej akwizytor, chodziło o jakieś gównno z niewłaściwie sprzedanym ubezpieczeniem, i Shirley nawet nie kazała mu spierdalać. Nie przypominało to poprawy nastawienia do świata, raczej poddanie się. A więc plan był taki: przebrnąć przez ten ostatni dzień, znieść tę chwilę, gdy psycholog – którego Shirley zamierzała pewnego wieczoru wyśledzić i zabić – będzie poklepywał ją po ramieniu, a potem wyrwać się do klubów, porządnie się naćpać i znów nauczyć się żyć. Sześćdziesiąt dwa dni to było dostatecznie długo i dowodziło teorii, której zawsze się trzymała: że może to rzucić, kiedy tylko zechce.

A poza tym Marcusa już od dawna nie było. Nie będzie jej tego wypominał.

Ale nie myśl o Marcusie.

Właśnie mijiała osiedle, zbliżając się do Aldersgate Street, z koką w kieszeni i myślami skupionymi na najbliższym wieczorze, gdy pięć jardów przed sobą dostrzegła dwie rzeczy, obie dziwne.

Jedną z nich był Roderick Ho, który odstawiał coś w rodzaju baletu z telefonem komórkowym zamiast partnerki.

Drugą była nadjeżdżająca srebrna honda, która skręciła w lewo tam, gdzie nie powinna była skręcać.

A potem wjechała na chodnik, kierując się prosto na Ho.

I o to właśnie chodzi, pomyślała Louisa Guy. Gdybym chciała zostać bibliotekarką, zostałabym bibliotekarką. Poszłabym na bibliotekarstwo, zdawałabym egzaminy z bibliotekarstwa i zebrałabym tyle znaczków za wypożyczanie książek, że mogłabym sobie kupić za to uniform bibliotekarki. Cokolwiek robią bibliotekarze, ja też bym to robiła – podręcznikowo. I ze wszystkich bibliotekarzy w najbliższej okolicy ja byłabym najbardziej bibliotekarska; byłabym tego rodzaju bibliotekarką, o której inni bibliotekarze śpiewają pieśni, zebrani wokół swojego bibliotekarskiego ogniska.

Ale nie poszłabym wtedy pracować w wywiadzie. Bo to by było, kurwa, niedorzeczne.

A jednak, oto tu jestem.

I oto tu była.

Tu, czyli w Slough House, gdzie zajmowała się przeglądaniem statystyk wypożyczeń bibliotecznych, żeby ustalić, kto w ostatnich latach wypożyczał konkretne tytuły. Książki takie jak *Czego oczekuje islam* i *Znaczenie dżihadu*. I gdyby ktokolwiek kiedyś napisał *Jak toczyć wojnę z ludnością cywilną*, taka książka też na pewno trafiłaby na tę listę.

– Czy naprawdę jest jakaś szansa na to – spytała, gdy powierzono jej ten projekt – że stworzenie listy ludzi, którzy wypożyczali w bibliotekach konkretne tytuły, pomoże nam znaleźć początkujących terrorystów?

– Ujmijmy to tak – odparł Lamb. – Szanse wynoszą mniej więcej milion do jednego. – Pokręcił głową. – Według mnie to na nic. Cholera, cieszę się, że nie jestem tobą.

– Dzięki. Ale skoro te książki są takie niebezpieczne, to po co biblioteki w ogóle je kupują?

– Szaleństwo politycznej poprawności – zgodził się z nią smutno Lamb. – Jak wiesz, jestem zagorzałym przeciwnikiem jakiegokolwiek cenzury, ale niektóre książki po prostu trzeba spalić.

Podobnie jak niektórych szefów. Od trzech miesięcy pracowała nad tą listą, co wiązało się z porównywaniem statystyk dotyczących prawa publicznego użyczenia z bazami danych bibliotek w poszczególnych hrabstwach. W tej chwili lista zawierała niecałą połowę pojedynczego arkusza A4, a na alfabetycznej liście hrabstw Louisa dotarła do Buckinghamshire. Dzięki Bogu, nie musiała zajmować się całym Zjednoczonym Królestwem, bo to mogłoby trwać całe bibliotekarskie lata.

Nie całym, co to, to nie! Tylko Anglią, Walią i Północną Irlandią.

– Jebać Szkocję – wyjaśnił jej Lamb. – Jak chcą robić to sobie sami, to ich sprawa.

Jej jedynym sojusznikiem w tym nigdy niekończącym się zadaniu był rząd, który robił swoją robotę, zamykając tyle bibliotek, ile tylko się dało.

W wojnie z terroryzmem człowiek przyjmie każdą pomoc, jaką może dostać.

Louisa zachichotała pod nosem, bo czasem nie ma innego wyjścia, inaczej zwariujesz. Chyba że chichotanie było dowodem, że już zwariowałaś. J.K. Coe mógłby to wiedzieć, nie dlatego, że był tak zwanym ekspertem od oceny psychologicznej, tylko dlatego, że sam pozostawał na granicy wariactwa. Slough House zapewniał takie rozrywki.

Odepchnęła się od biurka i wstała, żeby się przeciągnąć. Ostatnio spędzała więcej czasu na siłowni i w efekcie odczuwała narastający niepokój, gdy była przykuta do komputera. Widziana z okna Aldersgate Street jak zwykle stanowiła mało obiecującą mieszankę nerwowego ruchu ulicznego i spieszących się ludzi. Po

tej części Londynu nikt nigdy nie wędrował; była po prostu przystankiem w drodze gdzieś indziej. No chyba że było się uziemionym szpiegiem, bo wtedy był to przystanek końcowy.

Boże, ale się nudziła.

I wtedy, jakby chcąc ją pocieszyć, świat podsunął jej drobną rozrywkę: gdzieś w pobliżu rozległ się pisk opon i głucho uderzenie, odgłos samochodu, który się z czymś zderzył.

Ciekawe, o co tam chodziło?

Cześć, Tino!

Chciałem cię tylko powiadomić, jak tu, w Devon, mają się sprawy – szczerze mówiąc, nie za dobrze. Dowiedziałem się, że pod koniec miesiąca mnie zwalniają, bo syn siostry szefa potrzebuje pracy, więc ktoś musi zrobić miejsce dla tego małego sukinsyna. Dzięki wielkie, nie?

Ale nie jest aż tak źle, bo ten typ wie, że jest mi winien przysługę, i spiknął mnie z jednym ze swoich kontaktów, który załatwił mi półroczną pracę – posłuchaj tylko, w Albanii! Ależ to będzie ciepła posadka, robienie okablowania w trzech nowych budynkach hotelowych, do tego życie tam jest tanie, więc będę...

Coe przerwał w połowie zdania i zapatrzył się przez okno na Barbican. To był orwellowski koszmar, betonowe obrzydlistwo, ale jedno trzeba było przyznać: podobnie jak kiedyś Ronnie i Reggie Kray Barbican pokonał przeszkodę w postaci bycia skończoną kupą gówna, by osiągnąć status ikony. Ale takie już były Londyńskie Zasady: zmusz innych, żeby przyjmowali cię na twoich własnych warunkach. A jeśli im się to nie spodoba, nie dawaj im wytchnienia, dopóki nie zaczną im się podobać.

Na przykład Jackson Lamb. Choć po chwili zastanowienia to nie... Lamb miał gdzieś to, na czyich zasadach go przyjmujesz. I tak robił swoje. Po prostu był.

Ale Tina na przykład nie, a nawet jeśli, to już niedługo. A tak w ogóle to wcale nie miała na imię Tina. Coe przekonał się po prostu, że łatwiej mu pisać te listy,

jeśli mógł je odnieść do jakiegoś konkretnego imienia; z tego samego powodu zawsze podpisywał je „Dan”. Dan – kimkolwiek był – był zakonspirowanym agentem i infiltrował którąś z grup aktywistów uważanych obecnie za zbyt skrajne (obrońcy praw zwierząt, problematyczne ekoświry, fani Czerwonego Kapturka). Natomiast Tina – kimkolwiek była – była osobą, z którą zaprzyjaźnił się w czasie tej roboty. Zawsze była jakaś Tina. W czasach, gdy Coe pracował w sekcji oceny psychologicznej, prowadził badania nad Tinami obu płci; agentów pracujących w terenie ostrzegano, by nie przywiązywali się emocjonalnie do nikogo z grupy, którą infiltrują, ale oni i tak zawsze to robili. Nie dało się skutecznie kogoś zdradzić, jeśli najpierw się go nie pokochało. A więc kiedy operacja dobiegała końca i Dan wyłaniał się z powrotem na powierzchnię, musiały być jakieś listy; długie pożegnania ciągnące się przez wiele miesięcy. Najpierw Dan wyprowadzał się z okolicy na sporą odległość, ale nie taką, by nie dało się go odwiedzić. Sporadycznie się odzywał, a potem dostawał jakąś lepszą ofertę i przenosił się za granicę. Listy lub maile przychodziły coraz rzadziej, potem kontakt się urywał. I wkrótce o Danie zapominali wszyscy prócz Tyny, która pod łóżkiem trzymała jego listy w pudełku po butach i po trzecim kieliszku chardonnay wchodziła na Google Earth, żeby obejrzeć sobie Albanię. Zamiast na przykład go pozwać za to, że przeleciał ją, podszywając się pod kogoś innego. Nikt nie chciał znów przez to przechodzić.

Ale oczywiście agenci pracujący w terenie nie piszą tych listów sami. To była robota dla szpiegów takich jak J.K. Coe spędzających długie dni w Slough House. I szczerze mówiąc, powinien się cieszyć, że mógł to robić. Większość ludzi, którzy zastrzelili skutego człowieka, mogłaby się spodziewać surowej kary. Na szczęście Coe zrobił to na samym końcu serii zdarzeń tak boleśnie kompromitujących dla całego wywiadu, że – jak zauważył Lamb – „wszyscy mieliśmy grubo przejebane”, w związku z czym Regent’s Park nie miał zbyt wielkiego wyboru i musiał ukryć wszystko pod wielkim dywanem, zamiatając pod niego również Slough House. Kulawe konie naturalnie zdążyły do tego przywyknąć. Właściwie gdyby nie były już kulawymi końmi, musiałyby być kłaczkami kurzu.

Coe wygiął palce tak mocno, że strzeliły w stawach, i dopisał do listu słowa: „mógł sobie trochę odłożyć”. No jasne, Dan sobie trochę odłoży, pozna jakąś młodą Albanekę i – mówiąc w skrócie – już nigdy nie wróci do domu. Tymczasem prawdziwy Dan znów będzie pracował pod przykrywką w ramach innej operacji i piłka wciąż będzie w grze. Na Ulicy Szpiegów nic nigdy nie pozostawało w bezruchu. To znaczy... chyba że tkwiło się w Slough House. Istniała jednak wielka różnica pomiędzy J.K. Coem i innymi kulawymi koźmi, a polegała ona na tym, że nie miał najmniejszej ochoty znaleźć się w centrum jakichkolwiek wydarzeń. Gdyby mógł siedzieć tu przez cały dzień, klepiąc w klawiaturę i nie odzywając się do nikogo ani słowem, doskonale by mu to odpowiadało. A to dlatego, że jego życie zaczynało wracać do równowagi. Sny dręczyły go coraz rzadziej, ataki paniki też nie zdarzały się już tak często. Nie przyłapywał się już na tym, że obsesyjnie przesuwa palcami po wyimaginowanych klawiszach, odtwarzając improwizowane solówki Keitha Jarretta na fortepianie. Życie stało się w miarę znośne i być może mogło takie pozostać, pod warunkiem że nic się nie wydarzy. Coe cholernie liczył na to, że nic się nie wydarzy.

Samochód rozsmarował Rodericka Ho na betonowej płycie jak ketchup; połamał go jak plastikową lalkę, tak że tym, co trzymało go w jednym kawałku, było ubranie. Wszystko stało się tak szybko, że Shirley zobaczyła to, zanim jeszcze się wydarzyło. Na całe szczęście dla Ho, bo dzięki temu miała czas temu zapobiec.

Błyskawicznie pokonała pięć metrów, lecąc na złamanie karku i wrzeszcząc imię Ho, ale nie odwrócił się w jej stronę – był tyłem do samochodu, a w jego uszach tkwiły słuchawki iPod. Mrużąc oczy, wpatrywał się w smartfona i wyglądał jak jakiś dumny turysta, który został wydymany już dwa razy: raz przez gościa sprzedającego czapki, a drugi raz przez tego, który rozdawał brody. Kiedy Shirley uderzyła w niego na wysokości pasa, najwyraźniej robił jakieś gównno warte zdjęcie. Ale nie dała mu na to szans. Pod ciężarem Shirley runął na ziemię na sekundę przed tym, jak tuż obok przetoczył się samochód, który błyskawicznie przeciął chodnik, odbił się od niskiego ceglanego murku odgradzającego klomby

z kwiatami, po czym z piskiem opon się zatrzymał. Shirley poczuła woń spalonej gumy. Ho skrzeczał w głośnym proteście, jego telefon rozpadł się na kawałki. Samochód znów ruszył, ale zamiast skierować się na nich, okrążył klomb, skręcił w lewo na ulicę, z trudem wyminął barierkę i oddalił się na wschód.

Shirley patrzyła za nim, gdy znikał. Było za późno, by dojrzeć numery rejestracyjne albo choćby policzyć, ile osób w nim jechało. Wkrótce we wszystkich kościach miała poczuć efekt skoku, ale w tej chwili odgrywała go tylko w głowie z punktu widzenia osoby trzeciej: pełen wdzięku gazeli sus; chwila, która ratuje komuś życie, i poezja ruchu równocześnie. Marcus byłby dumny, pomyślała. Poważnie.

Śmiertelnie poważnie.

Pod nią Roddy zawył:

– Ty głupia krowo!

W internecie roiło się od szeptów.

Nie, pomyślał River Cartwright. To nie tak.

Internet jak zwykle wrzeszczał na całe gardło.

Siedział w pociągu jadącym do Marylebone – wracał do Londynu po tym, jak rano wziął sobie wolne. Nazwał to urlopem opiekuńczym, choć Lambowi bardziej pasowało określenie „pieprzony tupet”.

– Nie jesteśmy pomocą społeczną.

– Nie jesteśmy też Sports Direct – zauważyła Catherine Standish. – Jeśli River potrzebuje dziś rano wziąć wolne, to potrzebuje, i już.

– A kto robi w tym czasie jego robotę?

River od trzech tygodni nawet nie tknął swojej pracy, ale uznał, że ta linia obrony ma niewielkie szanse powodzenia.

– Nadgonię to – obiecał.

A Lamb burknął coś pod nosem i na tym się skończyło.

Wyruszył więc w godzinach szczytu przed śniadaniem, walcząc z falą ludzi dojeżdżających do pracy. Zmierzał do Skylarks, domu opieki, w którym mieszkał

obecnie S.D. Może niezupełnie był to obiekt prowadzony przez służby – wywiad dawno temu zlecił takie drobiazgi podwykonawcom – ale bezpieczeństwo było tam traktowane bardziej priorytetowo niż w większości tego typu miejsc.

Stary Drań, dziadek Rivera, zagłębił się w ukrytych w półmroku korytarzach własnego umysłu i tylko sporadycznie powracał do tu i teraz. Węszył wtedy jak stary borsuk i miał udręczoną minę, choć River nie potrafił zgadnąć, z czego to wynika. Z chwilowej świadomości, że stracił kontakt z rzeczywistością, czy z tego, że ten kontakt na moment powrócił? Po całym życiu gromadzenia sekretów stary szpieg zagubił się wśród nich i nie wiedział już, jakie prawdy ukrywa ani jakie kłamstwa rozgłasza. On i jego zmarła żona Rose wychowali Rivera, który był ich jedynym wnukiem. Kiedy River siedział z nim w ogródku Skylarks, na kolanach staruszka leżał koc, a połowa jego historii była odcięta żelazną kurtyną. Czuł się, jakby znosił go prąd. Poszedł w ślady S.D., trafiając do wywiadu, i nawet jeśli jego ścieżka została przymusowo zmieniona, czuł się lepiej ze świadomością, że staruszkowi przynajmniej znane było to samo terytorium. Teraz jednak został osierocony. Ślady, za którymi dotąd podążał, zataczały koła i w końcu urwały się, ale nie w jakimś konkretnym miejscu. Marzeniem każdego szpiega było pozbyć się wszystkich, którzy go śledzą, i poczuć, że nie jest przez nikogo obserwowany. S.D. szybko zbliżał się do takiego miejsca: do jakiejś nieznanej, nieodwiedzanej sfery ukrytej przed oczami wroga.

Poranek był ciepły, jasne słońce rzucało cienie na trawnik. Budynek znajdował się na końcu doliny i River widział wzgórze wznoszące się w oddali i niewinne chmurki wędrujące po akwarelowym niebie. Na odsłoniętym terenie między dwoma lasami przez chwilę widać było pociąg, ale odgłos lokomotywy był jedynie uprzejmym pomrukiem, który ledwie zakłócił spokój. River czuł woń skoszonej trawy i coś jeszcze, czego nie potrafił nazwać. Gdyby musiał zgadywać, powiedziałyby, że to brak spalin.

Siedział na jednym z trzech białych plastikowych krzesełek ustawionych wokół białego plastikowego stolika ze sterczącym pośrodku parasolem. Trzecie krzesło było puste. W ogródku stały jeszcze dwa takie zestawy mebli, jeden wolny, drugi

zajęty przez jakąś starszą parę. Była z nimi młodsza kobieta i Riverowi wydawało się, że coś im rzeczowo wyjaśnia. Właściwie to jej nie słyszał. Dziadek mówił donośnie, zagłuszając wszystko inne.

– To musiało być w sierpniu pięćdziesiątego drugiego – mówił właśnie. – O ile się nie mylę, piętnastego. We wtorek. Mniej więcej około czwartej po południu.

W ostatnim czasie pamięć S.D. ulegała samoostrzeniu. Był dumny z tego, że potrafi podać najdrobniejsze szczegóły, choć podobieństwo tych szczegółów do rzeczywistości było czysto przypadkowe.

– I kiedy zadzwonił telefon, okazało się, że dzwoni sam Józio we własnej osobie.

– Józio...?

– Stalin, mój chłopcze. Chyba nie przysypiasz, co?

River nie przysypiał.

Pomyślał: oto do czego prowadzi życie na Ulicy Szpiegów. Nie tak dawno temu przeszłość staruszka, warcząc, wynurzyła się z cieni i wyszarpała zębami wielkie kawałki teraźniejszości. Gdyby wiedzieli o tym wszyscy, wielu zaczęłoby wyc i domagać się kary. W sumie to River też. Ale nawet jeśli jego własne mroczne początki okazały się skutkiem tego, że S.D. manipulował życiem innych ludzi, to wciąż pozostawały jego początkami. Trudno dyskutować z własnym istnieniem. Poza tym nie sposób było teraz czynić dziadkowi wyrzutów za dawne grzechy, bo obecnie te grzechy zmieniły się w fikcję. Tydzień wcześniej River usłyszał od staruszka historię, której S.D. nigdy mu nie opowiadał. Było w niej więcej strzelaniny niż zwykle i mnóstwo zawiłych kryptonimów zapisanych w notesach. Dziesięć minut wyszukiwania w Google pozwoliło mu ustalić, że S.D. opowiadał fabułę *Tylko dla orłów*.

Kiedy staruszek w końcu umilkł, River spytał:

– Masz wszystko, czego ci potrzeba, dziadku?

– A czemu miałbym czegoś potrzebować, co?

– Bez powodu. Pomyślałem tylko, że może chciałbyś coś z...

Urwał. Coś z domu. Ale dom był niebezpiecznym tematem, którego najlepiej było unikać. Dziadek nigdy nie pracował w terenie; zawsze siedział za biurkiem. Jego praca polegała na wysyłaniu agentów w nieznane i prowadzeniu ich, jak można by pomyśleć, z bezpiecznej odległości. Ale teraz oto został sam za linią wroga, ze spaloną przykrywką i domem, którego nie da się już strzec. Nie było dla niego bezpiecznego miejsca. Tylko ten dworek w cichej okolicy, w którym pielęgniarki miały na tyle dyskrecji, by wiedzieć, że niektóre opowieści najlepiej ignorować.

Wracając pociągiem do Londynu, River zmienił pozycję i przewinął w dół wyniki wyszukiwania. Dobrze wiedzieć, że kariera szpiega gwarantowała mu ten przywilej: jeśli chciał wiedzieć, co się dzieje, mógł surfować w sieci jak każdy inny drań. A internet krzyczał. Polowanie na zabójców z Abbotsfield trwało i jak dotąd nie przyniosło żadnych konkretnych rezultatów, choć do zamachu przyznało się tak zwane ISIS. Podczas obrad parlamentu, które odbyły się poprzedniego popołudnia, Dennis Gimball ostro skrytykował służby wywiadowcze, oświadczając, że Claude Whelan, Pierwsze Biurko w Regent's Park, ewidentnie nie nadaje się do pełnienia tej funkcji; otarł się niemal o sugestię, że Whelan sympatyzuje z ISIS. Fakt, że była to szalona koncepcja, miał drugorzędne znaczenie: w ostatnich latach zmieniono podejście do politycznych pomyślników i nawet media głównego nurtu musiały na wszelki wypadek udawać, że traktują Gimballa poważnie. Tymczasem w Abbotsfield zginęło dwanaście osób i ta mała wioska stała się geopolitycznym symbolem. Zanim sprawa zniknie z pierwszych stron, będzie jeszcze wiele debat i znacznie więcej załamywania rąk. Chyba że wkrótce wydarzy się coś innego.

Był już prawie na miejscu. River zamknął pokrywę laptopa. S.D. pewnie znów drzemał, wygrzewał się jak kot w popołudniowym słońcu. Dla niego czas zatoczył koło. Teraz to River był przewodnikiem swojego dziadka.

Prędzej czy później wszystkie grzechy przeszłości stają się tajemnicą strzeżoną przez teraźniejszość.

– Ty głupia krowo!

Odrzuciło go w bok i w jego głowie eksplodował hałas: maniakalne wycie gitar zamarło, dudniąca jak pociąg perkusja gwałtownie umilkła. Nagła cisza była ogłuszająca. Zupełnie jakby wyłączono go z prądu.

A jego zdobyczy oczywiście nigdzie nie było widać. Smartfon rozpadł się na kawałki, obudowa leżała kawałek dalej.

To Shirley Dander na niego skoczyła, najwyraźniej nie potrafiąc zapanować nad namiętnością.

Zdążyła się już z niego zsunąć i udawała, że patrzy za znikającym na drodze samochodem. Roddy usiadł i otrzepał rękawy wciąż nowej skórzanej kurtki. Już wcześniej miał do czynienia z molestowaniem w miejscu pracy: najpierw Louisa Guy, a teraz to. Ale Louisa przynajmniej od biedy wciąż nadawała się do tego, by ją przelecieć, natomiast Shirley Dander – według Roddy’ego – w ogóle nie mieściła się w tej kategorii.

– Cholera, za co to?

– Uratowałam ci tyłek – odparła, nie odwracając się.

Tyłek. Widać, że była w stanie myśleć tylko o jednym.

– Już prawie go miałem, wiesz! – Nie było sensu tłumaczyć jej zawilosci gry. Jej największe osiągnięcie w ogarnianiu złożoności gier komputerowych to bycie wziętą za trolla. Ale należało jej uświadomić, jaka nagroda uciekła mu sprzed nosa tylko dlatego, że chciała go sobie szybko obmacać. – To był Bulbazaur! Wiesz, jakie one są rzadkie?

Było oczywiste, że nie wiedziała.

– O czym ty gadasz, do kurwy nędzy? – spytała.

Podźwignął się na nogi.

– W porządku – powiedział Ho. – Udawajmy, że chciałaś tylko przeszkodzić mi w polowaniu. W każdym razie Kim nie musi nic więcej wiedzieć.

– Że co?

– Moja dziewczyna – wyjaśnił, żeby wiedziała, na czym stoi.

– Zapamiętałeś numery tego wozu?

– Jakiego wozu?

– Tego, który właśnie próbował cię przejechać.

– To też całkiem niezła historyjka – odparł Roddy. – Ale lepiej trzymajmy się mojej. Jest prostsza. Będzie mniej pytań.

I po wygłoszeniu tego wykładu na temat sztuki szpiegostwa pozbiarał kawałki swojego telefonu i ruszył z powrotem do Slough House.

Tu tymczasem na dobre rozgościł się dzień, a świt stał się dawno zapomnianym intruzem. Kiedy River wraca, by zająć miejsce przy biurku – jest tak cholernie mało prawdopodobne, żeby jego obecne porażająco nudne zadanie przyniosło jakiegokolwiek przydatne rezultaty, że ledwie pamięta, czym w ogóle się zajmował – wszystkie kulawe konie są z powrotem w stajni i niemal słycać pomruk zbiorowej apatii. W swoim pokoju na najwyższym piętrze Jackson Lamb zdrapuje resztki smażonego kurczaka z ryżem z aluminiowej tacki, a następnie odrzuca ją do na tyle ciemnego kąta, by już nigdy więcej nie musieć zaprzętać nią sobie głowy. Tymczasem dwa piętra niżej zamyślona Shirley Dander odtwarza w głowie sekwencję wydarzeń, które doprowadziły do tego, że rozpląszczyła Rodericka Ho na chodniku: efekt oczywiście był nie najgorszy, ale czy naprawdę zapobiegła przejechaniu go przez samochód? A może to był tylko kolejny londyński kierowca myślący fiutem zamiast głową, dla którego każda wycieczka ulicami stolicy jest katastrofalna w skutkach? Może powinna podzielić się z kimś tymi myślami? Dochodzi do wniosku, że powie o tym Catherine Standish. I może jeszcze Louise Guy. Może i Louisa potrafi czasem być pancerną suką, ale przynajmniej nie myśli fiutem. Są takie dni, gdy trzeba brać to, co ma się pod ręką.

Później Lamb poprowadzi jedno ze swych rzadkich zebrań wydziału, których głównym celem jest, by wszyscy uczestnicy trwali w nieustającym niezadowoleniu, ale na razie Slough House może sprawiać wrażenie spokojnego, a psioczenie i utyskiwanie przebywających w nim ludzi odbywa się głównie w ich myślach. Wskazówki zegarków obserwowanych z osobna przez każdego z pracowników wloką się, odmierzając czas Slough House, który płynie o jakieś pięćdziesiąt

procent wolniej niż w większości innych miejsc, a tymczasem dzień, tak jak S.D. w dalekim Berkshire, ucina sobie popołudniową drzemkę.

Chociaż w innych miejscach pędzi jak szalony gremlin.

3

Krążyła plotka, że trzeba było zmienić listę pytań zadawanych tradycyjnie osobom, które uległy urazom głowy, w celu ustalenia, czy nie doznały wstrząśnienia mózgu – jaki mamy dziś dzień, gdzie mieszkasz, kto jest premierem? – w związku z człowiekiem obecnie piastującym ten urząd, ponieważ powszechne niedowierzanie, że on nadal trwa na stanowisku, spowodowało wysyp fałszywych pozytywnych wyników. A to mogłoby wyjaśniać, pomyślał Claude Whelan, dlaczego tak się upierał, by zwracano się do niego per „panie premierze”.

Ale tak jak wszyscy jemu podobni ten facet stawał się niebezpieczny, gdy przypierano go do muru, a jedyną rzeczą, której w polityce nigdy nie brakowało, były mury, do których można kogoś przyprzeć.

– Wie pan, jakie jest największe zagrożenie, z którym musi się teraz mierzyć parlament? – zapytał Whelana.

– Cyber...

– Nie, to jest największe zagrożenie, z którym musi mierzyć się ten kraj. Największym zagrożeniem dla parlamentu jest demokracja. Od wieków jest złem koniecznym, ale zwykle udawało nam się używać jej na naszą korzyść. Jednak wystarczy jedno pieprzone referendum i jest tak, jakby ktoś dał naładowaną broń pijanemu dzieciakowi. – Trzymał w ręce gazetę otwartą na felietonie Dodie Gimball. – Czytał pan to już?

Whelan czytał.

Premier i tak zacytował:

– „Do kogo mamy się zwrócić o ochronę? Owszem, mamy nasze służby bezpieczeństwa, ale służą one tylko w takim sensie, w jakim byk »przysługuje się« krowie. Innymi słowy, drodzy czytelnicy, wtopa największej wagi”.

– Nie jestem do końca przekonany, czy to się klei. Przechodzi od liczby mnogiej do...

– Tak, tak. Przy pierwszej okazji naślemy na nią policję gramatyczną. Myśli pan, że mają uprawnienia, żeby przeprowadzić aresztowanie? A może po prostu powieszają ją na najbliższym imiesłowie?

Whelan z uznaniem pokiwał głową. Był niskim mężczyzną o wysokim czole, przyjemnym w obejściu, co mogło być pewnym zaskoczeniem, jeśli wziąć pod uwagę, ile lat spędził na zapleczu służb bezpieczeństwa, bractwa, które nie służyło z towarzyskiej ogłady. Nikt nie spodziewał się, że obejmie najwyższe stanowisko, co wynikało głównie z faktu, że nie był zamieszany w przestępstwa ani wykroczenia, które doprowadziły do zwolnienia się pierwszego biurka. Czyste ręce były niecodziennym kryterium przy obsadzaniu tej funkcji, ale kręactwa jego poprzedniczki sprawiły, że – przynajmniej tym razem – taką obrano politykę.

Oznaczało to jednak, że doświadczenie w prawdziwej polityce miał dość niewielkie. Jego wymagana krzywa uczenia się, jak zauważyła Diana Taverner, Drugie Biurko, była bardziej ekstremalna niż rachunek w barze na West Endzie.

– Dwanaście osób zginęło – powiedział teraz. – Jakkolwiek niedelikatnie by się wyraziła, to i tak będzie słuszna uwaga.

– Słuszną uwagą byłoby przypisanie winy morderczym debilom, którzy popełnili tę zbrodnię. Nie, Gimball ma własny cel. Zdaje pan sobie sprawę, kim ona jest?

– Wiem, kto jest jej mężem.

– No dobrze – powiedział premier. – No dobrze. – I klepnął się gazetą w udo, a przynajmniej spróbował. Właściwie to nie było miejsca na taki manewr.

Znajdowali się w czymś, co najlepiej można by określić słowem „schowek”, choć nieformalnie nazywano to miejsce inkubatorem. Posesja przy Downing Street 10 była labiryntem, jakby jakiś architekt kolekcjonował korytarze, a potem

postanowił użyć wszystkich jednocześnie. Pomijając państwowe biura, każde pomieszczenie w tym budynku wydawało się pretekstem, by dołożyć trochę dodatkowej przestrzeni między nim a kolejnym, i w większości tych przestrzeni w każdej wolnej chwili knuto jakiś spisek. Stąd określenie „inkubator”. Idealnie nadawały się do tych celów, ponieważ naraz mieściły się tu tylko dwie osoby, co ograniczało możliwą do wzbudzenia ilość politycznego strachu, czyli strachu, że winą za coś złego zostanie obarczony ktoś z obecnych.

Spotkanie poświęcone omówieniu wydarzeń w Derbyshire, z którego dopiero co wyszli, wywołało koszmarnie ilości takiego strachu.

– I ten sukinsyn chce zgarnąć moje stanowisko? – ciągnął premier.

– Z całą pewnością sprawia wrażenie, że podobałoby mu się rządzenie krajem – zgodził się z nim Whelan. – Ale panie premierze, z całym szacunkiem, on jest jedynym deputowanym ze swojej partii. Jakie zagrożenie może stanowić?

– Dał do zrozumienia, że byłby skłonny ponownie dołączyć do innej partii.

– Ach...

– Właśnie, cholerne „ach”. I nie zwraca się z tym do mnie, rozumie pan? Tylko do różnych... życzliwych uszu. Co obejmuje połowę mojego własnego pieprzonego gabinetu.

Nie miało większego znaczenia, czy to oznacza, że cały gabinet użyczył po jednym życzliwym uchu od osoby, czy też połowa gabinetu użyczyła obu. Tak czy inaczej, premier miał kłopoty: referendum w sprawie wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej oznaczało, że musiał obrać kurs, przeciwko któremu otwarcie opowiadał się w kampanii, bez względu na osobiste zapatrywania w tej kwestii, i jedynie brak silnego kandydata w partii – bo najbardziej ewidentni kandydaci stracili autorytet w szale wzajemnego wbijania sobie noży w plecy, perfidii i dwulicowości na skalę niespotykaną od czasu ponownego zejścia się Spice Girls – pozwolił mu aż do tej pory utrzymać się u władzy. Jeśli jednak Dennis Gimball zasygnalizował, że odczuwa pokusę, by powrócić do stada, które opuścił „z ogromną niechęcią” kilka lat wcześniej, aby dołączyć do monotematycznej partii stojącej na czele kampanii w sprawie Brexitu, to szykowałą się zupełnie nowa

rozgrywka. I niewielu było takich, którzy wierzyli, że premier ma na tyle twarde jaja, by przetrwać obecną grę, nie wspominając już nawet o kolejnej. Pomijając wszystko inne, musiał się uporać z potwornym aktem terroryzmu.

Ale Whelan był w stanie powiedzieć tylko:

– Dołączyć ponownie? To z pewnością jest bardzo mało prawdopodobne.

– Mało prawdopodobne? Słuchał pan w ogóle tego, co mówię? Mało prawdopodobne to nowa norma. Jego żona dwa razy w tygodniu publikuje teksty, które są jak komunikaty prasowe dla tej całej ekipy chcącej dymisji premiera. Kiedy facet już przygotowuje się do skoku, będzie chciał zacząć grać sobie dupsko na moim stołku w ciągu dwóch miesięcy. I to jego niedawno odkryte zamiłowanie do demokracji – w ustach premiera zabrzmiało to jak synonim pedofilii – oznacza, że pięćdziesiąt dwa procent populacji będzie rzucać mu pod nogi płatki róż, kiedy już to zrobi. A do tego nie tylko mnie mają na celowniku. Głównym powodem, dla którego zamierza ostro wziąć się do tajnych służb, do czego sprytnie podżega jego tabloidowa cizia, jest to, że dałem panu swoje pełne poparcie. Stuprocentowe zaufanie, pamięta pan? Prawdziwe sto procent, a nie sto dziesięć, czy nawet, uchwaj Boże, sto dwadzieścia, co, jak lubię myśleć, powinno świadczyć o absolutnej pieprzonej szczerości ryzyka, które tutaj podejmuję. Chcę przez to powiedzieć, Claude, że razem walczymy i razem zginiemy. A więc zapytam pana jeszcze raz, bez moich szanownych kolegów notujących sobie pańską odpowiedź: jak bliski jest pan złapania tych narwanych sukinsynów? Bo jeżeli szybko tego nie rozwiążemy, to drugą wysoko postawioną ofiarą będzie pan. Może nawet zatkną nasze głowy na sąsiednich tyczkach. Czy to nie byłoby miłe?

Whelanowi przyszło do głowy, że gdyby premier, zwracając się do narodu, wykazywał choć połowę tego zapału, który wkłada w rozważania o bezpieczeństwie swojego stanowiska, nie uważano by go za taką miernotę.

– W raporcie, który przed chwilą złożyłem, niczego nie pominąłem – odparł Whelan. – Aresztowania nie nastąpią od razu, ale z całą pewnością do nich dojdzie. Zaś jeśli chodzi o gwarancję, że nie dojdzie do kolejnego zamachu, to nie mogę takiej udzielić. Kimkolwiek są ci ludzie...

– ISIS – prychnął premier.

– Cóż, tak, to oni przyznali się do zamachu. Ale kimkolwiek są ci osobnicy, w tym momencie się przyczaili. Mogą być wszędzie i planować wszystko. Nie jestem w stanie zagwarantować niczego. Chciałbym jednak powtórzyć, że według mnie przeczesywanie rejonów o dużym odsetku ludności muzułmańskiej na tym etapie nie przyniesie nic dobrego.

– Cóż, w tej kwestii się różnimy. Bo ja uważam, że na tym etapie wszystko, co mogłoby pokazać, że faktycznie coś robimy, jest potrzebne.

– Rozumiem to, panie premierze, ale nalegam, żebyśmy zachowali ostrożność. Prowokowanie oporu w zradyzalizowanej części społeczności byłoby dokładnie tym, na co oni czekają.

Whelan użył tego argumentu już trzy razy tego ranka i był gotów użyć go po raz kolejny, ale rozkojarzyła go specyficzna zmiana za drzwiami. W ciągu ostatnich dziesięciu sekund ucichły odgłosy dobiegające z najbliższego korytarza, szmer, który robią ludzie, gdy chcą, by wszyscy sądzili, że są czymś zajęci, zastąpiły cichsze, ale o wiele bardziej złowieszcze dźwięki wydawane przez tych samych ludzi, ale czytających najnowsze wiadomości na swoich telefonach.

– Co to? – spytał.

– Nic nie słyszę – odparł premier.

– Ja też nie – powiedział Whelan. – I właśnie to mnie martwi.

Wyszli dokładnie w chwili, gdy ktoś podgłaśniał wiadomości w telewizji. Na ekranie widać było amatorskie ujęcia z miejsca zdarzenia.

Była tam krew, panika i gruzy.

Wyglądało na to, że rozwiązanie sprawy, o której mówili, w najbliższym czasie nie nastąpi.

– Doszły mnie słuchy, że wy, dupki, nie czujecie się zbyt szczęśliwi.

To był Jackson Lamb. A dupki to był jego zespół.

– Zwołałem więc to zebranie, żeby można było wylać swoje żale.

– No cóż... – zaczął River.

– A mówiłem „wy”? Chodziło mi o mnie.

Byli w gabinecie Lamba, co dla samego Lamba miało tę zaletę, że nie musiał się nigdzie ruszać, a dla wszystkich pozostałych tę wadę, że to był jego gabinet. Lamb w tym pomieszczeniu palił, pił i jadł i byli tacy, którzy podejrzewali, że gdyby miał tam jeszcze wiadro, nigdy by stamtąd nie wychodził. Nie żeby samo miejsce było jakoś atrakcyjne. Z drugiej strony, niedźwiedzie gawry też nie słynęły z tego, że były dobrze urządzone, a niedźwiedziom wydawały się całkiem w porządku.

– Czyżby jeden z was, żartownisiów, położył pierdzącą poduszkę na moim krześle? Nie? Cóż, w takim razie po prostu się spierdziałem. – Lamb rozparł się wygodnie i spojrzał na nich, promieniejąc dumą. – No dobra, wszyscy jesteście spięci, bo mamy w kraju stan alarmowy. I gdzieś z tyłu waszych malutkich mózdków kryje się wspomnienie, że wstąpiliście do wywiadu. Kojarzy wam się to z czymś? Z takim pięknym, zadbanym budynkiem w Regent’s Park?

– Jackson – odezwała się Catherine.

– Nie robię tego z przyjemnością, ale zamknij się, kurwa, kiedy mówię, Standish. Podstawowa grzeczność tego wymaga.

– Zawsze mnie cieszy, kiedy pilnujesz moich dobrych manier, ale czy naprawdę musimy wysłuchiwać tego wykładu?

– Och, myślę, że to będzie dobre dla morale, nie sądzisz? A poza tym nowy słyszał to najwyżej raz. Nie chciałbym, żeby miał wrażenie, że coś go ominęło. Przypomnij mi, jak się nazywasz.

– Coe – powiedział J.K. Coe, który był z nimi od roku.

– Coe. To ty masz te napady paniki, tak? Uważaj, za tobą! Tylko żartowałem.

Catherine ukryła twarz w dłoniach.

Lamb zapalił papierosa i podjął:

– Na czym to ja stanąłem? A, właśnie. Słuchajcie, jak wiecie, staram się przestrzegać reguł poprawności politycznej, ale ten, kto powiedział, że wszyscy jesteśmy równi, powinien oberwać. Gdybyśmy byli równi, nie siedzielibyście w Slough House i nie musielibyście robić, co wam każę, kiedy fajne dzieciaki

z Regent's Park ratują świat. Oczywiście z wyjątkiem pewnych części Derbyshire.
– Zaciągnął się, a potem, wypuszczając dym ustami, nozdrzami i prawdopodobnie też uszami, kontynuował: – A gdybyśmy wam pozwolili im pomóc, na pewno zrobilibyście jedyną rzecz, w której kiedykolwiek okazaliście się dobrzy, czyli jeszcze bardziej byście pogorszyli sytuację, która i tak jest zła. Macie, jak dotąd, jakieś uwagi?

– No cóż... – zaczął River.

– To było pytanie retoryczne, Cartwright. Gdybym naprawdę myślał, że coś powiesz, najpierw wyszedłbym z pokoju.

– Każda obława wymaga jakiegoś wsparcia – odezwała się Louisa. – Sprawdzenia materiałów z kamer, historii pojazdów, wszystkich tych rzeczy, do których przywykliśmy. Nie uważasz, że w Regent's Park doceniliby naszą pomoc?

– Postaw hipotezę opartą na rzetelnej wiedzy.

– Tak?

– Powiedziałem „opartą na rzetelnej wiedzy”. Twoja hipoteza rzuciła szkołę w wieku piętnastu lat, żeby poszukać sobie pracy w supermarkecie.

– Pomyślałam tylko...

– No cóż, tak. Nie płacą ci za myślenie. I w twoim przypadku to chyba, kurwa, lepiej. – Lamb przechylił się na krześle i wsunął wolną rękę w spodnie. Zaczął się drapać. – No dobra. Jak wam mówiłem, zanim wszyscy doszli do wniosku, że to forum publiczne, sporo się dzieje, a wy nie bierzecie w tym udziału. A więc spierdalajmy z powrotem do swoich biur, dobra? Diabeł zawsze znajdzie jakieś zajęcie dla leniwych konowałów i tak dalej.

– Dla leniwych rąk.

– O tak, przepraszam. Rąk. Tak mi się skojarzyło.

Cała gromada wyszła, a w zasadzie pół. Lamb z zamkniętymi oczami i ręką wciąż w spodniach rozparł się wygodniej, udając, że nie zauważa Shirley, Louisy i Catherine, które zostały w pokoju. Istniały spore szanse na to, że będzie to robił przez resztę dnia, ale Catherine nie było tak łatwo zbyć.

– Skończyłeś już? A może nawet nie zacząłeś?

Otworzył jedno oko.

– A co, mierzysz mi czas?

– Shirley ma ci coś do powiedzenia.

– Ożeż kurwa!

– Chyba chciałeś powiedzieć: „O co chodzi, Dander?”.

– Tak, pewnie to chciałem powiedzieć – odparł Lamb. – Ale włączyła mi się autokorekta. – Wysunął rękę ze spodni i otworzył drugie oko. – O co chodzi, Dander?

– Ktoś próbował przejechać Ho.

– W tej chwili?

– W porze lunchu. Na ulicy. – Shirley umilkła, a potem dodała jeszcze dla jasności: – Samochodem.

– Może pomylili go z wiewiórką. Już z nim rozmawiałem o tej bródce.

– To było umyślne.

– Cóż, nie chcę nawet myśleć o tym, że ktoś mógłby przejechać go przypadkiem. Pozbawiłby w ten sposób nas wszystkich chwili przyjemności. Gdzie to było?

– Na Fann Street.

– I widziałyście to wszystkie trzy?

– Tylko ja – odparła Shirley.

– To co wy dwie tu robicie? Jesteście jej chórkami?

– Jeśli ktoś bierze na celownik jednego z nas, to znaczy, że wszyscy jesteśmy zagrożeni. Potencjalnie – powiedziała Catherine.

– I nie byłby to pierwszy atak na Slough House – dodała Louisa.

– Nie musisz mi o tym przypominać – odparł Lamb. – Ostatnim razem jacyś idioci musieli zlecić papierkową robotę komuś innemu. Co to był za samochód?

– Honda. Srebrna.

– Jakież cechy, które pozwoliłyby ją zidentyfikować? Na przykład, no nie wiem, numery?

– Byłam zbyt zajęta ratowaniem Ho, żeby je zapamiętać.

– Jeśli to się powtórzy, chyba powinnaś zmienić priorytety. I co ten samochód zrobił? Skręcił nagle na niego?

– Wjechał na krawężnik.

– Hmm.

– Nie ma tam kamer – odezwała się Catherine. – Tak czy siak, uciekli.

– Ktokolwiek to był, opuszczenie miejsca wypadku nie robi jeszcze z niego zabójcy. Przeciętny obywatel wolałby zapłacić podatki, niż składać zeznania na policji. Ktoś wychylił się przez okno i krzyknął: „Następnym razem cię dorwę”?

Shirley pokręciła głową.

– Cóż, w takim razie założmy, że to był jakiś turysta. Niemal każdy mógłby się przerazić, gdyby niespodziewanie zobaczył Rodericka Ho, a wiecie, jacy są cudzoziemcy. Nadpobudliwi. I beznadziejnie prowadzą. A tak w ogóle czemu Ho sam o tym nie powiedział? Zwykle nie siedzi jak mysz po miotłą, co? Już prędzej jak wiewiórka na sraczu.

– Nie zauważył – wyjaśniła Shirley.

Lamb wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, a potem kiwnął głową.

– No dobra. To akurat potrafię sobie wyobrazić.

– Srebrna honda – powiedziała Louisa. – Pojechała na wschód. Możemy ją znaleźć.

– I zaproponować jeszcze jedno podejście? Podoba mi się twój tok rozumowania. Ale ja chyba wolałbym coś innego. Jeśli Ho przeżyje drugi zamach na swoje życie, zacznie myśleć, że jest wyjątkowy. I możliwe, że w tym przypadku sam musiałbym go zabić.

– Zamierzasz potraktować to poważnie? – spytała Catherine.

– Cieszę się, że o to pytasz. Nie, nie zamierzam. Dander, nie jesteś najlepszym świadkiem na świecie, za to jesteś durną ćpunką, która ma problem z panowaniem nad złością, więc raczej nie będę przeznaczając naszych mizerych środków na twoje widzimisie. Oczywiście, jeśli któraś z was uważa, że popełniam błąd, możecie wszystkie spadać na bambus. Nie chcę wam ograniczać możliwości.

– Czyli mamy po prostu zapomnieć, że to się stało? – spytała Catherine.

Lamb westchnął.

– W tym przypadku nie jestem awokadem diabła. To prawie pewne, że to nie było nic takiego. Jak na pewno wiecie, nasz Roderick spędza połowę czasu, mieszając w ocenach zdolności kredytowej ludzi, którzy zajęli mu miejsce w metrze. Prędzej czy później spróbuje tego z kimś, kto ogarnie, co się stało. Więc tak, pewnego dnia ktoś może go rozsmarować na chodniku i to będzie wielka strata dla korporacji Kleenex, ale na razie nie nakręcajmy się niepotrzebnie nieprawidłowo wykonanym zawracaniem na trzy. – Uśmiechnął się szeroko, obnażając koszarne uzębienie. – A teraz słuchajcie. Jak wiecie, jestem zagorzałym feministą, dziewczyny, ale nie macie nic lepszego, czym mogłybyście zaprzętać swoje małe główki?

Wyszły jedna po drugiej. Na odchodnym Catherine jeszcze się odwróciła.

– Adwokatem – rzuciła. – Tak nawiasem mówiąc.

– Dupa w troki – powiedział Lamb. – Jak to się mówi.

– Czternaście ofiar – powiedziała Diana Taverner. – A będzie ich więcej.

– Jakiś materiał z kamer?

– Nic, z czego mielibyśmy od razu pożytek. Jest zbyt chaotyczny. Przekażemy go ekipie od obróbki obrazu i dźwięku i zobaczymy, co znajdą. No i jeszcze filmiki od domorosłych dziennikarzy, je też będziemy zbierać. W każdym razie, Jezus, kto mógł zrobić coś takiego?

Whelan uniósł brew.

– Dobrze, wiemy, kto mógłby zrobić coś takiego – dodała Taverner. – Ale dlaczego? Jakaś tam jatka to jedno. Ale to wygląda jak coś z *Batmana*.

Whelan wrócił z Downing Street 10 i w uszach wciąż dudniły mu pełne oburzenia słowa premiera. W drodze powrotnej samochód zatrzymał się na chwilę przed salonem z telewizorami i było dokładnie tak jak na filmach – Boże, nienawidził, kiedy to się działo. Każdy ekran na wystawie pokazywał ten sam materiał, który oglądali teraz: krew, gruzy i potworne wrzaski umierających, na szczęście stłumione przez dystans. Kiedy tam tkwił, zadzwonił jego telefon. Claire.

Jego żona. Spytała, czy to oglądał. Tak, oglądał. Powiedziała, że ma nadzieję, że doprowadzi do tego, by to się skończyło. Że coś z tym zrobi. Tyle przemocy, tyle okropności.

W Abbotsfield też była przemoc i okropności, ale wtedy nie zadzwoniła w środku dnia, żeby mu o tym powiedzieć. Jej szok i niesmak czekały na jego powrót nad ranem. Ale to już nie. To nie mogło czekać. Musiała powiedzieć mu to teraz.

Zapewnił, że zrobią wszystko, co możliwe. Że ci, którzy za to odpowiadają, zawisną, choć oczywiście nie w dosłownym rozumieniu. Ale w tym przypadku język zemsty był do przyjęcia. Można było fantazjować na temat tego, co powinno spotkać winnych, ale koniec końców człowiek godził się na to, co orzekały sądy.

– Myślisz, że to ta sama ekipa? – spytał teraz.

– Inne podejście – odparła Lady Di. – Inny cel. W ogóle zupełnie inny zamach.

– Widzę. Wszyscy to widzą. Ale mimo wszystko... Myślisz, że to ta sama ekipa?

– Jeśli tak – odparła – to mamy kłopoty. Bo nie da się ustalić, co zrobią teraz. Przypadkowe, chaotyczne jatki to nie sposób działania, więc w każdym profilu, jaki zbudujemy, będzie dziura. Ktokolwiek to zrobił, użył pojedynczej bomby rurowej. Spokojnie mógł to być jakiś samotny wilk, niezadowolony nastolatek. Ale tak, może być to też część jakichś szerszych działań, a te różnice mogły być umyślne i tworzyć zasłonę dymną. Dowiemy się więcej, kiedy dostaniemy wyniki od techników.

Albo kiedy ktoś przyzna się do tego zamachu, pomyślał Whelan.

Materiał się skończył i Whelan zamknął laptop. Diana Taverner obeszła przód stołu. Nie usiadła. W jej stylu bardziej było chodzenie tam i z powrotem – spotkania w cztery oczy często oznaczały obserwowanie, jak kroczy po pokoju niczym kot obchodzący swój teren. I to byłby jej teren, gdyby wszystko ułożyło się po jej myśli. Będąc Pierwszym Biurkiem, Claude Whelan często czuł się tak, jakby balansował na linie, a Lady Di, jedna z tak zwanych równych sobie Drugich

Biurek, tylko czekała na jego upadek nie po to, by próbować go łapać, lecz by się upewnić, że gdy już uderzy o ziemię, nigdy się nie podźwignie.

I właśnie dlatego to z nią zazwyczaj omawiał swoje pomysły, kiedy gówno trafiało w wentylator. Kiedy była przed nim, miał przynajmniej pewność, że nie czyha za jego plecami.

Poza tym miała naprawdę bogate doświadczenie z gównami trafiającymi w wentylator. W swoim czasie rzucała nimi więcej niż młody szympanś.

Przez chwilę obserwował, jak się przechadza, a potem spytał:

– Co wiemy o Dennisie Gimballu?

Chodziło mu oczywiście o to, co o nim wie Diana Taverner i co nie było jeszcze publicznie wiadome, choć nawet tego było sporo. Gdy Gimball był szeregowym deputowanym, do szerszej świadomości opinii publicznej trafiał głównie w związku z incydentami w pubach i mandatami za przekraczanie prędkości, ale zmienił się w celebrytę, gdy znalazł już swój przewodni motyw: prowadzenie kampanii, by wyprowadzić kraj z Unii Europejskiej i cisnąć go z powrotem w lata pięćdziesiąte. Ta jego krucjata obejmowała odejście z partii, co zrobił z często wspomnianą „ogromną niechęcią”, ale za to bez zahamowań, jeśli chodzi o dotkliwe osobiste ataki na dawnych kolegów. Kiedy odpowiadali mu pięknym za nadobne, przedstawiał to jako dowód, że nie są godni piastowania publicznych stanowisk. Ze swoim upodobaniem do bordowych marynarek, mokasynów i wybuchów irytacji przed kamerami raczej nie zapowiadał się na medialną gwiazdę i jego wkroczenie na główną scenę było – jak skomentował to pewien satyryk – niczym oglądanie kreskówki Disneya, w której pies Goofy przejmuje główną rolę; jednocześnie niespodziewane i rozczarowujące. To, co powinno być epizodyczną rolą, stało się karierą i ciągnęło się przez całe dziesięciolecie, albo takie można było przynajmniej odnieść wrażenie. A kiedy wreszcie ta kariera się skończyła, niejednen zdumiony głosujący zastanawiał się, czy referendum nie wypadło po myśli Gimballa, bo ludzie mieli nadzieję, że zwycięstwo w przyszłości zagwarantuje jego milczenie na wszystkie inne tematy. Jak dotąd ten scenariusz się nie sprawdził.

– Cóż – stwierdziła Lady Di – chyba możemy bezpiecznie założyć, że znalazł nowy sztandar, którego szukał.

– Chodzi ci o sztandar naczelnego krytyka tajnych służb?

– Wątpię, żeby było to dla niego kwestią zasad, już raczej znalazł sobie wygodny sposób skupiania na sobie uwagi opinii publicznej – odparła. – Jeśli to może cię w jakikolwiek sposób pocieszyć.

– Wiemy o nim coś, czego wolałby, żebyśmy nie wiedzieli?

Spojrzała na niego z aprobatą.

– Wyrabiasz się, Claude. Jeszcze pół roku temu zszokowałaby cię sama taka myśl.

Whelan poprawił zdjęcie żony na biurku, potem znów ustawił je tak, jak stało wcześniej.

– Przystosuj się i przeżyj – powiedział.

– Zajrzę do jego akt. Sprawdzę, czy są tam jakieś grzeszki, które warto by nagłośnić. Trudno mi jednak uwierzyć, że mogło mu się udać zachować coś w tajemnicy. Przy jego żonie Amy Schumer wydaje się wzorem dyskrecji. – Przerwała. – To było takie odniesienie do świata kultury, Claude. Zadbam, żebyś dostał notatkę służbową.

Uśmiechnął się słabo.

– Nie napisała przypadkiem kiedyś felietonu, w którym przedstawiała uchodźców jako szczypawki?

– I niedługo potem nakarmiono ją nimi w reality show. Rzadko się widuje karmę wracającą w taki sposób.

– Mówiła coś, jak smakowały?

– Jak Somalijscy – odparła Lady Di. – Trzeba jej przyznać, że nie próbuje za wszelką cenę zdobyć przyjaciół.

Ale jak to często bywa z felietonistami, im więcej wyrażają pogardy wobec ludzi, którzy są inni od nich, tym większą zyskują popularność. Albo tym więcej się o nich mówi, co w ich oczach na jedno wychodzi. Lista osób do odstrzału,

którzy naprawdę szkodzą dobru kraju, pomyślał Whelan, bardzo by się różniła od tej oficjalnej, używanej w bunkrach, z których steruje się dronami.

– Ale jesteśmy tylko kijem, którym okłada się premiera – dodała. – Gdy już wyraził swoje absolutne zaufanie do nas, to znaczy do ciebie, staliśmy się wrogiem. To taka gra o sumie zerowej, pamiętaj. Gdyby premier wygłosił przemówienie, w którym chwaliłby panie przeprowadzające dzieci przez ulicę, Gimball ogłosiłby, że są wrogami stanu. A Dodie poświęciłaby swoje trzy następne felietony na wyliczanie, ile wypadków drogowych spowodowały.

Większości rzeczy, które Claude Whelan wiedział o zdradliwej naturze ludzi dążących do władzy, nauczył się od Diany Taverner, ale rzadko mówiła o tym wprost, tak jak teraz. Najczęściej po prostu obserwował jej zachowanie.

– Kim wobec tego jest Zafar Jaffrey? – spytał. – Wrogiem naszego wroga?

– Pytasz o to, bo nas to interesuje? Czy dlatego, że premier chce to wiedzieć?

Pytał, bo premier chciał to wiedzieć. Wcześniej, przed zebraniem, na które zaproszono Whelana, by przemówił do członków gabinetu, premier wziął go na stronę. „Jaffrey. Na pewno jest czysty, tak? Bo docierają do mnie różne plotki”.

– Jemu też daje popalić – powiedział Whelan. – Jego zdjęcie pojawia się na jej stronie za każdym razem, kiedy pisze coś o islamskim ekstremizmie. Nie trzeba być psychologiem, żeby dodać dwa do dwóch.

– Cóż, jest czarny – stwierdziła Lady Di. – Może nie używają słów „odesłać ich”, ale można śmiało powiedzieć, że Gimballowie nie będą popierać tęczowej koalicji. – Zamilkła, a po chwili dodała: – Do Jaffreya próbowali się dobrać wszyscy, my, straż kolejowa i wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby harcerki też próbowały. Jak na razie nikt go nie przyłapał na robieniu pasów szahida u siebie w piwnicy.

– Jakież podejrzane znajomości?

– Jest politykiem. Oni wszyscy znają jakichś podejrzanych typów, bo podejrzane typy bardzo się starają, by znać jakichś polityków. Ale gdyby wpakował się w poważniejsze bagno, już by to wyszło na jaw. Nie czarujmy się, jest po

czterdzieści i ma fiuta. Gdyby był typem, który się złapie na podstawioną panienkę, to już by się to stało.

– Żadnego ale?

– Zawsze jest jakieś ale – powiedziała Lady Di. – Nieraz udało się nas oszukać.

– To przyjrzyjmy mu się jeszcze raz – zdecydował Whelan. – Na wypadek, gdyby wdepnął w coś, w co nie powinien, od czasu, kiedy sprawdzaliśmy go po raz ostatni.

Spojrzała na niego z twarzą tak niewinną i pozbawioną wyrachowania, że było oczywiste, że jej mózg wskoczył na wyższe obroty.

– Jest jakiś konkretny powód? W tej chwili mamy trochę za dużo roboty, żeby jeszcze raz sprawdzać własną pracę domową.

Ale Westminster, pomyślał Whelan, to nie jedyna gra o sumie zerowej w mieście. Nie zamierzał wtajemniczać Diany Taverner we wszystko. Zresztą, sama też pewnie miała mnóstwo tajemnic.

– Nazwij to robieniem porządków – odparł. – Jeśli chcesz, użyj psów. Nie zajmują się Abbotsfield ani tym, co się stało teraz. Na pewno ucieszą się, że będą mieli się czym zająć.

Lady Di kiwnęła głową.

– Jak sobie życzysz, Claude.

– Ach, jeszcze jedno. Pojutrze będzie nabożeństwo w opactwie westminsterskim. Za cywilne ofiary wojny. W świetle ostatnich wydarzeń to będzie upamiętnienie tych ofiar. Pojawią się ważne osobistości, więc będziemy musieli posprawdzać to co zwykle.

– A w międzyczasie będziemy wciąż próbować namierzyć zabójców z Abbotsfield, tak?

Czasem warto było pozwolić, by to Lady Di miała ostatnie słowo, choćby po to, by mieć pewność, że to już koniec rozmowy. Kiwnął głową, a potem obserwował ją, jak wychodzi z pokoju; gdy już został sam, wyciągnął rękę i jego palce flirtowały przez chwilę z fotografią Claire, szukając kontaktu z jej hartem

ducha, z jej pewnością moralną. „Doprowadź do tego, by to się skończyło”, pomyślał. Byłoby miło, gdyby sprawy przedstawiały się tak prosto.

Louisa zatrzymała się w kuchni, by zrobić sobie kubek herbaty, bo każda chwila, której nie spędzała na przeglądaniu list użytkowników bibliotek, była drobnym zwycięstwem w długiej wojnie, jaką było jej życie. Shirley deptała jej po piętach i cały czas była trochę zbyt blisko, by Louisa mogła czuć się swobodnie. Przez ostatnie parę tygodni nie sprawiała wrażenia takiej wariatki jak wcześniej, pomyślała Louisa. Niektórzy mogliby to uznać za dobry znak, ale ona widziała w tym raczej odległe, wczesne ostrzeżenie.

– Po czyjej jesteś stronie? – walnęła Shirley bez żadnych wstępów.

– Chyba muszę się opowiedzieć za Daenerys Targaryen – odparła Louisa, nie odwracając się. – I chodzi mi nie tyle o smoki, co bardziej o całe to uwolnienie niewolników. Chociaż smoki potrafią przykuć uwagę, nie uważasz?

– Bo ja wiem, co widziałam – ciągnęła Shirley. – I zdecydowanie próbowali go przejechać.

Nie zapowiadało się na to, że od tej rozmowy będzie można się szybko uwolnić. Louisa stłumiła westchnienie i naląła wody do czajnika.

– Napijesz się? – Przyszło jej do głowy, że po raz pierwszy od nie wiadomo jak długiego czasu, który razem przepracowały, spytała Shirley, czy chce herbaty, i poczuła jakąś dziwną ulgę, gdy ona to zignorowała.

– Szkoda tylko, że nie zapamiętałam numerów.

– To mogłoby pomóc w wyjaśnieniu sytuacji – zgodziła się z nią Louisa.

– Hej, nie było cię tam! Wszystko działa się dość szybko.

– To nie miała być krytyka – powiedziała Louisa, choć tym to właśnie było. Shirley była całkiem szybka w wielu rzeczach: obrażaniu się, zmianach nastrojów, jedzeniu pączków. W zbieraniu danych, jak się okazało, nie za bardzo.

– W każdym razie próbowali go przejechać. Ktokolwiek to był, pewnie ukradł ten samochód. Znaleźlibyśmy tylko spalony wrak na jakimś zadupiu. Numery by nie pomogły.

– Skoro tak mówisz.

– Kurwa, gadanie z tobą nie ma żadnego sensu.

I to była dawna Shirley, zmieniło się tylko to, że po tym, jak to powiedziała, nie wypadła z kuchni i nie zaczęła trzaskać drzwiami i znęcać się nad biurowym sprzętem. Louisa wiedziała, że Shirley chodzi na zajęcia z kontroli złości, ale to była pierwsza wskazówka, że te zajęcia faktycznie działają. Pomyślałaby raczej, że wymagałoby to kobiecego odpowiednika chemicznej kastracji, ale... no proszę. Cudowne efekty pomocy psychologicznej.

– Chodzi o to – powiedziała, bo Shirley wciąż nad nią wisiała – że bez względu na to, jak było, i tak mnie to za bardzo nie kręci.

– Czemu nie?

– Cóż, z jednej strony Lamb pewnie ma rację. Jakie są szanse, że Ho naprawdę trafił na jakąś listę ludzi do odstrzału? To znaczy u zawodowca. Jasne, że każdy, kto go zna, życzy mu śmierci. – Wyłowiła torebkę herbaty z obdrapanej puszkii. – A z drugiej strony, jeśli Lamb się myli i naprawdę ktoś rozwali Ho, to nie jestem pewna, czy wiem, czy miałoby to jakieś minusy.

– Chyba że Ho został celem przez to, kim jest – odparła Shirley. – To znaczy, że jest jednym z nas.

– O Ho można wiele rzeczy powiedzieć – odparła Louisa. – Ale to, że jest „jednym z nas”, na pewno nie jest pierwszym, co się nasuwa.

– Wiesz, o co mi chodzi. Jasne, że to śmieszne, bo przytrafiło się Ho, a on jest taką dupą, że nawet o tym nie wie. Ale co będzie, jeśli ten, kto chce go dorwać, uzna, że będzie łatwiej podłożyć bombę w budynku? Albo wtargnąć tu ze śrutową? Zapomniałaś już, co się stało ostatnio?

Louisa nie odpowiedziała. Kiedy ostatnio Slough House znalazł się na celowniku, zapłacił za to Marcus. A jeśli ona i Shirley miały cokolwiek wspólnego oprócz statusu pariasa, to że obu im zależało na Marcusie.

Woda w czajniku zagotowała się i ciasną kuchnię wypełniła para. Louisa wsunęła kosmyk włosów za ucho i naląła sobie wrzątku do kubka. Shirley wciąż nigdzie się nie wybierała i Louisa zaczynała jej współczuć. Po tym, jak zginał Min

Harper, sama nie miała się do kogo odezwać. Marcus i Shirley nie byli parą, ale jeśli chodzi o bycie partnerami, to chyba nikt w Slough House nie był tego bliżej niż oni. Shirley przechodziła teraz żałobę, tak jak wtedy Louisa. Oczywiście, to nie było to samo, bo nie istnieje nic takiego jak dwa takie same uczucia, ale były na tyle do siebie podobne, że Louisa mogła niemal wyciągnąć rękę i tego dotknąć.

Tylko że kiedy już zaczynasz burzyć takie mury, nigdy nie wiadomo, co może zza nich wypełznąć.

Zajrzała do lodówki i znalazła mleko. Dołała sobie jakieś pół łyżeczki do kubka. Zabawne, jak człowiek zawsze się trzyma własnych reguł zaparzania herbaty, nawet jeśli torebka, której używasz, pełna jest smakowego kurzu, a woda ma metaliczny posmak.

– No więc nad czymś się zastanawiałam – powiedziała Shirley i przerwała.

Louisa czekała.

– Nad czym?

– Eee, nie... Zapomnij o tym.

– Nad czym, Shirley?

– Może przez jakiś czas będę miała go na oku. To znaczy Ho.

– Chcesz mieć na oku Ho?

– Cóż... Tak.

– Poważnie?

– Na wszelki wypadek. Gdyby to się miało znowu stać, wiesz.

Jezu.

– I nad tym się zastanawiałaś? – spytała Louisa. – Czy myślę, że to dobry pomysł?

– Zastanawiałam się, czy będziesz chciała mi pomóc – wymamrotała Shirley.

– Mam spędzać wolny czas na obserwacji Rodericka Ho – powiedziała Louisa.

Samo wypowiedzenie tej myśli na głos zepsuło powietrze jak pierdnięcie w zatłoczonej windzie.

– Tylko przez dzień czy dwa. Niedługo.

Louisa upiła łyżeczek herbaty i doszła do wniosku, że smakowałaby jej o wiele bardziej, gdyby zamiast dodać do niej pół łyżeczki mleka, poszła się schować w swoim pokoju i odczekała, aż Shirley wyjdzie z budynku.

– Właściwie to chcesz to robić za plecami Lamba, wiesz o tym, tak?

– Masz jakieś zastrzeżenia?

– Cóż, nie natury moralnej – odparła Louisa. – Po prostu nie chciałabym być tobą, kiedy Lamb się o tym dowie.

– Skąd pomysł, że się dowie?

– Z doświadczenia. – Przypomniała sobie ten odgłos, który usłyszała wcześniej. Nie chodziło o to, że nie pomyślała, że coś się stało, coś z jakimś samochodem. Po prostu nie uważała, że to, co się stało, było tym, co się stało według Shirley. – Posłuchaj, Shirley – mówiąc to, nie czuła się za dobrze, ale i tak to powiedziała: – rozumiem, że się martwisz. Po prostu myślę, że nie masz powodu. To, co się stało ostatnio, z Marcusem i w ogóle, to było okropne, pewnie. Ale wtedy po prostu wplątaliśmy się w grubszą aferę. Nikt nie chce się do nas dobrać. Bo po co?

– Myślisz, że jestem wariatką – powiedziała Shirley. – Zaćpaną wariatką.

Cóż, zasadniczo, to tak.

– Nie – powiedziała Louisa. – To nie to.

– Właśnie, że to. Wiesz co? Spierdalaj.

Ale Shirley powiedziała to cicho i wcale nie wyglądała, jakby miała złapać łyżeczkę i spróbować wydłubać nią Louisie oko. A więc Louisa znów pomyślała, że ten trening kontroli złości faktycznie działa. Kto by się spodziewał?

– Jasne, dobra – zgodziła się. – No to spierdalam.

Wyszła ze swoją lurowatą herbatą na korytarz, ale zanim zdążyła wejść do siebie, River zawołał ją ze swojego pokoju.

– Louiso? Chodź coś zobaczyć.

Wyglądało na to, że ogląda coś na YouTube, jakiś amatorski filmik. J.K. Coe siedział przy drugim biurku i nie podniósł wzroku, kiedy Louisa weszła. Typowe. Spędzał większość czasu na planecie Coe: na pewno musiał być tam samotny, ale

przynajmniej powietrzem dało się oddychać, bo inaczej do tej pory już by się udusił. Ale co oglądał River?

– O Jezu! – powiedziała.

– Zamieszczone jakieś czterdzieści minut temu.

Filmik ukazywał zamazaną masę uciekających ludzi. Musiało dojść do czegoś w rodzaju eksplozji. Cokolwiek to było, wydarzyło się po drugiej stronie szyby, która teraz była ochlapana krwią i czymś, co wyglądało jak futro, albo może pióra.

– Kto... Co to było? To, co tam zginęło.

– Pingwiny – powiedział River. – Jakiś skurwiel wrzucił bombę rurową na wybieg dla pingwinów w Dobsey Park. To w pobliżu Chester. Zginęło czternaście tych małych biedaków. Większość pozostałych też pewnie umrze.

Bomba wpadła do basenu i połowa kolonii pingwinów za nią zanurkowała. Ciekawskie bestyjki, i teraz połowa z nich nie żyła.

– Wiedzą kto...

– Jeszcze nie.

River przeszedł na inną zakładkę przeglądarki. Na głównej stronie BBC faktów było niewiele, ale pokazywano zdjęcie tej jatki z czyjego iPhone'a. Wyglądało to jak zaplecze rzeźni. Wszędzie kawałki pingwinów. Coś, co wyglądało jak nietknięta płetwa. Pingwiny były śmieszne na lądzie, pod wodą zamieniały się w baletmistrzów, ale gdy zastosowano brutalne prawa fizyki, zmieniły się w mielonkę.

Dołączyła do nich Shirley. Zgroza wykrzywiła jej twarz.

– Jezu! Przecież to, kurwa, okropne!

– „Wodopój” – przeczytał River. – Tak nazywali ten wybieg dla pingwinów. Brzmi bardziej jak coś dla słoni, gazeli i tak dalej, nie uważacie? – spytał, wykazując się większą wiedzą z zoologii, niż Louisa go o to podejrzewała.

J.K. Coe podniósł wzrok i wpatrywał się w nich przez chwilę. Potem jego oczy znów się zamgliły i wyjrzał przez okno.

Louisa czuła się okropnie. Dwanaścioro zabitych w Abbotsfield, a teraz to. Spojrzała na Shirley, której twarz zastygła w wyrazie smutnej odrazy. W sumie, to

było trochę upiorne, bo Shirley, którą znała, do tej pory wybijałaby już pięścią dziury w ścianach. Nie żeby jakoś specjalnie lubiła pingwiny, a przynajmniej Louisie nic nie było o tym wiadomo, ale zwykle nie przepuszczała żadnej okazji, żeby się wyżyć.

Zanim zdołała ugryźć się w język, palnęła:

– Shirley uważa, że powinniśmy mieć na oku Ho.

– Że niby pilnować mu pleców?

– Coś w tym stylu.

– Po godzinach?

– Tutaj krzywda może go spotkać tylko z naszej strony.

– Wiesz, że szwenda się po klubach, prawda?

– Tak się domyślałam.

– Zapewne z sobie podobnymi typami. Z ludźmi takimi jak Ho. – River przerwał na chwilę. – Będziemy potrzebować kombinezonów ochronnych.

– To znaczy, że w to wchodzisz? – spytała Shirley.

– Nie mam nic lepszego do roboty – powiedział River. Spojrzał na Louise. – Ty też, prawda?

Wzruszyła ramionami.

– Dobra, czemu nie.

4

Kiedy to pytanie się pojawiło – a w wywiadach pojawiała się często – Dodie Gimball miała przygotowaną odpowiedź: „Och, nie dajcie się zwieść. To Dennis nosi u nas w domu spodnie”. I było to właściwie prawdą, ale nigdy nie dodawała, że od czasu do czasu nosi też krzykliwą czerwoną sukienkę koktajlową, którą kupił jej na czterdzieste urodziny, oraz najróżniejsze elementy jej bielizny, które skrupulatnie zastępował innymi, gdy przytrafiały im się jakieś wypadki. Był to nieszkodliwy grzeszek – w latach, gdy Dodie randkowała, spotykała się wyłącznie z ciachami z prywatnych szkół, więc nawet okiem nie mrugnęła, gdy dowiedziała się o tym drobnym dziwactwie Dennisa. Przynajmniej nie kręciło go wkładanie stroju nurka i domaganie się, żeby chodziła mu po plecach na szpilkach, co zaproponowało jej dwóch absolwentów Harrow School. (Obaj byli z tego samego rocznika). I cokolwiek by mówić o tym systemie, zapewniał uczniom odrobinę kontaktu z klasyką, całe mnóstwo znajomości i wiedzę, którego widelca użyć. Państwowe szkolnictwo było dla chemików i tych mniej eleganckich poetów. Mimo wszystko poczuła się jednak nieco dotknięta, że Dennis wybrał prezent na jej czterdzieste urodziny, mając na względzie własną przyjemność.

W każdym razie ta pozycja została odhaczona w planie Gimballów w zeszłym tygodniu, więc przez jakiś czas będzie z tym spokój. Teraz, siedząc w salonie swojego mieszkania w Chelsea, omawiali coś, co dotyczyło ich wspólnych zawodowych zainteresowań, a nie mniej czy bardziej podzielanych skłonności w wolnym czasie.

– I jesteś pewna, że ta informacja jest prawdziwa. Że ten cały...

– Barrett.

– Że ten cały Barrett wie, o czym mówi.

To nie były pytania, a nawet gdyby nimi były, Dodie już dwa razy na nie odpowiedziała. Ale Dennis tak miał: kiedy przetwarzał jakieś informacje, lubił, by powtarzano mu je kilka razy. A gdy już przemawiał publicznie i rozgadywał się dla dobra narodu, nie musiał zaglądać do notatek ani szukać właściwego słowa. W tym, co mówił, była pewność siebie i brzmiało to prawdziwie. Nawet – a może zwłaszcza – wtedy gdy były to kłamstwa.

– W przeszłości pracował dla naszej gazety – mówiła – i nigdy nie musieliśmy niczego prostować. Wydaje mi się, że kiedyś był policjantem. Albo przynajmniej sprawia takie wrażenie. Tak czy inaczej, to on jest naszym człowiekiem od takich rzeczy. No wiesz, od śledzenia ludzi. Słuchania. Oczywiście wszystko w interesie publicznym.

– Oczywiście.

– I obserwował naganiacza z ekipy Zafara Jaffreya.

Zafar Jaffrey: ulubiony muzułmanin premiera, ubiegający się o stanowisko burmistrza West Midlands, i dokładnie taki rzecznik, jakiego potrzebowała jego społeczność, przyzwoity, rozsądny, umiarkowany i bliski ludziom; pierwszy do potępiania ekstremizmu i pierwszy do obrony innych muzułmanów przed islamofobią. Taka była oficjalna wersja i nawet Dodie musiała przyznać, że dobrze się prezentował w telewizji. Ale na pewno istniał punkt, którego nie należało przekraczać, gdy otwierało się drzwi przed ludźmi innych wyznań – czy dodanie w tym miejscu „i ras” naprawdę było aż tak niewłaściwe? – i tym punktem było przekazanie komuś kluczy do swojego domu. Poza tym była jeszcze sprawa jego brata. Nie żeby kiedykolwiek starał się to ukrywać, to prawda – i tak nic by z tego nie wyszło – ale nawet publiczne przyznanie się do tego nie było w stanie rozwiać smrodu: fakty były takie, że młodszy brat Jaffreya wybrał się do Syrii, gdzie zginął jako bojownik dżihadu. W sumie był terrorystą. Takim jak ci, którzy zastrzelili niewinnych ludzi tu, w umiarkowanej Wielkiej Brytanii.

Dennis przymknął oczy i wyrecytował:

– Naganiacz. Trzydziestoparoletni facet po odsiadce o nazwisku Tyson Bowman, który ma w CV dwa wyroki za napaść. Paskudny typ. Twierdzi, że odnalazł w sercu Allaha i teraz sporządzał, ale ma jeden z tych tatuaży na twarzy, coś jak plemienne znaki?

– Lepiej nie używaj słowa „plemienne”, kochanie.

– Pewnie masz rację. W każdym razie większość ludzi Jaffreya ma jakieś brudy w aktach. To jego podejście. Resocjalizacja. – Parsknął: lewackie brednie. – Jaffrey nie zaprzeczy, że ma powiązania ze światem przestępczym.

– Jaffreya tam nie będzie, by cokolwiek potwierdzić albo czemuś zaprzeczyć, więc nie wspominaj o tym, że ma taką politykę, tylko po prostu zwróć uwagę na fakt, że Bowman siedział. W każdym razie nasz człowiek, Barrett, ma nagranie, na którym widać, jak Bowman odwiedza potwornie obskurne miejsce niedaleko St Paul's, z pozoru to sklep papierniczy, ale to jest tylko... jak się na to mówi... przykrywka? Właścicielem jest niejaki Reginald Blaine, ale używa ksywy Tancerz. I Barrett mówi, że ten cały Tancerz ma powiązania ze światem przestępczym. Krążą plotki, że dostarcza broń i że specjalizuje się w fałszywych dokumentach.

– To jak to możliwe, że nie siedzi?

– Bo świat to głównie szare strefy, mój drogi. Jeśli ktoś jest źródłem przydatnych informacji dla władz, z pewnością daje mu się pewną swobodę. Ale to nie nasze zmartwienie. Najważniejsze, że po pierwsze handluje bronią i fałszywymi papierami, a po drugie, że człowiek Jaffreya się z nim zadawał.

– Ale nie sam Jaffrey.

– Oczywiście, że nie sam Jaffrey. To właśnie dlatego...

– ...ma naganiacza – dokończył Dennis.

Stanowili zespół. Właśnie tak załatwiali sprawy.

Kieliszek jego żony był pusty, więc go napełnił: całkiem niezłe bordeaux z jednej z tych winiarni na obrzeżach miasta. Nie zaszkodzi dać się zobaczyć podczas robienia zakupów tam, gdzie robią je zwykli ludzie, pod warunkiem że należą do właściwego rodzaju tych zwykłych.

– I jesteśmy pewni, że publiczne spotkanie to właściwe miejsce, żeby ujawnić tę informację? W parlamencie mogłoby być bezpieczniej.

– Tak, ale my nie chowamy się za spódnicą parlamentu – odparła Dodie. – My dobywamy naszego miecza prawdy i stajemy na otwartym polu, by bronić tego narodu.

Uniósł w jej stronę kieliszek, doceniając to, jak używa zaimków.

– Poza tym – ciągnęła – to fakt, który można zweryfikować. Następnego dnia rano pojawi się mój felieton na ten temat z załączonymi dowodami w postaci zdjęć. Jaffrey nas nie pozwie. Bo jeśli to zrobi, zaoramy go.

Dennis wczuł się w inną rolę; nie testował już treści swojego następnego przemówienia, ale powtarzał je sobie, wczuwał się w jego ciężar.

– Nie istnieje niewinne wyjaśnienie, dlaczego ktoś chciałby mieć fałszywe dokumenty. A fakt, że Jaffrey...

– Albo jego naganiacz.

– ...albo jego pomagier nawiązał kontakt z kimś, o kim wiadomo, że dostarcza fałszywych dokumentów, i że zrobił to w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od masakry w Abbotsfield, z pewnością mówi sam za siebie.

– „Wymaga wyjaśnienia” mogłoby zabrzmieć lepiej.

– Z pewnością wymaga wyjaśnienia – poprawił się Dennis. – Czy to byłoby zbyt wiele, gdybyśmy wymagali od premiera, żeby niezwłocznie zażądał takich wyjaśnień od swojego współpracownika?

– To już zbędne – powiedziała Dodie. – Wszyscy dodadzą dwa do dwóch, możesz mi wierzyć. A nawet jeśli nie, ja to za nich zrobię w swoim felietonie. A poza tym premier wciąż będzie dochodził do siebie po twoim oświadczeniu, że po starannym i głębokim zastanowieniu nad tym, gdzie i w jaki sposób możesz służyć swemu krajowi...

– W tych trudnych czasach – wtrącił Dennis.

– ...w tych trudnych czasach postanowiłeś ponownie wstąpić do partii, której aspiracje i ideały zawsze były najbliższe twojemu sercu i w której jako szeregowy

członek z radością będziesz pracować w pocie czoła u boku tych, których zawsze uważałeś za swoich najbliższych przyjaciół.

– Właściwie ci, którzy ostatnio zdobyli mandaty, to straszne buraki.

– Ale nie takie straszne jak ci u nas.

To było prawdą. Partia, do której wstąpił Gimball, może i kręciła się wokół tylko jednej kwestii, ale ta jedna kwestia wystarczyła, by zasiać podziały w nieskomplikowanych umysłach jej aktywistów, dla których bójka na parkingu mogła uchodzić za debatę. Jego odejście – a właściwie powtórne odejście – na pewno wywoła histerię, ale to będzie tornado, które nie potrwa dłużej niż trzy dni.

Znów uniósł w jej stronę kieliszek. Te ich strategiczne sesje były bardzo przyjemne. Wzór wspólnego planowania.

– Zastanawiam się, jak zareaguje premier – powiedział.

– Och, będzie udawał, że wita cię jak syna marnotrawnego, i będzie się starał nie pokazać, że sra w gacie ze strachu. Dopiero co ogłosił, że Jaffrey ma jego pełne poparcie, a po moim artykule...

– Przysługuje się krowie, ha, ha! To było niezłe!

– ...nie będzie miał wyboru i będzie musiał pogrozić palcem szefowi MI5, temu... jak mu tam... Temu małemu, pospolitemu człowieczkowi.

– Claude'owi Whelanowi.

– Czyli cywilizowany muzułmański celebryta premiera okazuje się podejrzanym typem, a człowiek odpowiedzialny za sprawdzenie wspomnianego muzułmanina nie wykonał należycie swojej pracy. Premier wyjdzie na dość niezorientowanego, prawda?

– Niemal jakby trzeba było zastąpić go kimś innym.

– A któż zrobiłby to lepiej niż bohater referendum? Kochanie, w polityce tak rzadko zdarzają się szczęśliwe zakończenia. O tym będzie się mówić przez całe lata.

Tak jak inne felietonistki i jak inni politycy, naprawdę byli przekonani, że są kochani.

Dennis Gimball dopił wino, wstał i się przeciągnął.

– No cóż – powiedział – to naprawdę wspaniała sprawa. A teraz może po prostu... pójdę się przejść. Kupię gazetę.

– Kochanie, jeśli ktoś zobaczy, że palisz, będą o tym pisać w nagłówkach. Bardzo publicznie rzuciłeś, pamiętasz?

– Nie o to przede wszystkim chodziło w tym manifeście.

– To było zabawne za pierwszym razem, mój drogi, ale już nigdy tego nie powtarzaj. Jeśli chcesz zapalić, zrób to w ogrodzie. I upewnij się, że nikt nie patrzy.

Czasami, pomyślała, to było tak, jakbym miała małe dziecko.

Kiedy jeszcze był w ogrodzie, przejrzała swój terminarz i sprawdziła szczegóły publicznego spotkania w okręgu wyborczym, które miało się odbyć następnego wieczoru. Umyślnie robili to na poziomie lokalnym. Siła Dennisa polegała na tym, że tolerował zwykłych ludzi i udawał, że nie jest ważniejszy od nich. Na tym etapie swojej kariery będzie musiał oprzeć się na tym bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Gdy ogłosi to, co zamierza, zrobi to przed lokalnym tłumem i kamerami lokalnych mediów. Jego zwolennicy będą czuć, że są częścią tej chwili, i w efekcie fala dobrych emocji poniesie go przez następnych kilka miesięcy. Do tego ta sama fala zepchnie premiera na skały. Był sympatycznym idiotą, ale jego sympatyczność zaczynała się zużywać, zaś głupota z każdym dniem stawała się coraz bardziej oczywista; otoczył się znajomymi do tego stopnia, że zebrania gabinetu zaczęły przypominać świetlicę z czasów, gdy chodził do szóstej klasy, i nie miał nawet pojęcia, jakie niezadowolenie to powoduje. Ale teraz zbliżał się punkt zwrotny i premier wkrótce miał zostać na lodzie.

A tak nawiasem mówiąc, to były świetne kawałki. Powinna sobie zrobić notatki – fala emocji, na skały, punkt zwrotny...

Dodie dopiła wino i zajęła się kolejnym punktem programu: w co się ubrać na to spotkanie. Coś stonowanego, poważnego, coś, co nie będzie zbyt krzykliwe, lecz będzie aż ociekać klasą. Której, prawdę mówiąc, ta czerwona sukienka koktajlowa nigdy nie miała. Ale powiedzenie o tym Dennisowi nie byłoby dobrym pomysłem. Nawet najlepiej dobrane pary powinny mieć swoje tajemnice.

Po piątej schody w Slough House prowadziły tylko w jedną stronę. Taka w każdym razie była ogólna zasada. Ostatnia sesja PTKZ Shirley miała się odbyć o szóstej, a dotarcie tam pieszo zajmowało jej niecałe pół godziny, co było tylko jedną z wielu irytujących rzeczy w tym treningu kontroli nad złością. Chętnie skopałaby za to kogoś, ale przecież nie będzie sama kopać się w tyłek. Poza tym chciała się już zabrać do najważniejszej sprawy tego wieczoru: śledzenia Roddy'ego Ho, żeby się dowiedzieć, jakie gady za nim pełzają. Skupiła się na tym nawet do tego stopnia, że na jakiś czas zapomniała o paczuszce kokainy, którą miała w kieszeni.

A potem, jak to już bywa z takimi rzeczami, znów sobie o niej przypomniała.

Może powinna wziąć ją teraz? Porządnie zacząć ten wieczór: dać sobie przewagę. Jeszcze nigdy nie brała koki przed PTKZ, może poza jedną czy dwoma okazjami. I do diabła z tym, jakoś przetrwała ten kurs, prawda? Przedłużyli jej go tylko raz, może dwa razy... W sumie to może nawalenie się nie było najlepszym pomysłem.

A więc czekała w swoim pokoju. Przeciągnęła tę głupią robotę o kolejnych trzydzieści durnych minut, przez cały czas myśląc o tym, że River Cartwright i Louisa Guy już zajmują się zadaniem: jej zadaniem. Znając jej szczęście, może w ogóle ominie ją akcja. Najgorszy możliwy scenariusz: ktoś spuści Ho łomot w jakiś interesujący sposób, a jej tam nie będzie, żeby to zobaczyć. A potem bez końca będzie musiała o tym słuchać. I oto wciąż tkwiła tutaj i miała tkwić tu jeszcze przez dwadzieścia osiem minut, zupełnie sama w Slough House, z wyjątkiem...

Lamba i Catherine.

Tłukło jej się po głowie coś jeszcze – i to od dłuższego czasu – ale właściwy moment na to nigdy nie nadszedł, głównie dlatego, że taki moment prawdopodobnie nie istniał. Ale teraz byłaby dobra chwila, by to ustalić, w taki czy inny sposób. Bo albo mogła zająć się tym, albo dalej tu siedzieć i liczyć minuty, dodawać je do liczonych dni...

Pieprzyć to.

Shirley wstała, wyszła z pokoju i ruszyła schodami w niewłaściwą stronę.

– Jak to możliwe, że Ho mieszka w domu? – spytał River.

– A czego się spodziewałeś? Odwróconego kartonu po pizzy?

– Wiesz, o co mi chodzi.

Wiedziała.

Chodziło mu o to, że Ho mieszkał w domu. W domu. Nie w mieszkaniu czy pokoju do wynajęcia; w prawdziwej londyńskiej nieruchomości, która miała frontowe drzwi, dach i wszystko to, co jest pomiędzy nimi. River sam mieszkał w kawalerce na East Endzie z widokiem na szereg garaży, jego stałą kołysanką były odgłosy pijackich bójek, a czynsz rósł z każdym kwartałem. Louisa miała mieszkanie na własność, ale było położone wiele mil za miastem; okolica stanowiła część Londynu w taki sam sposób, w jaki jego część stanowią lotniska. Natomiast Ho najwyraźniej mieszkał w domu – może nie w najczystszej i najpiękniejszej części stolicy, ale mimo wszystko. W pieprzonym domu.

– Bank mamy i taty – stwierdziła Louisa.

– Pewnie tak. I to z dziwnym... jak byś to nazwała?

– Elementem.

Wyglądało to jak oranżeria na piętrze: pomieszczenie, które było prawie całkowicie przeszklone, a przez szpary między zasłonami widać było sterty sprzętu elektronicznego, który, jak zgadywali, służył albo do odtwarzania muzyki, albo do surfowania w sieci. W pomieszczeniu paliło się w tej chwili światło i Ho – albo ktoś inny – przemierzał je tam i z powrotem.

– Chyba pamiętam, jak mi o tym mówił – zauważyła.

– Ho mówił ci o swoim domu?

– Tak mi się wydaje.

– A ty słuchałaś?

– Jestem szpiegiem, pamiętasz? – odparła.

Siedzieli w samochodzie Louisy i zajmowali się, no cóż, szpiegowaniem. Żeby sobie w tym pomóc, oboje jedli burgery z polistyrenowych opakowań i dzielili się porcją pieczonych ziemniaków, na które zdecydowali się po długich negocjacjach. („Nie musisz tego solić. Już to solili. Naprawdę”). Związane z tym niepotrzebne

nerwy prawdopodobnie i tak niweczyły całe dobro, jakie mogłoby przynieść zrezygnowanie z połowy porcji. Ho był w domu od godziny i uzgodnili już, że jeśli przez całą noc nie będzie nigdzie wychodził i nic się nie wydarzy, jutro z samego rana zrzucą Shirley z mostu.

W samochodzie było duszno od zapachów jedzenia. Louisa opuściła szybę, żeby choć część z nich się ulotniła.

– A jak już mówimy o domach...

To River się odezwał.

– Tak? – spytała.

– Parę dni temu pojechałem do domu.

– Do dziadka?

Kiwnął głową.

– Musi być dziwnie, kiedy go tam nie ma.

– Chyba po raz pierwszy w życiu byłem tam sam. To pewnie nie jest prawda. Ale takie miałem wrażenie.

To było jak wkroczenie w przeszłość kogoś innego. Książki na półkach, płaszcze na wieszaku, kalosze przy tylnych drzwiach. River wyprowadził się stamtąd dekadę temu i jasne, można tam było znaleźć szczątkowe ślady jego obecności. Zarysowania na listwie przypodłogowej, pudła na strychu, półka z książkami dla nastolatków. Ale teraz dom należał do S.D., a wcześniej należał do niego i Rose, babci Rivera. Chodząc po tym domu, czuł się obcy, jakby ktoś urządził muzeum jego dziadków, ale zapomniał umieścić tabliczki pod eksponatami. River przyłapał się na tym, że dotyka różnych przedmiotów i próbuje umiejscowić je w chronologii, której znał tylko niewielką część.

– Co się z nim stanie?

– Co się z nim stanie?

Louisa odwróciła wzrok, a potem znów na niego popatrzyła.

– Twój dziadek nie będzie żył wiecznie, River.

– Tak, wiem o tym. Wiem.

– Jesteś jego jedynym spadkobiercą?

– Jego najbliższą krewną jest moja matka.

– Ale myślisz, że go jej zostawi?

– Nie wiem. Nie. Pewnie nie.

– W takim razie, cóż...

– To nie jest tak, że ja czekam, aż on...

– Wiem.

– ...umrze. Ja nie...

– Wiem.

– ...nie liczę dni. Tak, pewnie dostanę ten dom w spadku. I jasne, przyda mi się. Na Boga, przecież wiadomo, jak drogo jest w Londynie. Ale wolałbym, żeby żył jak najdłużej, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Nawet teraz, kiedy przez połowę czasu żyje w wymyślnym świecie.

– Wiem – powiedziała Louisa.

Styropianowy pojemnik zapiszczał w jego palcach jak zabijana pałką foka. Albo jak jeden z tych mordowanych pingwinów – szalony cel. Czy kiedy nie zabijało się ssaków, można to było w ogóle uznać za terroryzm?

– O, idzie – odezwała się Louisa.

Ho właśnie wyszedł z domu i skierował kroki prosto do ubera.

– No to zaczyna się – mruknęła i ruszyła za nim.

Lamb zalegał zwinięty jak sprężyna, jeśli miało się na myśli jedną z tych pordzewiałych sprężyn w starym łóżku. Rozwalony w swoim fotelu, z zamkniętymi oczami, jedną nogę opierał o biurko, a w jego prawej dłoni dopalał się papieros. Koszulę miał rozpiętą i Shirley widziała, jak jego brzuch unosi się i opada. Dym z papierosa wyglądał jak szaroniebieska spirala, która rozwiewała się pod sufitem.

Na zewnątrz wciąż było jasno, wieczór dopiero się zaczynał, ale Lamb skończył zmagania z pracą, wygrywając przez techniczny nokaut. Jego pokój zawsze był martwą strefą, jakby czas zatrzymał się tu o tej specyficznej godzinie, kiedy człowiek nagle się budzi z szybko bijącym sercem, a wszystkie problemy

czekają na niego tuż przy łóżku. Shirley była już prawie skłonna zawrócić i użyć schodów w sposób, do jakiego były przeznaczone: by zejść na dół i wyjść z budynku. Ale już przegapiła tę chwilę.

– Jeśli chcesz podwyżkę – powiedział Lamb, wciąż nie otwierając oczu – po prostu wyobraź sobie, że jestem Świętym Mikołajem.

– Dajesz mi podwyżkę?

– Mówię: ho, ho, ho.

– Nie przyszedłam prosić o podwyżkę.

– Urlop? Odpowiedź jest taka sama.

– Marcus miał broń – powiedziała Shirley.

Te słowa sprawiły, że Lamb otworzył jedno oko.

– No dobra – przyznał. – Tego się nie spodziewałem.

– Mogę ją dostać?

– Jasne, czemu nie. Leży na półce tam z tyłu. – Lamb wskazał na jeden z kątów.

– Nie krępuj się.

– Żartujesz, prawda?

– Oczywiście, kurwa, że żartuję. Nie czytam wszystkich tych bzdetów o zarządzaniu, ale mam wrażenie, że nie wolno mi uzbrajać swojego personelu po prostu dlatego, że „jest znudzony”. To główny powód, dla którego upadły British Home Stores.

– Nie jestem znudzona.

– Nie jesteś? Brzmi mi to jak krytyka mojego stylu przywództwa.

– To znaczy, jestem znudzona – poprawiła się Shirley – ale to nie dlatego chcę broń Marcusa.

– Jeśli potrzebny ci przycisk do papieru, zakoś skądś zszywacz. Wszyscy pozostali tak robią.

– W Regent’s Park mają magazyn broni.

– W Regent’s Park mają też spa i siłownię. Zapewniają nawet opiekę nad dziećmi, wyobrażasz to sobie? Jeśli zależało ci na świadczeniach pracowniczych, trzeba było mieć to na uwadze, zanim spierdoliłaś sobie karierę. –

Zdjął nogę z biurka, zrzucając przy tym jakieś zapewne nieważne papiery, i pochylił się, żeby zgasić papierosa w kubku z herbatą. – A tak swoją drogą, to, że ci to mówię, liczy się jako pomoc duszpasterska. Gdzieś tam leży formularz zwrotny, jeśli chce ci się szukać.

– Jeśli gównno znów trafi w wentylator – powiedziała Shirley – nie chcę musieć chować się za drzwiami, które składają się głównie z kartonu. Kiedy tamten szaleniec tutaj wtargnął, walczyliśmy z nim czajnikiem i krzesłem.

– Dander, naprawdę nie chcę, żebyś odniosła wrażenie, że nie mam tego głęboko w dupie, ale jesteś narwaną ćpunką. Powierzenie ci naładowanej broni byłoby jak danie trzylatkowi pudełka zapalek. Może przez dziesięć minut miałbym z tego ubaw, ale dział kadr wszedłby mi na głowę, zanim zdążyłabyś powiedzieć: „O kurwa, pachnie jak bekon”. Poza tym nie znoszę ciągle gadać o papierkowej robocie. Ale Standish i tak podsuwa mi do podpisu z piętnaście formularzy dziennie. – Uniósł rękę i skrzywił się smutno. – Chyba zaczynam mieć od tego zespół cieśni nadgarstka.

– Nikt by się nie dowiedział – odparła. – Marcus w ogóle nie powinien był jej mieć. Nie jest nawet legalna.

Lamb udał, że jest zszokowany.

– Chcesz powiedzieć, że gdyby go z nią złapali, mogliby mu postawić zarzuty?

– Tak.

– No to uchylił się przed kulą, co? Szkoda, że nie weszło mu to w nawyk.

Gapiała się na niego przez jakieś pół minuty, ale przywołał na twarz najłagodniejszy wyraz, jaki potrafił – guziec tuż po kopulacji albo coś w tym stylu – i wszystko wskazywało na to, że jest przygotowany go utrzymać, dopóki coś nie pierdyknie. A znając jego umiejętności kontrolowania pierdzenia, które paradoksalnie nie były z dupy, mogło to dość długo potrwać.

Pierdolony trening kontroli złości. Po tej pogawędce ostatnia sesja powinna być bułką z masłem.

– Co będzie, jeśli znów nas zaatakują? – spytała tytułem pożegnania.

– Wymienili nam czajnik na nowy, nie? – odparł Lamb, ponownie zamykając oczy. – Kiedy będziesz na schodach, postaraj się zachowywać cicho. Niektórzy z nas są dość wrażliwi.

Tymczasem w Regent's Park rozkazy schodziły po szczeblach drabiny bytów.

„Jaffrey na pewno jest czysty, tak?”, zapytał premier Claude'a Whelana. „Bo docierają do mnie różne plotki”.

– Pierwsze Biurko chce się upewnić, czy Zafar Jaffrey jest... wiarygodny – powiedziała teraz Lady Di do Emmy Flyte.

Nikt nie jest wiarygodny, pomyślała Flyte. To jest polityka, a nie kącik majsterkowicza.

Ale na głos powiedziała tylko:

– Jak szybko chce to wiedzieć?

– Na dziesięć minut temu – odparła Lady Di. – Czemu tu jeszcze jesteś?

Nie przepadały za sobą, choć nie było tak źle, jak mogłoby być. Na przykład obie wciąż trzymały się na nogach. Ale Emma Flyte, której przekleństwem była wyjątkowa uroda, przywykła do wrogości ze strony obu płci, choć ta wrogość zwykle była skryta. Szczera antypatia Lady Di pod pewnymi względami była wręcz krzepiąca. A poza tym Flyte miała poparcie Claude'a Whelana, a więc wciąż tu była: szefowa psów, czyli wewnętrznej policji MI5, działu, który na przestrzeni lat ulegał przemianom i w końcu stał się prywatnym oddziałem spełniającym bezlitosne kaprysy tego czy innego Pierwszego Biurka. Jednak pod przywództwem Flyte psy znów stały się tym, czym pierwotnie być miały albo czym miały się wydawać: bezstronnym działem zajmującym się eliminowaniem niedopuszczalnych działań MI5. Czyli zasadniczo wyłapywaniem niegrzecznych szpiegów. Nieugiętość Flyte w tej kwestii była kością niezgody pomiędzy nią a Taverner, ale tu i teraz gotowa była zgodzić się na pewne rozmycie granic. Nie miało to nic wspólnego z *quid pro quo* za poparcie Whelana, lecz raczej z milczącą zgodą na to, że gdy Regent's Park jest pod ostrzałem, każdy robi to, co trzeba. A od czasu Abbotsfield Regent's Park był pod ostrzałem.

Poza tym Lady Di – jak zawsze profesjonalna w każdym calu – nigdy nie okazywała swojej wrogości, chyba że było to absolutnie niezbędne albo miała na to ochotę.

A więc Flyte odparła po prostu:

– Planuję tylko swoje następne posunięcie, sir. – Po czym wyszła, by puścić wszystko w ruch. Na początek Devon Welles miał przejrzeć dostępne akta i poinformować ją, na czym właściwie stoją.

Devon, podobnie jak ona, był byłym gliną: prawdziwym policjantem, co oznaczało, że wiedział, kiedy wykonywać rozkazy, kiedy dać sobie spokój i gdzie jest najbliższy pub. W tym przypadku rozplątanie wszystkich nici, którymi MI5 oplątało dotąd Zafara Jaffreya, zajęło mu czterdzieści minut – były to dwie pełne weryfikacje i kilka pobieżnych ocen.

– Sporo jak na polityka wagi średniej – zauważyła.

– To by było sporo na białasa wagi średniej siedzącego w polityce – poprawił ją Welles. – Ale poza burmistrzem Londynu Jaffrey to najważniejszy muzułmański gracz w kraju. Za każdym razem, gdy premier publicznie podawał mu rękę, był wcześniej prześwietlany. Premier nie jest typem, który lubi być widziany, jak przytula się z kimś niebezpiecznym.

– Wolno ci przy mnie mówić „białas”?

– Wydaje mi się, że dopiero co słyszałem, jak prosisz o czarną kawę.

Siedzieli w kantynie, gdzie odbywało się wiele spotkań, które albo wcale nie były prywatne, albo były tak prywatne, że miały na takie nie wyglądać.

– Dokładnie prześwietlono całą rodzinę trzy lata temu, kiedy jego brat wyjechał do Syrii, a potem jeszcze raz, kiedy Jaffrey ogłosił, że będzie kandydował na burmistrza – powiedział Welles. – Zaliczył... cóż, może nie śpiewająco, bo to nikomu się nie zdarza... ale był czysty pod każdym względem, pod jakim można by sobie tylko życzyć. Rodzina jest z klasy średniej, ale on ma podejście do zwykłych ludzi i świetnie wypada w telewizji. Pewnie oglądałaś ten wywiad, w którym płakał na wizji, mówiąc o tym, jak on i rodzina zawiedli jego brata, że to powinien być imperatyw dla innych muzułmańskich rodzin w Wielkiej Brytanii, by

nie zawiodły swoich synów. Potem siedział w kilku komisjach, w *Question Time* odpowiadał tak jak trzeba i został mianowany specjalnym doradcą premiera. I dotarliśmy do punktu, w którym jesteśmy teraz.

– Opowiedz mi o jego bracie.

– Karim. Sporo młodszy, dwanaście lat albo coś koło tego. Nikt nie zauważył, kiedy się zradykalizował. Głównie kiepskie powiązania w internecie; brzmi to jak jakiś problem techniczny, ale wiesz, o co mi chodzi. Zaangażował się na kilku forach, które zlikwidowano. Rodzina dowiedziała się dopiero wtedy, kiedy już zamieścił filmik z Syrii. A ostatnie, co o nim usłyszeli kilka miesięcy później, to że robił za przyzwoitkę na czyjejś randce z dronem. Syria jest miejscem, do którego naprawdę nie jeździ się, żeby spotykać celebrytów, no nie?

– Wykreślę to ze swojej listy. A co z jego świtą?

– Jaffrey dużo pracuje ze zradykalizowaną młodzieżą. To znaczy, odzyskuje radykałów dla społeczeństwa. Nakłania ich, żeby przemawiali w szkołach, pisali blogi, robili podcasty. I rekrutuje spośród nich swój personel. Dlatego to, co mamy, to mnóstwo raportów z przeświadczenia, i można się w tym pogubić. Oczywiście to tylko szybki przegląd. Ale mimo to...

– Nikt nie narazi swojej kariery i nie zagwarantuje, że wszyscy są nieskazitelni.

– Coś w tym stylu. – Welles umilkł na chwilę. – A poza tym dopiero co gadałem ze swoim dawnym kontaktem. Taka dziennikarska gadzina.

– Gadałeś z dziennikarzem? – spytała.

– Kiedy cyfrowa rewolucja zwycięży, wszyscy codziennie będziemy z nimi gadać. „Tak, wezmę do tego frytki”. Ale na razie czasem się przydają. A ten konkretny pracuje dla gazety *Dodie Gimball*. Wygląda na to, że *Gimball* oddała artykuł, w którym twierdzi, że Jaffrey ma powiązania z... hmm... niezbyt przyjemnym osobnikiem, który handluje bronią i fałszywymi papierami. *Dodie* dodała po swoim dwa do dwóch i wyszedł jej terroryzm. W sumie to sugeruje bezpośredni związek między Jaffreyem a grupą odpowiedzialną za masakrę w Derbyshire.

– No... dobra – mruknęła Flyte. – Dziesięć minut po tym, jak dostaję wytyczne, żeby się upewnić, że nasz człowiek jest czysty, okazuje się, że ktoś go wrabia w masowe morderstwo.

– Bardziej godzinę – odparł Welles.

– Nawet nam nie udało się namierzyć, kto odpowiada za Derbyshire. Skąd, u diabła, Gimball może to wiedzieć?

– To nieważne. Znalazła jakieś błoto i zamierza nim rzucić, to wszystko. Jest żoną Dennisa, tego eurosceptycznego deputowanego. Pewnie ma jakiś plan, o którym nie wiemy.

– To tak jak każdy – mruknęła Flyte. Dopiła kawę i wstała. – Dzięki, Dev. Ale grzeb w tym dalej.

– Tak zrobię.

Wyszła znaleźć Lady Di.

Catherine nastawiła czajnik i czekając, aż zagotuje się woda, zaczęła szorować płamę na kuchennym blacie. Zawsze było coś. Jeszcze nie tak dawno temu wyobrażała sobie, że na dobre zostawiła Slough House za sobą, i życie, jakie wiodła podczas tych kilku miesięcy, było całkiem znośne: po porankach następowały popołudnia, a po popołudniach wieczory, podczas których nie piła. Ale nie było lekko. Są gorsze rzeczy prócz czasu, których może mieć w nadmiarze alkoholik, ale nie jest ich zbyt wiele. Jej mieszkanie było wzorem porządku, wręcz karykaturą. Żeby spędzać czas na sprzątanii, musiała najpierw sama narobić bałaganu. Tu, w Slough House, bałagan był standardem. A więc tak, zawsze było coś.

Ale nie wszystkie plamy dało się zetrzeć szorowaniem. Jakiś czas temu w Slough House zginęły trzy osoby i nawet Lamb musiał przyznać, że to całkiem sporo jak na zwyczajne popołudnie w środku tygodnia. Stracili kolegę, byłego szpiega, a ich więzień został zastrzelony. Catherine była chyba jedyną osobą, która opłakiwała tę ostatnią śmierć. Chodziło nie tyle o utratę życia, ile o sposób, w jaki do tego doszło: J.K. Coe popełnił morderstwo, a Catherine wierzyła, że takie czyny

mają konsekwencje. Nie miało to nic wspólnego z jakąś religią czy duchową świadomością, lecz jedynie z jej z trudem nabytą wiedzą, że po złych rzeczach następują kolejne złe rzeczy. Koła były tradycyjnie błędne. Catherine podejrzewała, że inne kształty też są wredne, mają tylko lepszy PR.

Skończyła szorować, zrobiła dwa kubki herbaty i zaniósła je razem ze ścierką do naczyń do gabinetu Lamba.

Poruszył się.

– Czyżbym przypadkiem ustanowił politykę otwartych drzwi? Bo jeśli tak, to nie chodziło mi o moje drzwi. Chodziło mi o wszystkie pozostałe.

Catherine odstawiła oba kubki na jego biurko, zdjęła z krzesła dla gości skarpetkę, grzebień, w którym brakowało tyłu zębów, że przydałaby mu się proteza, i puste opakowanie po kanapce, a potem przetarła je ścierką. Następnie usiadła.

– Zupełnie jakby odwiedziła mnie królowa – burknął Lamb. – Jeśli twoja dupa jest taka wyjątkowa, to czemu jest przyczepiona do ciebie? A tak w ogóle czego chcesz? Tak jakbym nie wiedział.

– Ktoś próbował przejechać Roddy’ego.

– Jasne. Może przegapiłaś nasze wcześniejsze zebranie? Omówiłem to w punkcie „Pozostałe sprawy”.

– I powiedziałaś, że to się nigdy nie stało.

– Zauważyłem, że Dander jest durną ćpunką – odparł. – To subtelna różnica, wiem. Ale subtelność zawsze była moją mocną stroną.

Pierdnął i sięgnął po swoją herbatę.

– Naprawdę potrafisz robić to na zawołanie? – spytała wbrew sobie Catherine.

– Co takiego?

– Mniejsza z tym. Czyli jej wierzysz. Mimo że ma problemy.

Siorbnięcia Lamba nie powstydziałaby się świnia.

– Ale dałeś jej do zrozumienia, że nie.

– Jezu, Standish. – Otworzył szufladę biurka. Wiedziała, co zaraz wyjmie, i się nie pomyliła: butelkę taliskera. Otworzył ją i wlał sobie do kubka porcję, która

starczyłaby na tydzień. – Dokończ to zdanie, dobrze? Po otrzymaniu informacji o przypuszczalnym zagrożeniu dla agenta...

Zaświtało jej w głowie.

– Okej.

– Sformułowali to trochę inaczej.

Nie widziała żadnego wyjścia z tej sytuacji.

– ...należy natychmiast złożyć raport w tej sprawie szefowi miejscowej placówki (Operacje).

– Niemal usłyszałem nawias – stwierdził Lamb. – A przypomnij mi: jaka jest nasza miejscowa placówka?

– Regent's Park.

– Regent's Park. A więc obowiązująca zasada służbowa numer ileś tam...

– Dwadzieścia siedem, podpunkt trzeci.

– Dziękuję. Wymaga złożenia pełnego raportu z wydarzeń tego ranka Lady Di Taverner, która z całą pewnością przekaże kopię Claude'owi Whelanowi. Jak na rzekomo tajne służby dużo rzeczy robi się w trzech egzemplarzach. – Lamb upił porządny łyk napoju, który kiedyś był herbatą. – Ach, od razu lepiej. Na szczęście obowiązująca zasada służbowa dwadzieścia siedem, podpunkt trzy, zostaje zniesiona przez Londyńskie Zasady, punkt pierwszy, który brzmi...?

Przyłożył dłoń do monstrualnego ucha.

Londyńskie Zasady nigdzie nie były spisane, ale pierwszą z nich znał każdy.

– Kryj własną dupę.

– Właśnie. – Lamb beknął z dumą. – Bo może nie zauważyłaś, ale Slough House raczej nie jest oczkiem w głowie Regent's Park. W sumie to znaleźliby się tacy, którzy chętnie wsadziliby nas do worka i wrzucili do Tamizy. – Pokręcił głową na myśl o byciu niepopularnym, wyciągnął skądś papierosa i go zapalił. – A więc zawsze, kiedy mają jakąś okazję, żeby zacząć o nas pisać służbowe notatki, w naszym interesie jest rozpieprzyć taką okazję, zanim coś z tego wyjdzie. Powiedz mi, jeśli nie nadążasz.

– Twoja szybkość zawsze robi wrażenie – odparła. I pomyślała: jak na kogoś twoich rozmiarów. Rozgoniła ręką dym. – Myślałeś kiedyś o tym, żeby rzucić? Mógłbyś dłużej pożyć.

– A czemu miałbym tego chcieć?

– Słuszna uwaga. Czyli chcesz powiedzieć, że jeśli Roddy z jakiegoś powodu znalazł się na celowniku, to tym samym my znaleźliśmy się na linii strzału Regent's Park.

– Ale tylko gdyby się o tym dowiedzieli.

– Jak myślisz, co zrobił Roddy? Albo co widział?

– Bóg raczy wiedzieć. Ściągnął kolekcję pornosów arcybiskupa Canterbury? Cokolwiek to jest, wątpię, żeby wiedział, że to zrobił. Jest w nim coś takiego... uciekło mi słowo.

– Odrealnionego?

– Pojebanego. Jest zbyt pojebany, żeby wiedzieć, kiedy wdepnął w czyjeś gówno. A potem zaczyna je wszędzie roznosić.

– Dziś już wyszedł – zauważyła Catherine.

– Wiem. Poczułem, jak wzrosła średnia IQ.

– Co będzie, jeśli spróbują go zabić jeszcze raz?

– Jeśli sugerować się dzisiejszą próbą, to następna trafi do jednego z tych filmików z wpadkami w internecie. Dobrze, że oni nie są po naszej stronie. Bo gdyby byli, przydzieliliby ich tutaj.

– Czyli nic nie zrobimy?

– Cóż, osobiście nie zamierzam wiele robić. Ale jeśli myślisz, że nasza mała paczka nedorobionych Jasonów Bourne'ów przepuści okazję, żeby zmontować własną prywatną operację, to zapomniłaś, jak pachnie testosteron. Dander już tu przylazła i pytała, czy może dostać broń.

– Chyba jej nie dałeś?!

– Kusilo mnie. Wybierała się na trening kontroli złości. Wyobraź sobie tylko, że zjawiłaby się tam uzbrojona. – Jego oczy się zamgliły, gdy w wyobraźni nagłówki

pisały się same. Potem pochylił się nad biurkiem i strzepnął popiół z papierosa do kubka Catherine. – Dzięki.

– Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nasze życie byłoby dużo łatwiejsze, gdybyśmy mogli ufać Regent’s Park – zauważyła.

– Cóż, w te święta raczej nie dostanę prezentu od Claude’a, bo wiem, że wtykał fiuta tam, gdzie nie powinien. To ten sam Claude, którego wzorowe małżeństwo jest w MI5 tematem legend. – Uśmiechnął się krzywo. – Z tego, co zrozumiałem, uważa swoją żonę za świętą. Taką, co klęka tylko w kościele, jeśli łapiesz, co mam na myśli.

– Trudno byłoby nie załapać.

Coś w jej doborze słów wywołało u niego reakcję, ale zanim Lamb zdołał cokolwiek powiedzieć, dostał napadu kaszlu – niczym potężne trzęsienie ziemi, zdolne wstrząsnąć nie tylko jego ciałem, ale i tymi, które posłał do piachu. Biurko zadrżało. Catherine obserwowała go bez słowa i zaczęła się zastanawiać, co by zrobiła, gdyby umarł, co w tej akurat chwili nie wydawało się wykluczone. Mógł umrzeć tu, na jej oczach. Cóż, zasugerował chłodny głos w jej głowie – ten sam głos, który powstrzymał ją przed wrzuceniem do koszyka butelki wina, gdy co tydzień robiła zakupy – cóż, nie byłby to twój pierwszy szef, który umarł. Nie kolekcjonowała ich ani nic w tym stylu, ale przypuszczała, że gdyby ten też umarł, jakoś by to przeżyła.

Jej naturalne instynkty wzięły jednak górę. Poszła do swojego pokoju i wróciła z czystą szklanką, butelką wody i pudełkiem chusteczek. Nalała mu trochę wody i podała chusteczki. Złapał całą garść i schował w nich twarz, a potem, gdy kaszel zaczął słabnąć, jednym płynnym ruchem wlał sobie całą wodę do gardła.

Zanim skończył się wycierać, spytała:

- Kiedy ostatni raz robiłeś sobie badania?
- Mamy badania co roku. Wiesz o tym.
- Tak. A kiedy ostatnio je robiłeś?
- To był tylko napad kaszlu. Już mi przeszło.

– Za dużo palisz. Za dużo pijesz. Wątpię, żebyś w nocy spał. Prędzej urywa ci się film. Czy ty w ogóle ćwiczysz? Nawet nie odpowiadaj.

– Moje ciało jest świątynią – powiedział Lamb.

– Ciekawy punkt widzenia – odparła Catherine. – Więc co wpływa na twoje wybory co do stylu życia? Talibowie?

Chrząknął.

Catherine wstała.

– To na czym stanęliśmy? Coś się dzieje, my nie wiemy co, ale przynajmniej jedno z nas siedzi w tym po uszy. A tymczasem w kraju mamy najwyższy stan gotowości. Czy coś z tego wydaje ci się znajome?

– Zwykle całe moje życie wydaje mi się powtórką z rozrywki.

– Wyda ci się zakończeniem serialu, jeśli nie zaczniesz ćwiczyć. – Zostawiła go tak i zaczęła wkładać płaszcz.

Lamb siedział w półmroku i nalał sobie kolejnego drinka.

Po jakimś czasie zapalił kolejnego papierosa.

5

Doszli do wniosku, że klubu nie mógł wybierać Ho, bo zamiast muzyki, która robiła z mózgiem to, co prasa do cydru z jabłkiem, panował tu klimat powrotu do starych szkolnych czasów. Siedzieli w boksie na półpiętrze z widokiem na parkiet, a także z widokiem na Roddy'ego Ho w grupce ludzi po drugiej stronie sali. Nie zauważył ich, bo był zajęty swoimi towarzyszami, a ponadto nosił okulary przeciwsłoneczne. To niemal przechyliło szalę na rzecz pozostawienia go tam na ewentualną śmierć, ale River zaprotestował, że to nie byłoby fair wobec Shirley.

– Odkąd cię niby obchodzi, co myśli Shirley?

Wzruszył ramionami.

Klub znajdował się w Stockwell. Kiedy kierowca wysadził go tuż pod drzwiami, Ho przez czterdzieści siedem minut maszerował tam i z powrotem po chodniku, wysyłając SMS-y. Louisa kilka razy objechała kwartał, ale jej nie zauważył, Rivera wysadziła na najbliższym skrzyżowaniu, gdzie z łatwością można by go namierzyć, gdyby Roddy okazał choć cień zainteresowania swoim otoczeniem. Gdybym chciał cię zabić, pomyślał River, już byłbyś martwy. Zapewne jednak nie było to prawdą: przy wielu już okazjach River chciał zabić Rodericka Ho, ale wrodzona niechęć do więzienia zawsze go przed tym jakoś powstrzymywała.

W końcu przyjechała kolejna taksówka, z której wysypało się chyba z szesnaście osób. Jedną z nich była młoda, atrakcyjna kobieta, prawdopodobnie Chinka, która zniosła to, że Roddy pocałował ją w policzek, i przez chwilę

trzymała go za rękę, gdy płacił za taksówkę, a potem za wstęp do klubu. Nim River i Louisa zdążyli się przegrupować i dostać do środka, cała paczka znalazła sobie stolik i teraz czekała, aż Roddy wróci od baru, do którego wybrał się już trzeci raz. Zajmowało go to do tego stopnia, że nie zauważył ich, gdy wchodzili, choć okulary przeciwsłoneczne pewnie też mu nie pomogły.

– Myślisz, że to jest ta jego słynna dziewczyna? – spytała Louisa.

– Ma na imię Kim.

– W sumie to faktycznie mógł o tym wspominać. Myślisz, że zamówił ją z internetu?

– Stawiałbym na to, że zrobił ją u siebie w piwnicy, ale wygląda na zbyt dobrze poskładaną do kupy.

Ponieważ prowadzili działania operacyjne, pili wodę mineralną, a właściwie to piliby ją, ale kosztowała tyle, że postanowili wziąć zamiast tego piwo; jeśli już mieli zedrzeć z nich tutaj skórę, to niech chociaż będzie z tego jakaś przyjemność. River wysłał do Shirley SMS-a, w którym napisał, gdzie są. Nie odpisała, ale to ich nie zdziwiło. Po PTKZ Shirley potrafiła całymi dniami być wkurzona.

– Choć ostatnio jest jakby mniej... destrukcyjna – powiedział River. – Bardziej wyciszona.

– Myślę, że odstawiła kokę.

– Brakuje jej Marcusa.

Louisa nie chciała tej rozmowy. Rozejrzała się.

– Często to robisz?

– Łażę po klubach? Daj spokój!

Przyjrzała mu się krytycznie.

– Nieźle wyglądasz. A w każdym razie mógłbyś. Jeszcze nigdy cię takiego nie widziałam.

– Ponoć mamy obserwować cel.

– Ponoć mamy bawić się w nocnym klubie. Pić, gadać i co tam jeszcze. A tak w ogóle tamta laska ci się przygląda.

Obejrzał się.

- Widzę.
- No i dobrze. Myślisz, że ktoś spróbuje rozwalić Ho?
- Pewnie nie tutaj. A w każdym razie nie zawodowiec. Może jakiś matoł.
- Wygląda na to, że Ho ma mnóstwo przyjaciół.
- Kupuje mnóstwo drinków, to nie to samo.

Kim, o ile to była ona, tańczyła właśnie z jednym z chłopaków z grupki, a Ho obserwował ich z nerwowym uśmiechem.

- Ech, smutne to – powiedziała Louisa. – Ale mniejsza z tym.
- Czemu ktoś miałby chcieć wysadzić basen z pingwinami?

Też się nad tym zastanawiała.

- „Wodopój” – mruknęła. – Tak to się nazywało.
- Myślisz, że to był jakiś świr?
- Nie przychodzi mi głowy żaden sensowny motyw.
- Może to ma jakiś związek z Abbotsfield.

Louisa nie potrafiła sobie wyobrazić jaki.

– Chyba że coś po prostu wisi w powietrzu. Jakaś żądza krwi, nieważne nawet, kto będzie krwawić.

Nagle Shirley była obok nich.

– Wzięliście mi piwo?

– Nie – wyjaśniła Louisa. – Bo nie wiedzieliśmy, kiedy tu dotrzesz, i nie mieliśmy ochoty kupować ci nic do picia.

Shirley wcisnęła się na ławeczkę pod ścianą, skąd mogła widzieć to samo co oni. Przyjrzała się Ho, który wciąż sobie nie zdawał sprawy z ich obecności, i podążyła za jego spojrzeniem.

- Co to za ruchadełko?
- To pewnie Kim.
- Ho posuwa to? No to ktoś tu jest nieźle robiony w ciula.
- Jak tam PTKZ? – spytał River.
- Skończył się.
- Może chcesz to uczcić, stawiając kolejkę? – podsunęła Louisa.

– Jestem dziewczyną. Dziewczyny nie kupują drinków w nocnych klubach.

Obie spojrzały na Rivera.

– No świetnie.

– Nie pozwolimy nikomu go zabić, kiedy cię nie będzie.

– Obejdzie się bez waszej łaski.

Poszedł po piwa, a gdy wrócił, Louisa opowiadała Shirley o swoim pomysle na program telewizyjny, który zaczynałby się od ujęcia Toma Hiddlestona idącego bardzo długim korytarzem i kręconego od tyłu.

River czekał.

– A co by było potem? – spytał w końcu.

Ale dziewczyny się rozmarzyły i go nie usłyszały.

W końcu Kim skończyła tańczyć i usiadła obok Ho. Widok stał się bardziej ograniczony, bo na parkiecie panował tłok, a muzykę grano teraz głośniej, by mogła zagłuszyć dźwięki rytuałów godowych. River obserwował to jak ktoś, kto próbuje sobie przypomnieć dawno zarzucony nawyk.

– Robisz notatki? – spytała go Louisa.

– Kiedy kobiety dotykają włosów, to znak, że ktoś je pociąga, zgadza się?

– Może tak być. Ale niektórzy faceci potrafią sprawić, że kobiety czują się tak, jakby mogły od nich złapać gnidy.

– Wychodzi – rzuciła Shirley.

Rozgrywał to na spokojnie. Laski takie jak Kim, jego dziewczyna, trzymały cię cały czas w napięciu: wiedziały, że to ty jesteś alfą, ale czuły się w obowiązku ocenić też pozostałych samców. Widział o tym film dokumentalny. Wprawdzie o żółwiach, ale co za różnica? W każdym razie pośmiał się trochę z facetami, kupił parę drinków, a teraz wracał do domu taksówką, a Kim siedziała tuż obok niego. Jechali do niego do domu – a kiedy już Kim skończy pisać SMS-y, pewnie zacznie się przytulać, wprowadzi ich oboje we właściwy nastrój. Nie żeby potrzebował pomocy w tej kwestii. Właściwie to był w nastroju zawsze, kiedy Kim była

w pobliżu, choć stres związany z jej pracą – pracowała w sprzedaży – oznaczał, że zwykle była zbyt zmęczona albo bolała ją głowa. Ale mimo wszystko. Była tu.

Roddy coraz bardziej się nakręcał. To będzie dopiero przyjemność.

– Do kogo piszesz, kotku?

– Co?

– Do kogo piszesz?

Na jej twarz padło światło mijanej latarni ulicznej.

– Do nikogo.

Byli jakieś dziesięć minut od domu. Taksówkarz zerknął w lusterko wsteczne i jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Roddy’ego. Jasne, pomyślał Roddy. Chciałbyś. Położył rękę na ramieniu Kim i poczuł, jak się spina. Podniecenie. Ty i ja, kotku. Zaczął planować, jak to będzie: chwila nastrojowej muzyki, jakiś drink, żeby uczcić tę chwilę. Dokładnie na taką okazję trzymał w lodówce butelkę szampana. Żaden dobry rocznik, przynajmniej nie wtedy, gdy go kupował, ale to będzie strzał w dziesiątkę.

Roddy Ho, Roddy Ho przez dolinę jedzie...

No dalej.

Louisa jechała tak, by przez całą drogę mieć na oku taksówkę. Nie było to najtrudniejsze śledzenie celu na świecie, zwłaszcza że taksówka wracała tą samą drogą. Trudniej natomiast było pomieścić w głowach to, co zobaczyli: Rodericka Ho, który wraca do domu taksówką w towarzystwie kobiety.

– Co, do kurwy nędzy, się tutaj wyprawia? – spytała Shirley.

– Roddy zabiera do siebie dziewczynę – odparł River i brzmiał przy tym, jakby był oszołomiony.

– Wiem. Dlatego pytam. Przecież to chodząca reklama marki ciulowatość. Jak to możliwe, że kogoś wyrwał?

– Wiedzieliśmy, że ma dziewczynę – stwierdziła Louisa. – Kilka razy o tym wspominał.

– Dobra – zaprotestowała Shirley – ale nie sądziłam, że ona naprawdę istnieje. A już na pewno nie, że tak wygląda.

Szybkie głosowanie pokazało, że dają Kim osiem i pół, może nawet dziewiątkę.

– Widzieliście jej cerę? Jest, kurwa, idealna!

– Znowu zmieniasz orientację? – spytał River. – Pół godziny temu rozmarzyłaś się na myśl o tyłku Toma Hiddlestona.

Shirley nie raczyła nawet tego komentować. To Louisa musiała mu wyjaśnić.

– Tyłek Toma Hiddlestona jest ponad preferencjami płciowymi.

– Ale może coś nam umknęło – zauważył River. – Może to ona próbuje zabić Ho. A w takim razie jedzie do niego, bo to część jej planu.

– Bardzo bym chciała, żeby tak było – stwierdziła Shirley.

– Tylko po co miałyby tak długo z tym czekać? – powiedziała Louisa. – Spotykają się od kilku miesięcy. Gdybym to ja była dziewczyną Roddy’ego Ho, zamordowałabym go dawno temu.

– Może go do czegoś wykorzystuje?

Shirley jęknęła, jakby była strasznie zniesmaczona.

– Jezu – powiedział River. – Nie do tego. Myślałem o wykorzystywaniu go do tej jedynej rzeczy, w której jest dobry.

– Do hakowania – wyjaśniła Louisa.

– Czyli to przekręt – rozpromieniła się Shirley.

– To ma więcej sensu niż pierwsza możliwość – stwierdził River. – Czyli że Ho rzeczywiście ma dziewczynę, która tak wygląda.

– Cóż, jeśli ma, to żałuję, że uratowałam mu życie.

– Już prawie jesteśmy – dała znak Louisa. – Taksówka zwalnia.

–Idziemy, kotku – powiedział Ho, płacąc taksówkarzowi.

– Słuchaj, Roddy, mógłbyś dorzucić jeszcze dwie dychy?

– Że jak... dwie dychy? Rozumiem napiwek, ale...

– Nie. Chcę, żeby zawiózł mnie do domu, to wszystko. – Kim się uśmiechnęła.

– Jutro mam wielki dzień. Naprawdę wielki. Muszę się wyspać. Dwie dychy

powinny wystarczyć. Ale właściwie daj mu dwadzieścia pięć, dobrze?

– Ale... tak, kotku. Jasne. Ale myślałem...

– Co myślałeś, Roddy?

– Nic, kotku.

Zaczął grzebać w kieszeni, szukając kolejnych banknotów, a tymczasem Kim wyjaśniła taksówkarzowi, dokąd chce jechać. Gdy skończyła, ujęła podbródek Ho i przysunęła jego twarz do swojej.

– Byłeś tam taki cholernie... sexy, Roddy. Kiedy patrzyłeś, jak tańczę. Przysięgam, miałam mokro.

– Nnnn...

Całowała go długo i mocno, a potem lekko go pchnęła.

– No leć, taksometr bije...

Wysiadł z taksówki niczym człowiek wynurzający się z wraku wykolejonego pociągu, a potem obejrzał się, gdy zawołała go po imieniu:

– Roddy?

– Tak, kotku?

– Do zobaczenia.

– Dobranoc, Kim...

Taksówka nie ruszyła z miejsca, a tymczasem Roddy po krótkiej walce wyciągnął klucze z kieszeni spodni. Kim machała do niego, póki nie zniknął za drzwiami.

Potem samochód odjechał.

–Jednak Bóg istnieje – stwierdziła Shirley, obserwując tę scenkę z samochodu Louisy zaparkowanego kawałek dalej.

W taksówce Kim zapukała w szybę oddzielającą ją od kierowcy.

– Właściwie to chcę jechać gdzie indziej – powiedziała i podała mu nowy adres.

Potem znów wyciągnęła komórkę i zamiast napisać SMS-a, zadzwoniła.

– Jest w domu – powiedziała. – Sam, tak.

Wydawało się, że na tym chce skończyć, ale zmieniła zdanie.

– I słuchaj, zrób to szybko, dobrze? Jest nieszkodliwy.

Schowała telefon do torebki i pozwoliła, by taksówka powiozła ją w noc.

–I co teraz? – spytała Louisa.

– Jest w domu. Nikt nie próbował go zabić. Głosuję, żebyśmy się zwijali – powiedział River, tłumiąc ziewnięcie.

– Cienias – rzuciła Shirley.

– Nie, on ma rację – zgodziła się z nim Louisa. – Co mielibyśmy tu robić? Siedzieć i patrzeć na frontowe drzwi Ho?

– Samo to, że wrócił, nie znaczy, że jest bezpieczny – oświadczyła Shirley z jakimś napięciem w głosie, którego wcześniej nie było.

– Ale nic z tego, co widzieliśmy, nie wskazuje też na to, by coś mu groziło.

– Dzisiaj rano ktoś próbował go rozwalić.

– Pamiętamy o tym.

– Gdyby mnie tam nie było, już by było po nim.

– To nie znaczy, że od teraz jesteś za niego odpowiedzialna – powiedział River.

– To tak działa tylko w filmach.

– A poza tym – dodała Louisa – on sam tego nawet nie zauważył.

– Ale tak, kurwa, było.

– Dobra, w porządku, ale...

– Nie, kurwa. Nie dobra. Było tak. I dopóki nie dowiemy się dlaczego...

– Shirley...

– ...to się może powtórzyć. A jeśli to się stanie jemu, to znaczy, że może się stać każdemu z nas.

– To nie do końca tak...

– Odpierdol się, Cartwright.

– Dobra.

– Masz rację, Shirley – powiedziała Louisa. – Pewnie. Ale nas troje w jednym samochodzie? Myślisz, że tak się prowadzi obserwację?

– Próbuje się mnie pozbyć ze swojego samochodu?

– Chcę powiedzieć, że jeżeli będziemy tu siedzieć tacy ściśnięci, nie będziemy mogli się zmieniać. Nie ma szans, żeby którekolwiek z nas się przespało. I nie wiem jak ty, ale ja nie zamierzam zarywać całej nocy.

– To... to co proponujesz?

– Potrzebujemy planu – powiedziała Louisa. – A plan jest taki: robimy to na zmianę. Najlepszym punktem obserwacyjnym jest tamten przystanek autobusowy na rogu. Na tej trasie na pewno jeżdżą jakieś nocne autobusy, więc czekanie nie będzie wyglądać podejrzanie. Pierwsza zmiana o drugiej, potem o piątej. Pozostali kimają w samochodzie. Pasuje?

– Tutaj na ulicy?

– Nie. Zaparkuję trochę dalej, za tamtymi sklepami. Nie będziemy tak się rzucać w oczy.

– Będziemy ciągnąć zapałki czy jak? – spytała Shirley.

– Przetawię teraz samochód. Bez urazy, ale nikt oprócz mnie nie będzie prowadził tego cudenka. A River wypił dwa piwa, więc na nic się nie przyda, dopóki się trochę nie prześni. Więc...

– Więc ja jestem pierwsza.

– Cóż, to wszystko był twój pomysł.

Shirley się skrzywiła.

– Lepiej się nie spóźnijcie.

Wbrew większości ogólnie przyjętych tajnych technik obserwacyjnych, wysiadając, głośno zatrzaskała drzwiami.

– Nie, no naprawdę... – mruknęła Louisa. – Aż się chce pomagać. – Odczekała, aż Shirley będzie w połowie drogi na przystanek, a potem uruchomiła silnik.

– Próbowłaś jej się pozbyć z auta, prawda? – spytał River.

– Tak. Pieprzyć ją. Idę do łóżka. Podwieź cię?

– Proszę.

I odjechali.

Roderick Ho otworzył drzwi domu, włączył lampę w przedpokoju, a potem oparł się o ścianę.

– No pewnie, kotku – mruknął. – Jutro masz wielki dzień. Musisz się wyspać, żeby ładnie wyglądać. Dobrze, że nie weszłaś, bo w łóżku Rodstera miałabyś z tego niewiele.

You rock my world. Powiedział tak do niej raz czy dwa. Wstrząsnęłaś moim światem. Laski lubią, kiedy cytuje im się poezję; czują się wtedy wyjątkowe. A Kim zasługiwała na to, żeby czuć się wyjątkowa, żałował tylko, że nie zostaje od czasu do czasu u niego na noc. Bo nie wstydził się tego przyznać, ale naprawdę – no wiecie – kochał tę dziewczynę. Jego dni jako wolnego faceta dobiegły końca. Ale chciałby, żeby została na noc po tym, jak znów pozwoliła, by zapłacił za taksówki, kluby, drinki i taksówki.

Ale cóż. Pójście tam, bycie widzianym, to, że wszyscy wiedzieli, że Kim jest z nim, o tak!

Roddy Ho, Roddy Ho zawsze jest na przedzie.

Ta melodia była na ustach wszystkich.

Rzucił kurtkę na krzesło, wszedł do kuchni i wyjął napój energetyczny z lodówki. Niezbyt popularny wybór przed snem, ale on właśnie tak funkcjonował. Będzie miał energetyczny sen, z energetycznymi marzeniami. Obudzi się pełen energetycznych wizji. Szybko wysłał SMS-a do Kim: „Nie potrzebujesz snu, żeby ładnie wyglądać, kotku”. Domyśli się, o co mu chodzi. Podłączył oba telefony do ładowania i ruszył na górę po schodach. Były takie noce, kiedy przesiadywał trochę w pomieszczeniu, które agentka nieruchomości nazywała oranżerią na półpiętrze, w pokoju z przeszkloną ścianą, gdzie poprzedni właściciel hodował kwiaty, zioła czy jakieś inne gówno, a który Roddy przerobił na swoją jaskinię: komputery, system dźwiękowy, ekran z wysoką rozdzielczością. Pomyślał, że może posłucha przed snem trochę muzyki. Rozsiadł się w swoim wygodnym fotelu i puścił sobie kilka kawałków: o tej porze nocy lubił wyjebane w kosmos gitary. W górze nad nim zaskrzypiała deska podłogowa. Zrobił jeszcze dwa kroki, a potem przystanął i zaczął nasłuchiwać. Deska zaskrzypiała znowu.

Ktoś był w jego domu.

Okazało się, że żaden nocny autobus nie zatrzymuje się na tym przystanku, więc każdy, kto będzie tu stał, i tak szybko zacznie rzucać się w oczy, uznała Shirley. A potem pomyślała: te ciule sobie pojechały, prawda? Żeby mieć pewność, musiałyby przejść aż do tamtych sklepów, i gdyby się okazało, że jednak tam są, wyszłoby na to, że im nie ufa, a to by ich wkurzyło, więc gdy tylko wróciłyby znowu tutaj, i tak by odjechały. W każdym razie ona tak by zrobiła.

Pieprzyć to.

W kieszeni miała paczuszkę koki i teraz byłby na nią idealny moment. Wyostrzyłyby jej zmysły, pomogła zachować czujność. Ale choć jej dłoń powędrowała do paczuski i dotknęła tego przyjemnego kształtu, na razie nie posunęła się dalej. Niedługo będzie północ, jeden dzień przejdzie płynnie w kolejny, a wtedy miałyby sześćdziesiąt trzy dni. To wciąż była tylko liczba, ale większa niż teraz. Czy to miało jakieś znaczenie? Niezbyt. Ale samo to, że coś nie ma znaczenia, nie było powodem, by tego nie zauważać. A jeśli to nie miało znaczenia, to nie będzie też miało znaczenia, jeśli tak się stanie. To znaczy, jeśli dojdzie do sześćdziesięciu trzech.

Przeszył ją dreszcz, ciepło dnia zupełnie już znikło. Gdyby Marcus tu był, narzekałby, że mógłby teraz leżeć w łóżku, choć oboje by wiedzieli, że nie leżałby w łóżku; siedziałyby przed internetowym kasynem, bez końca próbując odrobić wczorajsze straty. Pokręciła głową. Niektórych strat nie dało się odrobić. Jej myśli znów powędrowały do tego, co stało się rano: samochód wjeżdżający na chodnik i jej błyskawiczna reakcja. Nie wydawało jej się. Ktoś próbował zabić Rodericka Ho. Właśnie dlatego była teraz tutaj: nie dlatego, że było takie ważne, by Ho pozostał przy życiu, ale dlatego, że to działo się naprawdę i to było coś do zrobienia.

Wciąż z ręką w kieszeni ruszyła ulicą. Dom Ho łatwo było mieć na oku: to przez ogromne okno, właściwie to prawie szklaną ścianę na pierwszym piętrze. Agenci nieruchomości mieli zajoba na punkcie takich rzeczy, ale każdy, kto

wykazywał choć trochę rozsądku, myślał tylko: co jest grane, kurwa? Dodawanie tego rodzaju elementów do londyńskich domów miało niewiele sensu. Jeśli ktoś chciał wyższej ceny za nieruchomość, wystarczyło poczekać pięć minut. A tymczasem Ho był w domu, ale nie zapalił światła. Pozostali pewnie mieli rację: nic nie wskazywało na to, że coś mu grozi. Ale marnowała swój własny czas – no cóż, ich czas też – i wyszłaby na idiotkę, gdyby teraz się stąd zwinęła.

Po jedenastej. Dwadzieścia pięć minut do zmiany daty. Paczuszka w jej palcach była ciepła w dotyku, ale na razie zostawiła ją. Może później, jeśli zacznie słabnąć. Jednak w tej chwili wszędzie był spokój.

W pierwszej chwili pomyślał: wróciła. Droczyła się z nim tylko: kiedy wejdzie do swojej jaskini, ona tam będzie, już w samej bieliźnie. Niespodzianka! To właśnie na taką ewentualność dał jej klucze. Mógł tak pomyśleć, ale tylko przez chwilę. Kim jechała do domu taksówką całkowicie ubrana. Nie było takiej możliwości, żeby była na górze. I ktokolwiek to był, wydawało się mało prawdopodobne, żeby chodziło mu o ruchanko z Roddym.

A potem pomyślał o tym wszystkim, o czym nawijała Dander dziś rano, kiedy zepsuła mu polowanie na pokemony. O samochodzie, którym – według niej – próbowano go przejechać. Czy to było naprawdę?

Był na schodach, dwa stopnie od półpiętra, i na chwilę zamarł. Iść dalej na górę czy zawrócić na dół? Gdyby teraz zawrócił, ten ktoś, kto jest na górze, wiedziałby o tym. I zaraz byłby za nim i nad nim, a to nie jest miejsce, w którym chce się mieć wroga.

Wroga chce się mieć jak najdalej od siebie.

Roderick Ho żył pełnią życia. Każdy, kto go znał, go podziwiał, wszyscy mężczyźni mu zazdrościli i gdyby nie był związany z Kim, co wieczór musiałyby się oganiać od lasek. A więc zdecydowanie umiał grać w tę grę, potrafił sobie radzić – jego zręczność w łapaniu pokemonów tylko to podkreślała – a w dodatku był czynnym agentem tajnych służb: właściwie to urodził się dla chwil takich jak ta.

A więc jak to możliwe, że ugięły się pod nim kolana i nie mógł się ruszyć z tego stopnia?

Mijały sekundy. Z góry nie dobiegało już skrzypienie, jakby ten ktoś, kto tam był, również zamarł w bezruchu i czekał na zjawienie się Roddy'ego. Jeśli to wróg, będzie miał broń. Nikt nie włamywał się do czyjegoś domu z zamiarem popełnienia zabójstwa bez odpowiednich narzędzi do takiej roboty. A jeśli to był przyjaciel... W tym punkcie jego rozumowanie się urwało. Jediną osobą, która miała klucz, była Kim, a ona nigdy go nie użyła.

Zostać czy się zmyć?

Walka czy ucieczka?

Jego ręce zacisnęły się w pięści.

Ktokolwiek był tam, na górze, ukrywał się w ciemności. A to dlatego, że wiedział, jaką Roddy ma reputację, wiedział, że przyda mu się ciemność i element zaskoczenia. Cóż, jedną z tych rzeczy już stracił i jeszcze nawet nie był tego świadomy. Roddy wiedział, że on tam jest. Znał też swój dom jak własną kieszeń. Mógł sunąć przez pokoje jak zjawa na deskorolce, podczas kiedy intruz będzie wpadał na drzwi i meble. Udowodnienie mu własnej dominacji byłoby dla Ho kwestią jednej chwili. Ten gość, kimkolwiek był, będzie przeklinał ten dzień. Roddy po niego idzie. Zrobił krok w górę, potknął się o stopień i padł plackiem na twarz.

Może nie wyszło to tak świetnie, ale teraz już się działo, decyzja została podjęta. Roddy musiał się ruszać, i to szybko. Pozbierał się na nogi, pędem pokonał pozostałe stopnie i jak błyskawica wpadł do ciemnego pokoju. Zalała go fala adrenaliny. Ręce zamieniły się w maszyny do rąbania drewna, gotowe uderzyć w gardło przeciwnika; stopy były śmiertcionośną bronią do kopania i zabijania. Warknął, to był niski, śmiertelnie groźny pomruk. Obnażył zęby. To on będzie zwycięzcą.

Z kąta pokoju Lamb powiedział:

– Nie teraz, Cato.

–Standish uczepiła się mnie, żebym prowadził zdrowszy tryb życia, więc zrobiłem sobie mały detoks. Znalazłem gazowaną wodę w twojej lodówce. Wiedziałem, że nie będziesz miał nic przeciwko temu.

– To był szampan...

– Tak? Tak mi się wydawało, że dziwnie smakuje.

Lamb skrzywił się i spojrzał na butelkę ze zdradzieckim napojem.

– Eee... Czemu tu jesteś?

– Sprawdzalem tylko, czy jeszcze żyjesz. – Lamb beknął, milczał przez chwilę, a potem znów beknął, tym razem głośniej. – Nie ma potrzeby mi dziękować. Ale jeśli masz ochotę zadzwonić po pizzę, to nie uznałbym tego za zły pomysł.

– Może w lodówce jakaś jest.

– Owszem, była, ale lubię gorącą.

Lamb zaciągnął sobie krzesło do kąta i zdjął buty, choć wciąż miał na sobie płaszcz. Dookoła niego leżały fragmenty pizzy, a z ręki zwisała luźno butelka szampana.

– No dobra. Ktoś cię próbował ostatnio zabić?

– Nie...

– Szkoda. Dobrze byłoby to załatwić w taki czy inny sposób. – Lamb nagle wstał (potrafił szybko się poruszać, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewał) i wyjrzał przez wielkie okno. To, co zobaczył, wywołało cichy śmiech, o ile nie było to kolejne beknięcie. Odwrócił się z powrotem do Ho. – I nikt cię nie śledził?

– Na pewno bym to zauważył. – Ho pozwolił sobie na dyskretny uśmiech profesjonalisty.

– To albo z tobą jest coraz gorzej, albo twoi koledzy zaczęli się wyrabiać. Ja pierdolę, to ci dopiero zagwozdka.

– Czemu potrzebuję ochrony?

Lamb wzruszył ramionami.

– Sam nie jestem o tym do końca przekonany. To znaczy, czy warto cię chronić. Ale najwyraźniej ktoś coś do ciebie ma. To znaczy, przyjrzyj się faktom. Dander

widziała, jak ktoś próbował cię przejechać, i wygląda na to, że masz dziewczynę. Nie jestem zwolennikiem teorii spiskowych, ale coś się na pewno dzieje.

– Nie rozumiem...

Lamb odwrócił się i poklepał Ho po ramieniu. Młodszy mężczyzna niemal ugiął się pod ciężarem jego ręki.

– Powinniśmy ci to na czymś wyhaftować. To by ci zaoszczędziło dużo gadania. Gdzie masz łóżko? Po tym twoim szampanie strasznie zachciało mi się spać.

– Łóżko...?

– Tak. Zaczyna wyglądać na to, że jesteś za skąpy, żeby postawić szefowi pizzę. A niektórzy z nas muszą od rana znów prowadzić biuro.

– Myślałem, że przyszedłeś mnie pilnować.

– Jezu, nie. Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? Jestem tu, żeby się upewnić, że ktoś inny cię pilnuje. – Wskazał głową w stronę okna. – Wystarczyłoby dać jej hełm i miecz i wyglądałaby jak dzielny mały hobbit. Daję ci pięć minut na zmianę pościeli. I koniecznie muszę się odlać. Gdzie masz najbliższą umywalkę?

Ho w zamroczeniu wskazał w stronę schodów.

– Rano zjem coś smażonego – oświadczył Lamb, zmierzając we wskazanym kierunku. – Byle nie fasolę. Zaburza równowagę w moim organizmie. – Na odchodnym pierdnął, by zilustrować problem.

Ho podszedł do okna i wyjrzał. Hobbit? Nikogo nie było widać. Potarł oczy, ale to nic nie pomogło. No i Lamb tutaj, o tej porze? Na chwilę stworzył świat, w którym Lamb dał znać Kim i ostrzegł ją, by tej nocy trzymała się z dala od tego domu. Dzięki temu poczuł się trochę szczęśliwszy, ale niestety nie miało to sensu. Może to jednak prawda. To znaczy, że trafił na czyjąś listę. Gwałtownie odsunął się od okna na wypadek, gdyby ktoś patrzył na niego przez noktowizor, i poczuł, jak krucha szyjka rzuconej na podłogę butelki po szampanie pęka pod jego stopą. Zaczynał odnosić wrażenie, że sprawy nie do końca układają się po jego myśli.

Zastanowił się, czy ma jakąś czystą pościel.

Gdy minęła druga w nocy i nikt nie przyszedł jej zmienić, Shirley przez chwilę wyobrażała sobie, jak ciska ogniem piekielnym w Louise i Rivera, a potem pomyślała: jebać to. To był jej pomysł, żeby tutaj przyjść. Mogła, kurwa, albo wziąć się w garść, albo spierdalać do domu. A z domem wiązały się osobne problemy, bo o tej porze nocy nawiedzały ją tam wspomnienia o byłej dziewczynie. Równie dobrze mogła postać sobie na przystanku autobusowym, głodna i zmarznięta, i popilnować kolegi, choć niespecjalnie zależało jej na utrzymaniu go przy życiu. W każdym razie to nie chęć ratowania Ho ją tutaj trzymała. Tylko to, że nie była w stanie uratować Marcusa.

Znów poczuła paczuszkę kokainy w kieszeni i ostrą jak igła sugestię, jaką podsuwała jej palcom: weź mnie.

Tak, w porządku.

Ale jeszcze nie teraz.

Coś się poruszyło.

To był mężczyzna, na którego na chwilę padło światło latarni. Szedł w jej kierunku, ale po przeciwnej stronie ulicy. Shirley była ukryta w cieniu i sądziła, że jej nie widać. Mimo to wstrzymała oddech, gdy postać dotarła do frontowych drzwi Ho i weszła do środka, używając klucza.

Czy Ho miał jakiegoś współlokatora?

Wykluczone. Mieszkanie w jednym domu z Roderickiem Ho z całą pewnością było niemożliwe.

Już poruszała się w stronę drzwi, ale ta postać zamknęła je za sobą. Dom był pogrążony w ciemnościach, panowała w nim cisza jak w klasztorze, ale napaść nie musiała być głośna. Ten mężczyzna mógł pojawić się znowu za kilka sekund, pozostawiając za sobą krwawą jatkę.

Lamb powinien był dać mi tamtą broń.

Choć właściwie nie było do końca jasne, czy w tej chwili by się przydała.

Shirley wyciągnęła rękę do frontowych drzwi i stała tak przez chwilę. Miała zestaw uniwersalnych kluczy, które odziedziczyła po Marcusie, ale nie przy sobie. Rozwalić drzwi kopniakiem?

Tak, jasne. I złamać sobie nogę.

Ale na parterze było okno, a ona miała pięść. Zsunęła kurtkę, owinęła nią prawą rękę i wzięła zamach, by uderzyć w szybę.

W środku ktoś krzyknął.

Ktoś był w jego domu.

Czy ta myśl nie przyszła mu już do głowy wcześniej? Jeśli tak, to teraz pomyślał o tym znowu.

Ktoś był w jego domu.

Roderick Ho leżał na prowizorycznym pościeli z ubrań i poduszek i zastanawiał się, czemu jego ucho krwawi. Okazało się, że to wina stłuczonego szkła. Może powinien był uprzątnąć tę rozbitą butelkę, kiedy kładł się spać? Ale sięgając po opakowanie chusteczek, które ze względów strategicznych nocą trzymał pod ręką, poczuł lekki ruch powietrza albo dosłyszał jakiś stłumiony dźwięk wskazujący na to, że ktoś jest na schodach. Lamb. Ale dlaczego Lamb miałby być na schodach, skoro był już w sypialni Ho?

Ho usiłował sobie przypomnieć, co jeszcze wartego kradzieży miał w lodówce, gdy do pokoju weszła jakaś ciemna postać i przycajona ruszyła w jego stronę. Poruszała się tak, jak Roddy w swoich marzeniach o byciu ninja.

Czuł się jak jakiś pokemon, który zaraz trafi do worka, a potem do pudełka.

– Kim? – powiedział z nadzieją w głosie.

Zapaliło się światło. Pokój zalała biel. Postać odwróciła się i spojrzała prosto na koszmar w drzwiach: Jacksona Lamba z wyszczerzonymi zębami i gołym obwisłym brzuchem nad bokserkami.

I z niebieską plastikową butelką w ręce.

– Dobry wieczór, słoneczko – powiedział Lamb i wycisnął z butelki prosto w twarz intruza strumień wybielacza.

Mężczyzna upuścił to, co trzymał w ręce, i wrzasnął.

Pięść Lamba trafiła go w pierś niczym młot.

Mężczyzna zatoczył się do tyłu, potknął o wciąż leżącego Roddy'ego i przeleciał przez wielkie okno na ulicę w dole.

W chwili, gdy Shirley rozbiła szybę, o chodnik uderzył jakiś kształt, jakby wygrała nagrodę w wesołym miasteczku. Spróbowała się odwrócić, ale jej zrolowana kurtka zahaczyła o rozbite okno i zanim zdążyła ją wyszarpnąć, na ulicy zatrzymał się samochód. Szkło spadało z góry jak odłamki zamrożonego deszczu, a w wielkim otworze, który po sobie pozostawiło, pojawiła się zwalista postać Lamba, najwyraźniej naga, chyba że kompletnie coś porypało jej się w głowie.

Lamb?

U Ho?

Nagi?

– Mniejsza z tym.

Wyszarpnęła kurtkę, zdając sobie sprawę, że kompletnie ją niszczy, i odwróciła się dokładnie w chwili, gdy ktoś wciągał czarny kształt do srebrzystego samochodu. Równocześnie ktoś wychylił się z okna od strony kierowcy i coś w nią wycelował. Gdy rzuciła się za najbliższy samochód, posypały się fragmenty ściany budynku, w którym mieszkał Ho, a z drzwi poleciały wióry. Shirley czuła zimny chodnik przy policzku i woń brudów z kanału ściekowego. Drzwi samochodu się zatrzasnęły i pojazd odjechał. Gdy zaryzykowała, by wyjrzeć, dostrzegła, że coś odbija się od jego dachu – niebieska plastikowa butelka? – ale chwilę później samochodu już nie było, zmienił się w zjawę znikającą w rozmytej poświacie latarni ulicznych o drugiej nad ranem. Pokręciła głową i potarła policzek. Czuła, że zaczyna puchnąć. Kolejny odłamek szkła obluzował się i roztrzaskał o ziemię.

Gdy spojrzała w górę, Lamb patrzył na nią z grymasem niezadowolenia. Jego nagą pierś i ramiona porastał dywan siwiejących włosów.

– Dziesięć punktów na dziesięć za obecność – powiedział. – Ale, kurwa, zero za wykonanie roboty.

Potem się cofnął, a odłamki nocy wciąż spadały z nieba.

6

Tamtego ranka mniej więcej w porze, gdy Londyn budził się do życia, zaczęło padać. Nad miastem przetoczyła się seria przelotnych opadów, przypominając mieszkańcom, że lato nie jest obietnicą, lecz tylko okazijną przyjemnością. Niebo było szare i ciężkie, a budynki dęsały się pod jego ciężarem. Ulice odtwarzały swój soundtrack na mokłą pogodę: symfonię syków i plusków na tle szeptanego rytmu wycieraczek. W Slough House panował posępny nastrój, bo odgłos deszczu bębniącego o szyby biur zawsze jest smutny i samotny, a życie tam i tak nigdy nie było beczką śmiechu.

Samochód, który zatrzymał się na Aldersgate Street, był czarny, stosownie do ogólnego nastroju, i płynnie ponownie włączył się do ruchu, gdy tylko wysiadła z niego Diana Taverner. Zignorowała to, że odjechał, podobnie jak przez całą wspólną podróż ignorowała jego kierowcę; wbiła za to wzrok we frontowe drzwi Slough House, które też były czarne, przynajmniej kiedyś – bo teraz wyblakły i przy brzegach były niemal zielonkawe. Pokręciła głową. Gdyby nie to, że ktoś podłożył bombę pod dupskiem Jacksona Lamba, nie zbliżyłaby się do tego miejsca na odległość mili. W górze, na oknie na drugim piętrze, widniały wypisane złotą farbą słowa: W.W. Henderson, Kancelaria notarialno-prawna; dawno zapomniana przykrywka lub po prostu pozostałość po wcześniejszym najemcy. Nie miała pojęcia, które z tych dwóch. Dopiero teraz, stojąc przed tymi drzwiami, przypomniała sobie, że one także są przykrywką; barykadą udającą wejście. Wyobraziła sobie klucz do nich schowany gdzieś głęboko w jednej z szuflad

w biurku Lamba; wyobraziła sobie też, że gdyby te drzwi kiedykolwiek otwarto, cały budynek posypałby się niczym zdekonspirowana siatka agentów. Miała postawiony kołnierz, ale nie wzięła parasola. Jak długo będzie musiała tu stać, czekając, aż Slough House powita ją u siebie? Ale i tak nic by z tego nie wyszło, i teraz przypomniawszy sobie, że na prawo jest uliczka, drzwi w ścianie, podwórze z tyłu. Znalazła je bez problemu. Tylne drzwi prowadzące do budynku wymagały jednak użycia siły, jakby wołały, żeby dalej stała na deszczu. Gdy wreszcie ustąpiły, otwierając się na klatkę schodową, zrobiły to z piskiem, jaki mógłby wydać z siebie zrozpaczony kot. Na schodach czuć było pleśnią i porzuconymi nadziejami. Jedna z żarówek nie świeciła, a druga buczała swoją cichą serenadę.

Ktoś pojawił się na piętrze, niska, krępa postać, którą można było przypisać do którejkolwiek płci. Wydawało się, że ten ktoś patrzy na nią wyzywająco, ale potem najwyraźniej dotarło do niego, kim ona jest, bo cofnął się do swojego pokoju. Co świadczyło o zdrowym rozsądku, musiała przyznać Lady Di, ale nie wzbudzało wielkiego zaufania do zabezpieczeń w budynku.

Dalej w górę. Schody nie stały się ani trochę czystsze czy lepiej oświetlone, a drzwi wszystkich pokoi były pozamykane.

Na najwyższym piętrze przystanąła. Choć drzwi nie dostarczały żadnych wskazówek, wiedziała, które z nich prowadzą do Jacksona Lamba. Ich dolny panel był cały zarysowany czubkiem buta, nożnym podpisem kogoś, kto lubi nagłe wejścia. Powinna zapukać, ale nie zamierzała tego robić. Zanim jednak dosięgła dłonią klamki, ze środka dobiegł chropawy głos:

– No nie stój tam tak.

Otworzyła drzwi i weszła.

Pomieszczenie było ciemne i ciasne, jedyne okno zasłonięte żaluzją. Na chybotliwej stercie grubych książek stała lampka, a cienie, które rzucała, nie sięgały do najdalszych kątów, jakby lepiej było nie ruszać tego, co leżało tam ukryte. Rycina w ramce z brudnym szkłem przedstawiała jakiś most gdzieś w Europie, a krzywo powieszoną korkową tablicę prawie całkowicie zasłaniał kolaż starych, pożółkłych wycinków. W powietrzu pod stęchłą wonią dymu

tytoniowego unosiła się woń czegoś starszego, czegoś wściekłego, z czym nie da się pogodzić. Ale pewnie tylko to sobie wyobraziła.

Nacisnęła włącznik przy drzwiach, bez wielkiej nadziei, że zadziała. Wywołało to tylko chrząknięcie Jacksona Lamba.

Zdjęła płaszcz i otrząsnęła go z deszczu. Kropelki zatańczyły szybko w świetle lampy. Na drzwiach był wieszak i powiesiła na nim płaszcz, a potem przeczesła palcami sięgające do ramion włosy. Odwróciła się do Lamba.

– Mokra jestem – powiedziała.

– Ciebie też miło widzieć – odparł Lamb. – Ale nie dajmy się ponieść. – Przyjrzał jej się krytycznie. – Wyglądasz, jakbyś miała wszystkie urodziny naraz.

– Wydaje ci się, że jestem szczęśliwa?

– Nie, stara. Czyżbym tylko ja tutaj umiał mówić po angielsku?

Nie uśmiechnęła się.

– Stara, jakie to miłe. I w dodatku zajęta, no, kraj jest w stanie najwyższego pogotowia. A jednak oto jestem, przebrnęłam przez Londyn tylko po to, żeby odkryć, co za cyrk próbujesz odstawić. Roderick Ho? Myślałam, że trzymasz go w klatce jak myszokoczka.

Lamb zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Trochę przesadzasz. On jest bardziej jak kurzajka. Nigdy do końca nie wiesz, skąd ci się wzięła, ale cholernie trudno się ich pozbyć.

– Ale oboje wiemy, że potrafi sprawić, by linijka kodu komputerowego zrobiła siad i zaczęła prosić. Co on, kurwa, wywinął, Jackson? Na miejscu zdarzenia był nóż, dziury po kulach w ścianach jego domu i stłuczone szkło w całej okolicy. A twoje zeznanie nie zrobiło zbyt wielkiego wrażenia na londyńskiej policji. Wewnętrzna sprawa?

– Uznałem, że lepiej będzie nie prać brudów przy obcych. A już zwłaszcza brudów Ho. Uwierz mi, nie chcesz wiedzieć. – Machnął ręką w stronę krzesła dla gości. – Jest w porządku, wczoraj było wycierane.

– Czym?

– Rób, jak uważasz.

Taverner nie usiadła. Położyła ręce na oparciu krzesła.

– Powoływanie się na bezpieczeństwo narodowe to jedno, Jackson, choć oboje wiemy, że twoje uprawnienia są niewiele wyższe niż parowozu Tomka. Ale zgrywanie głupka przed Regent's Park to już inna historia.

– Chyba nie wolno już mówić „głupek”. Wydaje mi się, że to obraża idiotów.

– Nie jestem w nastroju.

– Tak, zauważyłem.

– Byłeś tam, w domu Ho, w środku nocy. A to znaczy, że wiedziałeś, że coś się dzieje. Ale tego nie zgłosiłeś. Zasada służbowa, punkt cholera wie jaki...

– Dwadzieścia siedem, podpunkt trzeci – odpowiedział Lamb.

– Skoro tak twierdzisz.

– Trzy jest w nawiasie.

– Jak dla mnie może być nawet w pieprzonym sanskrycie. Ta zasada istnieje nie bez powodu. Jeśli wiedziałeś, że ktoś zamierza zabić kogoś z twojego zespołu, protokół jest jasny. Zgłaszasz to komuś wyżej. W tym przypadku mnie.

– W normalnym przypadku tak bym zrobił. Ale były pewne szczególne okoliczności.

– Mianowicie?

– Nie chciało mi się ruszyć dupy.

Szybko zabębniła palcami w oparcie, ale zaraz przestała. Głównym celem każdego spotkania z Lambem było nie pokazać mu, jak bardzo cię irytuje. Przypominało to trochę niepozwalanie, by rekin wyczuł w wodzie twoją krew.

– To nie są szczególne okoliczności, Jackson – zapewniła go. – To twój stały stan. I tym razem może się okazać, że to koniec.

– Jeśli chcesz walczyć, Diano, daj mi tylko znać. Mam na ciebie tyle haków, Diano, że mógłbym otworzyć mięsny.

– Z pewnością dostarczyłoby ci to rozrywki na przymusowej emeryturze, ale to cię nie uratuje. Nie tym razem.

Lamb rozparł się ciężko w fotelu i położył obie nogi na biurku.

– Jeśli zamierzasz mi grozić, pozwól, że wygodniej się umoszczę. Masz coś przeciwko temu, żebym rozpiął spodnie?

– Wolałabym, żebyś od czasu do czasu je zmieniał. Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że w przeszłości były pewne... incydenty...

Lamb wyliczył niektóre z nich:

– Próba morderstwa. Porwanie. I coś mi się wydaje, że gdzieś tam była też jakaś zdrada.

– ...które mogłyby pozwolić ci do pewnego stopnia wywierać na mnie nacisk przy negocjowaniu twojej pozycji. Ale ten etap mamy już dawno za sobą. A więc zanim zaczniesz się onanizować, jest kilka szczegółów, które powinieneś wziąć pod uwagę.

– Zawsze lubię znać szczegóły, zanim zacznę.

– Londyńska policja zgłosiła znalezienie spalonego wraku samochodu dwie mile od miejsca zdarzenia. Nie było w nim zwłok, więc może osoba, która wyskoczyła z okna twojego chłoptasia, przeżyła upadek. A może po prostu koledzy wywieźli jego zwłoki gdzie indziej. Jeśli tak, jestem pewna, że w swoim czasie się pojawią.

Lamb ziewnął i wsunął rękę z powrotem w spodnie.

– Czyli ktoś żyje albo nie. Naprawdę zaawansowana praca śledcza.

– Kule znalezione na miejscu zdarzenia zostały zbadane przez techników.

– Nie przerywaj. Już prawie.

– Broń, z której pochodziły, jest zgodna z jedną z tych, z których strzelano w Abbotsfield.

Lamb zamarł.

– O kurwa – powiedział.

– Tak – odparła Taverner. – Chyba choć raz dla odmiany się zgadzamy.

Zafar Jaffrey w drodze do kawiarni Dewdrop musiał zatrzymać się trzy razy: dwa razy, żeby przyjąć życzenia od członków społeczności, i raz, żeby kupić „Big Issue” i porozmawiać ze sprzedawcą o problemach pobliskiego schroniska dla

bezdomych, gdzie młodszy klienci byli nagabywani przez handlarzy narkotyków. Jaffrey dużo kiwał głową i robił notatki. Był przystojny, gładko ogolony, miał na tyle rozwichrzony włosy, by świadczyło to o niezależnym duchu, a gdy nie występował przed kamerami, preferował dzinsy i koszule rozpięte pod szyją. Dziś mimo ostrzeżenia Eda Timmsa włożył lekką kurtkę bomberkę.

– Naprawdę, Zaf, ostrożność nie zawadzi.

– Czyli nie mogę włożyć bomberki? Serio?

– To byłby prezent dla wszystkich Dodie Gimball tego świata.

Ale bez względu na to, co by włożył i co by powiedział, wszystkie Dodie Gimball tego świata i tak by to wykorzystały, żeby go zaatakować serią wrogich nieuprzejmości, za które wszystkie Dodie Gimball następnego świata musiałyby odpowiadać. Poza tym lubił tę kurtkę. Uważał, że wygląda w niej o parę lat młodziej; dzięki niej był po właściwej stronie czterdziestki.

A jeśli chodzi o sprzedawcę „Big Issue” – „Masz na imię Macca, prawda?” – Jaffrey obiecał podjęcie działań, śledztwo i zdążył jeszcze wykonać jeden telefon w tej sprawie, nim dotarł do Dewdrop. Otwierając drzwi ramieniem, uniósł rękę na powitanie do Tysona, który siedział nad kubkiem rozmiarów wiadra. Jego tatuaż dziwnie nie pasował do formalnego stroju: białej koszuli, szarego garnituru i czerwonego krawata zawiązanego z matematyczną precyzją. Wyjawszy tatuaż na twarzy, wyglądał bardziej na polityka niż sam Jaffrey, choć trzeba przyznać, że było to duże „wyjawszy”.

Jaffrey schował telefon do kieszeni. Gdy podszedł, Tyson Bowman wstał i szybko się uścisnęli.

– Tyson.

– Szefie.

Potem usiedli po przeciwnych stronach małego stolika przykrytego obrusem we wszędobylskie białe i czerwone kwadraty i przyozdobionego stojakiem na sztuce, w którym upchnięto saszetki z ketchupem i sosem sojowym. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś przyprowadził tu Karima. Jego młodszy brat nie był jeszcze wówczas aspirującym męczennikiem, ale – Zafar teraz to widział – już wtedy zaczął

dystansować się od tego, co było dotychczas ich codziennością: od ludzi pijących herbatę i opowiadających sobie kawały, którzy prowadzili zwyczajne, bezbożne życie. Zafar czuł wtedy to samo co teraz: że istnieją lepsze sposoby osiągnięcia swoich celów niż założenie kamizelki z semteksem.

Tak czy inaczej, historia Karima jeszcze się nie skończyła. A kraj, którym zaczął gardzić, desperacko potrzebował naprawy.

– Czyli nie było żadnych problemów? – spytał Zafar.

Tyson pokręcił głową.

– Na kiedy to wszystko będzie gotowe?

– Za parę dni. – Potarł dwa palce o kciuk. – Zaraz po zapłacie.

W bliższym kontakcie aspirujący polityk zniknął. Nie chodziło o to, że Tyson wyglądał jak zbir – choć jako takiego go namaszczonego podczas dwóch pierwszych rozpraw o czynną napaść – i nie chodziło o to, że wyglądał jak aspirujący terrorysta, choć podczas drugiej odsiadki się zradykalizował, a potem poszedł trzeci raz siedzieć za posiadanie ekstremistycznej literatury. Nie była to też kwestia koloru jego skóry, ogolonej głowy, a nawet – a może zwłaszcza – tatuażu na twarzy, co zazwyczaj było wiarygodną zapowiedzią przemocy. Nie, pomyślał Zafar, chodziło też o nastawienie, jakie w nim drzemało; postawę wskazującą na to, że jakiegokolwiek interakcje społeczne są niemile widziane. Z wyjątkiem kontaktów z Zafarem Jaffreyem, który wyciągnął do niego pomocną dłoń, gdy Tyson Bowman nie miał pracy, domu ani przyjaciół. To Zafar sprawił, że w oczach Bowmana pojawił się jakiś blask; Jaffrey wiedział, że powinien czuć się winny, że to wykorzystuje.

Zawisła nad nimi kelnerka z notesem w ręce.

– Dzień dobry, panie Jaffrey.

– Angela – odparł. – Promienna jak zwykle.

– Mówił pan to już wczoraj, panie Jaffrey. Lepiej niech pan zwróci na to uwagę.

Ludzie pomyślą, że jest pan nieszczerzy.

Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

– Ludzie mogą sobie myśleć, co chcą, Angelo. Dla mnie zawsze będziesz promienna.

I tym razem się uśmiechnęła, jej sześćdziesiąt parę lat jakby się ulotniło.

– Będzie pan tu dalej przychodził na śniadanie, kiedy już zostanie pan burmistrzem?

– Jeśli ty będziesz obsługiwać, tak. Ale dziś poproszę tylko kawę.

Kiedy sobie poszła, całkowicie skupił uwagę na Tysonie. Jego pomagier – słowo nie do końca wyprane z bardziej podejrzanych skojarzeń. Ale w sumie tym właśnie zajmował się Tyson – pomagał mu.

Podano im kawę i omówili zmiany w harmonogramie na ten dzień: jedno spotkanie zostało odwołane, pojawiło się inne. Pięciominutowa rozmowa w lokalnym radiu miała się teraz odbyć w furgonetce, a nie w studiu, co wszystkim uczestnikom z wyjątkiem kierowcy furgonetki zaoszczędzi trzydzieści minut. Każdego kolejnego dnia było coraz więcej zajęć, ale wybory miały się przecież odbyć za trzy tygodnie. Jaffrey był kandydatem niezależnym i chociaż „rozczarował” premiera, odmawiając wstąpienia do jego partii – pomimo że w ostatnich latach wyznaczano go do dwóch nadzwyczajnych komisji parlamentarnych – pozostali „bliskimi osobistymi przyjaciółmi”. Premier często wykorzystywał tę taktykę: gdy nie mógł nakłonić popularnych osób, by go popierały, to on je popierał i miał nadzieję, że coś z tego wyjdzie. Jaffrey przyjmował jego nieproszoną poufałość tak samo jak „szacunek” często wyrażany przez lidera opozycji: w polityce odhaczenie punktu „bez rozgłosu” nie wchodziło w grę. Poza tym, wbrew temu, co mogłoby się wydawać, żadna z tych osobistości nie była na tyle naiwna, by wyobrażać sobie, że ich własny kandydat ma jakiegokolwiek szanse. O ile wyniki sondaży nie były jeszcze bardziej przekłamane niż ostatnio albo przedostatnio, pod koniec miesiąca Zafar Jaffrey obejmie urząd burmistrza West Midlands.

Oczywiście byli też tacy – Gimballowie to bynajmniej nie jedyny przykład – którzy uważali, że wybranie kolejnego muzułmańskiego burmistrza będzie oznaczało zrobienie następnego kroku w stronę prawa szariatatu. Jak do tej pory ich

ostre ataki nie były jednak celne: przynajmniej w lokalnej polityce wciąż istniał pewien opór przeciw rasistowskiej technice „psiego gwizdka”, bo właśnie tak większość obserwatorów interpretowała próby odmalowania Jaffreya jako sympatyka islamistów. Za każdym razem, gdy Dodie Gimball ilustrowała poświęcony mu artykuł zdjęciem autobusu po zamachu bombowym, jego słupki w sondażach rosły. Nie miał jednak złudzeń co do tego, jaki byłby efekt, gdyby opinia publiczna dowiedziała się o ostatnich działaniach Tysona. Z członka prześladowanej mniejszości stałby się potwierdzonym terrorystą, nim ktokolwiek zdążyłby powiedzieć: operacja „Koń Trojański”.

Tysonowi też by się oberwało. Zafarowi łatwo było powiedzieć: cóż, to nie byłby pierwszy raz.

Z tych myśli wyrwało go dzwonięcie komórki. Ed Timms, jego rzecznik prasowy.

– Szefie, słyszę różne pogłoski.

– Chcesz mi o tym powiedzieć? – spytał.

– Ponoć Dodie Gimball ma jakiś wybuchowy materiał, który pojawi się jutro w jej felietonie. Dennis też przygotował własny pokaz fajerwerków na dzisiejszy wieczór.

– A mógłbyś trochę mniej obrazowo? Łatwiej mi przetwarzać fakty.

– Dziś wieczorem Dennis Gimball będzie przemawiał w okręgu wyborczym i zamierza oskarżyć cię o powiązanie z terrorystami. A potem jego żonka dobierze się do ciebie w swoim jutrzejszym felietonie. I ponoć ma to być artystycznie zilustrowane. Mają zdjęcia, Zaf. Nie wiem jakie, ale wiesz, co się mówi o zdjęciach. Dowodzą tego, że coś się stało, a gdy już będziemy na tym etapie, nie będzie nawet ważne co.

I aż tak szybko to się działo; tak szybko sytuacja ze sfery potencjału przechodziła w tu i teraz.

– Gdzie ma się odbyć to przemówienie? – spytał.

– Na terenie Gimballa. W Slough.

– W porządku, Ed. To będzie tylko kolejna popisówka. Nie zamartwiajmy się jeszcze.

– Tak, ale...

– Na razie, Ed.

Rozłączył się.

Tyson uniósł brew, czekając na to, co Jaffrey może mieć mu do powiedzenia.

– Coś trzeba załatwić, szefie?

– Możliwe. Parę rzeczy.

– Cokolwiek sobie życzysz, szefie. Wiesz o tym. Mnie to nie robi żadnej różnicy.

Zafar wyciągnął rękę i uścisnęli sobie dłonie.

To prawda, pomyślał, Tysonowi autentycznie nie robiło żadnej różnicy, o co Zafar go poprosi – chętnie to zrobi. I ta myśl równocześnie zasmuciła go i ucieszyła; dawała mu nadzieję na przyszłość i całkowicie mu ją odbierała.

Było dokładnie tak, jak wszyscy mówili. Polityka była sztuką kompromisu.

Lamb znalazł papierosa w jednej z kieszeni i w rzadkim przypiływie rycerskości wyszukał jeszcze jednego. Najpierw zapalił swojego, a potem podał ogień Taverner. Maniery manierami, ale nie było sensu dać się temu ponieść.

– Według BBC – powiedział – czyli, jak przypuszczam, według tego, co w tej chwili jest najświeższe na Twitterze, zamach w Abbotsfield był sprawką ISIS.

– Pracujemy z takim założeniem.

– A to by znaczyło, że Ho też próbowało zabić ISIS. To przełazi ludzkie pojęcie.

– Przechodzi.

– No tak, właśnie. – Zaciągnął się głęboko. – Pomijając wszystko inne, oni nie robią takich akcji, prawda? Podkładają bomby w supermarketach albo wjeżdżają do jakiejś wsi i strzelają do wszystkich w polu widzenia. Ale takich akcji nie robią.

– Eliminują konkretne cele. Robili to już wcześniej.

– Ważne cele tak. Ale nie rozwalają nic nieznaczącej biurwy pod osłoną ciemności. – Zmrużył oczy. – Jeśli się okaże, że to jedna z twoich gier, Diano, nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo będę rozczarowany.

Rozejrzała się za czymś, do czego mogłaby strzepnąć popiół, a potem uległa ogólnej atmosferze gabinetu Lamba i strzepnęła go na dywan.

– Gierek?

– Wciąż mam świeżo w pamięci, że nie tak dawno temu ktoś próbował mnie zabić w tym pokoju. Nigdy tego porządnie nie przedyskutowaliśmy, prawda?

Gdy spoglądało się w cuchnące bagno osobowości Lamba, raz na jakiś czas jego powierzchnię przecinała płetwa.

– Trzymajmy się niefortunnych wydarzeń dzisiejszego dnia – powiedziała Taverner. – W jakim stanie jest Ho?

– Skaleczył się w ucho.

– Rana postrzałowa?

– Efekt braku porządku w domu.

– Poza tym nikomu nic się nie stało?

– Dander tam była. Musiała gwałtownie rzucić się na ziemię. Ale to jedna z zalet bycia zbudowanym jak piłka, człowiek uczy się przyjmować kopniaki.

– Wszyscy są teraz na miejscu?

– Nie prowadzę pieprzonego rejestru, Diano.

– Wydawało mi się, że prowadzisz.

– No cóż, bo prowadzę. Ale tylko po to, żeby działać im na nerwy, nie dla oficjalnych celów.

– No i...?

– No i tak, wszyscy są.

– To dobrze. Bo od tej chwili macie lockdown.

Lamb przewrócił oczami.

– Mówię poważnie. Żadnych telefonów i internetu i nikt stąd nie wychodzi. Ho wraca do Regent's Park. Wdepnął w jakieś gówno i musimy zbadać mu podeszwy. A tymczasem reszta z was jest usadzona. I zdacie raport.

– Dobra, czemu nie – zgodził się Lamb. – Utrzymam ich w ryzach. Po kryjomu pobawimy się w zabójców, czekając, aż wy wszystko załatwicie.

Taverner się zaśmiała i zaraz umilkła.

– Och, przepraszam. Mówiłeś poważnie? Kiedy będę chciała, żeby lis popilnował mi kurnika, będziesz na samym szczycie listy. A tymczasem poniańczy was Flyte. Poznałeś Emmę?

– Myśli o niej umiliły mi niejedną długą noc.

– Uważaj. Niektóre z nas do ciebie przywykły. Inne mogą wnieść zarzuty. Zorganizuj swój zespół, co? Dziwne, że Standish jeszcze tu nie ma.

– Wiesz co? Nie jestem do końca pewny, czy aż tak za tobą przepada.

– A ja nie jestem pewna, czy przepada za tobą. A mimo to wciąż ją tu trzymasz. Powiedziałeś jej chociaż dlaczego?

Lamb posłał jej długie harde spojrzenie, ale Diana Taverner zasiadała w komisjach; Diana Taverner przewodniczyła zebraniom. Gdyby długie harde spojrzenia mogły ją skruszyć, dawno temu obróciłaby się w proch.

W końcu Lamb powiedział:

– Wie, że jej dawny szef był zdrajcą, jeśli o to ci chodzi.

– A wie, że próbował ją obciążyć swoją zdradą? Że specjalnie ją sobie upatrył, żeby ją zrobić?

– Pewnie sama do tego doszła.

– A wie, że to ty wpakowałeś mu kulkę w mózg? Czy wciąż myśli, że zrobił to sam?

Lamb nie odpowiedział.

– Byłoby zabawnie móc to zobaczyć – kiedy ona się o tym dowie.

– A czemu myślisz, że się dowie?

– Jezu, Lamb! Ze wszystkich sekretów, jakie kiedykolwiek miałeś, który najgłośniej krzyczy, żeby być usłyszanym?

Z dołu dobiegły jakieś hałasy: pojawili się jacyś ludzie. Lamb zakładał, że to psy. Przyjechały zabrać Ho do Regent's Park, a resztę z nich tu usadzić. Usłyszał, że Standish otwiera drzwi swojego pokoju i wychodzi na korytarz.

- Co się dzieje? – zawołała.
- No i proszę – stwierdziła Lady Di. – Bystry, dociekliwy umysł w działaniu.

Roderick Ho byłby zadowolony, choć nie zaskoczony, gdyby się dowiedział, że to z jego powodu serce Kim biło szybciej.

Zeszłej nocy, gdy dotarła do domu po tym, jak wysiadła z taksówki dwie ulice dalej – w jej zawodzie lepiej było, by nikt nie znał jej adresu – siedziała do późna, oglądała *The Walking Dead* i piła wódkę najpierw z sokiem żurawinowym, a gdy się skończył, samą. Sen przyszedł nagle, bez ostrzeżenia i obudziła się ze stróżką śliny ściekającą na poduszkę i mocno bijącym sercem. Coś poszło nie tak. Albo zaraz pójdzie. Czasami to były uczucia trafiające pod błędny adres, emocjonalna poczta przeznaczona dla kogoś innego, ale zawsze było warto działać na ich podstawie. Zawsze trzeba było brać pod uwagę najgorszy możliwy scenariusz.

A więc w trzy minuty wzięła prysznic i się ubrała, chwyciła zestaw awaryjny, który trzymała w szafie: paszport, książeczki oszczędnościowe i dwa tysiące w gotówce, plus ubrania na zmianę i podstawowy zestaw do makijażu. Wszystko zapakowane w podręczną torbę. Nic więcej w tym pokoju nie miało znaczenia. Czynnosc był płatny co miesiąc, a współlokatorzy byli jej tymczasowymi znajomymi. Zostawi im karteczkę z jakimś wymyślonym pilnym powodem wyjazdu i na zawsze zniknie z ich życia. Wyjdzie stąd. Albo wybiegnie. Jej serce wciąż nie zwalniało i nawet jeśli nie był to narząd, któremu się najbardziej ufa, to na pewno chciało się, by dalej robił swoje.

Roderick Ho, pomyślała. Jej serce weszło w tryb ostrzegawczy z powodu Rodericka Ho.

„...zrób to szybko, dobrze? Jest nieszkodliwy”.

Mówili, że mają go tylko pobić, ale nie bardzo w to wierzyła. A to oznacza, szeptało jej bijące serce, że najmądrzej będzie się ulotnić.

Zarzuciła torbę na ramię, wyszła z pokoju i była na korytarzu, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Zamarła.

Ale czym tu się martwić. Był późny poranek w jednym z największych miast świata. Byli tu listonosze i ludzie próbujący nawracać na swoją religię. Byli inkasenci odczytujący liczniki i ankieterzy chcący się dowiedzieć, co sądzisz o rzeczach, nad którymi się nigdy nie zastanawiałeś. Sylwetka za szybą z lodowego szkła mogła oznaczać kogokolwiek z nich. Kiedy zmieniła pozycję, światło przesunęło się po rozmytych zarysach twarzy, jakby po nich bazgrało.

Znów zadzwonił dzwonek.

Było tu tylne wyjście, droga ucieczki prowadziła przez mały ogródek, a potem przez płót, ale wymagało to zejścia na dół po schodach, a wtedy przez chwilę byłaby widoczna dla osoby pod drzwiami. Osoby, która teraz szarpała za klamkę, a inkasenci tego nie robią. Wsuwają po prostu kartę w szczelinę w drzwiach. Kim wycofała się z korytarza i wróciła do swojego pokoju. Okno wychodziło na ogródek, od ziemi dzieliła ją wysokość dwukrotnie przekraczająca jej własny wzrost. Z dołu dobiegł nieprzyjemny zgrzyt, jakby ktoś wsunął lewarek w zbyt ciasną szczelinę. Przesuwne okno w tej chwili było zamknięte. Odblokowałaby je w ciągu kilku sekund, gdyby nie wpadła w panikę. Palce Kim trzęsły się ze strachu i wciąż się obsuwały. Zgrzyt na dole zmienił się w trzask. Mechanizm okna ustąpił i na jej rękę wypadł pręt. Na schodach rozległy się kroki i serce tłukło się jej o żebra, gdy podniosła okno i wyrzuciła torbę. Chciała za nią wyskoczyć. To by zajęło sekundę. Nawet mniej. Ale jej top o coś zahaczył, gdy pochylała się, by precyzyjnie się przez okno – życie zależało od takich drobiazgów, mogło zawisnąć na włosku, na obietnicy.

Gdy się odwróciła, był z nią w pokoju i celował jej prosto w twarz.

Emma Flyte nie wydawała się zachwycona Slough House. Może nie przesuwała palcem po różnych powierzchniach, cmokając z niezadowoleniem, ale mogło to wynikać z tego, że starała się niczego nie dotykać.

– Znane mi jest określenie „kultura biurowa” – stwierdziła po tym, jak już się rozejrzała – ale u was jest to raczej kultura bakterii.

River nie przejąłby się takim tekstem, ale w zeszłym tygodniu posprzątał. Albo, jak teraz sobie przypominał, myślał o tym, żeby posprzątać. Koniec końców zarzucił ten plan na rzecz tego, by mieć wszystko w dupie.

Flyte wybrała jego biuro, by ich wszystkich zebrać, bo w gabinecie Lamba ledwie starczało miejsca, żeby przewrócić oczami. Lamb, nadąsany jak cesarz na wygnaniu, zarekwirował biurko Rivera i właśnie przestawiał na nim różne rupiecie stopami. Ale przynajmniej nie zdjął butów. River opierał się o szafkę na dokumenty i instynkt podpowiadał mu, by mieć wszystkich na widoku, a Coe siedział przy swoim biurku i zachowywał się jak zwykle – jakby był sam. Catherine postawiła sobie krzesło pod ścianą i siedziała spokojnie z poskładaną gazetą na kolanach, zaś Louisa i Shirley stały po obu stronach okna jak dwa niedobre świeczniki. Ho oczywiście został zgarnięty przez psy i Lady Di, więc go nie było. To już wszyscy, pomyślał River.

Tego ranka Shirley patrzyła spode łba na niego i Louise, ale nie wkładała w to serca, głównie dlatego, że miała ochotę im powiedzieć, że miała rację, a oni się mylili. Około drugiej w nocy na ulicę, przy której mieszkał Ho, posypało się stłuczone szkło. Z okna wypadło ciało i zostało sprzątnięte. Wszystko to brzmiało jak rzeczy, o których kulawe konie marzyły, grzebiąc w arkuszach kalkulacyjnych – akcja, podekscytowanie, krzywda, która spotykała kogoś innego. Jednak to, że Shirley nie wdawała się w szczegóły, wskazywało, że sama też nie okryła się chwałą.

– Czyli Lamb przez cały czas tam był? – spytała Louisa.

– Wychodzisz z Kim, wracasz do Jacksona Lamba – odparła Shirley. – Ho ma mocno zjebane priorytety.

Później na miejsce zdarzenia przybyła policja, wkrótce potem psy. Według Shirley to był cyrk na kółkach i nikt nie miał pojęcia, co się dzieje.

Czyli tak jak zwykle.

Flyte, która zajęła pozycję przy drzwiach, omiotła wzrokiem zebranych. Gdy River miał z nią wcześniej do czynienia, nawiązali fizyczny kontakt, zderzając się głowami. I fakt, że stało się to przypadkiem, prawdopodobnie nie pocieszał jej tak

bardzo jak jego. Poważnie się wtedy posiniaczyła, ale nie pozostał po tym żaden trwały ślad. O ile Kim była można by dać osiem i pół, może nawet dziewięć, Emma Flyte była dziesiątką, może jedenastką.

W tej chwili skupiała się na Coem, który poprawiał sobie w uszach słuchawki.

– Co to?

Coe nie odpowiedział.

– Jest trochę nieprzystępny – poinformował Lamb. – Spróbuj walnąć go pięścią w twarz.

– Coe – odezwała się Louisa. – Ktoś chce zamienić z tobą parę słów.

Coe spojrział na Flyte.

– Co to? – powtórzyła.

– To iPod.

– Odłóż to.

– Dlaczego?

– Wyglądam jak ktoś, kto jest tu po to, żeby odpowiadać na pytania? – spytała Emma Flyte. – To jest lockdown. Żadnej komunikacji.

– To iPod – powtórzył Coe.

– Nie obchodzi mnie to.

– Zna pani charakterystykę Slough House, jak zakładam? – spytała Catherine.

– Miałam tę przyjemność.

– W takim razie wie pani, że niektórzy z nas mają... problemy?

– Do czego pani zmierza, pani Standish?

– Tylko do tego, że słuchanie muzyki ma uspokajający wpływ na pana Coego.

Widzi pani, on miewa ataki paniki.

– I co się stanie, jeśli nie będzie słuchał muzyki?

– Nie jestem pewna – odparła Catherine. – Jeszcze nigdy mu tego nie uniemożliwiłszy.

– Ale nosi nóż – wtrąciła Shirley.

Flyte spojrziała na Coego. Był chudy, blady i nosił bluzę z kapturem, która marszczyła mu się na ramionach: jeśli szukało się kogoś, kto miałby zagrać

Bowiego w gorszy dzień, całkiem nieźle by się nadawał. River przypomniał sobie, że gdy Coe trafił do Slough House, był jak zaciśnięta pięść, tak spięty. Nawet jeśli od tego czasu trochę się rozluźnił, to nie stał się bardziej przyjacielski.

– Zawsze o nim mówicie, jakby go tu nie było? – spytała Flyte.

– Tak.

– A on zawsze jest taki jak teraz?

– To część jego okresu przejściowego. Od pół roku ma chujowe życie.

Coe nawet okiem nie mrugnął. Wyglądał natomiast, jakby chciał jeszcze raz powtórzyć: „To iPod”.

Może właśnie to sprawiło, że Flyte westchnęła.

– Dobra – zdecydowała – możesz słuchać tego cholerstwa.

Jedyną reakcją Coego było wsunięcie do uszu słuchawek.

River zerknął na Shirley, która często wpadała w złość, gdy jakaś napięta sytuacja rozwiązywała się bez użycia przemocy, ale ta tylko pokręciła głową, jakby była zawiedziona, ale nie zaskoczona. Zauważyła jednak jego spojrzenie i pokazała mu język. Potem spojrzała na Louise.

– Jestem szpiegiem – zaczęła.

– Mów dalej, a cię zabiję – odparła Louisa. – Zabiję cię na śmierć.

– Cóż, musimy coś zrobić. Pomijając wszystko inne, nie zamierzam w milczeniu umierać z głodu.

Myśl, że Shirley potrafiłaby cokolwiek zrobić w milczeniu, była niepokojąca.

– Potrzebujemy zapasów – powiedziała.

– Ona ma rację.

– To co, pójdę i kupię nam coś dobrego, tak?

– Nikt stąd nie wychodzi – oświadczyła Flyte. – Wiesz, co znaczy „lockdown”?

– Przecież nikt nie zamierza wyjść – wyjaśnił Lamb. – Dander wyskoczy tylko na parę minut.

River, Louisa i Catherine zaczęli wygrzebywać pieniądze z kieszeni i portfeli i podawać je Shirley.

– Tylko pamiętaj, żeby było w tym coś pożywnego – powiedziała Catherine.

- I może cukier – dodała Louisa.
- Nigdzie się nie wybierasz – poinformowała Flyte.
- Tak, jasne – odparła Shirley. – Za pięć minut jestem z powrotem.

Przez chwilę wyglądało to tak, jakby Flyte chciała fizycznie przeszkodzić Shirley przejść przez próg. River i Louisa – z różnych powodów – wyobrażali sobie, że to mogłoby oznaczać przyjemne spędzenie kolejnych pięciu minut, ale nie miało do tego dojść. Shirley po prostu zanurkowała pod ramieniem Flyte i zaczęła schodzić po schodach, rytmicznie uderzając obcasami o stopnie.

Flyte spojrzała na Lamba.

- Myślałeś kiedyś o tym, żeby wpoić swoim ludziom jakąś dyscyplinę?
- Cały czas o tym myślę. Najbardziej odpowiada mi metoda kija i marchewki.
- Chyba kija albo marchewki?
- Nie. Kijem wpycham im marchewkę w dupę. Ogólnie to przynosi efekty. – Lamb zmarszczył brwi. – Mam nadzieję, że nie pomyślałaś, że używam metafory. To żaden pieprzony wieczór poetycki.

Ale wyglądało to trochę jak pieprzony wieczorek poetycki, bo było tu mało ludzi i nikt nie był ubrany z gustem. Cóż, wyjątek stanowiła Flyte, choć River podejrzewał, że na niej nawet spódniczka w szkocką kratę i wełniane rajstopy wyglądałyby dobrze. W tej chwili miała na sobie ciemny garnitur i białą koszulę. Włosy były związane z tyłu, oczy zdradzały poirytowanie i pewnie powinien przestać zastanawiać się nad jej wyglądem. Seksowna czy nie, była szefową psów, a jej poprzednik kiedyś kopnął Rivera w jaja. Gdyby przyłapała go na tym, jak jej się przygląda, mogłaby mu zrobić to samo. Zresztą pewnie i tak miała ochotę to zrobić ze względu na dawne czasy.

Wyglądało jednak na to, że Lamb jest zadowolony z konwersacji z nią.

- Czyli jesteś na liście tego, co uszczęśliwia Claude'a Whelana?
- Czemu tak myślisz?
- No cóż, Lady Di cię nie lubi. Zazwyczaj to szybka droga do zasiłku dla bezrobotnych, a mimo to wciąż jesteś na swoim miejscu. To znaczy, że albo podobasz się Pierwszemu Biurku, albo masz na niego jakieś brudy.

– Wykonuję swoją robotę – stwierdziła Flyte. – I wykonuję ją dobrze. Whelan o tym wie.

– Nie ufam mu. Ma oczy pastora.

– Oczy pastora?

– Zbyt jasne. Zbyt lśniące. Wystarczy dać mu pół szansy, a będzie chciał zacząć z tobą rozmowę. – Zwrócił się do Rivera: – Jak wiecie, jestem niesłychanie pobożny, ale księży przyprawiają mnie o ciarki. – Znow skierował słowa do Flyte: – Jest Pierwszym Biurkiem, bo był we właściwym miejscu, gdy przestała grać muzyka, to wszystko. Taverner sprzedałaby nerki własnej matki za tę robotę i o ile się nie mylę, robiłaby to dobrze. Ale Whelan to średni szczebel menedżerski. Co w języku politycznej poprawności oznacza, że jest miernotą.

– Ma za sobą premiera.

– No to nie mam już nic do dodania.

– Co się stanie z Roddym? – spytała Catherine.

Flyte drgnęły brwi, co River zinterpretował jako wzruszenie ramionami.

– Przesłuchanie.

– Będzie nieprzyjazne?

– Nie przypuszczam, by mogło być specjalnie delikatne.

River, Louisa i Catherine zastanawiali się nad tym, dwoje z nich z nieznacznym uśmiechem. J.K. Coe nadal był w swojej własnej rzeczywistości, ale – jak zauważył River – nie naśladował już palcami gry na fortepianie. Lamb natomiast przybrał pozę, którą kulawe konie nazywały hipopotamem w stanie spoczynku: pozornie potulny, ale nie należało się za bardzo zbliżać.

Nikt nie robił niczego, co mogłoby choć trochę być pożyteczne. Po prostu zwyczajny dzień w biurze, pomyślał River.

Shirley wróciła lekko skropiona deszczem, ściskając w rękach prowiant na sytuację awaryjną. Po bliższej inspekcji okazało się, że składa się on z dwóch butelek czerwonego wina i rodzinnego opakowania haribo.

– O, na litość boską! – jęknęła Louisa.

A Lamb równocześnie zażądał:

– Daj mi jedno.

Shirley podała mu haribo.

– Bardzo zabawne.

Podsunęła mu butelkę wina.

– Nie wiem, co będzie gorsze – powiedziała Flyte. – picie czy nagły przypływ energii po spożyciu dużej ilości cukru.

– Wydałaś moje pieniądze, żeby kupić wino? – spytała Catherine.

– Tak – odparła Shirley. – Pomyślałam, że dla reszty z nas o wiele więcej zostanie.

– Cóż, nie mam tej logice nic do zarzucenia – zauważył Lamb. Otworzył butelkę i zaczął pić prosto z niej. – No dobra. Burza mózgów. – Spojrzał na Flyte. – Mam nadzieję, że to określenie cię nie obraża.

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam padaczki.

– Nie, ale jesteś blondynką. Niektóre z was stają się drażliwe, kiedy ktoś wspomina o mózgu. – Rozejrzał się po pokoju. – Ktoś chce zabić Ho. To znaczy ktoś, kto nie jest jednym z was. Jakież pomysły?

– Kim – rzuciła Shirley. I dodała: – Jego dziewczyna.

– Czemu? Pomijając oczywiste względy.

– To nie jego liga – odezwał się River. – Zdecydowanie nie jego liga.

– To nie zawsze prowadzi do morderstwa. – Lamb spojrział na Flyte. – Bzykałaś kiedyś dwóch naraz?

– Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie.

– No proszę.

– Ona go kantuje – powiedziała Louisa. – Musi tak być.

– No dobra. Ale chociaż ma więcej pieniędzy niż reszta z was, bo miał dość rozumu, by być jedynym dzieckiem odnoszącego sukcesy biznesmena, i tak nie jest wart długoterminowej inwestycji jakiejś poważnej oszustki. Gdyby chodziło tylko o jego pieniądze, już parę miesięcy temu by go oskubała i się ulotniła. I pewnie nie pofatygowalaby się, żeby czekać, aż spuszczą mu lanie, chyba że działała

wyłącznie ze względów estetycznych. – Znowu spojrzał na Flyte. – Zakładam, że nie karzesz zabijać tych, z którymi bzykasz się z litości.

– Jeszcze nie. Ale zastanawiam się, czy nie wprowadzić polityki „strzelać, żeby zabić” wobec grubych sukinsynów.

– No i proszę. Dziesięć minut, a ty już zaczęłaś się wpasowywać.

– Informacje – odezwała się Louisa.

– To musi być to. Postawmy sprawę jasno. Może i Ho jest fiutem, ale wie, jak obejść hasło. Gdyby nie to, już dawno upchnąłbym go do plastikowego worka i wrzucił do rzeki. A więc ta kobieta...

– Kim.

– Jego dziewczyna.

– Mniejsza z tym. W każdym razie jest podstawiona. Co o niej wiemy?

– Jest Chiną – stwierdziła Shirley.

– Wyglądała na Chinę – powiedział River.

– Właśnie – dorzucił Lamb. – Nie wyciągajmy pochopnie rasistowskich wniosków. Może być normalna i tylko wyglądać na Chinę. Ale jest jeszcze jedna rzecz...

J.K. Coe się wzdrygnął i wyprostował.

– Och, obudziliśmy go?

Louisa, która siedziała najbliżej, kopnęła Coego, a ten wyciągnął słuchawki z uszu.

– Doskonale – powiedział Lamb. – Lubię, kiedy ludzie chociaż udają, że uważnie słuchają. Jest jeszcze jedna sprawa, o której zapomniałem wspomnieć. Ktokolwiek działał z nią w zмовie, odpowiada za zamach w Abbotsfield.

Ciszę, która po tym nastąpiła, psuł tylko odgłos Shirley przeżuwającej haribo.

Potem J.K. Coe powiedział:

– Chyba mamy problem.

7

Zimą dzień męczy się wcześniej i znika za drzwiami przed piątą. Wkłada płaszcz i rusza na zachód, do zobaczenia jutro. Potem długą zmianę przejmuje noc i choć większość jej przesypia i nie bardzo zwraca uwagę na to, co dzieje się w jej spokojniejszych zakamarkach, w ten czy inny sposób udaje jej się przebrnąć do rana. Ale latem dzień zostaje na dłużej, by cieszyć się światłem słońca; pozwala sobie na chwilę zastoju po lunchu i stawia trochę niepewny krok, gdy o piątej pojawiają się cienie, ale ogólnie ciągnie tak długo, jak może. I w tych niespodziewanie rozciągniętych godzinach jest więcej okazji, by różne sprawy mogły wyjść na jaw, a jeśli to się nie uda, to by na różne sprawy mogło chociaż paść światło.

Światło padające na Regent's Park tego popołudnia rzucało doskonałe cienie. Były niczym zaprojektowane przez profesjonalistę, pocięte w poziome pasy przez żaluzje, by wyryć się na biurkach, ścianach i podłogach, zmieniając położone na piętrze biura w strony katalogu mody, tak że do dopełnienia tego efektu potrzebny byłby tylko model albo manekin. Ale podobnie jak ma się to z łabędziami, cała prawdziwa praca w Regent's Park odbywała się w niewidocznych miejscach; choć górnym piętrzem nie można było odmówić malowniczej pracowitości, prawdziwa harówka odbywała się w centrali; tam, gdzie Lady Di Taverner i Claude Whelan spoglądali przez szklane ściany na chłopaków i dziewczyny monitorujących świat i wszystkie zróżnicowane rzeczywistości, jakie ma on do zaoferowania. Tu polowanie na zabójców z Abbotsfield trwało dalej. Postępy były powolne. To

nikogo nie dziwiło. Kiedy zjawiasz się znikąd i zabijasz wszystko w zasięgu wzroku, nie zostawiasz zbyt wielu śladów, po których można cię namierzyć. Początki odysei tych zabójców spowijała mgła zakłóceń. Ich jeep pojawił się po raz pierwszy na kamerach monitoringu osiem mil na północ od Sheffield; śledzenie wstecz przeniosło go na obrzeża tego miasta, gdzie zniknął w elektrycznej nawałnicy: w rwącym się szumie i zakłóceniach ze zbyt wielu kamer obserwujących zbyt duży ruch uliczny i zbyt szybko przeskakujących między zbyt wieloma ujęciami. Nawet jeep potrafił zniknąć w bezruchu między kolejnymi cyfrowymi oddechami.

A kiedy dzieje się coś takiego, teorie spiskowe rozkwitają jak pleśń. Musi istnieć jakiś powód, dla którego jeep tak skutecznie uniknął obserwacji; musi istnieć jakaś tego przyczyna. I istniał powód, a był on taki: czasem gównem trafia w wentylator. Kiedy wszystko idzie gładko i wiatr wieje tak jak trzeba, ludzie w jeepie zostają aresztowani, zanim skończą oliwić broń, a ich ofiary dalej wiodą swoje życie i nigdy się nie dowiadują, jaki los je ominął. Ale kiedy gównem trafia w wentylator, źli kolesie znikają, nazwiska ich ofiar trafiają na nagłówki, a chłopacy i dziewczyny z centrali pracują przez ciągnący się w nieskończoność dzień w skazanej na niepowodzenie próbie naprawienia błędów, które inni podzucili im na próg.

A tymczasem, gdy popołudniowe światło wścibsko zaglądało w nieużywane zakamarki, trwały też inne łowy. Otwierano akta – niektóre w prawdziwych tekturowych teczkach zawierających prawdziwe kartki papieru, bo idea była taka, że aby je ukraść, trzeba by było faktycznie dostać się do budynku, podczas gdy cyfrowa kradzież nie wymagała takiej obecności – i przeglądano je pod kątem gorącej zawartości, by przedstawić ją Pierwszemu Biurku. Deputowanych nie szpieguje się automatycznie, choć wielu z nich jest przekonanych, że coś takiego się odbywa. Ci jednak spośród nich, którzy są niewygodni, notorycznie niedyskretni, podejrzanie niewinni i ostentacyjnie niesforni, przewijają się przez radar tajnych służb, często na żądanie własnych przywódców. MI5 istnieje, by zapewnić narodowi bezpieczeństwo, więc niebezpieczeństwem, które mogą

stwarzać elity polityczne, także należy się zająć. Obecny premier, podobnie jak wielu jego poprzedników, był bardzo wyczulony na ewentualność zdrady – jak zauważył kiedyś pewien dowcipniś, przewidział aż siedem z ostatnich dwóch rebelii w szeregach partii – i w ciągu swojego niewytłumaczalnie przedłużającego się pobytu na Downing Street 10 zdążył zażądać szczegółowych raportów na temat właściwie każdego deputowanego ze swojej partii, któremu przypadło więcej niż dwa całe tekstu w gazecie lub siedem minut czasu antenowego w dwa kolejne dni. Doprowadziło to do mnóstwa papierkowej roboty, a większości z tego, czego się dowiedziano, nigdy nie ujawniono premierowi, ponieważ zdecydowano, że wspomniane informacje są politycznie nieistotne, osobiście krępujące lub potencjalnie zbyt użyteczne, by tak lekko je zaprzepaścić. W efekcie w kolekcji Molly Doran istniały akta Dennisa Gimballa; teczka nieoznaczona czarną etykietą ani też czerwoną czy zieloną – każde z tych oznaczeń wskazywałoby na niego jako wymagającego bacznej uwagi, a być może nawet dyskretnego odejścia ze służby publicznej, jak mogłoby poświadczyć kilku byłych ministrów spraw wewnętrznych i ministrów spraw zewnętrznych – lecz białą, na której ktoś, zapewne sama Molly, dodał odręcznie mały krzyżyk, by zaznaczyć, że w okładkach tej teczki może się kryć jakieś dziwactwo, jakieś upuszczone oczko, niespodziewany splot tkaniny życia; szczelina, w którą można by wsunąć prowizoryczny klucz i go przekręcić.

Claude Whelan niewiele wychodził. Jeździł z domu do Regent's Park i z Regent's Park z powrotem do domu; kursował między Regent's Park a Whitehall; zazwyczaj jadał lunch przy własnym biurku. To prawda, od czasu do czasu wzywano go, by uczestniczył w spotkaniach z dala od biura, w terenie, jednak w przeciwieństwie do swej nieodżałowanej/godnej pożałowania – wedle wyboru – poprzedniczki Ingrid Tearney starał się poświęcać jak najmniej czasu wizytom w Waszyngtonie, utrzymując, że jeśli usprawniona komunikacja nie prowadzi do mniejszej ilości godzin spędzonych w samolocie, to nie jest warta światłowodów, które ją umożliwiają. Natomiast gdy nie dało się odmówić zaproszeniu, sporadycznie spędzał wczesny wieczór, obracając w rękach gin z tonikiem w tym czy innym lokalu ze wstępem tylko dla członków klubu, gdzie

wśród zabytkowych mebli można było wypatrzeć dawne grube ryby, takie jak Peter Judd, planujące swój wielki powrót. Przez większość czasu jednak Claude był zwierzęciem biurowym: papiery trafiały na jego biurko, były podpisywane i niepostrzeżenie wynoszone; do jego skrzynki odbiorczej wpadały wiadomości i były połykane przez elektryczne obwody. Bycie przykutym do mebla nie było niczym wstydliwym. Nie było też w tym żadnej specjalnej godności ani heroizmu – wszystko, co mogło się przytrafić agentowi w terenie, mogło się też przytrafić darmozjadowi, ze zdradą włącznie. Whelan świetnie pamiętał pierwszego człowieka, który go zdradził; człowieka, z którym w swoim czasie wspólnie realizował projekty, zasiadał na zebraniach, dyskutował o geopolityce, jedząc kanapkę. Jak się okazało, człowiek ten padł ofiarą demonów, w związku z czym pilnie potrzebował pieniędzy i był podatny na pokusy. W jego mieszkaniu znaleziono listę tajemnic na sprzedaż i rozpiskę potencjalnych nabywców. To właśnie Claude zasugerował, że nie należy przepuścić tak świetnej okazji do szerzenia dezinformacji; że jego dawny przyjaciel, choć nie jest już wiarygodny, może być chociaż cennym kanałem informacyjnym. To Claude wymyślił operację „Lista Zakupów”, plan, który spalił na panewce, zanim zdążono go wdrożyć, bo początkujący zdrajca popełnił samobójstwo. Wszystko to było skomplikowane nawet i bez podróžowania. Nie, Claude nigdy nie czuł, że jego horyzonty są ograniczone za sprawą niechęci do opuszczania miejsc, gdzie czuł się bezpieczny; dość się napatrzył na dobre i złe rzeczy bez konieczności pakowania walizki. Niewychodzenie nie było słabością. Dla Claude’a było to wykorzystywanie jego mocnych stron.

Dziś jednak nastał dzień, w którym będzie zmuszony opuścić biuro. Na jego biurku wylądowała teczka Dennisa Gimballa i szybkie przejrzenie jej wystarczyło, by Whelan zmienił swoje plany na to popołudnie. Pomijając wszystko inne, Gimball ostatnio z rozkoszą niszczył reputację Claude’a. Whelan nie był człowiekiem mściwym, ale wynikało to głównie z tego, że rzadko miewał okazje do zemsty. Pod tym względem przypominał większość ludzi, z tą przewagą, że był

szeffem tajnych służb i miał dostęp do akt, takich jak te, które leżały teraz przed nim.

Ale przed wyjściem musiał się zająć jeszcze jedną sprawą.

– Ten cały Ho – powiedział.

– Jest na dole, sir.

„Na dole” w Regent’s Park oznaczało różne rzeczy. Claude sam znajdował się na dole, w tym sensie, że był w centrali. Jednak poniżej były pomieszczenia, w których naprawdę nie miało się ochoty spędzać zbyt wiele czasu, o ile komuś zależało na tym, by opuścić je o własnych siłach. W przeciwieństwie do bycia z nich wyniesionym na noszach lub wywiezionym w wiaderku przez kogoś w typie człowieka, z którym w tej chwili rozmawiał: jednego z psów Emmy Flyte.

– Kto z nim rozmawia?

– Nikt, sir. Kazano nam go zostawić, żeby się trochę spociał.

Dobre, choć trochę oczywiste posunięcie. Jeśli było się w jednym z pomieszczeń na dole, takim z plastikowym krzeselkiem, którego nogi nie były takiej samej długości, człowiek prędzej czy później się zastanawiał, dlaczego podłoga jest lekko pochyła i po co jest ten kran w kącie, skoro nie ma tam umywalki. Tylko otwarty odpływ.

Po kilku godzinach takich rozmyślań mogło się to zacząć wydawać bardzo ważną sprawą.

Jak na razie nie było pewności co do tego, że zamach na Rodericka Ho jest w jakiś sposób związany z masakrą w Abbotsfield. „Broń jest walutą”, powiedział wcześniej Whelan do Lady Di. „Możliwe, że zabójcy z Abbotsfield pozbyli się swojej broni, kiedy tylko mieli taką możliwość. I trafiła w ręce innych podejrzanych typów. A w tym wypadku to, co tutaj mamy, to zbieg okoliczności”.

– Nie lubię ich.

– Cóż, ja też nie. Tylko nawet jeśli to ta sama ekipa, to plan jest zupełnie inny. Mordowanie przypadkowych ludzi to jedno. Ale tu była próba zamachu na członka personelu MI5. Zupełnie inna bajka, prawda?

– Tak. Albo...

– Albo co?

– Albo ktoś próbował dopiąć wszystko na ostatni guzik – powiedziała Lady Di.

– Może Ho im pomagał, świadomie lub nie. A w takim wypadku...

W takim wypadku możliwe, że będą chcieli przeciąć to powiązanie.

Diana mogła mieć rację i należało to sprawdzić. Jeśli istniał jakiś związek między Ho i Abbotsfield, musieli go odkryć, a najszybszym sposobem byłoby niezbyt delikatne przyciśnięcie Ho.

Ale Roderick Ho był kulawym koniem, więc z jednej strony oznaczało to, że można go zgnieść i wyrzucić jak nikomu niepotrzebną kulkę papieru, ale z drugiej wiązało się to z pewną komplikacją. Był też członkiem ekipy Jacksona Lamba, a Lamb miał skłonność do brutalnych zagrywek, gdy ruszyło się coś, co należało do niego. A więc jakakolwiek próba, by to zrobić, musiałaby też obejmować wykiwanie Lamba. Whelan nie był skłonny lekkomyślnie podejmować takich kroków, bo w razie niepowodzenia zostałby na spalonej ziemi. Lamb wiedział o Whelanie znacznie więcej, niż temu ostatniemu to odpowiadało. Poza tym Whelan powinien jeszcze wykombinować, jak się uwolnić z tego narożnika, więc na razie musiał postępować ostrożnie.

Może i Lady Di dostarczyła Ho, ale to od Whelana zależało, co się stanie potem.

A więc zanim wyruszył, by stawić czoła Dennisowi Gimballowi, wydał polecenie. „Niech się na razie poci. Jeszcze parę godzin spokoju. Na dłuższą metę to się opłaci”.

Bo w spokoju czy nie, po kilku godzinach spędzonych na dole Roderick Ho zmieni się w galareteę; popieprzoną kulkę strachu i zmartwień, która nie może się doczekać, by wszystko wyśpiewać.

Po pierwsze, pomyślał Ho, instalacja jest zjebana.

Jeden kran sterczący ze ściany na takiej wysokości, że trzeba by być znacznie poniżej przeciętnego wzrostu, żeby móc go wygodnie używać. Czyj to w ogóle był pomysł? Ale coś takiego się właśnie dostawało, kiedy korzystało się z usług

partaczy. Można by pomyśleć, że MI5 stać na coś mniej taniego i trochę bardziej solidnego, ale widać, że wirus oszczędzania dostał się nawet tutaj. Wystarczy spojrzeć na Slough House i jego własny sprzęt – już lata temu był przestarzały i choć Roddy Ho potrafił sprawić, by kabel do PC dowolnego rocznika uniósł się z kosza niczym wąż, to nie usprawiedliwiałaoby wtykania mu sprzętu poniżej pewnych standardów. Już od dawna miał zamiar poruszyć tę kwestię przy pierwszej możliwej sposobności, ale zastanawiał się, czy teraz jest na to właściwy moment. Ludzie tutaj mieli własne problemy. Nawet podłoga nie była równa. A poza tym były inne sprawy, które należało omówić.

Zeszłej nocy ktoś próbował go zabić.

Choć to nie za dobrze, przynajmniej nie mógł narzekać, że nie jest traktowany poważnie. Bądź co bądź został prewencyjnie aresztowany i przewieziony tutaj przez samą Dianę Taverner, Drugie Biurko (Operacje), do tego stopnia wstrząśniętą tym, jak bliscy byli tego, by go stracić, że przez całą drogę niewiele się odzywała. W sumie to prawie poklepał ją po dłoni – po prostu, by ją pocieszyć, że wciąż jest wśród żywych – ale uświadomił sobie, że taki fizyczny gest mógłby zostać źle odczytany: innym razem, przy innej okazji, paniusiu. Bo musiał myśleć o Kim, swojej dziewczynie. I bądźmy poważni: w tej chwili Lady Di powinna się skupić na zapewnieniu mu bezpieczeństwa, a nie pozwalać sobie na fantazje kobiety w średnim wieku.

(Należy zauważyć, że ten średni wiek to z jego strony grzeczność. Musiała być po pięćdziesiątce).

W każdym razie teraz był tu, w trzewiach Regent's Park, doprowadzony przez psy, wewnętrzną policję MI5. Nie były zbyt rozmowne i zapomniały, że poprosił o napój energetyczny. Ale z drugiej strony, jeśli zachce mu się pić, będzie mógł się napić z tego kranu. Nikt nie może powiedzieć, że Roddy Ho nie jest w stanie tego znieść, kiedy góra będzie się zastanawiać, jak najlepiej go ochronić.

Roddy zaciągnął krzesło w róg pokoju i zabawił się sprawdzaniem, pod jakim ostrym kątem może na nim balansować, zanim przewróci się na podłogę. Wyszło

na to, że mniej więcej w połowie tak ostrym jak przy pierwszej próbie, ale okazało się, że ma mnóstwo czasu, by dojść do wprawy.

J.K. Coe powiedział:

– Chyba mamy problem.

– On niewiele mówi – wyjaśnił Lamb, zwracając się do Flyte. – Może stara się ze względu na ciebie. Zobaczmy. – Odwrócił się do Coego i bardzo powoli powiedział: – A czemuż to... mamy... problem?

Potem znów spojrzał na Flyte i popukał się palcem w czoło.

„Jest trochę ograniczony”, przekazał niemym ruchem ust.

Coe owinął sobie palce kablem od słuchawek.

– Doszło do kolejnego incydentu.

– Znów się zmoczyłeś? Nie martw się, nie zauważyliśmy.

– Wysłuchajmy go, dobrze? – odezwała się Catherine.

– Bomba w pociągu – powiedział Coe.

– I ta informacja dotarła do ciebie z muzyką, tak? – spytał Lamb. – Może sam będę musiał spróbować słuchania jazzu. Tyle że już wolałbym wetrzeć sobie piasek w oczy.

Przysunął butelkę do ust i napił się wina, jakby to była woda.

– On nie słucha jazzu – powiedziała Catherine.

– Tak, bardzo zabawne, sam do tego doszedłem.

– Mamy lockdown – powiedziała Flyte. – Żadnej komunikacji. A ty słuchałeś radia?

– Nie czepiaj się go tak – odezwała się Shirley. – On nosi przy sobie nóż. – Wcześniej znalazła gdzieś plastikowy kubek i nalała sobie wina, i teraz od tego, albo od haribo, miała czerwone usta. Wyglądała, jakby umalowała się szminką, kiedy nikt nie patrzył.

– Gdzie była ta bomba? – spytał River. – Są jakieś ofiary?

– Nie ma ofiar. Bombę znaleziono i rozbrojono.

– Gdzie?

– W pociągu ekspresowym z Bristolu. Jadącym do Paddington.

Pozostali zdążyli już powyciągać telefony i zaglądali na strony informacyjne.

– Mam to jeszcze raz powtórzyć? – spytała Flyte. – Wyłączcie swoje urządzenia. Mamy lockdown.

– To dlatego, że jesteś tu nowa – zauważył Lamb. – Sprawdzają, na ile mogą sobie pozwolić.

– Kiedy będę potrzebować twoich wyjaśnień, poproszę o to.

River, nie odrywając wzroku od telefonu, powiedział:

– Na razie nikt się do tego nie przyznał.

– No cóż – mruknął Lamb. – Przypisywanie sobie zasługi za coś, co się zjechało, to już raczej twoja działka. – Spojrzał na Coego. – A co do ciebie. Ja tu z wielką pompą ogłaszam, że zabójcy z Abbotsfield wywinęli numer Ho, a ty to próbujesz przebić jakąś historyjką o próbie zamachu, w której nie było żadnych ofiar? – Pokręcił głową. – Chyba powinniśmy zacząć grywać w karty na pieniądze.

– To nie wszystko, prawda? – spytała Louisa.

Coe położył ręce na biurku. Jego zwinne palce wydawały się niespokojne.

– Tak.

Westchnienie Lamba mogłoby wypełnić żagiel.

– Nie zaszkodziłoby parę pieprzonych szczegółów. Kiedy już będziesz gotów.

Coe zsunął zwinne palce prawej dłoni i zacisnął ją w pięść. Potem zaczął je kolejno rozprostowywać, wciąż wpatrując się w biurko przed sobą.

– Jeden. Zniszczyć wioskę.

River otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

– Dwa. Zatruc wodopój.

Lamb z ponurą miną odchylił się na krześle.

– Trzy. Sparaliżować ruch kolejowy.

Coe znów zacisnął pięść i wsunął ją do kieszeni bluzy z kapturem.

Nastąpiło krótkie milczenie, które przerwała Shirley:

– Coś mi umknęło?

– On chce powiedzieć, że to nie są przypadkowe działania terrorystyczne – odezwał się River, nie odrywając wzroku od Coego. – To strategia destabilizacji.

– Rozerwanie na strzępy paru pingwinów? – spytała Shirley. – Kogo to ma zdestabilizować? Davida Attenborough?

– Nie chodzi o pingwiny – powiedziała Catherine. – Tylko o nazwę. To chcesz nam powiedzieć?

Coe kiwnął głową.

– Wodopój – powiedział River. – Czemu to ma znaczenie?

– Zastanów się – rzucił Lamb.

Zastanowili się nad tym; wszyscy oprócz Coego, który sprawiał wrażenie, jakby znów wycofał się do swojego prywatnego wszechświata.

Wreszcie odezwała się Emma Flyte:

– Cóż, jeśli to ma być plan destabilizacji, to nie za bardzo działa, prawda? Bo bez względu na to, jakiego głównego planu się trzymają, efekty wciąż wyglądają na przypadkowe. Nie mówię, że jest dobrze, ale to przecież nie koniec świata. Abbotsfield? Oczywiście to tragedia, ale jeszcze tydzień temu nikt o tym miejscu nie słyszał.

– Gratuluję – powiedział Lamb. – Zostałaś honorowym kulawym koniem.

– Bo powiedziałam, co myślę?

– Nie. Bo, kurwa, nie zrozumiałaś, o co chodzi.

– Ale ona ma rację – powiedziała Louisa. – Jeśli to będzie dalej trwało, ludzie zaczną być nerwowi w publicznych miejscach, bać się tego, co się może stać. Ale przecież nie pomyślą sobie, że jakiś geniusz zła ma strategię. To znaczy, gdyby coś takiego się stało w jakimś malutkim państwie gdzieś na świecie...

Urwała.

– No proszę – rzucił Lamb. – W końcu dotarło. – Popatrzył na Coego. – Działają według planu, który mógłby spacyfikować lokalną ludność. Bo wszystko było w liczbie pojedynczej, prawda? Wioska. Wodopój.

Coe skinął głową.

– Ten plan nigdy nie był przeznaczony dla państwa rozmiarów Wielkiej Brytanii.

– No to dlaczego... – zaczął River i zaraz urwał. Potem dodał: – Jeśli strategia nie pozwoli osiągnąć pierwotnego celu, to po co została zastosowana?

– A póki wciąż gramy w dwadzieścia pytań – odezwał się Lamb – ktoś ma jakiś pomysł, jak to możliwe, że nasz szalony mnich to widzi?

– O Jezu – jęknął River. – To ktoś z naszych, prawda?

Coe pokiwał głową.

Pozostali gapili się po sobie, nic nie rozumiejąc. Tylko Lamb, który przymknął oczy, i Catherine, która kręciła głową, zdawali się pojmować implikacje.

– No do kurwy nędzy! – zezłościł się Lamb. – Może i jest trochę ograniczony, ale w porównaniu z wami wszystkimi jest jak chodzące sudoku. Nie działają według planu jakiegoś obcego wywiadu, żeby zdestabilizować Wielką Brytanię, tylko według brytyjskiego planu, jak zdestabilizować jakieś upierdliwe państwko. I zgadza się, zamordowanie pingwinów i nieudana próba wysadzenia pociągów nie rzuci kraju na kolana, ale kiedy ci żartownisie, kimkolwiek są, ujawnią, że działają według strategii opracowanej przez brytyjski wywiad, by osłabiać rozwijające się państwa, to cóż... Ktoś chce dodać dwa do dwóch?

– To będzie pieprzona rozpierducha – podsunęła Shirley.

– Choć raz mówisz z sensem.

– Zatruc wodopój? – powiedział River. – Sprzed ilu lat jest ten plan?

– To nieważne – odparła Catherine. – Może nie jest najnowszy, ale to wciąż tajna operacja. Zginęli ludzie.

– I pingwiny – dodała Shirley.

– Mogło być o wiele gorzej – odezwała się Louisa. – Ile barów nazywa się „Wodopój”?

– A mamy w ogóle jakąś pewność, że to prawda? – spytała Emma Flyte. – To znaczy, wybaczcie mój sceptycyzm, ale... Nazywasz się Coe, prawda? Pan Coe palnął coś o tym, że to brytyjski plan, i nagle wszyscy wydajecie się całkowicie

przekonani. Ja osobiście wolałabym usłyszeć coś więcej na ten temat. I nie zapalisz tego – dodała, gdy w ręce Lamba pojawił się papieros.

– Normalnie nawet bym o tym nie marzył – odparł Lamb. – Ale tylko to pozwala mi jakoś zapanować nad rozstrojem żołądka.

Zanim Emma zdążyła coś odpowiedzieć, Catherine powiedziała:

– Nie chcesz sprawdzać, czy mówi prawdę, serio.

Lamb się zaciągnął, a potem dym otoczył go ze wszystkich stron. Zwrócił się do Coego:

– I jak, opowiesz nam o początkach tego planu? Czy już odstawiłeś swój imprezowy numer?

Coe zerknął na Lamba, a potem wbił wzrok w swoje biurko.

– To z roboczych dokumentów, które analitycy stworzyli po wojnie. Strategia destabilizacji rozwijającego się regionu, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Został przegrywem, kiedyś był chujem... to znaczy mózgiem. To zawsze mi się myli – wyjaśnił Lamb Emmie Flyte.

– Pracowałeś za rzeką? – spytała.

Coe kiwnął głową.

– Sekcja oceny psychologicznej – powiedziała Shirley. – Zna się na historii tajnych operacji.

– Może i tak – odparła Flyte – ale wciąż wydaje mi się to naciągane.

– Z wyjątkiem wodopaju – powiedziała cicho Catherine. – Bo Louisa ma rację. Jest mnóstwo barów o nazwie „Wodopój”. Ale gdyby wybrali któryś z nich, nikt by nie powiedział: „Hej, wodopój”. Powiedziano by, że był zamach w barze.

– I te dokumenty wygrzebano z szuflady jakiś czas temu – powiedział Coe. – Jakiś geniusz wymyślił, że mają wartość jako wzorzec. Bierze się podstawowe zasady i stosuje je na szerszą skalę. Albo powieliła je się w jakimś większym regionie, żeby te same zdarzenia miały miejsce w więcej niż jednej lokalizacji równocześnie. – Umilkł, a potem dodał: – To była jedna z tych gier, w które się tam grywa. Prawie nigdy się ich nie wdraża. No ale niektóre tak.

– Tylko że tej nie wdrożono.

Wzruszył ramionami.

– Teraz już tak.

– Nie jestem przekonana – stwierdziła Flyte.

– To wiesz co? Pierdol się – powiedział Lamb. – Bo nie widzisz tego, co najważniejsze.

– To znaczy?

– To znaczy, skąd ci, którzy to robią, dorwali te dokumenty z „Wodopojem”.

– Ho – powiedzieli równocześnie River, Louisa i Shirley.

– Biedny Roddy – mruknęła Catherine.

– A Kim... – zaczęła Louisa.

– ...jego dziewczyna... – wtrącił River.

– ...musi być kontaktem między nim i tymi ludźmi.

– Co by wyjaśniało, dlaczego ktoś próbował go rozwalić.

– Dwa razy.

– I dlaczego Ho ma dziewczynę – dokończyła Shirley.

Flyte wyglądała, jakby ktoś przywalił jej w głowę nocnikiem.

– Ktoś próbował zabić naszego czynnego informatyka – wyjaśnił Lamb. – Jego koledzy sugerują, że być może dlatego, że jakaś podstawiona laska namówiła go do przekazania tego planu destabilizacji. I ci, którym go przekazała, nie chcieli, by się wygadał, zanim nie skończą.

– To dlaczego Ho nie powiedział, że to zrobił? – zaprotestowała Flyte. – Kiedy już zdał sobie sprawę, że ktoś go próbuje zabić?

– Cóż, istnieje spora szansa, że jeszcze tego nie zauważył – odparła Louisa.

– Nie bez powodu wszyscy tu jesteście, co? – powiedziała po chwili Flyte. – Wciąż o tym zapominam.

– A twoja wspaniała kariera wisi na włosku zwisającym z kciuka Claude’a Whelana – przypomniała Louisa.

Nawet lubiła Emmę, ale nie zamierzała wysłuchiwać od niej takiego gówna.

– Uważaj – rzucił Lamb. – Ona gryzie. A tak w ogóle, jest pewien prosty sposób, żeby sprawdzić, czy Coe nie pierdoli bez sensu. Ktoś ma jakiś pomysł?

Nastąpiła chwila milczenia.

– Możemy go torturować – podsunęła Shirley.

Coe posłał jej spojrzenie tak ostre, że mogłaby wymodelować sobie nim i tak bardzo krótką fryzurę.

– Doliczył dopiero do trzech – odezwał się River.

– Prawie szkoda, że jesteś taką tępą pałą – stwierdził Lamb. – Gdybyś się trochę wyrobił, miałbyś szansę zostać nawet półgłówkiem. Bo tak, akurat w tym przypadku masz rację. Coe wyliczył dopiero trzy punkty. – Wskazał szyjką butelki wina w stronę Coego, zaciągnął się papierosem i powiedział: – No dobra, panie stresie przedmiesiączkowy, pourazowy czy co tam cię dręczy, oświeć nas. Co te sukinsyny teraz zrobią?

– Zabiją przywódcę populistów – powiedział Coe.

Ta bordowa marynarka daje mi przewagę, pomyślał Dennis Gimball, podziwiając swoje odbicie w wielkim lustrze. Garnitur może włożyć każdy. I wszyscy to zwykle robią. Ale trzeba mieć styl, by nosić się mniej konwencjonalnie, a w tym fachu styl się liczy. Ilu polityków pamiętano dzięki temu, w co się ubierali? Oczywiście nie licząc Michaela Foota. Obrócił się, by przyjrzeć się sobie z profilu, wsunął dłoń między trzeci a czwarty guzik marynarki i wypiął pierś. Doszedł do wniosku, że dobrze by się prezentował na pięciofuntowym banknocie. Do diabła, prezentowałby się dobrze nawet na znaczku pocztowym.

Szybko cofnął rękę, gdy do pokoju weszła Dodie. Ale nie dość szybko.

– Pozowałeś, mój drogi?

– Tylko... się drapałem.

– Cóż, lepiej tego nie rób przed kamerami. Ani jednego, ani drugiego.

– Przecież trzeba pozować przed kamerami.

– Wiesz, jest pozowanie i pozowanie. – Przyjrzała mu się krytycznie, a właściwie nie jemu, tylko jego odbiciu w lustrze. Ważył parę funtów za dużo, ale w polityce to za bardzo nie przeszkadzało. Ale gdyby im się nie udało i skończyliby w *Tańcu z gwiazdami*, ktoś by go musiał przypilnować.

– Słuchałeś wiadomości? – spytała. – Była kolejna bomba.

– O Boże!

– Żadnych ofiar.

– O Boże. To znaczy dobrze. Gdzie? Kiedy?

– W pociągu – odparła Dodie. – Każę przysłać ze studia mail ze szczegółami.

Kiedy będą cię o to pytać, a będą, spróbuj brzmieć tak, jakbyś wiedział więcej, niż możesz powiedzieć. Jakby najważniejsze tajne informacje przechodziły przez twoje biurko.

Bo to również należało do zasad: mów tak, jakbyś wiedział więcej, niż możesz powiedzieć, zachowuj się, jakbyś miał zrobić więcej, niż zamierzasz. A podczas kampanii kłam, ile tylko wlezie – drugie wspaniałe dziedzictwo referendum.

Dennis kiwnął głową i właśnie miał jej odpowiedzieć, gdy zadzwonił jego telefon. Nieznany numer. Zmarszczył brwi, szykując się do nieuprzejmego zbycia jakiegoś akwizytora.

Ale to nie było to.

– Przy telefonie... Och. Och. Kiedy? Teraz...? Nie wiem, czy starczy mi czasu... Och. Och. Cóż, w takim razie tak. Tak, w mieszkaniu. Tak.

Gdy się rozłączył, miał lekkiego zęza, co czasem mu się zdarzało, gdy był zakłopotany. Dodie kiedyś z nim o tym rozmawiała, ale takich nieświadomych fizycznych reakcji trudno się było oduczyć. Może pomogłyby elektrowstrząsy.

– Co? – spytała.

– To był Claude Whelan – odparł.

– Claude... Claude Whelan? Z MI5?

Kiwnął głową.

– Czego chciał?

– Chce porozmawiać – powiedział jej mąż.

–No i proszę – stwierdził Lamb. – Jak tylko rozwalą ludziom ukochanego chłoptasia, będziemy wiedzieć, że mieliśmy rację. – Odchylił się jeszcze mocniej

i przesunął nogi na biurku Rivera. Parę rzeczy spadło na podłogę. – Obudźcie mnie, jak tak się stanie.

– Tylko tyle? – zwrócił się River do Coego. – Przywódca populistów?

Coe wzruszył ramionami.

– Zawsze jakiś jest.

– To będzie Zafar Jaffrey – powiedziała Shirley. – To musi być on.

– Czemu?

– Od lat nikt nie był tak bliski miana popularnego polityka.

– Populistów – wtrącił Coe.

– Na jedno wychodzi.

– Nie, wcale nie. Wcale nie wychodzi na jedno – zauważyła Louisa.

– Jeśli wszyscy będą mówić równocześnie, donikąd nie dojdziemy – stwierdziła Catherine.

– Robisz za ich przedszkolankę? – spytała Flyte.

– Nie, a co? Jesteś ich nową macochą?

– Cóż, świetnie wam idzie. – Lamb opuścił nogi na podłogę ze zrezygnacją, która nie zaskoczyła nikogo prócz Emmy Flyte. – Ale jestem już spóźniony do Donalda. A wy się tutaj kłóćcie.

W drodze do drzwi ukradł Catherine gazetę.

– Do Donalda? – Flyte wyglądała na zaniepokojoną, ale raczej słowami Lamba niż jego nagłym zamiarem wymknięcia się spod jej nadzoru.

– Trumpa – wyjaśniła Louisa.

– Dzięki Bogu. Już myślałam, że chodzi mu o Kaczora.

– O Dennisa Gimballa – powiedziała Catherine.

– Gadamy jakimś rymowanym slangiem?

Zignorowała to.

– Gdybym szukała jakiegoś lidera populistów w obecnym układzie politycznym, to jego bym wybrała.

– Ty pewnie tak, ja nie – odezwała się Louisa. – Za nic na świecie bym na niego nie zagłosowała.

– Nie sugerowałam, że pochwalam to, co robi – odparła Catherine. – Raczej, że gdybym zamierzała przeprowadzić zamach na kogoś z tej kategorii, to byłby na szczycie mojej listy.

– Ja bym zabiła Petera Judda – powiedziała Shirley. – Albo Piersa Morgana.

– Morgan nie jest liderem populistów.

– Nieważne.

River zwrócił się do Coego:

– Ile dokładnie etapów było w tym planie?

Coe nie podniósł wzroku. Znów rozcapierzył dłoń na biurku i chyba zaczerpnął inspirację z liczby palców, które miał przed oczami.

– Pięć.

– Pięć – powtórzył River.

– Tak mi się wydaje.

– Wydaje ci się?

Coe wzruszył ramionami.

– Bo to tak jakby ważny szczegół.

– Tak. Ale wtedy o tym nie wiedziałem.

– Czyli to było tylko... co... jakaś przypadkowa notatka służbowa, która zawędrowała na twoje biurko?

– To było coś, co się pojawiło, kiedy badałem coś innego. W ogóle bym sobie o tym nie przypomniał, gdyby nie te pingwiny.

– Dobra, ale teraz, jak już sobie przypomniałeś, możesz nam podpowiedzieć, jaki może być piąty etap?

– Hej! Uwaga na spoilery! – krzyknęła Shirley.

Wszyscy wbili w nią spojrzenia.

– Cóż, zabójstwa jeszcze nie mieliśmy.

– Ogólna idea jest taka, że może spróbujemy to powstrzymać – wyjaśniła jej Louisa.

– Wszyscy jesteście porąbani – stwierdziła Flyte.

– Wolimy określenie „normalni inaczej”.

– Jeśli cokolwiek z tego jest choć trochę prawdopodobne – podjęła Flyte – musicie o tym poinformować Regent’s Park.

– Tak, jasne – odparł River. – Regent’s Park, bardzo przepraszam, ale nasz zespół przekazał jeden z waszych tajnych dokumentów jakimś złym koleśiom i teraz robią za jego pomocą demolkę w całym kraju. Wyobrażasz sobie w ogóle, jak by to przyjęli? I pozwól, że podkreślę, że już teraz nie jesteśmy zbyt popularni.

– Tu nie chodzi o popularność.

– Nie, ale o to, kto po tym wszystkim utrzyma się na nogach. A możesz mi wierzyć, Di Taverner skorzysta z pierwszej możliwej okazji, żeby rozebrać Slough House cegła po cegle. I jeśli nie jesteś tego pewna, to tak, to by była jedna z takich okazji.

– Taverner nie rządzi. Tylko Whelan.

– Wciąż to sobie wmawiasz.

– Zaczynasz gadać jak twój szef – odparła Flyte.

– Za mało mówił „kurwa” – zauważyła Louisa.

– Kto taki? – O to zapytał oczywiście Lamb, który właśnie wrócił. Zawsze można było liczyć na to, że wtrąci się w rozmowę w najbardziej niezręcznym momencie.

– Mniejsza wersja ciebie – wyjaśniła mu Flyte. – Przejął twój nawyk pokrętnego myślenia.

– Naprawdę? Nie przypominam sobie, żebym ten nawyk gdzieś odkładał. – Lamb znów ciężko opadł na krzesło Rivera. – Jak myślisz, co robią z Ho?

– Przypuszczam, że próbują się dowiedzieć, co go łączy z zabójcami z Abbotsfield.

– Tak, nie sądzę, żeby zaprosili go na herbatę i ciasteczka. Chodziło mi o to, jaki jest obecnie protokół, żeby rozmiękczyć przesłuchiwanym gości. Podłączą go do czegoś? Przywalą mu czymś? A może mu coś wstrzykną?

Catherine mruknęła coś pod nosem. Nikt tego nie dosłyszał.

– Żadna z tych rzeczy nie jest standardem – odparła po chwili Flyte.

– Jasne, szczenie w windzie też nim nie jest. Ale się zdarza – parsknął Lamb. – No to która z tych rzeczy? I jak długo to potrwa? Biorąc pod uwagę, że Ho nie przeszedł szkolenia, jak nie zdradzać tajemnic pod presją.

– I że o tym wszystkim gównu wie – mruknął River.

– Na początek nic mu nie zrobią – wyjaśniła Flyte.

– A to taki rodzaj „nic”, do którego się kogoś podłącza, którym się wali czy które się wstrzykuje?

– Chodziło mi o to, że naprawdę nic mu nie zrobią. Zamkną go w pokoju i poczekają, żeby się spocił. Pewnie na parę godzin. Zanim zaczną mu zadawać pytania, będzie jak otwarta księga.

– No to mam nadzieję, że mają kredki – powiedział Lamb. – Więc są szanse na to, że jeszcze z nim nie zaczęli?

– A czemu to dla ciebie ważne?

Lamb odsłonił zęby w bezczelnym uśmiechu.

– To nam daje trochę czasu.

– Musisz to rozwinąć.

Catherine pochylała się do przodu i posłała Emmie swój najśłodszy uśmiech.

– Och, myślę, że pan Lamb ma jakiś plan.

– Czemu jesteś tego taka pewna?

– Bo twierdził, że zamierza się wypróżnić. A to nigdy nie zajmuje mu mniej niż piętnaście minut.

Lamb uśmiechnął się z dumą.

– O ile warto coś zrobić... – powiedział.

– To po co naprawdę poszedłeś? – spytała Flyte.

– Po to – odparł Lamb i rozwinął gazetę, którą wciąż trzymał w ręce. Miał w niej broń Marcusa.

Claude Whelan nie zdziwiłby się, gdyby drzwi otworzył kamerdyner. To było mieszkanie w budynku przerobionym z dawnych stajni, a nie jakaś rezydencja, ale mimo wszystko. Jak każdy uczeń państwowego gimnazjum w kontaktach

z uprzywilejowanymi spodziewał się najgorszego. W tym przypadku jednak drzwi otworzyła Dodie Gimball – arcyfelietonistka i strażniczka ognia. Miała na sobie szarą spódnicę do kolan, szarą marynarkę i białą bluzkę, co Whelanowi skojarzyło się ze strojem bojowym. Jej uśmiech był sztuczny, podobnie jak nos. Ten ostatni kosztował ją ponad dwadzieścia tysięcy, zaś ten pierwszy lata praktyki.

– Panie Whelan. Jak to cudownie, że nas pan odwiedza.

– Pani Gimball.

– Och, proszę mi mówić Dodie. Pewnie zna pan tyle szczegółów z mojego życia, że to by się wydawało dziwne, gdybyśmy pozostawali na tak oficjalnej stopie.

Biorąc pod uwagę, że wiedział, ile kosztował ją nos, nie byłby szczery, gdyby się z tym spierał.

– Dobrze, Dodie.

– Przyszedł pan sam? Żadnych uzbrojonych ochroniarzy czy jak tam ich nazywacie...? Psów?

– Nie wiem, skąd się biorą takie historie – odparł.

– Oczywiście, że pan nie wie. Mogę wziąć pański płaszcz?

– Dziękuję.

Deszcz przestał padać i choć z krawędzi dachów wciąż kapało, a wokół studzienek stały kałuże, zza poszarpanych chmur zdążyło wyjrzeć słońce, więc płaszcz Whelana był suchy. Gdy go jej podawał, a ona wieszła go na wieszaku, z salonu wyłonił się Dennis Gimball. Czy też raczej, jak podejrzewał Whelan, wyłonił się z bawialni.

– Ha! George Smiley we własnej osobie.

– Gdyby tylko – odparł Whelan. – Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

– Dano mi jasno do zrozumienia, że nie mam w tej kwestii wielkiego wyboru. – Zabrzmiał w tym jakiś agresywny ton, tłumiony wybuch i Whelana wcale to nie zaskoczyło. Publiczne wystąpienia Gimballa zawsze zawierały ten element; poczucie krzywdy, że nie wszyscy obecni szanują go tak, jak na to zasługuje – w porównaniu na przykład z Peterem Juddem, któremu zawsze udawało się

sprawiać wrażenie, jakby miał gdzieś każdego, kto za nim nie przepada. Ale obecnie Judd przeczekiwał drobne przeszkody w swojej karierze – to była długa historia – natomiast Gimball najwyraźniej zagrażał pozycji premiera. Jedną z nieprzewidzianych konsekwencji Brexitu, pomyślał Whelan, było wyniesienie na prominentne pozycje wielu paskudnych gnojków. No cóż. Naród się wypowiedział.

I jeśli Gimball chciał agresji, to ją dostanie.

– Tak – odparł. – Nie ma pan.

Dennis wydawał się zbity z tropu, ale Dodie wyduła wargi, jakby potwierdziło się jakieś jej przeczucie.

– Nie wiem, czy zaproponuję panu coś do picia – powiedziała.

– Nie zostanę długo. Może moglibyśmy... – Wskazał w stronę otwartych drzwi.

– Skoro musimy – mruknął Dennis i ruszył przodem.

W pokoju usunięto ścianę działową, więc po obu stronach były okna, które wpuszczały więcej dziennego światła, niż można by sądzić, patrząc na budynek z zewnątrz. Pośrodku stały naprzeciw siebie dwie za mocno wypchane sofy. Może każde z Gimballów miało swoją i leżeli równolegle, mrużąc do siebie. Na razie jednak żadne z nich nie siedziało ani nie proponowało Whelanowi, żeby usiadł.

– Może lepiej porozmawiam z pani mężem w cztery oczy – zwrócił się do Dodie.

– Serio?

– Zawsze lepiej jest na początku powiedzieć coś takiego – odparł. – Wtedy nikt nie może udawać, że nie został ostrzeżony.

– Och, skoro już mowa o ostrzeżeniach, oto jedno dla pana. Jeśli spróbuje pan straszyć mojego męża, zrozumie pan, co to znaczy potęga prasy.

Wydawało jej się, że jest nie do ruszenia. Whelan o tym wiedział. Nie miała jednak pojęcia, że choć smycz, na której trzyma ją redakcja, jest długa, to wciąż pozostaje smyczą. Po prostu nie poczuła jeszcze, na ile ją ogranicza. Ale jej naczelny liczył na tytuł szlachecki w przyszłości, a właściciel gazety na miejsce

w Izbie Lordów. Gdyby przyszło co do czego, nie było wątpliwości, czyje interesy okazałyby się ważniejsze.

Spojrzał na Dennisa.

– Zakładam, że ma pan plany na dzisiejszy wieczór?

– To żadna tajemnica – odparł Gimball. – Publiczne wystąpienie, szeroko nagłośnione. Zapraszam, jeśli ma pan ochotę. Niech pan przyjdzie. Może się pan czegoś nauczyć.

– I zamierza pan wykorzystać tę okazję, by wysunąć wobec Zafara Jaffreya niedorzeczne oskarżenia.

– Niedorzeczne oskarżenia?

– Tak mnie poinformowano.

– Wątpię, żeby był sens pytać, skąd pochodzą te informacje. Nie, oczywiście. Establishment zwiera szyki, jak zawsze.

Jak świetnie wiedzieli wszyscy obecni, Dennis Gimball był wykształconym w prywatnej szkole synem właściciela sieci sklepów odzieżowych. To zabawne, choć trochę męczące, jak tacy samozwańczy buntownicy zawsze wierzyli, że robią wszystko inaczej niż pozostali.

– Tak czy inaczej, przy obecnych nastrojach w kraju można odnieść wrażenie, że byłoby lepiej, gdyby nie siał pan zamęt.

– „...nie siał zamętu”?

– Nie podżegał ludzi.

– Wiem, co znaczy to wyrażenie, Whelan. Kwestionuję tylko to, w jaki sposób pan go używa.

– Doszło już do niepokojów społecznych w kilku miastach, głównie w okolicach z dużym odsetkiem imigrantów. Nie służyłoby nikomu, gdyby było ich więcej.

– Schlebia mi, że pan myśli, że cokolwiek, co mówię, mogłoby mieć tak szeroki odzew.

– Naprawdę nie powinno.

– Ale to, z czym mamy do czynienia, to naturalna odraza, jaką praworzędna większość odczuwa przy okazji tych potworności, do których doszło w Abbotsfield. Jeśli wyobraża pan sobie, że będę milczał, kiedy posiadam informacje, które mogą doprowadzić do zatrzymania tych, którzy za to odpowiadają, to cóż, to chyba stawia w wątpliwym świetle mój patriotyzm, nie sądzi pan?

– Nikt nawet przez chwilę nie wątpi w pański patriotyzm. Ale jeśli posiada pan takie informacje, sugeruję, żeby przekazał je pan właściwym władzom, zamiast je rozgłaszać na publicznym spotkaniu.

– A te właściwe władze to...?

– Policja, oczywiście. Albo, jeśli pan woli, może je pan przekazać bezpośrednio mnie.

– Ach tak, oczywiście. Żeby zostały wyciszone albo przeinaczone.

– Nie w taki sposób działamy.

– Doprawdy? Bo ja odnoszę wrażenie, że premier mówi, a jego pies szczeka. Tak naprawdę to dlatego pan tu jest, zgadza się? To nie ma nic wspólnego z Jaffreyem. Tylko z tym, jak to, co powiem, wpłynie na szanse premiera na zachowanie urzędu.

– Nie interesuje mnie partyjna polityka, panie Gimball. Interesuje mnie bezpieczeństwo narodowe.

– I świetnie pan sobie z tym radzi. Jaki sukces dzisiaj pan odniósł? Bomba w pociągu? Ilu ludzi będzie musiało zginąć, zanim pan przyzna, że nie nadaje się na to stanowisko?

– Dzisiaj nikt nie zginął, panie Gimball.

– Ale w Abbotsfield zginęło dwanaście osób – odezwała się Dodie. Do tej pory obserwowała to wszystko, tak jak fretka obserwuje kogoś żonglującego jajkami. – I stało się to na pańskiej warcie, prawda?

Miał ochotę powiedzieć: nie istnieje na świecie taki system, który nie pozwoli grupce żądnych krwi szaleńców rozstrzelać całej wioski, jeśli przyjdzie im na to ochota. To znaczy, nie istnieje taki system, który ktokolwiek rozsądny chciałby

wprowadzić. To była kwestia równowagi. Albo żyje się w demokracji i akceptuje fakt, że pewne swobody wiążą się z konkretnymi niebezpieczeństwami, albo decyduje na system polegający na opresji na pełną skalę, która znacznie ogranicza okazje do nieoficjalnych rzezi, ale może w sposób istotny zwiększyć szanse na te oficjalne. Nie był to jednak temat do rozmowy z Dennisem Gimballem. Zamiast tego powiedział więc:

– Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za wszystkie niepowodzenia MI5. Moim obowiązkiem jest zapobiec dalszym takim niepowodzeniom w przyszłości, o ile tylko będę w stanie to zrobić. I dlatego muszę pana prosić, żeby nie wygłaszał pan przemówienia, które zaplanował pan na dzisiejszy wieczór, panie Gimball. To by mogło mieć poważne konsekwencje.

Teraz Gimball się nadał. Ktoś kiedyś porównał go do Churchilla i to wspomnienie nie chciało go opuścić.

– Poważne konsekwencje, jasna dupa! – Błyskawicznie zerknął w stronę żony, ale wydawała się popierać wulgarny język, więc ciągnął dalej: – Próbuje pan tylko bronić własnej pozycji. Może nie interesuje pana partyjna polityka, ale i tak pan w to gra, i dopóki stanowią zagrożenie dla premiera, zagrażam też panu.

Ewidentnie podobała mu się myśl, że stanowi zagrożenie. W jego oczach pojawił się lekki błysk. Whelanowi dziwnie skojarzyło się to z gazem błotnym: z migotliwymi płomykami na bagnach, w miejscach, gdzie ulatnia się gaz. Nigdy nie widział tego zjawiska, tylko o nim czytał.

– I mogę pana zapewnić...

Dość tego, pomyślał Whelan.

– Tańczący Niedźwiedź – powiedział.

Gimball urwał w pół zdania.

– Mam mówić dalej?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Obaj wiemy, że tak nie jest.

Twarz Dodie Gimball cała się ściągnęła, z wyjątkiem tego drogiego nosa, który zachował swój kształt. Z tego, co wyczuwał Whelan, nazwa była jej nieznana, ale

implikacje już tak. Ale to nie miało znaczenia. Ta informacja nie była przeznaczona dla niej.

– Ostrzegalem panią – powiedział.

– Dennis i ja nie mamy tajemnic.

– Przed sobą może nie. Jest jednak wielu ludzi, którym... skłonności pani męża mogłyby się wydać zaskakujące.

– Tańczący Niedźwiedź już nawet nie istnieje – oświadczył Gimball. – Zamknęli go dawno temu. A poza tym co z tego? To był całkowicie legalny lokal.

– O ile wiem, to tak.

– Tylko trochę przebierania się.

Whelan kiwnął głową. Jego twarz nie wyrażała jakiegokolwiek oczywistej emocji. Choć nie miał żadnych skrupułów, by zrzucić taką bombę w salonie Gimballów, nie chciał sprawiać wrażenia, że mu się to podoba. To by świadczyło o braku klasy.

Dodie udało się dojść do siebie. Spytała męża:

– Kochanie, mam zadzwonić do Eriki? – A Whelanowi wyjaśniła: – To nasza prawniczka.

Zanim Whelan zdążył odpowiedzieć, Gimball pokręcił głową.

– Nie. Nie. Po prostu poczekamy i...

Zapewne zobaczymy. To słowo mu uciekło. Albo sugerowało inne implikacje.

– Domyślam się, że zaraz mi pan powie, że są jakieś zdjęcia.

– Dobry Boże, nie.

– Nie...?

– Nie, nic takiego panu nie powiem. To by było trochę w stylu retro, nie uważa pan? Kilka polaroidów w szarej kopercie? Od tamtych czasów poszliśmy naprzód.

– Niech pan to wreszcie wydusi – rzuciła Dodie.

– Jest film. Naprawdę sądzicie, że klub taki jak Tańczący Niedźwiedź przepuściłby okazję do sfilmowania, jak bawią się jego członkowie? To było jego główne źródło dochodów. Gdybyśmy nie wykupili jego archiwów, właściciele już

dawno by się do pana odezwali. Biorąc pod uwagę, jak popularny stał się pan od tego czasu.

Dennis wciąż kręcił głową, choć wskazywało to raczej, że wciąż jest w fazie wyparcia, a nie na faktyczne niedowierzanie.

– No i dotarliśmy do tego punktu. Wyraźnie pana ostrzegam. Jeśli wygłosi pan to przemówienie, które pan zaplanował, pańska kariera dobiegnie końca, zanim puszcza w telewizji kolejną prognozę pogody. Nie mam tu na myśli wieczornych wiadomości ani nawet jutrzejszych gazet. Z całym szacunkiem, pani Gimball, ale to by było równie przestarzałe jak koperta z polaroidami. Nie, wszyscy wiemy, że Twitter i YouTube docierają nawet do tych części świata, gdzie ludzie wciąż jeszcze nie rozumieją, jak działa taczka. A jutrzejszą wielką gwiazdą będzie pan. Proszę, żeby państwo dobrze się nad tym zastanowili.

Żadna ze stron nie miała nic do dodania, więc zostawił ich tam i sam ruszył w stronę drzwi. Jednak gdy sięgał po swój płaszcz przeciwdeszczowy, Gimball go dogonił i zastąpił mu drogę. Wyglądał, jakby liczył na to, że istnieje coś, co można by powiedzieć lub zrobić, by ostatnich kilka minut nie miało znaczenia. Ale na nadziei się skończyło. Whelan powiedział więc niemal z politowaniem:

– A tak w ogóle to kłamałem. Robię to czasem dla większego efektu. – Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął kremowobiałą kopertę w rodzaju tych, w których zwykle przychodzą kartki urodzinowe; nie była zaklejona. Gdy ją przechylił, wysunęło się z niej pojedyncze zdjęcie. Ukazywało Dennisa Gimballa w doskonałym nastroju. Znajdował się na małej scenie i wyglądał, jakby śpiewał – prawdopodobnie karaoke – ubrany w coś, co Claire, żona Whelana, niemal na pewno rozpoznałaby jako sukienkę flapper. W każdym razie kojarzyła się z *Wielkim Gatsbym*.

Gdy Gimball przyglądał się zdjęciu tak, jak można by się przyglądać artefaktowi obcych, pojawiła się przy nim Dodie. Ledwie zerknęła na zdjęcie, które trzymał w ręce, a potem spojrzała na męża w sposób, który według Whelana ukazywał współczucie.

W samego Whelana wbiła spojrzenie pełne czystej nienawiści.

– To przecież żadne przestępstwo – odezwał się Gimball.

– Nikt tego nie sugerował.

– To, co robię, nikogo nie krzywdzi.

– Zgadza się. Wątpię, by ktoś twierdził inaczej. Nie, Dennis, myślę, że większość ludzi będzie się śmiać. Może nawet niektórzy posrają się ze śmiechu.

Później Whelan wstydził się, że to powiedział – całego zdania, nie tylko tego, co było w nim wulgarne – i wiedział, że Claire byłaby rozczarowana. Ale w tamtej chwili przyszło mu to naturalnie. Miało to pewnie coś wspólnego ze sposobem, w jaki Gimball zaatakował go w parlamencie.

Z płaszczem przerzuconym przez ramię przeszedł uliczką między dawnymi stajniami na ulicę, gdzie czekał na niego samochód.

–Normalni inaczej?

– To było pierwsze, co przyszło mi do głowy.

– Było widać.

– Palnęłam to bez zastanowienia, River. Nie wiedziałam, że będę za to oceniana.

Louisa i River poszli po samochody, Louisa po swój, a River po samochód Ho. Cóż, Ho go w tej chwili nie używał, a Lamb wiedział, gdzie ukrył zapasowe kluczyki: w kopercie przymocowanej do spodu swojego biurka. „W drugim najbardziej oczywistym miejscu”, jak określił to Lamb, bo byłyby w pierwszym, gdyby Ho przykleił je sobie po prostu taśmą do czoła. River nie czuł się dobrze z tym, że ma używać samochodu Ho bez pozwolenia. Czuł się z tym fantastycznie.

Deszcz zelżał, a nasilający się wiatr był świeży i gotowy na wszystko.

Ho korzystał z parkingu dla mieszkańców; o pozwolenie wnioskował w imieniu mieszkającej tam osoby z niepełnosprawnością, która samodzielnie nie mogła opuszczać domu. Parking był niedaleko od miejsca, gdzie poprzedniego ranka prawie go przejechano. Louisa musiała opłacać parkometr, co było niemal równie drogie jak utrzymywanie drugiego domu, choć pozbawione tych oczywistych korzyści.

Najpierw dotarli do samochodu Ho. Nim Louisa ruszyła dalej, River spytał:

– Naprawdę myślisz, że coś w tym jest?

– W tym, co powiedział Coe?

– Tak. I w tym, co ma być następne. Ktoś spróbuje sprzątnąć Zafara Jaffreya?

Albo Dennisa Gimballa? Dziś wieczorem?

– Cała reszta działa się szybko. Abbotsfield. Pingwiny. Bomba w pociągu.

– Tak, ale...

– Wiem.

– Nie mamy nawet pewności, czy to będzie Jaffrey, czy Gimball. A już tym bardziej, czy dziś wieczorem.

– Cóż, musimy coś zrobić.

– Ze względu na Lamba.

– Ze względu na Lamba, tak.

A konkretniej ze względu na to, że Lamb wycelował broń w szefową psów.

– Nie myślałem, że to zrobi.

– Bardziej bym się zmartwiła, gdyby ci to przyszło do głowy. Emma już cię uważa za miniaturową wersję Lamba.

– I co...? Zgadzasz się z nią?

– Nie – odparła Louisa. – Jeszcze ci dużo brakuje.

– Dzięki. Chyba...

A oto co zrobił Lamb: wymierzył broń Marcusa w Emmę.

– Chyba sobie żartujesz – powiedziała Flyte.

– Cóż, możesz tak sobie myśleć. Ale spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia.

Flyte wstała.

– Naprawdę, chyba ci odbiło.

– Już wcześniej tak o mnie mówiono. Ale lepiej usiądź.

Flyte rozejrzała się po pokoju. Wszyscy gapili się na Lamba z wyjątkiem Catherine Standish, która patrzyła na Emmę.

– Zrobiłabym to, co mówi.

– Przecież do mnie nie strzeli.

– Pewnie nie. – Catherine pozwoliła, by to „pewnie” na chwilę zawisło w powietrzu, a potem wzruszyła ramionami. – Ale to twoja decyzja.

Flyte powiedziała do Lamba:

– Oszalałeś. – Ale usiadła.

– Nie mieliśmy tu gdzieś przypadkiem kajdanek? – spytał Lamb.

– Czemu wszyscy patrzą na mnie? – zdziwiła się Shirley.

– Nie oceniamy cię – powiedziała Catherine.

Burcząc coś pod nosem, Shirley poszła do swojego pokoju i wróciła z kajdankami. River poczekał, aż przykuje Emmę Flyte do krzesła, a potem powiedział:

– I to jest dobry pomysł, bo...?

Lamb odparł:

– No dobra. Dla tych z was, którzy nie uważali albo po prostu powoli łapią, albo nazywają się Cartwright, pozwólcie, że powiem, co wam umknęło. To, co się stało w ciągu ostatnich dwóch dni, masakra w Abbotsfield, zabite pingwiny, bomba w pociągu, bla, bla, bla... wszystko to mogą podrzucić nam na próg.

– Chyba na próg Ho – powiedziała Louisa.

– Myślisz, że Di Taverner to obchodzi, czyje to będą drzwi? Kiedy już nadarzy jej się okazja, wykorzysta ją. I mam przez to na myśli, że rozjedzie Slough House buldożerem, a najlepsze, na co wy wszyscy będziecie mogli liczyć, to że ktoś wyciągnie was z gruzów, zanim znów was pogrzebie. – Przypomniał sobie o butelce wina i sięgnął po nią. – I zanim zaczniecie pytać, nie, to też nie jest metafora.

– Chcesz powiedzieć, że Regent's Park zawiąże na nas czarną wstążkę? – spytała Louisa. – Nie mówisz poważnie.

Czarnymi wstążkami obwiązywano akta zamkniętych spraw.

– Chcę powiedzieć – odparł Lamb – że jeśli nie będą chcieli, żebyście się kręcili i opowiadali różne rzeczy, to nie będziecie się kręcić i opowiadać różnych rzeczy.

- Kilka lat temu był tamten protokół. Projekt „Szczelność”? – powiedział River.
- Ale potem było śledztwo. Już go nie używają.
- Och, używają – stwierdził J.K. Coe. – Możesz mi wierzyć.
- River wbił w niego wzrok, ale Coe nie powiedział nic więcej.
- Projekt „Szczelność”? – spytała Shirley.
- Tajne więzienia. W Europie Wschodniej.
- O kurwa.
- Czy wy w ogóle sami słyszycie, co mówicie? – spytała Emma Flyte. – Regent’s Park już nie tuszuje swoich błędów. Ani nie wysyła nikogo do lochów w obcych krajach.
- Ściągnęli cię, żeby twój wydział był czysty – odparł Lamb. – Ale to nie znaczy, że wciąż nie ma brudnych spraw, o których nie słyszysz.
- Za długo gnijecie w tym bagnie. Wszyscy staliście się paranoikami. Jeśli w tym stworzonym przez was scenariuszu jest choć ziarno prawdy, nie tak należy się do tego zabrać.
- W sumie to nikt tego nie protokołuje – powiedział Lamb. – Ale gdyby ktoś to robił, mogłabyś spać spokojnie, bo twój sprzeciw zostałby odnotowany.
- Myślałam, że masz dość na Taverner, żeby trzymać ją w szachu – zauważyła Louisa. – Albo przynajmniej tyle, żeby nie zrobiła nam z dupy jesieni średniowiecza.
- Jeśli się okaże, że to, co się stało w Abbotsfield, to nasza wina – powiedziała cicho Catherine – to przebiję wszystko, co zrobiła Diana Taverner.
- Tak – przyznał Lamb. – Trzeba jej oddać sprawiedliwość. Ofiary cywilne, za które odpowiada, wciąż mieszczą się w jednocyfrowej liczbie. – Spojrzał po swojej ekipie. – Dobra wiadomość jest taka, że jeśli wciąż się wstrzymują z przesłuchaniem Ho, mamy okno czasowe, żeby coś zrobić.
- Kiedy ostatnio miałeś do czynienia z oknem, wypadło z niego ciało – wytknęła mu Flyte. – To mnie jakoś nie przepełnia zaufaniem.
- Nie pomagasz. Siedź cicho. Zafar Jaffrey i Dennis Gimball, jakieś pomysły co do tych dwóch? Zabójstwo którego z nich wydaje wam się bardziej

prawdopodobne?

– A podejmujesz decyzje na podstawie...

– Pozwolisz mi to spokojnie zrobić czy muszę ci włożyć worek na głowę?

– Ona ma trochę racji – odezwał się River. – Jest wielu polityków. Dlaczego celem ma być jeden z tych dwóch, których wymieniliśmy jako pierwszych?

– Mówimy tu o bandzie bezmyślnych pasożytów, których ogólna niewiedza o naszym życiu ustępuje jedynie ich obojętności na ludzkie cierpienie. Wszyscy się co do tego zgadzamy, prawda?

– Mówisz o politykach czy o tych zabójcach?

– Słuszna uwaga, ale chodziło mi o zabójców.

Shirley wzruszyła ramionami.

– W takim razie tak. Chyba.

– Dobrze. A więc ponieważ jedna banda idiotów ma się domyślić, co zrobi druga, stanowicie idealną grupę dyskusyjną. Poza tym nie mamy mocy przerobowych, żeby poradzić sobie z więcej niż dwoma potencjalnymi celami.

A teraz, na zewnątrz, River przy samochodzie Ho powiedział:

– Czyli Gimball będzie na publicznym spotkaniu w swoim okręgu wyborczym, a Jaffrey co? Jeszcze nie jest urzędnikiem publicznym. Nie publikuje planu swoich wystąpień. Jak ustalimy, gdzie jest?

– Pomyślałam, że moglibyśmy zadzwonić do jego biura – odparła Louisa.

– Och...

– I spytać, co robi dziś wieczorem.

– Och. Dobra. Tak, to może zadziałać.

– I River, nie możemy pozwolić, żeby ta para zaczęła razem pracować. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Shirley i Coe? Czemu nie?

– Bo próbujemy zapobiec katastrofie, a nie ją spowodować. – Mówiąc to, Louisa szukała monety w kieszeni dzinsów. – Wybieraj.

– Reszka.

Rzuciła.

- Orzeł.
- Przegrany dostaje Shirley, tak?
- Nie, przegrany dostaje Coego.
- Może należało to ustalić, zanim rzuciłaś?
- A czemu? Myślisz, że wtedy byś wygrał?

Cholera.

A na głos powiedział:

- Ale mogę za to pierwszy wybrać cel, tak?
- Jeśli wybierzesz Gimballa, to pewnie.
- Czemu mam wrażenie, jakbyśmy grali znaczonymi kartami?
- Witaj w Slough House – odparła Louisa i poszła po samochód.

Dennis Gimball czuł się ofiarą.

Czuł się tak z wielu powodów i – jak to miał w zwyczaju – wyszczególnił je w myślach jako punkty:

- premier go nienawidził, więc
- dobrały się do niego tajne służby, co oznaczało, że
- nie będzie mógł wdrożyć swego genialnego planu, ponieważ
- zrobiliby z niego pośmiewisko.

Nic dziwnego, że potrzebował papierosa.

Dodie milczała, a to był zły znak. Jej milczenie oznaczało, że musiała sobie to wszystko przemyśleć, a gdy tak się działo, Dennis często stwierdzał, że jest po uszy w gównie czy coś w tym stylu. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, jak wszystko mogło się tak nagle zawalić. Jeszcze kilka godzin temu kroczył świetlaną ścieżką. A teraz co go czekało? Publiczne ustępstwa. Bo jeśli chodzi o świat polityki, to był dla niego idealny moment, by sięgnąć po przywództwo, a idealne momenty miały to do siebie, że nie zwykły czekać. Ogłoszenie swojego powrotu na łono partii to było jedno, ale bez decydującego ciosu, czyli ujawnienia, że ulubieniec premiera, umiarkowany muzułmanin, robi brudne interesy z nielegalnym handlarzem broni,

ten wieczór mógł wypaść zupełnie inaczej, niż to sobie planowali, a jego oświadczenie mogło zostać odebrane przez Downing Street jako deklaracja poparcia. Jak wybicie piłki nad głową rzucającego tylko po to, by i tak chwycono ją w polu. Nie dostawało się drugiego życia. To był powrót do szatni z kijem wetkniętym pod pachę.

Samochód miał zostać podstawiony dopiero za godzinę, więc Dennis wymknął się do miniaturowego ogródka, oparł się o jedną z ogromnych donic, w których Dodie najwyraźniej posadziła jakieś drzewko, zapalił papierosa i pogрузzył się w ponurych rozmyślaniach. Jeśli jego planowany triumf zmieni się w publiczną kapitulację, to czego będzie mógł oczekiwać? Dwudziestu minut w świetle reflektorów jako syn marnotrawny, kilku tygodni spekulacji przed następnymi przetasowaniami i paru prześmiewczych akapitów w najważniejszych gazetach, kiedy miejsce w gabinecie się nie zmaterializuje. Dołączyłby do szeregów tych, którzy ufali, że uda się odsunąć na bok tego premiera na miękkich nogach, i szukali teraz możliwości gdzie indziej. Pytanie w pubie w jakimś quizie za dziesięć lat: tylko dla otrzaskanych w polityce.

W porządku, pomyślał, czując nikotynę krążącą we krwi. To są minusy. Ale może zmienimy trochę perspektywę? Zawsze istniała możliwość, że zamiast ofiarą tak naprawdę był bohaterem, który samodzielnie przepędził wszystkich pozostałych do narożnika:

- premier się go bał, więc
- dobrały się do niego tajne służby, co oznaczało, że
- myślą, że jego genialny plan by zadziałał, więc
- zrobią z niego pośmiewisko.

Kurwa.

Sięgnął do kieszeni na piersi, gdzie coś go uwierało: zdjęcie z Tańczącego Niedźwiedzia. To była prehistoria, ale spędził tam szczęśliwe chwile – i czy to było jakieś przestępstwo? Z pewnością każdy, kto spojrzełby na to zdjęcie, prócz źle nałożonego różu (no dobra, to nie było za mądre) dostrzegłby kryjącą się pod nim

radość. Tak, był ubrany w sukienkę; tak, nosił sięgające do łokci rękawiczki – ale co z tego? Robił tym komuś krzywdę? Jedyńm, czemu tym zaszkodził, była jego własna przyszłość, a ponieważ wtedy nie mógł o tym wiedzieć, nawet z tego nie zdawał sobie sprawy. Znał już wtedy Dodie, ale nie byli małżeństwem i dopiero wiele lat później zwierzył jej się z tego aspektu swojej osobowości. A więc to zdjęcie pokazywało tylko samotnego mężczyznę, szczęśliwego w towarzystwie myślących podobnie jak on. Trochę przebierania się – czy jako społeczeństwo nie zaszliśmy na tyle daleko, by to akceptować? Poczuł, jak przechodzi w tryb przemawiania. Właśnie tak: to była normalna angielska męskość, spuszczenie pary. Czy Mick Jagger kiedyś nie powiedział, że żaden Anglik nie potrzebuje zachęty, by przebierać się za kobietę? I wystarczy spojrzeć na Eddiego Izzarda – był popularny, wręcz kochany. A więc czemu Dennis Gimball nie miałby zostać przyjęty tak samo?

Na litość boską, przecież nie był gejem.

A więc mógłby być pionierem.

Mógł przełamać schemat.

Poza tym – gdy już będzie wiadomo, że prześladowano go za to, kim był – mógłby stać się symbolem zupełnie nowej polityki. Nienaruszalność osobistych wyborów – to byłaby jego dewiza. Tożsamość, indywidualizm, odpowiedzialność fiskalna, silne granice i gruntowne przemyślenie świadczeń socjalnych.

Na co tu nie głosować?

Oparzenie w opuszki palców przypomniało mu, że dopalił papierosa. Zgasił go o terakotową donicę i wetknął niedopałek w ziemię. Jego przemówienie musiałyby przybrać nowe kształty, byłoby: o tym, jak tajne służby próbowały za pomocą szantażu i pogroźek powstrzymać go przed powiedzeniem prawdy o Zafarze Jaffreyu. O tym, jak próbowali zniszczyć Dennisa Gimballa metodą zastraszania. I o tym, że nie jest człowiekiem, który pozwoli, by jakikolwiek obywatel, w tym również on sam, został zmiażdżony butem establishmentu...

Doszedł do wniosku, że nosiliby go na rękach. Radosne okrzyki jego ludzi odbiłyby się echem w całym narodzie. Jego nazwisko jaśniałoby nawet wśród

gwiazd.

Ostatni raz spojrzął na zdjęcie i ostrożnie wsunął je z powrotem do kieszeni.

I żałował, że nie będzie widział miny Claude'a Whelana, gdy ten szpieg się zorientuje, że został wyprowadzony w pole.

Większość ekipy opuściła Slough House: Cartwright z pełnym niechęci Coem, Louisa Guy z dziwnie przygaszoną Shirley Dander. Catherine martwiła się o Shirley; martwiłaby się znacznie mniej, gdyby Shirley w miesiącach, które nastąpiły po śmierci Marcusa, wybijała kopniakami dziury w ścianach i wyrzucała biurka przez okna. Dopiero kiedy bomba przestawała tykać, należało się naprawdę denerwować.

Z J.K. Coem było podobnie: Catherine w ogóle nie była w stanie go rozgryźć. Nie chodziło o to, że był złym człowiekiem; raczej o to, że spotkały go złe rzeczy, które z pewnością będą miały konsekwencje. Oczywiście mógł być też złym człowiekiem. Nie było sensu udawać, że jest inaczej.

Jednak prawdopodobnie powinna była najbardziej martwić się o samą siebie.

Lamb zniknął w toalecie po tym, jak wcześniej głośno powiadomił, że tym razem to na serio i że nie zamierza brać jeńców.

– Bez urazy – rzucił w stronę wciąż przykutej do krzesła Emmy Flyte.

I to był główny powód, dla którego Catherine powinna się martwić: Lamb porwał szefową psów i wysłał kulawe konie z dziwnymi zadaniami, które, o ile jednak nie okazały się dziwne, wymagałyby siedemnaście razy więcej agentów i o wiele więcej zasobów, jeśli nie mieli jeszcze bardziej pogorszyć i tak już złej sytuacji. A to, jak ktoś kiedyś zauważył, było ich specjalnością. Tylko czemu to wszystko wydawało się jedynie kolejnym dniem w biurze? Chyba tkwiła tu już zbyt długo.

– Herbaty? – spytała Emmę.

– Żartujesz sobie, tak?

– Właściwie to nie żartowałam. Ja zamierzam się napić. Ale to twoja decyzja.

– Masz do tego kluczyk?

– Kiedyś gdzieś tutaj był. Mam nadzieję, że Shirley go nie zgubiła.

Catherine poszła zrobić herbatę, a gdy wróciła, wyglądało na to, że Emma nawet się nie ruszyła. Nie skakała na krzesło po pokoju, nie obijała nim o ściany w nadziei, że je połamie. Nie był to dobry znak. W sytuacjach takich jak ta było pewnie lepiej, gdy zakładnik nie był spokojny, opanowany i wyrachowany.

Catherine przysunęła Emmie kubek do ust, żeby mogła upić łyk herbaty. Był to potencjalny scenariusz dla Hannibala Lectera, ale obyło się bez gryzienia. Gdy Emma miała już dość, Catherine postawiła jej kubek na biurku, również usiadła i uśmiechnęła się łagodnie.

– Gdy Lamb jest w wyjątkowo ponurym nastroju, lubi kazać nam wymyślać hasła przewodnie – powiedziała. – Zawsze uważałam, że „przepraszamy za niedogodności” brzmi całkiem nieźle.

– A co powiesz o „spierdolimy to, czego innym przegrywom nie udało się spierdolić”?

– Dodam to do listy.

– Naprawdę cię nie martwi, że twoja kariera może się gwałtownie skończyć, bo twój pan i władca miał uderzenie krwi do mózgu?

– Naprawdę nie wiem, od czego tu zacząć – odparła Catherine. – Od kariery, pana i władcy czy od mózgu?

– Nawet jeśli macie rację i Coe faktycznie wie, co mówi, to jak zamierzacie to sami powstrzymać? Tych czworo... Serio? Muszę przyznać, że Louisa ma głowę na karku, ale pozostała trójka jest niebezpieczna. I to nie w dobrym sensie.

– River nie jest taki zły. To nie jego wina, że tutaj trafił.

– I właśnie przez to jest niebezpieczny. Ma zbyt wiele do udowodnienia.

– Może niech każda z nas pozostanie przy swoim zdaniu.

– Puść mnie. Zajmiemy się waszymi teoriami w Regent's Park. W najgorszym razie okaże się, że nie macie racji. A jeśli okaże się, że macie rację, no cóż... To mógłby być punkt zwrotny w karierze każdego z was. Ale nie, jeśli zabierzecie się do tego tak jak teraz.

– To jest Slough House – powiedziała Catherine. – Moglibyśmy dostarczyć pisemne oświadczenie osoby, która w tej chwili kieruje ISIS, z wyszczególnieniem jego planów na następne dwanaście miesięcy, a Di Taverner i tak zmięłaby je w kulkę i wyrzuciła do kosza, zamiast coś z tym zrobić.

– Mogą zginąć ludzie – zauważyła Emma Flyte.

– Już zginęli – odparła Catherine. – I cokolwiek myślisz o Jacksonie, to możesz mi wierzyć, że jeśli będzie mógł powstrzymać kolejne Abbotsfield, na pewno to zrobi.

Jestem tego prawie całkiem pewna, pomyślała.

Flyte otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, ale zanim zdążyła to zrobić, wrócił do pokoju ich rzekomy pan i władca.

– Nie słyszałam splotkiwania – rzuciła podejrzliwie Catherine.

– Nie – odparł Lamb. – Ludzie od rekordów Guinnessa pewnie będą chcieli najpierw rzucić na to okiem. Czuję się jakieś dziesięć kilo lżejszy.

– A tobie się zdawało, że bycie skutą to okrucieństwo i coś niezwykłego – rzuciła Catherine do Emmy.

Lamb sięgnął po zostawione przez Shirley opakowanie haribo i ciężko opadł na krzesło, jak zwykle rzucając wyzwanie biurowym meblom. Które na pewno wcześniej czy później się zbuntują i go za to ukarzą, ale jeszcze nie dzisiaj.

– No dobra. Już się przyznała?

– Przyznała...?

– Przepraszam. Wspomnienia. Chciałem spytać, czy już napiła się herbaty. Nie chcę, by ktoś pomyślał, że nie wiem, jak traktować gościa.

– Właśnie rozmawialiśmy o tym, w jakie gówno wpadłeś... – powiedziała Emma Flyte.

– I słyszałaś to aż stąd?

– I to nawet pomijając, co się stanie, kiedy twoja ekipa zacznie się bawić w *Mission Impossible*. Jeśli któryś z tych polityków faktycznie jest zagrożony, to powinni dostać ochronę. A nie być ukradkiem pilnowani przez teletubisie.

– Czuję, że powinienem cię ostrzec – powiedział Lamb. – Kiedy ostatnio użyliśmy tych kajdanek, to się dobrze nie skończyło.

– Dla tego gościa czy dla ciebie?

– Ja wciąż tu jestem – zauważył Lamb.

– Od jak dawna to uchodzi ci na sucho?

– To?

Szarpnęła głową w geście, który miał obejmować wszystko.

– To. Slough House. Twój ludzie. To ciągle improwizowanie.

– Jestem tu od początku – powiedział Lamb.

– To mnie nie dziwi.

– Tak właściwie to był mój pomysł.

– Co takiego? Przyjrzałeś się krytycznie całej swojej karierze i postanowiłeś otworzyć sobie własny sklepik?

– Pracował w terenie – powiedziała Catherine.

Emma odwróciła się w jej stronę.

– Co?

– Pracował pod przykrywką.

– Wiem, co to znaczy. Zastanawiam się tylko, czemu go bronisz.

– Nie bronię. Ostrzegam cię tylko, że być może go nie doceniasz.

– Jeśli zamierzacie się pobić – wtrącił Lamb – możliwe, że to nagram do późniejszych studiów. – Spojrzał na Catherine. – Mamy galaretkę?

– Puść mnie już. Jeszcze nie jest za późno, żeby to wyprostować.

– Informując o tym Regent's Park? To naprawdę nie pomoże.

– Bo w Regent's Park się tym nie przejmą, wiem.

– I dlatego, że Coe miał rację. – Lamb obserwował jej reakcję, dzieląc uwagę między wpychanie do ust haribo i popijanie ich czerwonym winem z butelki. – Gość otwiera jadaczkę może raz na miesiąc. Kiedy już coś mówi, zwykle jest tego pewien.

– Wygląda jak ofiara katastrofy.

– A ty wyglądasz jak topowa modelka. Czy to znaczy, że mamy nie traktować cię poważnie?

– No to załóżmy, że ma rację – powiedziała Emma. – Nawet jeśli w Regent’s Park nie będą chcieli słuchać, powiedzcie im o tym, żeby chronić własne plecy.

– Cóż, nie bardzo. Bo jeśli ci kolesie pustoszą kraj, używając scenariusza, który powstał w MI5, to niewiele jest rzeczy, do których w Regent’s Park się nie posuną, żeby to zatuszować. A każdy, kto o tym wie, znajdzie się na linii strzału. A to, o ile o tym nie zapomniałaś, obejmuje też ciebie. Nie popełniaj tego błędu i nie myśl, że będziesz bezpieczna, kiedy zaczną grać według Londyńskich Zasad. Bo nie jesteś garniturkiem, Flyte. Działasz w terenie. A takich można zastąpić.

– Jestem policjantką.

– Różnica jest mniejsza, niż ci się może wydawać.

– Jeśli to próba przeciągnięcia mnie na waszą stronę poprzez odwołanie się do naszej wspólnej przeszłości, to czeka nas długi wieczór.

Lamb wzruszył ramionami.

– Donikąd mi się nie śpieszy. Ale odwołuję się do twojego instynktu przetrwania. Na ile ufasz Dianie Taverner?

– Niewiele bardziej niż tobie.

– To jeśli teraz wrócisz do Regent’s Park i powiesz Lady Di, że moi ludzie wcale nie siedzą w Slough House, tylko są na ulicach poprzebierani w peleryny Batmana, to jak według ciebie zareaguje? Poklepie cię po plecach? Czy kopnie w dupę?

– Chętnie bym zobaczyła, jak próbuje – mruknęła Flyte.

– No i widzisz, gada przez ciebie gliniarz. – Cokolwiek Lamb przed chwilą wsadził sobie do ust, nie smakowało tak jak trzeba, bo przerwał, żeby wypluć to z powrotem do torebki. – Ale idę o zakład, że kiedy odkryje, że znów spierdoliłaś sprawę, wylecisz z roboty.

– Znów?

– Tak jak wtedy, gdy zniknął David Cartwright – wyjaśnił Lamb. – Niespecjalnie okryłaś się wtedy chwałą.

– I kto to mówi – odparła Flyte. – Ale czemu miałabym się z tym zwracać do Lady Di? Już wiem, że mnie nie lubi. Poszłabym prosto do Whelana.

– Claude Whelan ma w tej chwili sporo na głowie – powiedziała Catherine. – Jeśli nie może liczyć na to, że skutecznie wykonujesz swoją pracę, to na co mu jesteś potrzebna?

– Bez względu na to, jak dobrze przy tym wyglądasz – wtrącił Lamb.

Znów przysunął butelkę do ust, ale była pusta, więc upuścił ją na podłogę.

– Wypuścimy cię teraz – oświadczył. – Ale zanim wykonasz następny ruch, zastanów się, jakie masz opcje. Albo Coe ma rację i gdzieś tam jest banda zabójców szykująca się do sprzątnięcia ważnego celu, albo się myli, a ty i tak masz przerąbane, bo wypuściłaś moich ludzi, kiedy miałaś ich pilnować. Jeśli nie potrafisz sobie poradzić z tak prostym zadaniem, uznają, że nie zasłużyłaś na ten awans.

– Nie zapominajmy, że wy też macie przejebane – odparła Flyte. – Bo to Slough House był źródłem przecieku. O ile do tego doszło.

Catherine wyjęła z kieszeni sukienki kluczyk do kajdanek i obeszła krzesło Emmy, żeby ją rozkuć.

– Och – westchnęła. – To tak jak zawsze. Gdybyśmy nie mieli przejebane, jak to obrazowo ujęłaś, w ogóle by nas tu nie było.

Uwolniona z kajdanek Emma potarła nadgarstki.

– I czego teraz ode mnie oczekujecie? Że będę trzymać kciuki, żeby wszystko jakoś się ułożyło?

– No widzisz – powiedział Lamb. – Mimo wszystko jesteśmy po tej samej stronie.

River nie spytał Coego, czy chce prowadzić, a Coe nie zgłosił żadnych preferencji, ale sposób, w jaki zgarbił się z zamkniętymi oczami na miejscu pasażera, wskazywał na to, że cieszy się, będąc wożonym. Tyle tylko że tak naprawdę „cieszy się” nie było właściwym określeniem. W sumie po szybkim przejrzeniu w głowie słownika wyrazów bliskoznacznym najlepszym słowem, która udało mu

się znaleźć w odniesieniu do Coego, było „żyje”. Ale nawet to będzie trzeba sprawdzać co jakieś pół godziny. Nie miał żadnych wątpliwości: wolałby być z Louisą, bo wiedział, że może jej ufać, albo nawet z Shirley, po której przynajmniej wiedział, czego się spodziewać; była jak odpalony fajerwerk, ale przynajmniej mu znany. Natomiast jeśli chodzi o J.K. Coego – River nie potrafił nawet bez wysiłku sobie przypomnieć, co oznaczały te inicjały – to dzielił z nim biuro od prawie roku, a nie umiał nawet powiedzieć, gdzie jada lunch. Coe od dziewiątej do piątej siedział przy swoim biurku niemal bez przerwy podłączony do iPoda. Muzyka była przyciszona, to mu trzeba przyznać – nie było w tym nic z tych metalicznych dźwięków, które ostrzegały, że w pobliżu jest Ho – ale dało się wyczuć, że używał jej jako bariery, sposobu na ograniczenie do minimum kontaktu z innymi ludźmi. Poza tym, oczywiście, nie tak dawno temu zabił tego kolesia: trzy kule w pierś nieuzbrojonego, skutego człowieka. To zawsze należało brać pod uwagę, kiedy było się z nim sam na sam w samochodzie.

Ale na razie Coe spał albo przynajmniej na to wyglądało, a River po tygodniach gapienia się na tapetę na ekranie miał coś, czym mógł zająć myśli. Jakie miał teraz zadanie? A właśnie: sprawdzenie rejestrów wyborców pod kątem nieruchomości, za które regularnie płacono podatek lokalny i opłaty za media i dla których nie było zaległości, w celu ustalenia, czy te pozornie zajmowane nieruchomości nie stoją tak naprawdę puste. Miała to być według Lamba – co zasugerował z entuzjazmem kogoś, komu ten pomysł przyszedł do głowy po lunchu, który zaczął się wcześniej, skończył późno i składał się głównie z płynów – niezawodna metoda utworzenia listy potencjalnych kryjówek terrorystów, choć River podejrzewał, że lepszym sposobem mogłoby być przewędrowanie całych Wysp Brytyjskich, pukając na chybił trafił do drzwi.

– Chcesz, żebym to zrobił dla całego kraju? – spytał, a przed oczami już otwierała mu się wizja piekła.

– Jezu, nie! – odparł Lamb. – Masz mnie za jakiegoś potwora?

– No cóż...

– Możesz pominąć Sunderland. I Crewe. Ale tak, dla całej reszty kraju.

A więc River grał już w pasjansa pająka przez rekordowe trzy tygodnie. Co jakies dwa dni na chybił trafił używał funkcji „wytnij i wklej”, by stworzyć listę nieruchomości, które jeśli spełniały kryteria Lamba, to wyłącznie za sprawą czystego przypadku. Przekazywał te listy Catherine, która, jak podejrzewał, świetnie wiedziała, że tylko sprawdza, czy coś takiego przejdzie. Lamb pewnie też o tym wiedział i czekał po prostu na właściwy moment, żeby się do niego przyczepić. Dobra, myślał River, był gotów podjąć takie ryzyko. Nie mógł już znieść tego cholernego karania. Dzielenie pokoju z Coem mogło się okazać kroplą przepełniającą czarę goryczy.

Kiedy River trafił do Slough House, dzielił pokój z Sid Baker: Sid jak Sidonie, zdecydowanie bardzo kobiecą, choć nie poznał jej tak dobrze, jak mógł, ponieważ wkrótce po tym strzelono jej w głowę. Rany głowy były podstępne: mnóstwo krwi i ogólnie podejrzenie, że nawet jeśli jakoś z tego wyjdiesz, i tak będzie trzeba cię później karmić przez rurkę, ale zawsze towarzyszyła temu świadomość, że istnieją liczne wyjątki. River, podobnie jak wszyscy inni, czytał historie o ludziach, którzy żyli potem przez całe dziesięciolecia z kulą tkwiącą w czaszce. Nie wiedział jednak, czy Sid okazała się jedną z tych, dla których to się tak szczęśliwie zakończyło. Tajne służby zatuszowały cały incydent i można było tylko zgadywać, czy zwłoki skremowano po stwierdzeniu zgonu z przyczyn naturalnych, czy też udało jej się wrócić do zdrowia w jakimś sanatorium nad jeziorem. River starał się nie myśleć o niej zbyt często. Jeśli umarła, a zapewne tak było, miał nadzieję, że rozsypali jej prochy w jakimś ładnym miejscu.

Ale w tej chwili przeszłość towarzyszyła mu codziennie jak pasażer: gdziekolwiek się udawał, zawsze była obok. I w dodatku inna, niż mu się wcześniej zdawało; była nie tyle pasażerem, co autostopowiczem, który po kilku milach jazdy robi się naprawdę dziwny. Wcześniej tego roku River po raz pierwszy spotkał swojego ojca. Nie było to spotkanie, którego się spodziewał kiedykolwiek w życiu. Zawsze zakładał, że ojciec pojawił się w życiu jego matki przypadkiem w czasach, gdy popełniała błędy młodości, i to tłumaczyło skąpość informacji, jakie kiedykolwiek mu o nim przekazała. Jego tożsamość dawno przestała mieć dla

Rivera jakiegokolwiek znaczenie albo przynajmniej stała się czymś, co był gotów pogrzebać pod psychologicznymi gruzami codzienności: prawdziwą postacią ojca w jego życiu był S.D., pod którego opieką stał się człowiekiem, jakim był. Czyli jego narodziny były nieplanowane – i co z tego? To samo można powiedzieć o sporej części populacji świata i naprawdę niewielu spośród tych ludzi dorastało w tak bezpiecznych warunkach jak on. Teraz jednak okazało się, że ten obraz jest wypaczony; że jego ojciec bynajmniej nie był nieokreśloną postacią, która wyłoniła się z jakiegoś baru czy nocnego klubu, by spędzić jedną noc z Isobel Cartwright; jego ojciec, podobnie jak dziadek, mieszkał przy Ulicy Szpiegów; a narodziny Rivera nie tylko nie były czymś niezaplanowanym, lecz stanowiły wręcz część uknutego planu, zaś jego istnienie miało się liczyć w jakiejś większej rozgrywce. No więc jego ojciec chodził gdzieś tam po świecie i choć było tak również, zanim River go po raz pierwszy zobaczył, teraz ta prawda miała jakby inny ciężar.

Zastanawiał się, czy nie zabije ojca, gdy ich drogi znów się skrzyżują.

I myślał też o tym, że Slough House już mu nie wystarcza; że ta niepewna obietnica przyszłej rehabilitacji i powrotu w chwałę na łono Regent's Park to już dla niego za mało. Od tygodni grał na komputerze, zamiast wykonywać kolejną syzyfową pracę wskazaną przez Lamba; czy jego psyche nie mówiła mu w ten sposób przypadkiem, że jest gotów odejść? Najkrócej mówiąc, prosił się o to, żeby go zwolniono. A fakt, że działo się to, gdy czekał na śmierć S.D., nie był zbiegiem okoliczności.

Ta myśl sprawiła, że wszystko na chwilę zamazało mu się przed oczami i musiał zwolnić. Bo to byłby wspaniały sposób, żeby odejść: wymeldować się w pożyczonym samochodzie, z opryskliwym towarzyszem na sąsiednim siedzeniu, dokładnie w chwili, gdy zaczął podejmować decyzje związane ze swoją przyszłością.

Znajdowali się jakieś pół godziny drogi od Slough. Ruch uliczny był dość powolny, ale nie aż tak straszny – końcówka godzin szczytu, a nie ta najgorsza pora – a niebo właśnie zaczynało się zastanawiać, czy nie zmienić stroju na wieczór. Samochód przyjemnie się prowadziło – to był jaskrawoniebieska kia; KIA – już

sama nazwa wystarczała, by słać pełne oburzenia maile – ale tylko w takim sensie, że River nie obawiał się w nim słać. Ho prawdopodobnie wybrał ten samochód, bo czuł, że to do niego pasuje. River mógł się tylko z nim zgodzić.

Zerknął na Coego i z zaskoczeniem stwierdził, że ma otwarte oczy.

– Na ile jesteś pewien, że to się wydarzy? – spytał.

Coe nie zareagował.

iPod. Oczywiście.

River trącił go w kolano i wykonał gest, który miał oznaczać: „Wyjmij te pieprzone słuchawki”. Coe niechętnie to zrobił.

– Na ile jesteś pewien, że to się wydarzy? – powtórzył River.

Coe przez chwilę gapił się przed siebie, obserwując, jak przednie koła samochodu połykają jezdnię, a potem wzruszył ramionami i zaczął znów wsuwać słuchawki do uszu.

– Ze względu na zdrowe relacje między nami – powiedział River – powinienem cię ostrzec, że jeśli to zrobisz, zjadę na pobocze i spuszczę ci łomot.

Coe przerwał to, co robił, i kiwnął głową.

– Możesz spróbować – odparł i znów zaczął wsuwać słuchawki do uszu.

Całkiem dobrze poszło, pomyślał River.

Ale minutę później Coe z powrotem je wyjął.

– W skali od jednego do dziesięciu? – spytał. – Może trzy.

River kiwnął głową. Też mniej więcej tak to oceniał.

– Ale uważałeś, że warto to poruszyć – stwierdził.

Znów przez chwilę nikt się nie odzywał, a potem Coe powiedział:

– Mam rację co do całokształtu. Wzorca, którego używają. Ale szansa na to, że właściwie odgadniemy, którego polityka spróbują sprzątnąć, i że to się stanie dziś wieczorem, to już jest trochę naciągane.

Mówiąc to, nie patrzył na Rivera, tylko wpatrywał się w skupieniu w drogę przed nimi.

River, tak dla rozluźnienia, powiedział:

– Ale zakładając, że dobrze zgadliśmy i że spróbują załatwić Gimballa... Dziś wieczorem. Jak oceniasz szanse, że uda nam się to powstrzymać? Na tej samej skali.

J.K. Coe znów uniósł słuchawki, ale nim wsunął je do uszu, odparł:

– Mniej niż zero.

– Żółty samochód – powiedziała Shirley.

– No niezupełnie.

– Zupełnie.

– No niezupełnie – powtórzyła Louisa. – Po pierwsze, to furgonetka, nie samochód, a po drugie, pomarańczowa, a nie żółta. Czyli pomarańczowa furgonetka, nie żółty samochód.

– Na jedno wychodzi.

Louisa stłumiła westchnienie. Jeszcze dziesięć minut temu zasady zabawy w żółty samochód wydawały się całkiem proste: kiedy widziałeś żółty samochód, mówiłeś: „żółty samochód”. Nie zostawiało to za wiele przestrzeni na kontrowersje. Ale tak było, zanim wciągnęła do tej zabawy Shirley.

Zabawa nie sprawiła też, że Shirley przestała się wiercić. Przed chwilą grzebała już w schowku i znalazła okulary przeciwsłoneczne, które teraz miała na nosie. I jeszcze gumę do żucia.

– Mogę sobie wziąć?

– Jezu! Jakby mnie zamknęli z dziesięciolatką.

– Nudzę się podczas długiej jazdy samochodem.

– Mogę cię wysadzić na następnej stacji benzynowej – zaproponowała Louisa.

– Tylko powiedz.

Shirley podziwiała się w lusterku na osłonie przeciwsłonecznej.

– Takie okulary były modne jakieś sześć lat temu.

– To dlatego były w schowku – odparła Louisa. – A nie na przykład na moim nosie.

– Daleko jeszcze?

Za daleko, pomyślała Louisa.

Miały dotrzeć do wschodniej części Birmingham: dzięki rozmowie telefonicznej udało się ustalić, że tego wieczoru Zafar Jaffrey będzie w swoim rodzinnym mieście i zamierza przemawiać w bibliotece. Kobieta, która udzieliła tej informacji Louisie, dorzuciła parę ozdobników podkreślających liczne zalety Jaffreya, do których, jak podejrzewała Louisa, zaliczałyby się również zdolność chodzenia po wodzie, gdyby tylko rozmowa ciągnęła się dostatecznie długo. Miło wiedzieć, że miał zwolenników, jednak gdy jakiś polityk wydawał się zbyt dobry, by mógł być prawdziwy, zwykle oznaczało to, że tak właśnie jest. Ale mimo wszystko – gdyby musiała wybierać, który z nich miałby nie paść ofiarą zamachu, to Jaffrey miał przewagę nad Dennisem Gimballem, i dlatego pozostawiła Gimballa Riverowi. Gdyby przypadło jej zadanie utrzymania Gimballa przy życiu, nie mogłaby powiedzieć z ręką na sercu, że zrobi wszystko, co tylko w jej mocy; bardzo możliwe, że strącenie Gimballa z jego grędy byłoby wyświadczeniem narodowi przysługi. Albo w każdym razie nie byłoby wyrządzeniem mu takiej krzywdy, że potrzebowałby potem psychoterapii.

Jeśli chodzi o ten głos poparcia, Louisa przypomniała sobie, że Jaffrey słynie z tego, że rekrutuje swój personel spośród byłych przestępców, co w filmie oznaczałoby, że na pewno się okaże, iż prowadzi przestępczy syndykat pod przykrywką politycznej kampanii. Ale z drugiej strony, gdyby to był film, okulary przeciwsłoneczne Louisy nie wyszłyby z mody sześć lat temu.

– Jakie są szanse na to, że Coe ma rację? – spytała Shirley.

– Nie za duże.

– Nie za duże, czyli jakie?

– Naprawdę niewielkie. – Louisa odbiła na prawo, żeby wyprzedzić krążownik szos, który włókł się środkowym pasem w tempie siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę. – To znaczy, jeśli chodzi o ten „Wodopój” i tak dalej, to może coś w tym jest. Ale jeśli chodzi ci o to, że jacyś terroryści spróbują zabić Zafara Jaffreya, to nie, jakoś tego nie widzę.

– To po co tu jesteśmy?

– Żeby wyrwać się z biura.

Shirley odwróciła się, żeby pomachać kierowcy, którego wyprzedziły, a potem zrobiła balona z gumy i pozwoliła mu pęknąć.

– Skoro jest taki bystry, jak wszyscy mówią, to jak to możliwe, że jest takim pieprzonym idiotą?

– Kto, Coe? Nie wydaje mi się, żeby był pieprzonym idiotą.

– Prawie się nie odzywa.

– To akurat nie świadczy o idiotyzmie – powiedziała znacząco Louisa, ale Shirley nie złapała aluzji.

– A do tego jest psycholem.

– No cóż, w tym akurat masz rację.

– Założę się, że jego telefon jest bystrzejszy od niego.

– Każdy telefon jest bystrzejszy od właściciela.

– Założę się, że ma ciekawsze życie seksualne.

– Jak myślisz, jest gejem?

– Nie mam ochoty myśleć o fiucie Coego.

– Nie proszę cię, żebyś myślała o...

– Nie. Prosisz mnie, żebym się zastanawiała, gdzie lubi go wsadzać. A ja nie chcę o tym myśleć.

– To ty zaczęłaś – powiedziała Louisa. Uniosła palec z kierownicy i wskazała na przeciwległy pas. – Żółty samochód.

– Już nie chcę w to grać.

Jak ośmiolatka, poprawiła się w myślach Louisa. To było tak, jakby zamknęli ją z ośmiolatką.

Może lepiej by na tym wyszła, gdyby jej partnerem był Coe – podróż na pewno przebiegałaby w ciszy – ale tak, był trochę psycholem. To nie oznaczało, że z jego ogólną analizą sytuacji jest coś nie tak. Ten cały projekt destabilizacji wydawał się na tyle szalony, by sprawić na Louisie wrażenie prawdziwego, a to wystarczało, by warto było się tutaj wybrać – nie żartowała z tym wyrwaniem się z biura. Bo prędzej czy później Ho powie chłopakom i dziewczynom z Regent's Park, że

przekazał dokument z MI5 jakimś złym koleśiom, którzy używali go teraz jako wzorca, by zaplanować serię morderstw, a wtedy rozpęta się piekło. Kiedy to się stanie, lepiej być gdzie indziej – niech Lamb radzi sobie z tym sam.

I nawet jeśli w Birmingham do niczego nie dojdzie, to nie znaczy, że ta podróż będzie stratą czasu. Wczoraj w nocy nawaliła. Ho mógł zginąć, a bez względu na to, co się do niego czuło, w Slough House zginęło już dość ludzi. A poza tym, gdyby załatwili Ho, to co by to mówiło o jej zdolnościach? Była tam, żeby go chronić. A więc dziś była gotowa zrobić więcej niż trzeba – można to nazwać pokutą. A poza tym zignorowała Rivera, gdy zasugerował, że Shirley tęskni za Marcusem, i z tym też źle się czuła. Może pora stać się bardziej wnikliwą. Może zamiast odbijać się od siebie jak dwa wirujące baki, ona i Shirley będą mogły jakoś sobie nawzajem pomóc.

– Nigdy nie mówisz o Marcusie – powiedziała.

Shirley potwierdziła to, nie odpowiadając.

– Wiem, jak to jest stracić kogoś bliskiego.

– A wracają, kiedy o nich gadasz?

Tym razem to Louisa nie odpowiedziała.

– A tak w ogóle długo tam leżała ta guma? – spytała Shirley.

– Dłużej niż okulary.

Shirley wypluła ją na rękę. A potem się rozpromieniła.

– Żółty samochód!

– Myślałam, że już nie chcesz w to grać.

– Nie – odparła Shirley. – Nie chciałam tylko przegrać.

Daleko jeszcze? – pomyślała Louisa.

Odpowiedział jej znak: 15 mil.

„No widzisz. Mimo wszystko jesteśmy po tej samej stronie”.

Kiedy Emma Flyte była policjantką, nigdy nie wpadła w pułapkę myślenia, że gliniarze i przestępcy to dwie strony tej samej monety, tak podobne do siebie, że cywil nigdy by się nie połapał. Wolą trzymać się bardziej fundamentalnej

prawdy: że przestępcy to dupki, których trzeba zamknąć, a gliniarze to ci, którzy się tym zajmują.

Tutaj, na Ulicy Szpiegów, nie miała możliwości aresztowania złych koleśi.

Gdyby ją miała, Jackson Lamb znajdowałby się na jej liście. Nie obchodziło jej, że kiedyś pracował w terenie – nie kupowała całej tej romantycznej idei pokiereszowanego tajnego agenta, któremu udało się przetrwać wojnę wywiadów – i nie imponowała jej jego oczywista determinacja, by zastraszyć lub zrazić do siebie wszystkich w otoczeniu. Uważała, że jest po prostu sukinsynem, a najlepszym sposobem radzenia sobie z sukinsynami było ścięcie ich z nóg. I nawet sam Lamb, niedorzeczny dyrektor tego cyrku, zgodziłby się z nią, że w ciągu ostatniej godziny dostarczył jej w tym celu wystarczająco ostrej broni.

Emma odgarnęła do tyłu włosy i związała je zwykłą recepturką. Cokolwiek mniej praktycznego – nawet najprostsza gumka do włosów – i koledzy patrzyliby z ukosa, uważając, że noszenie przez nią jakichkolwiek ozdób oznacza, że wykorzystuje mocne strony swojej płci. To, że ci sami mężczyźni nosili kolczyki albo mieli tatuaże na rękach, jakoś nie dawało im do myślenia... Siedziała w swoim samochodzie, ale jeszcze nie przekreśliła kluczyka. Nie wymyśliła, jaki będzie jej następny ruch.

Miała nadzieję, że tam, w Slough House, nie było tego widać, ale była wściekła. Skuli ją jak więźnia; ktoś musiał poić ją herbatą – tak naprawdę miała ochotę rozprawić się z nimi, zagnać kulawe konie do zagrody i wszystkie je spętać. Przerobić je na klej.

Ale...

Ale szerszy obraz sytuacji też jak dotąd nie za bardzo ją obchodził.

Ta cała Standish miała rację: Claude Whelan miał pełne ręce roboty i nie ucieszyłby się z tego bajzlu, którego narobiła, zamykając Slough House. A Taverner na pewno by jej nie pomogła – z radością przyjąłaby jakąkolwiek broń, której można użyć przeciwko Lambowi, ale nie była typem, który marnuje amunicję, i jeśli tą samą serią mogłaby załatwić też Emmę, właśnie to by zrobiła. Emma zawiodła Taverner, nie deklarując się w oczywisty sposób po jej stronie,

a Diana miała bardzo zasadnicze podejście do sojuszy i nie uznawała koncepcji neutralności. Jeśli nie było się po jej stronie, było się do odstrzału.

Poza tym zawsze istniała możliwość, że Lamb miał rację. I bez względu na to, co powiedziała w Slough House o projekcie „Szczelność” i o tym, że w Regent’s Park nie stosuje się już starych sposobów, miała przeczucie, że gdyby okazało się, że zamach w Abbotsfield jest częścią jakiejś katastrofalnej rany, którą tajne służby zadały sobie same, wówczas każdy, kto o tym wiedział, szybko by tego pożałował.

Zabębniła kciukami w kierownicę. Dzień pakował już manatki i sprzątał po sobie; wkrótce zasunie zasłony. Cokolwiek zamierzała zrobić, powinna już się do tego zabrać.

Ostatnio często słyszała zwrot „Londyńskie Zasady”. Pierwszą zasadą było kryć własną dupę...

Tym, co najbardziej jej się nie podobało w tej konkluzji, była świadomość, że dokładnie tego spodziewał się po niej Lamb.

Dzięki Bogu miała choć jednego sojusznika w tym wszechświecie, w którym człowiek człowiekowi wilkiem. Zanim uruchomiła silnik, sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Devona.

–I co? Zadowolony? – spytała Catherine.

– Przecież mnie znasz. Jak pieprzona Pollyanna w Boże Narodzenie.

– Domyślam się, że Mikołaj przede wszystkim przyniósł ci różgę – odparła.

Siedzieli w jego gabinecie. Na zewnątrz umierało popołudnie. Tu w środku mógł być dowolny dzień po 1972 roku. Lamb nalał sobie wielką szklanekę whisky; nalał też Catherine, tak jak to czasem miał w zwyczaju. Może chciał, żeby się napiła. Może chciał po prostu obserwować, jak się opiera. Znaczna część jego życia wydawała się składać z testowania granic innych ludzi. Zapewne znudził się testowaniem własnych.

– Pewnie wiesz – odezwała się – że w tej chwili Flyte skrzykuje swoje psy. A tam, gdzie trzymają Roddiego, niedługo znajdzie się miejsce specjalnie dla ciebie.

Wydawał się oburzony

– A co takiego zrobiłem?

– Chciałbyś listę?

– Nie będzie płakać przez całą drogę do domu – odparł Lamb. – Gdyby tak robiła za każdym razem, kiedy jakiś paskudny typ ją skuje, nigdy by nie miała okazji się zabawić.

– Wiesz, dwa razy bym się zastanowiła, zanim zdecydowałabym się na taką linię obrony.

Lamb zbył jej słowa machnięciem ręki. A może odpędzał jakąś muchę.

– Jest policjantką – powiedział. – Świetnie wie, że jeśli istnieje choć cień szansy, że to, co powiedział Coe, jest prawdą, to trzeba się tym szybko zająć. A gdyby zatrzymała się, żeby złożyć skargę na to, co tu zaszło, to by tylko wszystko spowolniło. – Przerwał, by unieść szklankę do ust. Wcześniej wypił już butelkę wina, pomyślała Catherine. Gdyby się naprawdę postarała, mogłaby niemal poczuć smak whisky. Ale to była droga, którą nie zamierzała pójść. Nie dzisiaj. Lamb znów zaczął mówić: – Poza tym nie będzie chciała, żeby wszyscy się dowiedzieli, jak tutaj zawałiła. Na litość boską, Dander wyszła po słodycze! Jestem pewien, że to się nie mieści w wytycznych dla lockdownu.

– Wątpię, żeby je tworzono, mając na uwadze ciebie.

Z powagą pokiwał głową. To tak jak wszystkie wytyczne.

– Wysłałeś naszych ludzi za bandą zabójców – powiedziała Catherine.

– Zabrałbym się z nimi, ale...

– Ale nie chciało ci się ruszyć tyłka, tak... Nie o to mi chodziło. Jeśli wierzyć Shirley, Coe ma przy sobie nóż, ale poza tym są nieuzbrojeni. Załóżmy, że dwoje z nich natknie się na tych ludzi. Jak to się skończy?

– Cóż, jak wiesz, jestem niepoprawnym optymistą. Ale pewnie wszystko szlag trafi, tak jak zwykle.

– Bardzo pocieszające.

– Och, pokaż w końcu, że masz jaja! Albo w sumie lepiej nie. – Wpatrywał się przez chwilę w swoją szklankę, jakby próbował ustalić, co to takiego i co się z tym

robi, a potem rozwiązał tę zagadkę w taki sposób, jak zwykł to robić. Gdy już to zrobił, powiedział: – Ci zabójcy niewiele zdziałają. Zabicie paru cywili to jedno. Ale dwa razy nie udało im się załatwić Ho, a powiedzmy sobie szczerze, że on nie jest trudnym celem. Nie, to amatorzy. Raczej stawiałbym na Guy i Dander.

– A co z Riverem i Coem?

– Dobra, masz trochę racji. Ale przynajmniej zwolniłby się nam pokój.

– Jackson...

– Oba cele będą miały policyjną ochronę. Najprawdopodobniej uzbrojoną. Jeśli nasi ludzie coś zauważą, muszą tylko to zgłosić. Nie oczekuję przecież od nich, że będą narażać życie.

– W porządku...

– Oczywiście, gdyby nie byli przegrywami, to w ogóle ich by tu nie było – dodał.

– Marnujesz się przy nas – odparła. – Powinieneś pisać kartki z życzeniami.

Na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmiech. Sięgnął po jej szklanekę.

Było ich pięciu i jeden nie żył.

Owinęli go najszczelniej, jak potrafili, tym, co było pod ręką, czyli folią stretch. To dało włóknom wygląd jak z horroru i za każdym razem, gdy Danny na niego – na niego – patrzył, miał wrażenie, że zaraz się ruszą; że wyciągną owinięte jak mumia ręce i poruszą nogami. Zaledwie wczoraj był wśród żywych. Nazywali go wtedy Joon. A teraz Joon zmienił się w to i był owinięty folią, jakby dzięki warstwom cieniutkiego plastiku miał zachować świeżość.

Wszyscy wiedzieli, że tak nie będzie.

– Źle upadł – stwierdził wcześniej Shin.

Najwyraźniej można było dobrze upaść. W przypadku Joon to by oznaczało, że po tym, jak przeleciał przez wielkie okno, nie uderzyłby w ziemię karkiem. I było oczywiste, że nawet przed spotkaniem z chodnikiem Joon nie miał zbyt udanego wieczoru: gdyby wykonał powierzone mu zadanie, nie musiałby wybierać

tak dramatycznej drogi na skróty. Mógłby sobie zejść po schodach i opuścić budynek drzwiami. Nie, cel nie został wyeliminowany, to było jasne.

A to była wina Shina, i choć rolą Danny'ego nie było krytykowanie go, coraz trudniej było mu utrzymać język za zębami. Był w tym kraju od trzech lat i bylejakość życia w Wielkiej Brytanii wciąż codziennie go dziwiła. Nie było żadnego kierunku. Żadnego przywództwa. Gazety – media – ciągle produkowały chaotyczną mieszaninę opinii: sprzeczny, bezmyślny jazgot, który wywierał wpływ na wszystkich. Od czasu Abbotsfield mieli więcej porażek niż sukcesów; zaś jeśli chodzi o te ostatnie, bomba w „Wodopoju” była dziełem samego Danny'ego. Prosty i piękny fizyczny akt, po którym zniknął niewidzialny dla wstrząśniętego tłumu wokół. Ale cel, Ho, dwa razy wyszedł cały z prób zamachu na jego życie, a bomba w pociągu była upokarzającym fiaskiem. Danny widział dwa powody, dlaczego tak się stało. Pierwszym z nich był sam Shin, któremu najwyraźniej brakowało jaj, by być przywódcą. Drugim był brak mundurów. Po zrzuceniu mundurów wpuścili do wnętrza chaos.

Teraz Shin spoglądał na swój telefon, opierając się plecami o bok furgonetki, w której mieszkali przez ostatni tydzień, i przewijał wpisy na Twitterze i nowe nagłówki, jakby to była jakaś wyrocznia. Danny czuł narastającą pogardę: jeśli Shin miał być przywódcą, to powinien przewodzić, a nie szukać odpowiedzi w internetowych śmieciach. Jego determinacja słabła z każdą godziną. Wydawało mu się, że najlepszym sposobem osiągnięcia wyników było zapoznanie ich z planem, podczas gdy prawdziwy dowódca spodziewałby się ślepego posłuszeństwa i rozprawiłby się z każdym naruszeniem dyscypliny. Nie ukarał nawet Ana, gdy nie udało mu się przejechać celu poprzedniego dnia rano. Nie był w ogóle w stanie połączyć tych dwóch zdarzeń: tego, że dziś Joon był martwy, bo An wczoraj zawiódł.

Zamknął oczy i spróbował się uspokoić. Misja natrafiła na przeszkody, ale nie została jeszcze skreślona. Jeśli chodzi o Shina, Danny zgłosi to, gdy będzie już po wszystkim. Nie ma innego sposobu. Uczynienie go dowódcą było błędem, czymś haniebnym, i sam by to rozumiał, gdyby ten cały chaos nie namieszał mu w głowie.

Zaś jeśli chodzi o pozostałych – których na początku było czterech, a teraz zostało trzech – to zachowają zimną krew i doprowadzą plan do końca. To był właśnie ten zwrot, którego szukał: zachować zimną krew. Koniec końców szczegóły nie miały aż takiego znaczenia; liczył się prosty fakt zrealizowania planu. To była najstarsza ze wszystkich strategii, lekcja, której udzielało się wrogom: że im silniejsze wznosili cytadele, tym lepiej zapieczętowali w nich narzędzia własnego zniszczenia.

Danny i jego towarzysze powinni tylko działać dalej... jak luzaki.

To było to słowo.

Luzaki.

CZĘŚĆ DRUGA

Hotdogi

8

River zaparkował w strefie płatnego parkowania i właśnie szukał drobnych, gdy przypomniał sobie – uch! – że to przecież samochód Ho, więc dał spokój. Rozejrzał się. Zmierzch rozmywał kontury w oddali, siedzący obok niego Coe wciąż miał w uszach słuchawki. Jego oczy były otwarte, ale miały ten nieskupiony, szklisty wyraz, który u każdej innej osoby River uznałby za oznakę haju.

Podejrzewał, że Coe nie zalicza hajów. Nawet powiedzenie, że trzyma poziom, byłoby przesadą.

Znów wykonał gest oznaczający: „Wyjmij słuchawki z uszu”, niezbędny element języka migowego, gdy miało się do czynienia z Coem, i powiedział:

– To nawet zabawne być w prawdziwym Slough.

Coe gapił się na niego.

– Później ci wyjaśnię. Może być?

– Nie.

– A co konkretnie?

Coe zastanowił się, a potem odparł:

– Wszystko.

– Cóż, dobrze, o ile tym razem nikogo nie zastrzelisz.

– Nie mam broni.

– Ech, liczyłem na twoje zaangażowanie, a nie tylko na to, że brak ci środków.

Nie chodziło o to, że River spodziewał się strzelaniny, przemocy czy krwi, ale doszedł do wniosku, że przynajmniej jeden z nich powinien poruszyć taką

możliwość, ponieważ – przynajmniej nominalnie – byli tu po to, żeby zapobiec potencjalnemu zamachowi. Albo może w nim przeszkodzić. Ale teraz jazda dobiegła końca i ta możliwość wycofała się w sferę tego, co naciągane. Kulawym koniom nigdy nie przytrafiało się nic ekscytującego. No dobra, jakiś czas temu mieli tamtą strzelaninę i psychola, który postrzelał sobie w Slough House, ale dominował kierat codzienności. I przez to, że znajdowali się teraz w prawdziwym Slough, wydawało mu się to w jakiś sposób jeszcze bardziej dotkliwie. Nigdy dotąd tutaj nie był i wiedział o Slough tylko tyle, że udało mu się podpełznąć aż tak blisko Londynu, a potem się poddało. Zero ambicji. Był też wiersz o bombach, ale nie przypisywał mu zbyt wielkiego znaczenia.

– Powinniśmy się rozejrzeć – powiedział. – Zobaczyć co i jak.

– Na wypadek, gdyby była tam grupka w koszulkach z napisem „Drużyna z Abbotsfield”?

River spojrzał na niego.

– Albo gdyby siedzieli w McDonalddie i zajadali Happy Meal dla Terrorystów?

Cóż, to było lepsze niż nic.

– Tak, coś w tym stylu.

– Gdzie ma być to spotkanie?

Miało się odbyć kilka ulic dalej, dwie minuty piechotą od miejsca, gdzie stali. Coe nie wyjmował rąk z kieszeni i wyglądał jak nastolatek zmuszony do wyjazdu na wycieczkę, z tym wyjątkiem, że – jak zauważył River – jego oczy były w ciągłym ruchu: sprawdzał wszystko, samochody i pieszych. River miał wrażenie, jakby Coe nieustannie spodziewał się najgorszego. Co by zrobił, gdyby do czegoś takiego doszło, tego River nie wiedział, ale Shirley ciągle trzymała, że nosi przy sobie nóż. Dobrze, że przynajmniej jeden z nich był uzbrojony, ale w czym miał pomóc nóż, gdyby zjawiała się grupa świrów z jakiejś paramilitarnej organizacji? Tego pytania lepiej było nie zadawać. Nie żeby coś takiego miało się zdarzyć, upomniał się w myślach River – nawet Coe tak twierdził, a to przez niego w ogóle tutaj byli.

Budynek, w którym miało się odbyć spotkanie, przypominał podstawówkę: z czerwonej cegły, z zielonymi oknami i rynnami. Znajdował się za niskim

murkiem, w którym osadzono żelazne ogrodzenie, i miał bramę na tyle dużą, by mogły przez nią przejechać samochody. Pilnowali jej prywatni ochroniarze, których mundury z daleka wyglądały oficjalnie, ale ich pasy obciążało tyle bezsensownych gadżetów – radia, latarki, zestawy do naprawy przebitych dętek – że po prostu nie dało się traktować ich poważnie.

Ale może River po prostu był zazdrosny. Będąc pełnoprawnym agentem tajnych służb, sam nosił mniej więcej tyle sprzętu co pracownik supermarketu pchający wózki z powrotem na miejsce.

– Patrzysz na swoją przyszłość? – spytał Coe.

– Lepiej mnie zastrzel – odparł River, nim przypomniał sobie, do kogo mówi.

– Nie martw się, raczej nie skończysz jako parkingowy. Przy obecnym scenariuszu to by było szczęśliwe zakończenie.

Miło, że Coe zaczął mówić, ale River chyba wolałby, żeby się jednak, kurwa, zamknął.

– Rozdzielmy się – zaproponował. – Sprawdźmy, czy drużyna z Abbotsfield nie obstawiła budynku.

Jakby coś takiego było możliwe, pomyślał.

Ale z drugiej strony, zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

Wiele mil dalej, trochę później, inne publiczne spotkanie.

Biblioteka znajdowała się w bocznej uliczce i z daleka można by ją uznać za jakikolwiek budynek: przychodnię, burdel, urząd skarbowy. Przyklejona do drzwi ulotka zapowiadała wydarzenie, które miało się odbyć dzisiejszego wieczoru. ZAFAR JAFFREY BĘDZIE MÓWIŁ O WAŻNYCH DLA SPOŁECZNOŚCI KWESTIACH I ODPOWIE NA PYTANIA DOTYCZĄCE JEGO KANDYDATURY NA URZĄD BURMISTRZA. Miniaturowe zdjęcie potwierdzało wrażenie Louisy, że Jaffrey jest całkiem przystojny. Na tyłach pomieszczenia za wolno stojącymi regałami znajdowały się rzędy krzeseł; niektóre były już zajęte, choć spotkanie miało się zacząć dopiero za pół godziny. Wracając do samochodu, sprawdziła pojazdy stojące po obu stronach ulicy. Wszystkie były

puste. I były też wolne miejsca parkingowe. Zastanawiała się, czy nie zrobić zdjęcia i nie pokazać go ludziom w Londynie.

Shirley z założonymi rękoma siedziała w samochodzie. Mimo okularów przeciwsłonecznych dziwnie przypominała Buddę.

– Nie jadłam dzisiaj nic oprócz garści haribo – powiedziała.

– A możesz mi przypomnieć, czyja to wina?

– Mogłyśmy się zatrzymać na stacji benzynowej.

– Mogłyśmy się wybrać na kolację przy świecach – odparła Louisa. – Ale zdecydowałam za nas, że zajmiemy się robotą.

– Kto powiedział, że to ty dowodzisz?

Mój samochód, moje zasady, pomyślała Louisa, ale nie powiedziała tego na głos. W sprzeczkach z Shirley dochodziło się do punktu, w którym człowiek natrafiał na mur: można było albo walić w niego głową, albo go obejść.

Dlatego powiedziała:

– Spotkanie z Jaffreyem zaczyna się za pół godziny. Ma mówić przez czterdzieści minut i przez dwadzieścia minut odpowiadać na pytania. Jedna z nas powinna wejść do środka, a druga zostać tutaj i...

– Zabezpieczyć teren?

– Staralam się tego tak nie nazwać – przyznała Louisa.

– To naprawdę nie robota dla jednej kobiety – przyznała Shirley.

– Cóż, tak... Nie mówiłam, że to idealny plan. Ale plan.

– Masz broń?

– Nie. A ty?

– Chciałabym.

– W bagażniku jest klucz francuski.

– Zaklepany.

Shirley z kluczem francuskim, pomyślała Louisa – tak, to był ktoś, kogo chciało się mieć po swojej stronie. Może i wyglądała jak miniaturowy Budda, ale nie miała takiego nastawienia do pokoju, jedności i tak dalej. Choć na jej obronę

trzeba było przyznać, że pchnęła parę nic niepokojących duszyczek w stronę reinkarnacji.

Louisa wyjęła telefon i otworzyła Google Earth.

– Wygląda na to, że nie ma wejścia od tyłu. Tył budynku wychodzi na coś innego, chyba na biurowiec.

– A co z dachem?

– Wygląda, no wiesz... jak dach. Jest w nim świetlik.

– Nie sprawiają wrażenia aż tak subtelnych.

Czyli opuszczenie się przez świetlik to była wizja subtelności według Shirley. Interesujące. Co takiego właściwie próbujemy zrobić, zastanowiła się Louisa; aż do teraz jakoś udawało jej się unikać tego pytania. Ekipa, która zmasakrowała Abbotsfield, nie brała jeńców, tylko strzelała na prawo i lewo. Wymachiwanie kluczem francuskim ich nie powstrzyma. A one miały tylko jeden klucz francuski na dwie.

Ale pomysł, że coś się miało stać, był bardzo naciągany, a poza tym stronienie od ryzyka nie pomoże nikomu wydostać się ze Slough House. Nie wstąpiła do tajnych służb, by siedzieć za biurkiem i kompilować listy użytkowników bibliotek. I choć większość operacji wiązała się z potężnym wsparciem i kamizelkami kuloodpornymi, zawsze zdarzały się te chwile improwizacji, kiedy trzeba się było zdać na swoje wykształcenie i wiedzę wbitą ci do głowy na zajęciach dla tajnych służb albo na równinach w pobliżu Salisbury. Jeśli podniesiesz ręce do góry i schowasz się w kącie, żeby przeczekać najgorsze, to równie dobrze możesz być cywilem. A tak, kiedy ktoś to będzie na koniec oceniał, będzie mogła powiedzieć, że tu była, gotowa działać. Innymi słowy, że marnuje się za biurkiem.

Ale mimo wszystko. Tylko jeden klucz francuski.

Ale nic złego się nie stanie.

– Mam złe przeczucia – powiedziała Shirley.

No... świetnie.

– Wielkie dzięki. Czyżbyś miała przyływ intuicji?

– Nie, mam skurcz żołądka. Naprawdę muszę coś zjeść.

– Shirley...

– Tam z tyłu jest żarcie na wynos. Mijałyśmy to, zanim skręciłyśmy.

Schodzili się ludzie; małe grupki zaangażowanych społecznie, gdyby ktoś mierzył polityczną temperaturę. Jakaś starsza para idąca o lasce; inna para, na oko studentów, z których jedno niosło stertę ulotek.

– Nie ma czasu. Przeżyjesz.

– Łatwo ci mówić.

– To jest operacja, Shirley. A nie wycieczka.

– Jestem pewna, że Lamb by się zgodził.

– Lamba tu nie ma. A to znaczy, że ja mogę się nie zgodzić.

– Nie rozkazujesz mi.

– Nie. Ale możesz wracać do domu na piechotę.

– Są jeszcze pociągi – warknęła Shirley.

Pociągi! Śmiechu warte.

– Od tej chwili – powiedziała Louisa – akcja już trwa. Jedna z nas musi być w środku, żeby mieć na oku publiczność. Jeśli coś się ma stać, mamy większe szanse, by to powstrzymać, jeśli wypatrzymy złych koleśi, zanim zrobią jakiś ruch. To jak, zamierzasz dalej zrędzić czy ruszamy z robotą?

Shirley coś mruknęła. Louisa założyła, że to była zgoda.

– Chcesz być w środku czy na zewnątrz?

– Chcę klucz francuski – powiedziała Shirley.

– Jest w bagażniku – poinformowała ją Louisa i dołączyła do ludzi wchodzących do biblioteki.

– Muszę zapalić – powiedział Gimball do żony.

– Nie musisz.

– Nie przebrnę przez to bez papierosa.

Przewróciła oczami.

– Rzuciłeś. Publicznie. Bardzo publicznie. „Jeśli znów ktoś mnie zobaczy z papierosem w ustach, nie głosujcie na mnie”. Twoje własne słowa.

– Cóż, tak, ale nie mówiłem tego poważnie. To nie była obietnica wyborcza.

Tak właściwie, pomyślał, lepiej wyszedłbym na tym, gdyby to była obietnica wyborcza. Ich dotrzymania spodziewają się tylko niemowlęta i idioci.

– Robiłeś to setki razy. Czym się tak przejmujesz?

Pomyślał, że mógłby jej powiedzieć. Wyjaśnić, że zamierza wyjść na scenę i prosić o akceptację tego, kim naprawdę jest. Gdyby już to zrobił, pewnie mogłoby mu się wymknąć, że też wciąż pali, i uszłoby mu to na sucho. Nie na tym skupiłaby się publiczność.

Ale gdyby teraz się przyznał, a ona wyraziłaby swoje wątpliwości – bo zrobiłaby to – rozkleiłby się jak ciasteczko na deszczu. Potrzebował jej poparcia, a żeby je uzyskać, musiałby postawić ją przed faktem dokonanym. Potem prywatnie mieliby trochę kiepskich chwil, ale publicznie całkowicie by go poparła, bo nie miałaby wyboru. Chyba że – ale nie... nie mógł uwierzyć, że odeszłaby od niego. Być może przyniosłoby jej to jakieś korzyści – status oszukanej żony – ale stanie u boku męża zagwarantowałoby mnóstwo relacji w mediach i materiał na rok do jej felietonów. A poza tym go kochała. A więc tak należało zrobić.

– To kluczowa chwila – powiedział. – Dla nas obojga.

To była święta prawda.

– Jesteśmy zvarci i gotowi – odparła. – To wszystko. Zrobienie tego, co powiedział Whelan, nie oznacza żadnego końca, Dennis. To tylko chwilowa przeszkoda.

Wciąż czuł, że musi zapalić.

– Jeśli cię przyłapią – powiedziała – już nigdy nie pożyczę ci moich manolosów.

W ten sposób dała znać, że się zgadza. Za nic na świecie nie zmieściłby się w jej manolosy.

Poklepał się po kieszeni na piersi, by sprawdzić, czy ma tam papierosy i zapalniczkę, a potem wycofał się z przeznaczonego dla nich pokoju i natknął na jednego z wolontariuszy dźwigającego cały ziggurat plastikowych krzeselek.

– Jest tu jakieś tylne wyjście? – zapytał. – Muszę zebrać myśli.

Było.

River obszedł kwartał, a potem sąsiedni, żeby zapoznać się z otoczeniem. W pewnym momencie skrzyżowanie dalej dostrzegł J.K. Coego przechodzącego na drugą stronę ulicy. Łajza w ciągłym ruchu. River potrząsnął głową. Nawet teraz, gdy prawie był w stanie sobie wmówić, że robi coś ważnego – że bierze udział w operacji – realia życia wśród kulawych koni wciąż do niego wracały. Większość jego kolegów była kompletnie do niczego. Tak bardzo przytłaczały ich własne problemy, że powinni być w szkole artystycznej, a nie w tajnych służbach. Może z wyjątkiem Louisy. I oczywiście jego samego. Należało zawsze o tym pamiętać: z nim samym wszystko jest w porządku.

Przy sali konferencyjnej stała furgonetka sieci telewizyjnej i to by była dobra przykrywka dla bandy uzbrojonych świrów, ale im dłużej River się jej przyglądał, tym bardziej wyglądała na prawdziwą. Większość przykrywek skończyłaby się na logo po bokach, kilku czapkach z daszkiem i podkładkach do pisania; tutaj jakichś dwóch mężczyzn rozwijało kilometry kabli, przechodząc przez zablokowane wyjście przeciwpożarowe, a w furgonetce wciąż zostało tyle sprzętu, że starczyłoby na nakręcenie filmu o Harrym Potterze. Oczywiście, jeśli ktoś zamierzał przeprowadzić udany zamach podczas zgromadzenia politycznego, być może właśnie tak należało to zrobić – wyposażyć środek transportu, załadować do niego sprawiający wrażenie autentycznego sprzęt, a potem zaparkować w pobliżu celu i się nie śpieszyć. Ale River nie sądził, by tak było. Otwarcie ognia na ulicy na wsi, podłożenie bomby domowej roboty w pociągu, wrzucenie bomby rurowej na wybieg pingwinów – wszystko to śmierdziało bandą fanatyków. Każdy ruch, jaki wykonają, myślał, będzie bardziej przypominał rzucenie się szczupakiem po zwycięstwo niż drobiazgowo zaplanowany zamach. Podszywanie się pod pracowników mediów, co wymagałoby podrobionych akredytacji i tak dalej, było zdecydowanie poza ich zasięgiem.

Obserwował ich jeszcze przez chwilę, czekając na jakiś znak, że nie wszystko jest tak, jak się wydaje, a potem ruszył dalej.

Niedaleko znajdował się budynek z rusztowaniami: jego górna połowa było świeżo pomalowana, dolna brudna i ochlapana przez samochody, z wieloma latami miejskiego życia wyrytymi w fasadzie. Obok była wąska uliczka, wzdłuż której rusztowania ciągnęły się dalej, utrudniając przejście. Kończyła się ślepym zaułkiem z kontenerami na śmieci. Budynek był używany – na górnych piętrach paliły się światła – ale płachta brezentu powiewającego w górze nadawała mu smutny, opuszczony wygląd. River doszedł do końca uliczki, nie znalazł tam żywej duszy i wrócił na główną ulicę.

Gdy się obejrzał, budynek skojarzył mu się ze Slough House. Bez jakiegoś szczególnego powodu. Po prostu był trochę ponury, trochę... No, jeśli pracowało się w takim miejscu, człowiek natychmiast po powrocie do domu przyłapywał się na tym, że sięga po drinka. Różnica polegała jednak na tym, że ktoś zadał sobie trud i pokrył koszty, by go odmalować – jeśli to nie miała być świetlana przyszłość, to chociaż świeża farba, by zakryć przeszłość. River znów poczuł, jak kurczy się w sobie. Nie był pewien, jak długo jeszcze zdoła udawać, że jest jednym ze strażników narodu, choć w rzeczywistości był nic nieznaczącym trutniem. Mógłby policzyć na palcach jednej ręki, ile razy wysłano go ze Slough House na misję. Pomijając chodzenie po żarcie na wynos dla Lamba. Nie tego chciał od życia. I nie tego chciał dla niego dziadek.

A więc jeśli wkrótce coś się nie wydarzy, odejdzie. Wszystko było lepsze niż to. Zapadał już wieczór i stojąc przy rusztowaniu, River podjął taką decyzję, ale jeśli oczekiwał, że zrobi mu się od tego lżej na sercu, to się zawiódł. Uczucie było raczej takie, jakby z czegoś uszło powietrze.

Uff, pomyślał. A potem: cholera. Obszedł metalowe słupki przy chodniku i wrócił do budynku z salą konferencyjną, gdzie przed drzwiami zdążyły już utworzyć się kolejki.

Zastanawiał się, gdzie podział się Coe.

Po tym, jak Louisa weszła do biblioteki, Shirley odczekała dziesięć minut z pójściem po frytki. Potem odczekała jeszcze dziesięć, bo gdyby była Louisa,

która ma nadzieję przyłapać Shirley na gorącym uczynku, tak właśnie by to rozegrała. Gdyby była Louisa, z całą pewnością przyłapałaby Shirley na gorącym uczynku. Ale była Shirley, która wróci z frytkami, zanim ludzie zaczną się rozchodzić.

Była w połowie drogi do punktu z jedzeniem na wynos, kiedy przypomniała sobie o paczuszce koki w kieszeni.

Nie brała od sześćdziesięciu trzech dni, niebo było ponure, wieczór zapadał coraz szybciej. Już niedługo miałyby sześćdziesiąt cztery dni. Co wtedy? Siedzenie z założonymi rękoma i obserwowanie, jak liczba rośnie, nie dawało jej żadnej przyjemności, ale mimo wszystko: gdzieś z tyłu głowy dręczyło ją przeczucie, że w wyzerowaniu kalendarza kryje się coś... z porażki. Jakby wyruszyła, żeby coś zrobić, i poddała się przed dotarciem do celu. Jakby nie była w stanie przeprowadzić tego do końca.

Ale nie było żadnego powodu, by ktoś miał tak pomyśleć; żadnego powodu, by ktoś się o tym dowiedział. Była zdana na siebie. Mogła nawalać się co wieczór i zakładając, że każdego ranka zjawi się w Slough House, życie będzie pełzło dalej, tak jak dotąd. Bo nie była uzależniona. Owszem, brała, ale w celach rekreacyjnych. I nikogo nie powinno obchodzić, na ile rekreacyjny wpływ to na nią miało.

Jeśli miała z tym problem, to jak to możliwe, że wytrzymała sześćdziesiąt trzy dni?

Właśnie wrzucono na głęboki olej świeżą partię dorsza i Shirley, czekając, zamówiła hot doga. Jadła go, obserwując skwierczący tłuszcz. Przypomniała sobie, jak kiedyś siedziała w całodobowej pralni samoobsługowej, przyglądając się suszarkom, gdy ich zawartość wznosiła się i opadała, wznosiła i opadała jak delfiny. Zafascynowana siedziała tak przez wiele godzin. Takie rzeczy zdarzały jej się wtedy, ale teraz już nie. Teraz życie było normalne, długi szereg szarych chwil, jakby nastrój panujący w Slough House przesączał się przez ściany i zarażał wszystko wszędzie.

W końcu do nich wszystkich to docierało: klątwa kulawych koni. Wysysała ich z energii i pozostawiała tak, żeby zwiędli.

Jej zamówienie było gotowe. Uzbrojona w plastikowy widelec, wciąż przeżuując resztki hot doga, wyszła na ulicę, myśląc o Marcusie i o tym, co by on pomyślał o jej narzuconym samej sobie odwyku. Niewiele by powiedział. Ale kiwnąłby głową albo coś w tym stylu; wykonałby któryś z tych swoich gestów macho, żeby jej przypomnieć, że może i siedzi za biurkiem tak samo jak ona, ale kiedyś wyważał drzwi kopniakami, a ona, widząc to skinienie, poczułaby się dobrze; poczułaby, że wszystko gra. Ale z drugiej strony: odpierdol się, Marcus. Co to ma wspólnego z tobą? Nie było przecież tak, że jego w życiu nie prześladowały żadne demony. Pod koniec, w drugiej połowie zeszłego roku, wrzucał pieniądze do automatów, jakby odkrył w nich sekret wiecznego życia.

Ale frytki były dobre.

Gdy dotarła do samochodu, wbrew sobie poczuła ulgę, że Louisa jeszcze się nie pojawiła. Postanowiła zjeść na stojąco, wykorzystując dach samochodu jako stół. Gdyby w środku pozostał zapach, musiałyby o tym wysłuchiwać bez końca. Zaatakowała dorsza dwucalowym widelcem – bronią nienadającą się do tego zadania – i udało jej się unieść do ust całkiem spory kawałek, nim przypomniała sobie, że miała „patrolować teren”. No jasne. Wciąż przeżuując, obeszła samochód i ruszyła cichą uliczką, szybko przyglądając się zaparkowanym pojazdom. Wszystko tak jak wcześniej.

Z wyjątkiem, pomyślała, nim znów zajęła się swoją kolacją na świeżym powietrzu, z wyjątkiem tej furgonetki sto jardów dalej. Czy była tam pięć minut temu?

Nie było jej.

Gdy Coe zobaczył Cartwrighta zmierzającego w stronę sali konferencyjnej, ukrył się w drzwiach jakiegoś sklepu. Nie czuł się potrzebny. „Chyba mamy problem”, powiedział wtedy i był o tym przekonany, ale nie sądził, by ten problem miał się wydarzyć tutaj. Szanse były mniej więcej takie jak na to, że na tym rusztowaniu wylądują obcy albo że ten śmieszny amerykański prezydent wyrzeknie się konta na Twitterze.

Ale jeśli chodzi o całokształt, wiedział, że ma rację.

Wsunął do uszu słuchawki i wysłuchał głównych wiadomości w radiu. Ostatnie wieści o pingwinach, które przeżyły; jakąś kobietę znaleziono martwą w jej domu w Londynie. Jeszcze nie tak dawno temu nie byłby w stanie tego zrobić: jedynym, co mógł znieść, były długie fragmenty improwizowanej muzyki na fortepian; melodia, która sprawiała, że unosił się jak liść w kilwaterze za łodzią wiosłową. Ale to słabło; zaczęło słabnąć, gdy oddał trzy strzały w pierś zabójcy. Dziwne rzeczy potrafią czasem rozładować napięcie. Ta raczej nie pojawi się w żadnych poradnikach, ale nie było najmniejszych wątpliwości co do rezultatów.

I bez względu na to, co jeszcze się działo i jakie zakłócenia szumiąły mu w tle, jego mózg działał jak należy, więc tak, wiedział, że ma rację. Zawsze miał zdolność zapamiętywania zapisanych informacji: przypominania sobie kształtu słów na stronie, układu akapitów, tego, w którym miejscu książki znajdowało się jakieś zdanie. „Wodopój” był jak z Kiplinga i to mu zostało w pamięci. Ktokolwiek wrzucił tę bombę na wybieg dla pingwinów w Dobsey Park, wykonywał instrukcje, które Coe widział na piśmie, a pod tym planem krył się jakiś inny, większy. Celem tego wszystkiego było nagłe zerwanie kurtyny i pokazanie ukrytej za nią maszynarii. Obnażenie planu jako stworzonego przez sam naród albo jego tajnych przedstawicieli. A tajni przedstawiciele narodu byli strażnikami jego duszy.

Wyszedł z drzwi sklepu i ruszył ulicą, a potem wąską uliczką między remontowanym budynkiem a kolejnym. Na końcu uliczki rozpychały się kontenery na śmieci, ale nie dało się przejść dalej i już miał zawrócić, gdy zauważył drabinę przymocowaną do rusztowania. Dobra, pomyślał, z góry będzie można obserwować ulicę. Cartwright na pewno zadzwoni i spyta go, co robi; to, że „prowadzi obserwację”, pewnie zamknie mu usta. I na dachu nic mu się nie stanie. Wspiął się po drabinie, a potem po kolejnej, dzięki czemu znalazł się jakieś dziesięć metrów nad ulicą. Deski trochę się uginały, ale nie na tyle, by nie czuł się bezpiecznie. Po prostu lekko się kołysały. Lamb zarzucał mu, że ma napady paniki. Zgadza się, ale wywoływali je ludzie. Nie miał lęku wysokości. Nie przeszkadzała mu większość rzeczy, pod warunkiem że nie wiązały się z tym ludziami.

U szczytu drugiej drabiny znajdowała się nieotwarta puszka farby, której pewnie ktoś nie powinien był tu zostawić. Coe ją obszedł, oparł się o poziomy metalowy drążek i spojrzął na ulicę w dole.

„Wodopój”. W Regent’s Park musiałyby poprzeć swoje twierdzenia twardymi dowodami albo statystycznym prawdopodobieństwem. W Slough House wystarczyło przekonać Jacksona Lamba. Ale Lamb przeżył swoje za żelazną kurtyną i wciąż potrafił czytać znaki. Ludzie mówili o Ulicy Szpiegów, o życiu pod przykrywką, z fałszywą tożsamością, ale Lamb służył tam, gdzie było najgorzej, gdzie instynkty pozostają wyostrzone, a jeśli nie, to przychodzi za to zapłacić. Potrafił rozpoznać prawdę, kiedy ją usłyszał. Nie oznaczało to, że nie był tłustym sukinsynem, tylko tyle że był tłustym sukinsynem, którego lepiej nie lekceważyć.

Nic z tego wszystkiego nie wskazywało, że tu i teraz okaże się, że Coe ma rację albo że Guy i Dander będą miały szczęście w Birmingham. Zafar Jaffrey i Dennis Gimball byli jedynie przykładami celu wskazywanego przez wzorzec: będą też inni, których śmierć wywołałaby wstrząs w państwie i różne poziomy żaloby, stresu lub zadowolenia. Na ulicach pojawiłby się wściekły tłum, a w jadalniach odkorkowywano by butelki. To wszystko trwałoby przez wiele dni, nagłówki podsycalyby oburzenie, a gdy przyszłaby pora, by ci pajace ujawnili, czyją strategię zastosowali, domek z kart byłby gotów runąć.

Nieważne, kim byli, pomyślał. Rosjanie, Chińczycy, kornwalijscy secesjoniści. Ich tożsamość miała drugorzędne znaczenie w porównaniu z tym, co chcieli dać do zrozumienia: że naród będący celem, który tak ochoczo obnosił się ze swoją wyższością moralną, sam zaprojektował własne zniszczenie.

A potem zaczął się zastanawiać, co tak właściwie robi tam w dole Dennis Gimball, który właśnie wyminął rusztowanie i przemknął uliczką do miejsca, gdzie stały kontenery ze śmieciami.

Na spotkanie przyszło całkiem sporo ludzi: pięćdziesiąt dwie osoby, więcej, niżby się spodziewała. Ale z drugiej strony Louisa jeszcze nigdy nie była na publicznym spotkaniu poświęconym lokalnym problemom. Jaffrey przemawiał, nakreślał

potencjalne wyzwania i możliwości – uwielbiał podkreślać, że wszystko w zasadzie sprowadza się do nastawienia – i musiała przyznać, że coś w sobie miał. Można by to nazwać charyzmą, bo ludzie tak to zwykle określali. Cokolwiek to było, zaimponowało jej, że potrafił to pokazać w jakiejś lokalnej bibliotece, choć spotkania nie relacjonowały media; i że wydawał się autentycznie przejmować sprawami, o których mówił, i jak dotąd nie próbował unikać odpowiedzi na żadne z pytań, począwszy od problemów związanych z miejscami parkingowymi dla mieszkańców, a skończywszy na kwestii losów samej biblioteki, którą planowano zamknąć. Louisa powinna czuć się z tym gorzej, ale w głowie już odhaczała pozycję w swoim arkuszu: przynajmniej nie będzie musiała studiować statystyki wyżyczeń pod kątem zagrożenia terroryzmem.

Jeśli chodzi o publiczność, to nie spodziewała się, by nagle wyskoczył z niej zabójca. Na pewno wśród tych ludzi krył się jakiś policjant: w cywilu, prawdopodobnie nieuzbrojony – być może po Abbotsfield w kraju wzrosło napięcie, ale tamten zamach to była masowa rzeź i nic nie sugerowało, że politycy mogą być narażeni na większe niebezpieczeństwo niż w ostatnim czasie. Jaffrey był jednak znany w całym kraju i był muzułmaninem: zawsze znajdą się tacy, którym jedna z tych rzeczy nie będzie się podobać. Policja, która choć trochę dba o swoją reputację, pilnowałaby swoich lokalnych bohaterów, więc wśród tych ludzi na pewno był policjant. Domyślała się, że to albo ta Azjatka w przednim rzędzie – drobna, ale sprawiająca wrażenie zwinnej, jeśli umiało się czytać znaki – albo ten zwalisty mężczyzna kilka miejsc na lewo od niej, który starał się, jak mógł, by nie wyglądać na znudzonego. Wśród publiczności była też para, która mogła należeć do zespołu Jaffreya: mężczyzna i kobieta, oboje młodzi, bardzo czujni i bardzo zaangażowani. Na pierwszy rzut oka Louisie wydało się, że to najprawdopodobniej ta dwójka, i jej serce zabiło szybciej. Ale gdy mężczyzna podniósł się z miejsca, by pomóc przejść starszce z torebką, rozluźniła się. Terroryści potrafili być bardzo różni, ale pomaganie starszym ludziom raczej nie było ich główną cechą.

Miała nadzieję, że Shirley na zewnątrz pozostaje czujna, choć najprawdopodobniej zmyła się, żeby znaleźć coś do jedzenia. Louisa miała ochotę

wyrzeć na zewnątrz i to sprawdzić, ale doszła do wniosku, że nie warto się fatygować. Shirley pewnie zrobi to, co zwykle, i raczej nie będzie jej wdzięczna za zwracanie uwagi. A więc Louisa siedziała dalej na sali i musiała zastanowić się przez chwilę, by przypomnieć sobie po co. W Slough House wydawało jej się, że to plan, który warto zrealizować; ale tu i teraz miała wrażenie, że to był tylko dobry sposób, by się stamtąd wydostać. Problem polegał na tym, że teraz była w Birmingham i będzie musiała przez dwie godziny jechać do domu, a obok niej będzie Shirley, z pewnością śmierzcząca frytkami.

Nie pozwól, by ktoś ci wmawiał, że to nie jest prestiżowy zawód, pomyślała.

Jaffrey coraz bardziej się ożywiał – mówił właśnie o Brexicie i o jego wpływie na lokalną produkcję – Louisa usadowiła się wygodnie, ale wciąż miała na oku drzwi. Wkrótce wtargną tu ludzie z bronią i spróbują zabić tego człowieka. To się wydawało mało prawdopodobne. Nie była też pewna, co powinna zrobić, gdyby jednak tak się stało.

Podjeżdżała jednak, że gdyby doszło do takiej sytuacji, ta kwestia rozwiązałaby się sama.

Było coś rozkosznego w wymykaniu się ukradkiem na papierosa, pomyślał Gimball. Przywodziło mu to na myśl szkolne czasy. Coś zakazanego już po zgaszeniu świateł – takie przygody bywały początkiem niejednej przyjaźni.

Po zakurzonym wnętrzu sali konferencyjnej powietrze na zewnątrz wydawało się świeże. Zapadał zmrok i ludzie stojący w kolejce przy wejściu – to zawsze był satysfakcjonujący widok – zmienili się w szare, nierozróżnialne kształty, ale zdecydował, że i tak wymknie się za róg. Te szare kształty były uzbrojone w smartfony, do których standardowych aplikacji zaliczało się fałszywe poczucie dziennikarskiego obowiązku. Gdyby tu zapalił, za chwilę miałby mnóstwo wyświetleń na Twitterze, co było współczesnym odpowiednikiem bycia przyłapanym przez belfra. Potrzebował dziesięciu minut, nie więcej. Czasu, żeby się uspokoić i zebrać myśli. Poukładać sobie w głowie, jak zwróci się do swoich ludzi.

Tak, ludzi, bo teraz miał swoich ludzi. Przyjaciół nie za bardzo. Miał sojusze, ale to było coś innego. Nawet Dodie, bez której nie dotarłby tak daleko – był na tyle wspaniałomyślny, by to przyznać, i zwracał uwagę na to, by co jakiś czas o tym wspominać – była jego najlepszą przyjaciółką tylko w tym sensie, że w tej roli nie miała zbyt wielkiej konkurencji. „Jedyną przyjaciółką” brzmiałoby równie prawdziwie. A przez to rzecz, którą zamierzał zrobić – stanąć przed kamerami i ujawnić, kim naprawdę jest – stawała się jeszcze niebezpieczniejsza. Bo Dodie go poprze, ale będzie wściekła, że nie uzgodnił tego najpierw z nią. Miała własne plany, a opowiedzenie się za prawem męża do autoekspresji mogłoby dla niej oznaczać konieczność wycofania się z niektórych publicznych oświadczeń, co bynajmniej nie byłoby nowym doświadczeniem dla felietonistki z wyrażanymi bez ogródek opiniami, sześciocyfrowym kontraktem i dwójką młodych pismaków, którzy w sumie pisali za nią, ale mimo wszystko wymagało pewnego przygotowania terenu. A więc tak, to była burza, którą będzie musiał przetrwać, i niespecjalnie mu się do tego paliło. Ale nie było innego wyjścia.

Druga możliwość: będzie pionkiem MI5 teraz i już na zawsze. Jeśli choć raz ulegnie naciskom Claude'a Whelana, będzie się mógł na zawsze pożegnać z jakąkolwiek polityczną niezależnością. A więc jeszcze raz:

- właśnie to musiał zrobić, więc
- zrobi to i
- do diabła z tym.

Teraz, gdy miał to już ułożone w głowie, poczuł się lepiej. Ale i tak potrzebował papierosa.

Znalazł małą uliczkę i ruszył nią szybkim krokiem. Włożył papierosa do ust, jeszcze zanim zdążył dotrzeć do podwórza na samym końcu. Przyłapcie mnie tutaj, pomyślał. Co ludzie by powiedzieli, gdyby zdybali go tutaj czającego się wśród kontenerów na śmieci jak zdiczały kot? Wypuścił dym, który uniósł się ku rusztowaniu, a dawno zapomniane wspomnienie ze szkolnych czasów nagle pojawiło się w jego głowie niczym ściennie malowidło w jaskini. Ich trzech za salą

gimnastyczną, podających sobie papierosa z rąk do rąk. Obraz znikł, ale Gimball się zastanowił: co się stało z tymi dawnymi towarzyszami, jak się nazywali i jak ułożyło im się życie? Jakkolwiek by się ułożyło, jutro czytaliby o nim w gazetach albo jeszcze dziś w nocy na ekranach. BOHATER BREXITU PRYZNAJE SIĘ DO ZBOCZONYCH SKŁONNOŚCI. Nagłówek nie chciał się zmienić, niezależnie od tego, jak bardzo Gimball próbował. CROSS-DRESSUJĄCY POLITYK PRZECHODZI NA DRUGĄ STRONĘ BARYKADY. Pokręcił głową, ale było już za późno: dotarła do niego pełna groza tego, co zamierzał, i nie mógł już udawać, że jest inaczej. Stać przed ludźmi i publicznie ogłosić jeden ze swych najbardziej osobistych występków – naprawdę? Pomieszać szyki Claude’owi Whelanowi, rzucając się na działo? To było szaleństwo. Bo to nie Whelana musiał się bać; nie musiał się bać nawet mediów, które zrobiłyby to, co zawsze, i karmiłyby się mięsem rzuconym w ich stronę. Nie, gdyby odważył się ujawnić prawdę o sobie, to jego własni ludzie zwróciliby się przeciw niemu. Co on sobie myślał?

Poczuł wilgoć na karku i to rozluźnienie wewnątrz, które pojawia się, kiedy ledwie uda się przed czymś uciec. To było kilka godzin wściekłości i brawury, to wszystko. Przyszłość, jaka go czekała, była zbyt wielka i zbyt ważna, by narażać ją tylko dlatego, że był zły. A więc tak, w porządku, zrobi to, czego oczekiwał od niego Whelan. Na dłuższą metę to nie będzie miało żadnego znaczenia. Dziś wieczorem nie będzie mógł ogłosić kontaktów Zafara Jaffreya z jego pomagierem z przestępczego półświatka, nie będzie mógł podkopać pozycji premiera, demaskując jego oswojonego muzułmanina, ale zegara historii nie dało się zatrzymać: ten temat i tak prędzej czy później ujrzy światło dzienne i jeśli to nie Dennis Gimball go rozgłosi, to na pewno doda mu kolorytu i zrobi wokół niego hałas. Koniec końców tylko to się liczyło – że to ty jesteś tam, gdzie trzeba. Bo w polityce wszystko sprowadzało się do wyczucia czasu: do diabła, mogłeś wepchnąć fiuta w ryj zdechłej świni i uszło ci to na sucho, jeśli miałeś dobre wyczucie czasu. No i zakładając, że niczego się nie wstydzisz – ale w przypadku absolwentów Eton to było coś oczywistego. Był bardzo bliski zapomnienia tej

lekcji, ale udało mu się w porę wyhamować dzięki uświęconemu nawykowi palenia papierosów. Gdyby się nie wymknął, żeby poukładać myśli przy nikotynowym kopie, mógłby wciąż żywić się złudzeniem, że publiczne obnażenie się jest tym, co powinien zrobić. Jezu. A Dodie się go o to czepiała.

Cóż, pomyślał, jeśli uwzględnić, co jeszcze trzymam w tajemnicy, to jakie znaczenie ma to, że od czasu do czasu zapalę sobie papierosa? I tylko żeby dowieść tego, jak prawdziwa była ta pocieszająca myśl, odpalił kolejnego od niedopałka, który trzymał w ręce, i głęboko się nim zaciągnął, spoglądając na fragmenty nieba widoczne przez trapezy rusztowania. A potem opuścił wzrok i popatrzył w uliczkę na coś groźnego zmierzającego w jego stronę.

Shirley stała z opakowaniami po żarciu na wynos rozłożonymi na dachu samochodu i w zamyśleniu jadła, dbając o to, by nic nie wskazywało, że obserwuje teren. Furgonetka była zaparkowana tyłem w jej stronę i jak na razie nikt z niej nie wysiadł, choć w pewnym momencie Shirley zdawało się, że dostrzegła kołysanie, jakby ktoś – albo kilku ktosiów – poruszał się we wnętrzu. Ale trudno powiedzieć. Jakaś spóźniona kobieta minęła ją pośpiesznie, stukając obcasami o chodnik, i znikła w bibliotece. Kiedy drzwi się otworzyły, przez chwilę słychać było śmiechy. Lokalny polityk zabawiający swoje masy.

Furgonetka była szara, z jaśniejszymi plamami, jakby niedawno ją przemalowano i opuszczono kilka miejsc, a tablica rejestracyjna znajdowała się poniżej linii jej wzroku. Zastanawiała się, czy nie zrobić jej zdjęcia, ale doszła do wniosku, że równie dobrze mogłaby podnieść wielką czerwoną flagę i zacząć z nią podskakiwać, wymachując rękoma. Obserwuj, nie zwracając na siebie uwagi, upomniała się. Obserwuj ogólnie, co się dzieje, nie gap się na tę furgonetkę. Jest wczesny letni wieczór i jesz rybę z frytkami. Takie rzeczy się zdarzają – zdarzają się cały czas.

Inne rzeczy też się zdarzały. Wczoraj w nocy runęła jak długa pod domem Ho, gdy ktoś, może jeden z tych z furgonetki, do niej strzelił. Dziś rano miała we włosach ceglany pył, co było dowodem, że to się naprawdę wydarzyło.

Równocześnie, poza siniakiem na policzku, wydawało się to jak rozdział z cudzych wspomnień. Marcus opowiadał jej o tym zjawisku: zapamiętane podekscytowanie ma efekt dystansujący, więc spoglądasz na zdarzenia, w których brałeś udział, jakby rozegrały się na ekranie telewizora. To był jeden z powodów, dla których wracałeś po więcej. Marcus opowiadał, że jak każdego innego haju fali adrenaliny nie da się podrobić.

Marcus wiedział o takich rzeczach i gdyby to on tu stał zamiast Shirley, wymyśliłby jakiś plan.

A to by się wiązało z zakładaniem najgorszego scenariusza. Nie było sensu traktować furgonetki jak jakiegoś nieistotnego szczegółu, ponieważ pomyłka mogłaby się okazać katastrofą. A więc pierwsze pytanie: czyby ją rozpoznali? Czy obserwowali ją z furgonetki i zamierzali ją załatwić, zanim pójdą do biblioteki? A może wczoraj w nocy było zbyt ciemno, a Shirley była tylko ruchomym celem w całym tym chaosie? Strzelali za wysoko. Czy to dlatego, że chcieli chybić, czy byli tak beznadziejnymi strzelcami? Oczywiście jej środek ciężkości był nisko – czyli słowami laika była „niska” – i to mogło spowodować, że chybili. Posiadanie nietradycyjnych kształtów miało swoje zalety.

Ale żadna z tych rzeczy nie miałaby zbyt wielkiego znaczenia, gdyby wysiedli z furgonetki i otworzyli ogień.

Zjadła frytkę i kiwnęła głową, jakby sprawiło jej to przyjemność – teraz każdy ruch wykonywała tak, jakby miała publiczność – a potem, wciąż kiwając głową, obeszła samochód i otworzyła bagażnik. Bez względu na to, czy ją obserwowali, czy nie, na pewno nie widzieli przez metal, więc nie mogli się przyglądać, jak grzebie w bałaganie Louisy – jakiś stary koc, kubek do chłodzenia wina, sportowe buty – aż znalazła klucz francuski schowany pod kocem i wsunęła go w prawy rękaw. Usztywnioną ręką zatrasnęła bagażnik i powróciła do swojego posiłku z prawą dłonią w kieszeni dzinsów. Lewą wybierała frytki i kawałki ryby z papierowych opakowań i wsuwała je do ust. Patrz na mnie teraz, Marcus, pomyślała i wyobraziła sobie, jak mówi do niej: „Dajesz czadu, dziewczyno”.

I to właśnie zamierzała zrobić.

Czekała tylko na właściwy moment.

Nie miał pojęcia, gdzie się podział Coe, a gdy spróbował zadzwonić, okazało się, że nic z tego. To prawdopodobnie oznaczało, że ten kretyn po prostu nie odbiera, a nie, powiedzmy, że nadział się na wrogi oddział i ma pełne ręce roboty, więc River nie był w stanie się tym za bardzo przejąć. Tyle tylko że Coe był kretynem – to się nie zmieniało. Sala konferencyjna była teraz pełna i wyczekiwanie wisiało w powietrzu jak owoce. Z tego, co rozumiał River, Gimball miał ogłosić jakąś wielką nowinę: zadeklarować, że ponownie dołączy do partii, z której kiedyś odszedł – powrót przez Rubikon. Było wielu takich, którzy spodziewali się, że skończy się to przejęciem przez niego przywództwa. Gdyby państwo było okrętem, zrobiłoby to mniej więcej taką różnicę, jakby koala przejął stery od wombata, pomyślał River, choć zdawał sobie sprawę, że niespecjalnie zna się na polityce. Bo gdyby tak było, szukałby sobie teraz jakiejś uczciwej roboty, tak jak powinien to zrobić każdy ekspert po 2016 roku.

W każdym razie nigdzie nie widział Coego. Ani nic innego, co by go zaniepokoiło, a przynajmniej nie bardziej niż zwykle na takich spotkaniach: zwolennicy o rozbieganych oczach, ludzie w czapczkach z brytyjską flagą. Facet w garniturze w najszersze prążki, jakie River widział – z wyjątkiem zoo, kobieta z jakąś rośliną doniczkową w rękach. Brakowało jedynie Gimballa. Grupka zebrana przy scenie, ludzie rozmawiający ze sobą i zerkający na zegarki, to byli pewnie jacyś miejscowi dygnitarze, a ubrana na niebiesko kobieta o groźnym wyglądzie mogła być panią Gimball, ale jej męża nigdzie nie było widać. Być może, niczym gwiazda rocka, odwlekał swoje wejście do momentu, aż żadne krzesło nie będzie stało puste, choć przy tym trendzie demograficznym mogło się to okazać dość ryzykowne.

River ruszył do wyjścia. Ludzie wciąż czekali przy wejściu, a furgonetka stacji telewizyjnej aż tętniła życiem. Wszystko w pełnej gotowości. Ale nie bojowej, upomniał się River. Spróbował sobie przypomnieć, jakie według Coego były szanse na to, że dziś wieczorem do czegoś tu dojdzie, ale nie potrafił. Pamiętał

natomiast upór, z jakim Coe twierdził, że ma rację; że maszyna poszła w ruch; że przemielła już Abbotsfield i czternaście niewinnych pingwinów. Dennis Gimball nie musiał być kolejnym na liście, ale nie było żadnych wątpliwości, że istnieje jakaś lista. Tak w każdym razie uważał ten kretyn. A kretyńska logika była równie mocna, jak każda inna.

A tak w ogóle to gdzie podziewał się Gimball? Może przed takimi wydarzeniami się denerwował i stał gdzieś zgięty wpół nad sedesem.

I gdzie był Coe?

River postanowił jeszcze raz obejść kwartał. Skręcił za róg i zbliżył się do budynku pokrytego rusztowaniem, który teraz miał w sobie coś cmentarnie upiornego. Metalowe rury nadawały mu jakiś rozchwiany, nawiedzony wygląd. Właśnie sięgał po telefon, żeby znów zadzwonić do Coego, gdy znalazł się w wąskiej uliczce i zobaczył na jej końcu dwie postacie. Jedną wielką, barczystą i groźną i drugą, którą był Dennis Gimball.

–Je frytki – powiedział Shin.

– No i?

– Czy jadłaby frytki, gdyby prowadziła obserwację?

Danny wzruszył ramionami. To mogła być dobra przykrywka; ktoś zobaczy, że jesz frytki, i pomyśli, że jesteś głodny, i tyle. Ale gdyby zobaczył, że kręcisz się przy budynku, uznaliby, że masz go na oku. Więc Danny doszedł do wniosku, że lepiej dopuszczać każdą możliwość.

Ale Shin chciał jak najszybciej zamknąć tę sprawę.

– Nie ruszamy się, póki nie włączą się latarnie uliczne. Zakładam, że do tej pory ona sobie pójdzie.

Danny podchwycił spojrzenie Ana, ale żaden z nich się nie odezwał.

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny każdy rozkaz z ust Shina brzmiał jak sugestia.

Wcześniej An wywiercił wizjer w tylnych drzwiach furgonetki. Danny podszedł tam teraz, a Shin, ten głupiec o słabym charakterze, odsunął się, żeby dać

mu spojrzeć.

Kobieta była niska, trochę przy kości – pewnie lepiej zrobiłaby jej sałatka – i ewidentnie sama. Co to za operacja, w której bierze udział jedna kobieta? Do tego niezręcznie się poruszała: miała sztywną rękę. Nie czegoś takiego oczekuje się od żołnierza.

Z drugiej strony wczoraj w nocy pod domem celu była kobieta – dokładnie w chwili, gdy Joon runął z nieba, jakby upuścił go bocian. Kiedy Danny do niej strzelił, rzuciła się na ziemię i może zrobiła to dlatego, że była dobrze wyszkolona, a może zadziałał ludzki instynkt: kiedy wokół świszczą kule, padasz na kolana. Nie potrafił sobie przypomnieć o niej nic konkretnego – nauczył się tego w Abbotsfield. Kiedy trzymasz w rękach broń, ludzie wokół stają się jacyś niekonkretni. Zmieniają się w upiory i cała ich osobowość jakby znika, i nie ma już żadnego znaczenia. Jeśli chcesz zachować swoje ludzkie cechy, trzymaj się z dala od pola bitwy. To twierdzenie pozostawało prawdziwe bez względu na to, po której stronie broni się było.

Poza tym zmyli się stamtąd tak szybko – z Joonem upchniętym do wozu jak wór ze śmieciami – że nie mógł być pewny, czy tamta kobieta nie została zastrzelona: to by tłumaczyło, czemu runęła na ziemię. Więc może w Londynie znaleziono jakąś martwą kobietę, a ta tutaj to był ktoś zupełnie inny; po prostu jadła frytki.

Danny’emu było to obojętne.

– Jeśli wciąż tu będzie, gdy ruszymy, zajmę się nią – powiedział.

– Wydałem instrukcje – rzucił Shin, ale mówiąc to, zerknął na pozostałych: na Ana, na Chrisa, który siedział z przodu na miejscu kierowcy, jakby szukał ich poparcia.

Gdy jego wzrok spoczął wreszcie na Dannym, ten z odrazą wytrzymał to spojrzenie, jakby było czymś brudnym, czymś naznaczonym hańbą.

I wtedy Danny zrozumiał, że nadszedł jego moment.

– Zastanawiam się, czy twoje zaangażowanie jest pełne – powiedział.

– Pełne?

- W Abbotsfield nie bardzo udawało ci się trafić do celu.
- O co ci chodzi? Co chcesz przez to powiedzieć?
- Że twoje kule fruwały na prawo i lewo, ale nie za bardzo w coś trafiały.

Z wyjątkiem kurnika. Zastrześliś kurnik.

- Strzelałem jak trzeba i do celu.
- Strzelałeś w niebo.
- Zabiłem dwóch, może trzech.
- Nie wydaje mi się.
- Strzelałem jak trzeba i do celu – powtórzył Shin.
- W takim razie dziwne, że nie zabiliśmy ich więcej.
- Jestem dowódcą tej jednostki – oświadczył Shin. – Naprawdę myślisz, że mój dzienny raport nie będzie obejmował tej rozmowy?
- Ja też składam dzienne raporty – skłamał Danny.

Shin zamilkł.

An, który kuczał oparty o ścianę pojazdu, popatrzył na swoje stopy, potem na panele naprzeciwko albo może gdziekolwiek, byle tylko nie na Danny'ego i Shina.

- Najpierw ją zabiję – powiedział Danny. – Zanim wejdziemy.
- To ja tu dowodzę! – oświadczył Shin. – Nie zrobisz niczego bez mojego rozkazu!

– W takim razie twoje rozkazy powinny to obejmować – odparł Danny. – Że najpierw ją zabiję. Zanim wejdziemy.

Oparł się o panel i zamknął oczy.

Ze swojego punktu obserwacyjnego J.K. Coe widział, jak Dennis Gimball wściekle wypala jednego papierosa, a potem drżącymi rękami odpala kolejnego od niedopałka. W głowie tego polityka coś się działo: nie trzeba było być Johnem Humphrysem, żeby do tego dojść. I dobrze. Coe miał takie podejście do polityków ogólnie, a do Gimballa w szczególności, że przyglądałby się z radością, jak eksploduje mu głowa.

Mimo to spał się, gdy w uliczce pojawiła się nowa postać; zmierzała w stronę Gimballa jak chodząca groźba. Coś jest nie tak z jego twarzą, pomyślał Coe, a potem doszedł do wniosku, że się myli. To cienie rzucane przez rusztowanie na twarz dziwnie ją zniekształcały.

Gdy nowo przybyły dotarł do Gimballa, uniósł ramiona, jakby próbował stać się jeszcze większy.

A i bez tego był wielki: nawet przy tej perspektywie, patrząc z góry, Coe to widział. Był czarnoskóry, nosił obszerny płaszcz, a włosy miał przycięte jak od linijki, odcinkami, wzdłuż czoła i wokół uszu. I przez te dziwaczne cienie minęła kolejna chwila, nim do Coego to wreszcie dotarło: miał tatuaże. Na jego twarzy, na kościach policzkowych wirowały atramentowe wzory.

Cokolwiek mówił, brzmiało to jak niski pomruk i Coe nie był w stanie wychwycić słów.

Gimball cofnął się o krok. Machnął papierosem, jakby szkicował coś w dymie, i kilka razy powtórzył jedno słowo:

– Już, już, już...

Coe cofnął się w stronę drabiny i znajdował się teraz bezpośrednio nad nimi. Czy to jest to? Nowo przybyły nie wyglądał na uzbrojonego, ale wcale nie musiał – mógłby złamać Gimballa na pół, gdyby tylko miał ochotę. Co nie oznaczało, że zamierza to zrobić, i nie czyniło z niego terrorysty: mógł być zaangażowanym wyborcą, nadgorliwym ankieterem albo po prostu jednym z czterdziestu ośmiu procent – malutkiej mniejszości, z której część wciąż jeszcze nie pogodziła się z nowym stanem rzeczy – przedstawiającym jakiś ważny politycznie argument. A ponieważ którakolwiek z powyższych rzeczy – lub wszystkie – jak najbardziej mogły obejmować wrzucenie Dennisa Gimballa do kontenera na śmieci, interwencja byłaby zakłócaniem demokratycznych procesów.

A więc Coe pomyślał: przez chwilę będę się tylko przyglądać.

A potem w uliczce zjawił się River i wszystko się skomplikowało.

Louisa wstała, a znudzony facet siedzący w tym samym rzędzie co ona, rozejrzał się uważnie. To ty jesteś gliniarzem, pomyślała. Udając, że tego nie zauważa, wyciągnęła z kieszeni komórkę i ruszyła w stronę wyjścia, mrucząc coś do niej, jakby z kimś rozmawiała. Przez okno widziała Shirley przy samochodzie jedzącą rozłożone na dachu frytki. Przyłapana na gorącym uczynku. Poza tym wszystko wyglądało spokojnie, choć pojawiła się jakaś furgonetka, która która musiała przyjechać już po tym, jak Louisa weszła do budynku. Na boku nie było żadnego logo, ale ktoś siedział za kierownicą. Oglądał się teraz za siebie, jakby rozmawiał z kimś w głębi wozu. To mogło być coś albo nic. Gdyby to była prawdziwa operacja, a nie jej odpowiednik w Slough House – czyli bardziej wycieczka związana z pracą – furgonetkę już by otwarto, a jej pasażerów zmuszono do odśpiewania hymnu narodowego. Ale improwizowały i mogły najwyżej mieć oczy otwarte na wszystko.

Chyba że Shirley zrobi coś idiotycznego.

River krzyknął:

– Hej!

Mężczyzna z tatuażami się odwrócił. Mimo charakteru tej sytuacji jego twarz wydawała się pozbawiona wyrazu, jakby tatuaże przejęły rolę rysów.

– To nie twoja sprawa – powiedział. – Odejdź.

River zatrzymał się dwie stopy przed nimi.

– Wszystko w porządku, panie Gimball?

– Mam ważne spotkanie – powiedział Gimball. – Przemówienie. Zejdź mi z drogi.

Nie było jasne, do którego z nich dwóch się zwracał, ale River i tak to podchwycił.

– Słyszał pan. Proszę go przepuścić.

– Jeszcze nie skończyłem z nim rozmawiać.

– Ale on skończył rozmawiać z panem.

– Dość już tego – wtrącił Gimball. – Mam wezwać policję? Tego chcesz?

– Nie ma takiej potrzeby – powiedział River. – Ten pan już sobie idzie.

Ale ten pan miał inne plany.

Kiedy River wyciągnął rękę, by chwycić go za łokieć, odtrącił ją i wyprostował się. Był wyższy od Rivera, bardziej barczysty i nie wyglądał na kogoś, kto pierwszy raz unosi pięści w wąskiej uliczce, ale Rivera walczyć uczyli profesjonaliści i nawet jeśli nie był najlepszy na roku, zdecydowanie nie był też najgorszy. Co było dla niego wielkim pocieszeniem, kiedy wytatuowany facet kopnął go w brzuch.

Wszystko to obserwował z góry J.K. Coe, który zaczynał dochodzić do wniosku, że powinien albo interweniować, albo zejść z budynku i się zmyć.

River zgiął się w pół, a mężczyzna położył rękę na jego głowie i pchnął go do tyłu.

River się przewrócił.

– Dość tego – powiedział Gimball. – Wzywam policję. – Wyjął telefon: wizualne wsparcie. Pomachał nim. – Dzwonię do nich.

Mężczyzna wyszarpnął mu komórkę i rzucił nią o ścianę. Roztrzaskała się.

– Już, już, już, już...

– Żadne już. Posłuchaj mnie.

– Już, już, już...

Mężczyzna złapał jedną ręką Gimballa za kłapę i przyciągnął go do siebie.

O Jezus, pomyślał J.K. Coe.

River podźwignął się na nogi.

– Już, już, już...

– Zamknij się, kurwa.

River chwycił mężczyznę za ramiona, a ten puścił Gimballa i się odwrócił, gotów przywalić mu pięścią w twarz, ale River pierwszy trafił go łokciem w nos. Popłynęła krew, jednak mężczyzna zablokował kolejny cios przedramieniem i rzucił się do przodu. Obaj wpadli na kosz na śmieci, a potem osunęli się na ziemię, mężczyzna był na górze. Ponownie uniósł pięść, ale River już się uwalniał:

złapał go za nadgarstek, zatrzymując cios i równocześnie przyłożył mu z główki w już uszkodzony nos. Gimball przyglądał się temu wszystkiemu ze zgrozą.

– Przepuście mnie!

Ale nie ruszył się z miejsca, tylko trząsał się, jakby musiał wyminąć walczące psy i bał się, że jeśli spróbuje przejść, któryś z nich się na niego rzuci.

River zerwał się na nogi i jego kopniak trafił mężczyznę w ramię, chociaż Coe zakładał, że celował w głowę. Efektem był gniewny pomruk, ale nie udało mu się wyrządzić żadnych większych szkód i po chwili mężczyzna też się podźwignął. Zaczął się kołysać i podskakiwać, mrużąc pod nosem:

– No to chodź, chodź.

Uchylił się przed kolejnym ciosem Rivera i przed jeszcze następnym, a potem wyprowadził własny, celując w gardło. Gdyby trafił, z Rivera nie byłoby co zbierać. River jednak zdążył się cofnąć – z miejsca, z którego obserwował to Coe, wyglądało to jak zaplanowany efekt choreografii. Gimball przywarł do jednego z kontenerów na śmieci i można było odnieść wrażenie, że jeśli szybko nie zjawi się pomoc, zaraz schowa się do środka; River i jego przeciwnik wydawali się nie pamiętać o jego obecności. Teraz wszystko sprowadzało się do walki. Wszystko sprowadzało się do tego, kto wygra. Coe znów się zastanowił, jakie ma opcje, i stwierdził, że się nie zmienily: walczyć albo uciekać. Na litość boską, River nawet nie wiedział, że Coe tu był. Mógł sforsować jakieś okno, przedostać się przez nie do środka i wyjść na ulicę. A potem wrócić i zdrapać Rivera z chodnika. Tyle tylko...

Tyle tylko że gdyby to on był tam na dole, a River tu na górze, River by mu pomógł.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, na tyle długo, by zobaczyć kolejne dwie sekundy wydarzeń. Żadna z nich nie była zabawna dla Rivera, który oberwał w bok głowy i musiał przez jakiś czas słyszeć bijące dzwony. Coemu przyszło na myśl, że gdyby pomógł Riverowi, wszedłby w drogę właśnie takim chwilom: dałby temu facetowi kolejny cel do okładania pięściami, kiedy River będzie łapał oddech. A więc dobra, niech będzie okno. I Coe odwrócił się, by cofnąć się tą samą drogą,

którą tu przyszedł, ale wtedy potrącił stopą zbląkaną puszkę farby, posyłając ją trzydzieści stóp w dół, w zaułek poniżej, wirującą wokół własnej osi.

O cholera, pomyślał.

Pięć minut później wiele mil dalej Shirley skończyła jeść frytki. Latarnie uliczne zamrugały i świat wokół subtelnie się zmienił. Już czas, pomyślała. Cokolwiek się dzieje w tej furgonetce, pora, by to ona wykonała ruch. Bo jeśli cokolwiek miało się stać, to gdy zacznie się pora cieni.

Tak właściwie powinna pójść po Louise, ale co by to dało? One dwie i tylko jedna broń: jeśli w tej furgonetce były jakieś paskudne typy, sprowadzenie Louisy dałoby im tylko drugi cel. Shirley zgmiotła papiery po rybie z frytkami, owinęła je wokół pustego styropianowego opakowania i zostawiła tę bryłę w kształcie cegły na dachu samochodu. Czuła klucz francuski w prawym rękawie, z nasadą dotykającą wnętrza jej dłoni. Gdy rozluźni uchwyt, klucz wsunie się płynnie w jej dłoń, a przynajmniej taki był plan. W idealnym świecie miałyby czas przećwiczyć ten ruch.

Marcus? – pomyślała.

Dajesz czadu, dziewczyno.

Więc ruszyła.

Shin wpatrywał się w swój telefon.

– Jest coś... – zaczął.

– Idzie tu.

– Co?

– Ta kobieta – powiedział An. To on przejął rolę obserwatora; kucał z okiem przysuniętym do wizjera w tylnych drzwiach furgonetki. – Zbliża się.

– W takim razie ruszamy – powiedział Danny.

Trzymał broń półautomatyczną, przytulając ją jak niemowlę.

– Ruszamy – powtórzył. – Ja załatwię kobietę, a potem wchodzimy.

Nie będzie jak w Abbotsfield, Danny o tym wiedział. Tam mieli mundury i znajdowali się na otwartej przestrzeni: w górze błękitne niebo, stare budynki

z kamienia odbijające echem ich obecność. Tam w pobliżu szemrała woda, a drzewa o potężnych korzeniach były świadkami wydarzeń. To było tak, jakby przeszli przez całe stulecia, sprowadzając wojnę do świata, który uważał się za wolny od rozlewu krwi. Tutaj nie było wzgórz, z których można krzyczeć, ani ptaków, które zerwałyby się do lotu. Będą tu ściany i okna, i to wszystko, i umierający będą wiedzieć, że są w samym sercu swojego miasta – ale i tak zginą. To była ostatnia konieczna lekcja. Że zginą.

A pierwszą z nich będzie ta kobieta z usztywnioną ręką; An powiedział, że się do nich zbliża, że celowo idzie w ich stronę.

Danny wyciągnął rękę do klamki tylnych drzwi.

– Nie. Czekaj.

To znowu Shin, który wciąż trzymał w dłoni swój telefon, ale teraz patrzył na Danny’ego i powiedział to z większym autorytetem niż ostatnio.

Danny się skrzywił i chwycił klamkę. Broń zwisała z jego ramienia, dotyk jej siatkowego paska był dla niego tak znajomy jak dotyk koszuli i paska od spodni.

– Powiedziałem „czekaj”!

Drzwi puściły i do środka wdarło się powietrze, nagły powiew letniego wieczoru wciskający się w smród męskich ciał.

Wtedy An chwycił Danny’ego za rękaw, a drugą ręką sięgnął nad nim i zatrzasnął drzwi.

– Co? – zachnął się Danny.

– Już po wszystkim – powiedział Shin, odkładając telefon. – Musimy się zwijać.

– Jak to po wszystkim? Jak...

– No dalej! Jedź!

Te słowa były skierowane do Chrisa, który siedział za kierownicą.

– ...może być po wszystkim?

Chris uruchomił silnik i furgonetką szarpnęło nagle do przodu.

– Nie! Mamy misję!

Shin schylił się i uderzył Danny’ego w twarz.

– Dość tego!

Danny rozszerzonymi oczami patrzył na Ana, ale ten nie podchwycił jego spojrzenia.

– To trafi do mojego raportu – syknął Shin. A potem znów do Chrisa: – Czemu wciąż tu jesteśmy?

Furgonetka ruszyła.

Louisa znów podeszła do okna, ignorując poirytowane spojrzenia zaangażowanych obywateli. Tymczasem Zafar Jaffrey wyjaśniał, w jaki sposób nowoczesne miasto, modelowa społeczność, obejmuje potrzeby wszystkich: bez wyjątków, bez pariasów. Tak, jasne. Dopóki nie pojawi się taka grupka z bronią i nie zacznie własnego procesu wykluczania. Ale Louisa trochę się wstydziła tej odruchowej reakcji: przypuszczalnie było to ryzyko zawodowe. Co nie oznaczało, że inni ludzie nie powinni mierzyć wyżej.

Na zewnątrz Shirley skończyła piknik na dachu samochodu; teraz z determinacją szła ulicą, a usztywniona prawa ręka była wskazówką, gdzie się w tej chwili znajduje klucz francuski. Wydawało się, że zmierza do furgonetki, której tylne drzwi w tym momencie się otworzyły. Coś się dzieje, pomyślała Louisa i w tej samej chwili uświadomiła sobie pomruk za plecami. Publiczność Jaffreya zareagowała na jakieś wydarzenie. Shirley poruszyła ręką i Louisa zobaczyła, jak w jej dłoń płynnie wsuwa się klucz francuski. Drzwi furgonetki znów się zamknęły i ktoś uruchomił silnik. Shirley puściła się biegiem. Louisa usłyszała, że za jej plecami szurają krzesła, zszokowani ludzie szepczą: „O mój Boże” i „O cholera”. Zadzwonił jej telefon. Furgonetka ruszyła, a Shirley gnała teraz ile sił i coś krzyczała, Louisa nie słyszała co. O Jezu, pomyślała, a potem Shirley była na środku ulicy, a klucz francuski w locie; wykonał wdzięczny łuk, niczym jaskółka, uderzył roboczą częścią w tylne drzwi furgonetki, a potem z brzękiem upadł na ziemię. Shirley się zatrzymała, oparła ręce o kolana i stała tak, dysząc i bez wątpienia się pocąc, ale jej cel zniknął. Wszystko trwało jakieś cztery, może pięć sekund.

Louisa pokręciła głową. Jeśli w tej furgonetce byli zwykli, porządni obywatele, wkrótce o tym usłyszymy, pomyślała.

Reszka, powiedziała Riverowi. Ty dostajesz Coego.

Nie powinna była kłamać. Z Coem byłoby mniej problemów.

Potem odwróciła się do ludzi za jej plecami, by sprawdzić, skąd to całe zamieszanie.

9

– O ja pierdolę – powiedział Lamb. – Czyli to się jednak stało.

Na stronie BBC pojawił się filmik, na którym był zaułek z rusztowaniami i ludzie w białych kombinezonach. Albo członkowie ABBY znów się zeszli w Slough, albo znaleziono tam zwłoki.

Zwłoki Dennisa Gimballa, według mediów społecznościowych.

– Nie było oficjalnego potwierdzenia – powiedziała Catherine – ale...

– Ale nasz ulubiony eurofob właśnie dokonał twardego Brexitu. – Lamb chyba z powietrza wyczarował papierosa, a potem rozrzedził to powietrze, zapalając go. – A ja się pofatygowałem, żeby wysłać Ciapcię, Kłapcię, Puchowy Ogonek i tego drugiego, żeby temu zapobiec. – Ze znużeniem pokręcił głową. – Czasem się zastanawiam, po co rano wstaję z łóżka.

– Pewnie po to, żeby roztaczać wokół siebie blask i słodycz. – Catherine pisała SMS-a; ściągała Rivera i Louise z powrotem do domu. Oczywiście nie użyła słowa „dom”. Gdy skończyła, podniosła wzrok i zobaczyła Lamba wpatrującego się ze złością w jej iPada – przed chwilą położyła go na jego biurku, żeby pokazać mu najnowsze wiadomości. Wiedziała, jak krótkie bywają związki Lamba z nowoczesną technologią, i szybko mu go zabrała. – Czyli Gimball nie żyje, a źli koleś wygrywają. Nie jest to nasza najlepsza chwila.

Lamb pociągnął nosem.

– Z drugiej strony, to dowodzi, że nasza teoria jest słuszna. Czyli... zyski i straty się równoważą, no wiesz.

– To na pewno wielka pociecha dla zmarłego.

– Śpi sobie z rybikami – powiedział Lamb. – Taka pociecha będzie mu musiała wystarczyć.

Catherine wyszła z pokoju, żeby nastawić czajnik. Kiedy wróciła z dwoma kubkami herbaty, Lamb opierał stopy w skarpetkach o biurko. Przez dziurę w jednej z nich widać było wszystkie pięć palców, przez dziurę w drugiej – trzy. Było to właściwie tak, jakby nie nosić skarpetek, jednocześnie je nosząc, pomyślała. Postawiła przed nim kubek i znów usiadła na swoim miejscu. Lamb pierdnął w zamyśleniu, po czym powiedział:

– To na czym teraz stoimy?

– Cóż – powiedziała Catherine – wiedziałeś o możliwości zamachu na Dennisa Gimballa, ale ograniczyłeś się do wysłania dwóch nieuzbrojonych agentów z biurka, żeby stali bezczynnie, kiedy to będzie się działo. I nie powiadomiłeś o tym Regent's Park, bo obawiałeś się, że uruchomią jakiś protokół spalonej ziemi, żeby zatuzować fakt, że potencjalni zamachowcy punkt po punkcie realizują plan destabilizacji opracowany przez sam Regent's Park. Coś pominęłam?

Lamb patrzył na nią przez chwilę, a potem powiedział:

– To bolało. Wy, pijacy, nie macie za grosz taktu, co?

– Jednak coś pominęłam – odparła Catherine, na której nie zrobiło to żadnego wrażenia. – Kiedy to się działo, przykułeś Emmę Flyte do krzesła. – Upiła łyček herbaty. – To będzie dobrze wyglądać w raporcie.

– Nie, to zadziała na naszą korzyść. Gdyby to zgłosiła zaraz po tym, jak ją puściliśmy, siedzielibyśmy już po uszy w psim gównie. A nie siedzimy, przynajmniej nie bardziej niż zwykle. A to znaczy, że zachowała to dla siebie, czyli dotarły do niej moje racje. Nikt, kto wie, co się dzieje, nie powinien się wychylać. Ta sprawa jest toksyczna.

– One wszystkie są toksyczne, Jackson.

Spojrzał na nią ostro, ale wpatrywała się w swoją herbatę, jakby spodziewała się znaleźć w niej liście, z których wyczyta odpowiedzi.

Jej telefon zapiszczał i przeczytała SMS-a.

– Louisa i Shirley wracają.

– Wdzięczny naród odetchnął z ulgą.

– Wiesz, Claude Whelan to rozsądny człowiek. Pomiń Lady Di i zwróć się z tym bezpośrednio do niego. Nie każe nas pozamykać w jakichś tajnych więzieniach tylko dlatego, że wiemy więcej, niż powinniśmy. – Upiła łyk herbaty. – Już tak nie robią z agentami, którzy sprawiają kłopoty. Gdyby tak było, nie przetrwałbyś tak długo.

– Zależy, ile sprawiają kłopotów. Ale poczekajmy i zobaczymy, jaki raport złoży nasza Fantastyczna Czwórka. Dopiero wtedy podejmiemy decyzję. To znaczy, nie podcieram się, dopóki się nie wysram, prawda?

– Wolałabym nie zgadywać.

Lamb uśmiechnął się krzywo, a potem przypomniawszy sobie o dupie, energicznie się po niej podrapał.

– Chyba mogłoby być gorzej – powiedział. – To znaczy, przecież nikt z nas nie zabił tego sukinsyna, prawda? – A potem przestał się drapać. – Co to było?

Ktoś właśnie wszedł do Slough House.

Roderick Ho zaplątał się we śnie, w którym Kim – jego dziewczyna – wyjaśniała mu, że wszystkie te zwroty z różnych kart kredytowych, o których załatwienie go prosiła, to był tylko chwyt, żeby mogła zebrać dość pieniędzy na kupienie mu prezentu. To w pewnym stopniu tłumaczyło jej wyjątkowego pecha w transakcjach online i to, że jakieś sklepy internetowe ciągle ściągały środki z jej karty, a zamówiony towar nigdy się nie zjawiał. Prostowanie takich spraw było zadaniem dla dżentelmena, zwłaszcza jeśli rzeczony dżentelmen (Rodster) umiał swobodnie wędrować po świecie po drugiej stronie cyfrowego zwierciadła, przenosząc liczby z jednego miejsca w inne wedle własnego widzimisię. Mimo wszystko, gdy to usłyszał, poczuł bardzo specyficzny rodzaj przyjemności. I gdyby zegarek, który mu wtedy podarowała, nie okazał się małą ośmiorniczką, być może śniłby dłużej. Ośmiorniczka owinęła jednak swoje macki wokół jego nadgarstka i wydała dziwny

dźwięk, coś jak „chrumk”, i gdy Ho otworzył oczy, zbiegło się to idealnie z tym, że ktoś otwierał drzwi.

Kobieta, która weszła, była swego rodzaju ślicznotką.

Ho otarł sklezione śliną usta grzbietem dłoni, wytarł grzbiet dłoni o T-shirt i posłał jej swój drugi najlepszy uśmiech, ten z lekko uniesioną brwią. Nie było sensu strzelać laserami w pierwszej chwili. Na to gównu trzeba sobie zasłużyć. I wyglądało na to, że zamierzała udawać trudną, bo zachowała kamienną twarz, założyła ręce i oparła się o ścianę. Miała blond włosy i była wyższa od Roddy’ego, ale tylko o jakieś cztery cale. Teraz ją rozpoznał, bo wcześniej tego roku była zamieszana w cały ten bajzel, gdy Roddy bohatercko wyszedł przez okno, żeby go nie zastrzelili. To była Emma Flyte, szefowa psów. Kilka razy wyszukał ją w Google Image, tak na wszelki wypadek, ale znalazł tylko parę ujęć z gazet z czasów, gdy pracowała w policji. Pewnie wyczyścili jej internetową biografię. I fajnie: lubił tajemnicze.

– Ta Kim – powiedziała. – Twoja dziewczyna.

Roddy przepraszająco pokiwał głową. W sumie lepiej, żeby z góry wiedziała, że jest nieosiągalny.

– Zacznijmy od niej – powiedziała Flyte.

River Cartwright był napięty jak rakietka tenisowa.

– Jezu na rowerze – powiedział.

– Często się nad tym zastanawiałem – odparł J.K. Coe. I dodał: – Na jakim rowerze?

– Odbiło ci?

Coe wyjrzał przez okno. Jechali z powrotem do Londynu i River prowadził, jakby samochód Ho był ze szkła: nie przekraczał żadnych ograniczeń prędkości, stosował się do wszystkich zasad ruchu. Kiedy połowa policji z całego kraju i większość mediów skupiały się na aktywności w tej okolicy, to nie była właściwa pora, żeby pędzić na złamanie karku.

Zanim Coe wsiadł do samochodu, zajrzał na stronę z wiadomościami: anonimowo, z telefonu na kartę. Zaułek w Slough; zwłoki mężczyzny. Potem wszystko rozmontował i gdy już ruszyli, osobno wyrzucił na pobocze baterię, telefon i połamaną kartę SIM.

– Pytałem na poważnie – powiedział River. – Odbiło ci?

– Używali raczej określenia „z problemami”. I „zestresowany”. Nikt nigdy nie mówił, że mi „odbiło”. – Na to wspomnienie Coe wydał wargi. – A to byli eksperci – dodał.

– Bo nie tylko zachowujesz się jak pieprzony psychol, ale zaczynasz już przekraczać wszelkie granice. Co teraz zrobimy?

– Myślę, że powinniśmy zostać na autostradzie.

– To ci się wydaje zabawne?

– Nie – odparł Coe, choć jego ton sugerował: „no cóż, może trochę”.

Przeciwnym pasem przemknął na sygnale policyjny wóz, a potem jeszcze jeden i kolejny. River odnosił wrażenie, że zmierza w samo centrum tornada z wielką prędkością wyrzucającego z siebie te pojazdy. Na myśl o tym, co ich czekało na końcu tej podróży, miał ochotę wcisnąć hamulce. Z drugiej strony, od tego, co zostało za nimi, trzeba się było oddalić, i to szybko. Chyba mądrze będzie na jakiś czas skupić się na prowadzeniu, pomyślał.

– Mogę twój telefon? – zapytał Coe.

– Po co ci?

– Wiadomości.

River wyciągnął go z kieszeni i rzucił nim w Coego z nadzieją, że może wybije mu oko.

– PIN?

River mu podał.

Coe wszedł do internetu i sprawdził Twittera.

– No proszę.

Było już siedem tweetów dotyczących tego, co się wydarzyło w Slough – zgadywano, ogłaszano, spekulowano. Pojawił się ósmy. A potem kolejne.

Wydawało się, że to samonapędzający się proces, coś jak obserwowanie rodzenia się faktów z samej mocy liczb.

– I w czym to ma niby pomóc?

– Myślę, że im większy zamęt, tym lepiej. A ty nie?

Ogólnie to niekoniecznie, pomyślał River. Chociaż w tych okolicznościach może i tak było najlepiej.

Coe miał żywsze rumieńce, niż River widział u niego kiedykolwiek dotąd; kaptur od bluzy opadał mu na ramiona, a słuchawki wisiały luźno na szyi. Już raz kogoś zabił: czy wtedy stało się z nim to samo? River miał okropne uczucie, że to całkiem możliwe.

– Rozmawialiśmy o tym, prawda? – powiedział. – Mówiłeś, że nikogo nie zabijesz.

– Mówiłem, że nie będę do nich strzelać.

– To nie pora, żeby dzielić włos na czworo.

– Nie zrobiłem tego umyślnie – powiedział Coe.

– Rzuciłeś puszkę farby...

– Strąciłem.

– ...która musiała ważyć Bóg wie ile...

– Ktoś nie powinien był jej zostawiać na tym rusztowaniu.

– ...z wysokości jakichś czterdziestu stóp...

– Według mnie raczej trzydziestu.

– ...na głowę człowieka.

– Na swoją obronę muszę powiedzieć, że gdybym w niego celował, na pewno bym nie trafił.

– Ale to nie żadna obrona, co? Bardziej przyznanie się do winy.

– Cóż, przecież ten gość to nie taka wielka strata – ocenił Coe.

– To też w niczym nie pomaga. – River uświadomił sobie, że zaczyna dodawać gazu, i zmusił się, żeby nie dociskać tak mocno pedału. – Spróbuj cofnąć się trochę myślami. Chodziło o to, żeby pokrzyżować złym koleśiom plany, a nie wykonać za nich robotę.

- Zmiana planów...
- Nie – powiedział River. – Nie, przestań.

Gdyby nie prowadził, zapadłby się w siedzenie i zamknąłby oczy, ale gdyby zamknął oczy, znów by to zobaczył: tę puszkę farby, która pojawia się jakby znikąd i prawie urywa Gimballowi głowę. W jednej chwili w kółko jąkał to samo słowo, „już, już, już”, a w następnej odbił się od kontenera na śmieci jak wyrzucona pacynka. Tymczasem puszka uderzyła o ziemię, odbiła się i trafiła czarnoskórego faceta, z którym szarpał się River. Zaskomlał – wysokim tonem, dziwnie kobiecym jak na kogoś, kto według Rivera zdawał się zbudowany z betonu gumowanego – a potem zobaczył ciało Gimballa i się zmył. Wieko tej puszki wciąż trzymało mocno – mogliby to wykorzystać w reklamie, pomyślał bez sensu River. Producenci tej farby. Choć niekoniecznie musiało to być zaletą, bo pewnie były takie chwile, gdy chodziło o to, by wieko można było bez problemu zdjąć. Na przykład wtedy, gdy malowało się ściany, a nie zabijało polityka. A więc pewnie jednak nie nadawałoby się to do kampanii reklamowej. W każdym razie to było nieistotne.

Najważniejsze było to, że opuścili miejsce zdarzenia.

River podźwignął się na nogi. Napastnik zniknął, został tylko River gapiący się w zdumieniu i ze strachem, i wtedy zjawił się J.K. Coe. „Lepiej się zbierajmy”, powiedział, a potem, popychając przed sobą Rivera, wyszedł z nim z zaułku. Zostawili za sobą cichą sceną zniszczenia: jednego martwego Gimballa i jedną puszkę farby. I wszystkie te kosze na śmieci skupione przy nich niczym żałobnicy.

- Nie powinniśmy byli stamtąd uciekać – powiedział teraz.
- Owszem, powinniśmy – odparł Coe.
- Mówiłeś, że to był wypadek, to...
- Bo był.
- ...to dlaczego uciekliśmy? Przez to wygląda to przecież tak...
- Musieliśmy.
- ...jakbyśmy byli winni, jakby to było morderstwo.

– Musieliśmy – powtórzył Coe. Zerknął na Rivera, potem na uciekającą pod kołami drogę: migotanie po bokach, ulotne odbicia, wszystko wzmocnione do maksimum. – Zastanów się nad tym. Byliśmy tam nieoficjalnie...

– Lamb nas wysłał.

– ...bo jesteśmy ze Slough House, nie Regent's Park, a ludzi ze Slough House nigdzie się nie wysyła, bez względu na to, co mówi Lamb.

– Uciekliśmy z miejsca zbrodni.

– Z miejsca wypadku. Na którym jeden z najgłośniejszych i najbardziej krzykliwych krytyków tajnych służb został... uciszony. Przykro mi.

– O, na litość boską...

– Dlatego jakakolwiek sugestia, że służby były zamieszane w jego śmierć, w tym nasza tam obecność, zostanie zatuszowana. Rozumiesz? Regent's Park zamiecie to pod dywan. Bez względu na cenę. A ty i ja... nie jesteśmy zbyt cenni, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– To jakiś pierdolony koszmar.

– Jest, jak jest – odparł Coe. – Dobra strona jest taka, że mamy gotowego kozła ofiarnego.

– Zamierzasz to zrzucić na tego czarnego kolesia?

– Nie mieszajmy w to spraw rasowych. Nie obchodzi mnie kolor jego skóry, tylko że był tam, żeby zabić Gimballa. To, że tego nie zrobił...

– Że ty to zrobiłeś.

– Przypadkiem, tak? A fakt, że tego nie zrobił, w sumie nie ma związku... Zauważyłeś, że wieczko nie odpadło?

– Od puszek z farbą?

– Tak. Gdyby odpadło, zrobiłby się niezły bajzel.

– I tak się zrobił niezły bajzel – zauważył River. – On był jednym z nich?

– Z ekipy z Abbotsfield? A skąd mam to wiedzieć?

– Bo nie miał broni, prawda?

– Gdyby miał, pewnie by jej użył. Zamierzasz jechać tak wolno przez całą drogę?

– Uznałem, że lepiej będzie nie zwracać na siebie uwagi – wycedził przez zaciśnięte zęby River. – W tych okolicznościach.

– Nie wiem, czy jazda pięć mil na godzinę poniżej limitu prędkości jest na to najlepszym sposobem.

Fakt, że była to słuszna uwaga, nie poprawił Riverowi humoru. Mimo to przyśpieszył, ocierając się o dopuszczalną granicę prędkości, a potem lekko ją przekraczając. Tymczasem Coe wreszcie zamknął oczy. Powrócił do swoich do niedawna domyślnych ustawień, ale nie wsunął do uszu słuchawek. Miał jeszcze jedną, ostatnią uwagę.

– Prawdopodobnie na trójkołowcu – powiedział.

River go nie pytał.

Chciała się dowiedzieć czegoś o jego pracy, powiedział Ho.

– A to dlaczego?

– ...bo ją to interesowało.

– Powiedziałaś jej, że pracujesz dla wywiadu?

Nie. Myślała, że pracował w banku, ale szybko się połapała, że nie był zwyczajnym biurwą.

– Wyobrażasz sobie mnie grzebiącego w papierach? – Ho pokręcił głową. – Nie. Rozumiała, że znam się na cyfrowym tańcu, no wiesz? – Wystukał jakiś rytm o blat stołu. – Solówka na klawiaturze.

– A jak do tego doszła?

– ...powiedziałem jej.

– A gdy się już dowiedziała, że jesteś komputerowym asem, Roddy, o co cię poprosiła?

Tylko żeby od czasu do czasu jej pomagał, to wszystko. I to właśnie robił. Bo to była Kim, jego dziewczyna.

Emma Flyte starała się z całych sił nie kręcić głową, ciężko nie wzdychać ani po prostu się nie rozpląkać.

– Żebyś w czym jej pomagał?

W drobnych sprawach.

Na przykład w rozwiązywaniu jej problemów z kartą kredytową: ciągle było z nią coś nie tak. Albo w tym, że oszukiwali ją w restauracjach. A więc od czasu do czasu wkraczał do akcji i... cóż, wszystko naprawiał.

Flyte nie potrafiła zinterpretować miny, którą zrobił przy tych słowach. To chyba miał być porozumiewawczy uśmiech, ale wyglądał jak grymas kogoś ukąszonego przez osę.

– I nie miałaś z tym żadnego problemu?

No cóż, wyjaśnił, dziewczyny. Rozumiesz?

– I kiedy przestało jej chodzić o pieniądze?

Nie chodziło o pieniądze jako takie, bardziej o zasadę...

– Kiedy przestało chodzić o pieniądze?

I w ten sposób Emma Flyte dowiedziała się, że kilka miesięcy temu Ho obudził się pewnego ranka i... cóż, to pewnie przez tequilę, ale nic nie pamiętał z poprzedniego wieczoru, a Kim, jego dziewczyna, zachowywała się jak pomyłona i co chwilę mu mówiła, jak bardzo ją kręca te wszystkie tajemnice, które jej zdradził. Ale to przecież nie szkodzi, bo w sumie jest członkiem rodziny, prawda? Jest jego dziewczyną.

Słodki Jezu, pomyślała Flyte.

– Jest twoją dziewczyną. A oprócz jej imienia, fałszywego adresu i tego, że jest Chinką, wiesz o niej właściwie wszystko?

Po raz pierwszy Ho wydawał się zdziwiony.

– Chinką?

– A nie?

– Nie – odparł Ho. – Jest Koreanką.

– Nie rozumiem – powiedział Danny. – Jak to Gimball nie żyje?

– Ktoś go zabił – odparł Shin.

– Ale kto? I czemu to oznacza, że pozwolimy Jaffreyowi żyć?

– Bo plan wymaga, żeby zginął przywódca populistów – wyjaśnił An. – I zginął przywódca populistów.

– Ale nie my go zabiliśmy!

– To nie ma znaczenia.

Odjechali stamtąd z dużą prędkością, a furgonetka wciąż dzwoniła od uderzenia kluczem francuskim, którym rzuciła tamta wariatka.

– Gimball nie żyje i nikt nie uwierzy, że to zbieg okoliczności – powiedział An.

– Pomyślą, że to było częścią planu, a to samo w sobie będzie oznaczać, że plan działa. Nie rozumiesz?

Danny gapił się na niego, Shin też, ale Shin próbował przy tym udawać, że zamierzał powiedzieć to samo.

– Więc na razie powinniśmy się przycziąć.

Przyczajenie się oznaczało zaparkowanie przy uniwersytecie, gdzie naturalny kamuflaż był najlepszy. Wciąż oszołomiony tą nagłą zmianą w przebiegu wieczoru – i zły, że ciągle był o dwa kroki za pozostałymi – Danny przyłapał się na tym, że myśli o tej dziewczynie, Kim, taniej oszustce, która urabiała cel. Miała rodzinę w Korei Północnej; daleką, ale nie na tyle daleką, by nie obchodziło jej, co się z nimi stanie. A może była po prostu na tyle kumata, by wiedzieć, że pewnych propozycji się nie odrzuca. Bez względu na to, jak daleka mogła być ta rodzina, jej własna twarz, oczy, zęby były w zasięgu ręki i łatwo mogło im się coś stać.

Jej nazwisko podał im koreański departament bezpieczeństwa państwa, który zrekrutował Danny'ego i jego towarzyszy, gdy byli dziećmi, i od tego czasu dbał o wszystkie ich potrzeby. Ich zadaniem było sprawienie, by ugięła się przed wolą departamentu bezpieczeństwa państwa, która była wolą Najwyższego Wodza, którego przeznaczeniem było pokonać wrogów i patrzeć, jak uciekają w przerażeniu. Podobnie jak jego czterech, a teraz już tylko trzech towarzyszy Danny był narzędziem tego przeznaczenia. Tak jak oni przybył do tego kraju jako student, pod flagą innego państwa, a jego studia miały maskować od lat planowaną misję. Furgonetka, w której teraz mieszkali, jeep, którego już dawno spalili, broń, którą odebrali z garażu na obrzeżach Preston, wszystko to zostało dostarczone

przez służby wywiadu koreańskiego. Na drugim końcu świata Najwyższy Wódz ucztował w swoich pałacach, a Shin co noc składał mu raporty i co noc otrzymywał instrukcje. Poprzez swoich wysłanników Najwyższy Wódz przemawiał do nich, kierując nimi podczas misji. I na całym świecie zostaną uaktywnione inne podobne im grupy, by burzyć domy Jego wrogów. Ten szalony Amerykanin obudził tygrysa i teraz on i jego sojusznicy za to zapłacą. Świat się dowie, że „gotowym do strzału” można być na wiele różnych sposobów.

Chwała Najwyższego Wodza była wszędzie i wszystkim znanym faktem. Kim zrozumiała, jakim szaleństwem byłoby Mu odmówić. A więc przyjęła wydane jej rozkazy wraz z tabletkami, które podrzuciła celowi do alkoholu, zapewniając noc, z której nic nie pamiętał. Rano przekonała go, że spędzili ją, wyznając sobie najskrytsze tajemnice. Gdyby cel uznał, że zdradził jej już prawdziwą naturę swojej pracy, byłoby mu łatwiej dostarczyć pozornie trywialne dowody.

Tydzień później mieli w rękach dokument. I tak to się zaczęło.

Później, gdy machina już ruszyła, polecono im zatrzeć ślady, pozbyć się dziewczyny i Ho, zanim znaczenie skradzionego dokumentu stanie się jasne. Jak w przypadku każdej magicznej sztuczki, nie należy ujawniać jej natury, póki nie wybrzmia końcowe fanfary. A więc Shin zabił dziewczynę w jej domu, ale jeśli chodzi o Ho, próbowali go wykończyć dwa razy i dwa razy ich wysiłki nic nie dały. Wbrew sobie Danny zaczął czuć do niego szacunek. Ho był najwyraźniej świetnie wyszkolonym agentem potrafiącym unikać niebezpieczeństw. Godnym wrogiem w tym narodzie fajtłapów.

Ale martwił się. Powiedziano im, że planu nie wolno zmieniać, a jednak oto go zmieniali. Na razie zamierzał się na to godzić. Ale jeśli pojawią się dalsze odstępstwa i zmiany, będzie zmuszony działać.

Tego wymagał od niego Najwyższy Wódz.

–Nie rozumiem – powiedziała Shirley. – Jak to możliwe, że Gimball nie żyje?

Louisa siedziała na ogonie jakiegoś kretynowi, który włókł się z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę.

- Bo źli kolesie go dopadli.
- Tak, ale oni byli w Brum. W tej furgonetce. Przyjechali po Jaffreya.
- Dopóki ich nie spłoszyłaś – odparła Louisa.
- Tak.
- Kluczem francuskim.

Shirley z powagą pokiwała głową.

- Widziałaś ich w ogóle?
- Byli z tyłu tej furgonetki.
- Czyli ich widziałaś.
- To była furgonetka, nie witryna sklepowa.
- Czyli właściwie ich nie widziałaś.

Shirley wzruszyła ramionami.

- Zaczęli otwierać drzwi. To wtedy na nich ruszyłam.

Pobiegła ulicą, wymachując metalowym narzędziem – nietrudno zrozumieć, dlaczego ludzie z furgonetki postanowili znaleźć się gdzie indziej.

Zwłaszcza jeżeli to była – powiedzmy – grupka miejscowych, a nie uzbrojony gang psychopatycznych morderców.

– Widziałaś, jak rzucam? – spytała Shirley. – Naprawdę wbił się w drzwi. Zawisł tak na sekundę.

- Zauważyłam.
- Nic dziwnego, że się zmyli.
- Shirley, naprawdę myślisz, że w tej furgonetce było pełno terrorystów?
- Tak.
- Naprawdę? Uzbrojonych terrorystów?

– Nie mogą się równać z Superwoman. – Shirley pokazała, jak rzuca kluczem, choć w samochodzie było zbyt mało miejsca, by oddać to, jak należało. Wyglądało to bardziej tak, jakby rzuciła wyimaginowaną piłkę nieistniejącemu psu.

– Nie uważasz, że to mogli być, powiedzmy, jacyś zwyczajni obywatele? Których przeraziłaś?

- Nie – odparła Shirley.

– W takim razie co się stało w Slough? Jeśli terroryści byli w tej furgonetce, bo przyjechali zabić Jaffreya...

– Zanim ich spłoszyłam.

– ...zanim pogoniłaś ich z kawałkiem żelastwa w ręce, to co się stało w Slough? Są dwie grupy czy jak?

– Może podzielili się na dwie grupy.

Może i tak, przyznała w myślach Louisa. Trudno było czegokolwiek dowieść, gdy nie miało się solidnych informacji ani dokładnej wiedzy. Chyba że było się w sieci, rzecz jasna.

– Piszą, w jaki sposób zginął Gimball?

– Nie. – Shirley znów przewinęła Twittera, gdzie dobrze poinformowani świadkowie publikowali precyzyjne dane wywiadowcze. – Ale pewnie został zastrzelony. Albo dźgnięty nożem.

– Albo otruty, albo uduszony – zgodziła się z nią Louisa. – Pewnie masz rację.

Pomyślała o tym, jaka musiała być sekwencja wydarzeń; o tej konkretnej chwili, gdy wieść o śmierci Gimballa poruszyła świadomość opinii publicznej niczym wiatr wysoką trawę. Powiedziała powoli:

– Furgonetka odjechała, gdy tylko podali to do wiadomości. Ludzie w bibliotece dowiadywali się akurat o tym z Twittera, kiedy stałam przy oknie i patrzyłam.

– No i?

– Może właśnie dlatego odjechali. Dowiedzieli się, że drugiej grupie się udało, więc nie było potrzeby, by cokolwiek robili. Wystarczyło, że zabili jednego polityka, i po robocie.

– Czyli jednak mi wierzysz – powiedziała Shirley.

– Nie wiem. Nie wiem, co się dzieje.

– Ja chyba wiem – oświadczyła Shirley.

– No to proszę, powiedz mi.

– Myślę, że gówno trafiło w wentylator – powiedziała Shirley. A potem się rozpromieniła. – Żółty samochód!

Był bardziej złoty niż żółty, ale Louisa nie protestowała.

Wyglądało na to, że kilka lat wcześniej jakiś minister, który długo nie zagroził stanowiska, ustalił, że tajnym służbom naprawdę przyda się dużo więcej archiwizacji. Mimo wewnętrznych podejrzeń, że jest to coś, bez czego tajna organizacja świetnie by się obyla, transparentność i otwartość były wtedy w Westminsterze w modzie, głównie ze względu na duże nadzieje, że jeśli będzie można wskazać na konkretne przykłady tych cnót, być może pojawi się przekonanie, że już funkcjonują, i unieważni to potrzebę dalszego dochodzenia. W ten sposób narodziły się Archiwa Służb, „narzędzie do korelacji bieżących wydarzeń z historycznymi precedensami”, którego strategiczna użyteczność miała być nieoceniona przy założeniu, że kiedykolwiek będzie ono w ogóle gotowe do użycia. Obecnie jednak jego status był zbliżony do statusu niezliczonych innych projektów Służby Cywilnej, których powstanie zarządzono, uruchomiono proces ich tworzenia i pozostawiono, by dojrzewały, dopóki nie zostaną oficjalnie wstrzymane, choć wszyscy zainteresowani już dawno o nich zapomnieli. W tym konkretnym przypadku niejasność projektu potęgował dodatkowo fakt, że MI5 przyjęło wytyczne w takim samym duchu, w jakim zostały dostarczone, i przydzieliło zadanie „wprowadzania i powiększania archiwów” do Slough House. Innymi słowy przydzieliło je Roderickowi Ho.

Należy przy tym zaznaczyć, że była to interpretacja zdarzeń dokonana przez Flyte, a nie dosłowna relacja Roddy’ego.

– I dałeś dostęp do efektów swojej bieżącej pracy tej... Kim?

– Mojej dziewczynie – uzupełnił Ho.

– Zdradzałeś swojej dziewczynie tajemnice państwowe?

Ho odchylił się na krześle.

– Że niby co?

Mężczyzna, który zjawił się u szczytu schodów, był czarnoskóry, krępy i jak na standardy Slough House szykownie ubrany, ale – jak musiała przyznać Catherine Standish – bywały takie dni, gdy o każdym mężczyźnie, który zjawia się

z zapiętym rozporkiem, można było to powiedzieć. Minęła chwila, nim go poznała. Gdy spotkali się poprzednio, miał krótsze włosy, ale to był Welles, jeden z psów. Ten, który miał takie dziwne imię. Właśnie: Devon.

– Wszystkie kominy mamy już wyczyszczone, dzięki – powiedział Lamb. – Może za rok.

– Ty jesteś Lamb – powiedział Devon Welles. – Słyszałem o tobie.

Lamb zmarszczył brwi i popatrzył na Catherine.

– Znowu włąziłaś na Facebooka?

Welles wszedł, szybko rozejrzał się po pokoju, a potem znów skupił wzrok na Lambie.

– Słyszałem, że był mały problem.

– Twoja szefowa zgubiła piłkę – powiedział Lamb. – Zakładam, że przyszedłeś jej szukać.

– Głównie to upewnić się, że nie wykopałeś jej przez okno – odparł Welles. – Ty musisz być Catherine Standish – powiedział do Catherine. To nie było pytanie.

– W pokoju obok jest więcej krzeseł – powiedziała. – I zawsze jest herbata.

Sprawiła, że zabrzmiało to jak jakaś wielka filozoficzna mądrość, choć trudno powiedzieć, czy miało to wyrażać pocieszenie, czy strach.

– Widziałem tylko schody i ten gabinet – odpowiedział Welles – ale nie mam specjalnej ochoty pić czegokolwiek, co zaparzone w tym budynku. Mimo wszystko dziękuję.

Lamb uniósł brew.

– Jak wiesz, jestem zagorzałym antyrasistą – przypomniał Catherine – ale czasem „arogancja” to jedyne słowo, jakie przychodzi mi na myśl.

– Cały czas jest taki?

– Tak przypuszczam – odparła Catherine. – Nie pracuję w weekendy.

Welles znalazł krzesło ukryte pod czymś, co mogło być starym płaszczem albo skórą zrzuconą przez poprzedniego lokatora. Przysunął je do biurka, przyjął chusteczkę, którą bez słowa podała mu Catherine, wytarł krzesło i usiadł.

– No dobrze – powiedział. – Slough House. Muszę powiedzieć, że zasługuje na swoją sławę.

– Jeśli masz nadzieję wygrać głosowanie na najmniej popularnego gościa – odparł Lamb – ostrzegam cię, że masz sporą konkurencję. Ale mów dalej.

Welles spojrzął na stopy Lamba wciąż oparte o biurko, ale ukrył jakiegokolwiek emocje, które w nim wzbudziły, i zwrócił się do ich właściciela:

– Pani Flyte wyjaśniła mi, co tutaj zaszło, ze szczegółami.

– A mimo to przyszedłeś sam, bez reszty stada. Czyli co, kim jesteś? Jej szczególnym przyjacielem? – Lamb poruszył brwiami. – Chcesz nam coś powiedzieć?

Nowo przybyły zignorował to i odparł:

– Powinniście mieć lockdown.

– Była o tym mowa.

– I miałeś broń. Gdzie ona teraz jest?

– Chyba w pudełku na rzeczy znalezione – odparł Lamb. – Ale najwyraźniej gdzieś je zawieruszyłem. Kto by to pomyślał, co?

Nie odrywając wzroku od Lamba, Welles powiedział:

– Pani Standish?

– Jest w szufladzie jego biurka.

– Życzy pan sobie, żeby to było bardzo nieprzyjemne, panie Lamb?

– Ostatnia osoba, która mnie o to pytała, policzyła mi osiemdziesiąt funtów.

– Będziemy mieli problem?

– Niech pan mi to powie. – Lamb wyjął papierosa, który jakimś cudem już się palił. – Pana szefowa opuściła nas jakiś czas temu, a pan jest tu sam. Jeśli zamierza pan udawać, że ta wizyta jest zgłoszona w Regent's Park, będę śmiać się tak głośno, że wszyscy się posikamy. – Zaciągnął się. – Nie, jest pan tutaj, żeby kryć plecy swojej szefowej. Więc, no wie pan, czarny koń z pana. Bez urazy. – Wypuścił dym. – Nie rozumiem tylko, jaki jest mój w tym udział.

– Groził pan bronią szefowej wewnętrznego wydziału bezpieczeństwa i nie sądzi pan, że ma pan problem – powiedział powoli Welles.

– Cóż, nawet jeśli, przyćmiły to inne wydarzenia – odparł Lamb. – Ponieważ kilka godzin temu powiadomiłem szefową wewnętrznego wydziału bezpieczeństwa o realnym i wiarygodnym zagrożeniu dla życia deputowanego do parlamentu, który obecnie zdobi jakąś uliczkę gdzieś w Slough. Wydaje mi się, że to podchodzi pod nagłówek „Kompletnie spierdalone”. A jak się panu wydaje?

Z dołu dobiegły jakieś hałasy.

– O wilku mowa – dodał.

Chwilę później weszli River i Coe.

– Ach, nasi zwycięzcy bohaterowie – powitał ich Lamb. – Cóż, dobra robota. Która część sformułowania „zapobiec zamachowi” przysporzyła wam najwięcej problemów?

– Było nas dwóch – odparł River. – I nie mieliśmy broni.

– Przeciwno?

River i Coe wymienili spojrzenia.

– Bez naradzania się między sobą – warknął Lamb.

– Widzieliśmy tylko jednego – odparł Coe.

Oczy Catherine się zwężyły.

– Dobra, czyli przeciwnik miał przewagę liczebną – stwierdził Lamb. Spojrzał na Wellesa. – Zawsze zaokrąglam ich w dół, a przeciwną stronę w górę. To pozwala dokładniej przewidzieć prawdopodobny wynik. Och, nie przedstawiłem was sobie. – Odwrócił się tyłem do swoich kulawych koni i wskazał kciukiem w stronę Wellesa. – To jest ktoś tam z Regent’s Park. A te dwa fiutki są stąd. Nie pamiętam, jak się nazywają.

– River Cartwright – powiedział Welles. – I Jason Kevin Coe.

– Wolę J.K.

– Całkowicie cię rozumiem. – Odwrócił się z powrotem do Lamba. – Dennis Gimball został zabity?

– Nie wiadomo, czy się śmiać, czy śmiać, prawda?

– Gdzie jest... ach... – zaczął River.

– Uznaliśmy, że już dość długo ją zatrzymujemy – odparła Catherine.

– Więc ją rozkuliśmy – dodał Lamb, a potem zwrócił się do Wellesa: – Cholera, ale jest pan dobry. Widzi pan, ile już zdradziłem?

– Kiedy ma wrócić pozostała dwójka? – Welles zwrócił się do Catherine.

– Mają dalej – odparła. – Ale Louisa szybko jeździ.

– Cokolwiek posypało się wcześniej, musimy poskładać to z powrotem do kupy – stwierdził Welles. – Może wtedy uda nam się przetrwać ten dzień w jednym kawałku.

Lamb wyglądał na zszokowanego i przewrócił oczami.

– Sugeruje pan, żebyśmy to zatuszowali? Żebyśmy udawali, że nie wiedzieliśmy o czymś, o czym wiedzieliśmy?

– Sugeruję, że nie byłoby w najlepszym interesie tajnych służb, gdyby w przestrzeni publicznej pojawiły się wątpliwości, czy są one w stanie chronić swoich obywateli. Nie przy tej... serii zdarzeń.

– Cóż, najgłośniejszy krytyk służb nie wyrazi swojego rozczarowania, prawda? Ponieważ nie żyje. Oczywiście to samo w sobie może rzucić pewne wątpliwości na zdolność tajnych służb do bla, bla, bla... – Popatrzył na Rivera. – Do nadąsanego milczenia tego przymuła już się przyzwyczaiałem, ale ty jesteś podejrzanie cichy.

River wzruszył ramionami.

– Zginął człowiek.

– Nie oczekiwałem, że zaczniesz śpiewać. Ale byłeś tam, prawda? Miło by było, żebyś coś wniósł. Kim był ten „jeden”, którego widzieliście?

– Czarnoskóry gość – odparł J.K. Coe. – Z tatuażem na twarzy.

– I to on zabił Gimballa?

– Na to wyglądało.

– Mam nadzieję, że nie zakładasz tego na podstawie koloru jego skóry. – Lamb odwrócił się do Wellesa i ze smutkiem pokręcił głową. – Mogę za niego tylko przeprosić.

– Widzieliście go z Gimballem? – spytał Welles.

– Poszedł za nim w wąską uliczkę – odpowiedział River. – I Gimball stamtąd nie wyszedł.

– To gdzie jest podejrzany? W waszym bagażniku?

– Uznaliśmy, że lepiej opuścić miejsce zdarzenia. Wiadomo, że Gimball był solą w oku MI5. Gdybyśmy byli w pobliżu, toby mogło... zaciemnić obraz.

– Więc zamiast tego pozwoliliście mu uciec.

– Z tatuażem na twarzy? – spytała Catherine.

– Jesteś o jakieś dwie rozmowy do tyłu – powiedział Lamb i żeby Welles zrozumiał, o co chodzi, pokazał gest przechylenia kieliszka.

– I co? – spytał Welles.

– Wcześniej sprawdziłam oba potencjalne cele – powiedziała Catherine.

– Drugim był Zafar Jaffrey – podpowiedział Lamb.

– Właśnie on ma współpracownika, asystenta czy jak go tam zwał. Ten asystent pojawia się na kilku zdjęciach.

– I ma tatuaż na twarzy – domyślił się Welles. – Dobra, to interesujące.

– Ty też byłeś gliniarzem, prawda? – spytał Lamb.

– Masz z tym jakiś problem?

– Nie, całkiem lubię gliniarzy. Z nimi wiadomo, na czym się stoi. – Machnął ręką na Catherine. – Masz piąta? Możemy go przekupić.

– Może się wydawać, że moja cierpliwość nigdy się nie kończy – powiedział Welles – ale tylko tak udaję. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Wysunę hipotezę – stwierdził Lamb. – Więc skupcie się, tam z tyłu. Służyłeś razem z Flyte, prawda? Albo w każdym razie trafiłeś do tajnych służb dzięki niej. Jest pupilką Whelana, a przynajmniej była do dzisiejszego popołudnia. Bo powiedzmy to sobie wprost, gdyby porządnie wykonała swoją robotę, moja grupka niedoszłych asów wywiadu spędziłaby ten dzień, siedząc grzecznie na tyłkach, a MI5 trzymałoby Dennisa Gimballa pod kloszem. Ale teraz ktoś załatwił deputowanego, a wszyscy ci chłoptasie po Oxbridge z Regent's Park wychodzą na głupków, więc wygląda na to, że wspaniała kariera Emmy Flyte w każdej chwili może się gwałtownie skończyć. A to oznacza, że ty wylecisz razem z nią. To dlatego chcesz wyciszyć to, co się tu stało dziś po południu. Kryjesz własną dupę.

Welles kolejno popatrzył na pozostałych, a potem znowu na Lamba.

– I teraz strzelisz mi wykład o etycznym zachowaniu?

– Nie – odparł Lamb, strzepując papierosa na własne kolana. – Etyczne zachowanie jest jak ozdabianie cipki przez zakonnice. Miło to sobie wyobrazić, ale komu to tak naprawdę potrzebne?

– Pomijając bujną wyobraźnię pana Lamba – odezwała się Catherine – tuszowanie takich rzeczy to nigdy nie jest dobry pomysł. Wystarczy sobie przypomnieć Watergate.

– Ludzie ciągle to powtarzają – zauważył Lamb – ale nigdy nie zadają sobie pytania, co tak naprawdę tuszowano w aferze Watergate. Gdyby to gównem wypłynęło, dopiero byłyby fajerwerki.

– Najbezpieczniej założyć, że on żartuje – wyjaśniła Wellesowi Catherine – i robić po prostu swoje.

– Taki miałem plan. – Welles zwrócił się do Lamba: – Z tego, co mówiła mi Flyte, dziś po południu mieliście mnóstwo spekulacji i ani grama dowodów. Jeśli tego nie zgłosiła, nie jest to żadne naruszenie protokołu. Równie dobrze mogłaby zgłosić, że słyszała plotki w supermarkecie.

– Niestety, istnieje możliwość, że Flyte nie powiedziała ci wszystkiego. Chodzi mi o to, skąd wiedzieliśmy to, co wiemy. Wciąż tu jesteś?

Ostatnie słowa skierowane były do J.K. Coego, który kiwnął głową.

– Tylko sprawdzałem. Opowiedz temu miłemu panu o tym dokumencie.

Ale zanim Coe zdążył się odezwać, Welles powiedział:

– Wiem o dokumencie. Tak jak wam mówiłem, Flyte podała mi wszystkie szczegóły.

Lamb zmrużył oczy.

– Naprawdę ci ufa, co?

– Pogódź się z tym. Jeśli ten dokument w ogóle istnieje, to i tak w ogóle niczego nie dowodzi. Mógłbym napisać listę celów...

Znów dały się słyszeć jakieś hałasy. Wróciły Louisa i Shirley; ta druga weszła jako pierwsza.

– Zjadłeś całe haribo?

Lamb rzucił w nią czymś, co z wdzięcznością złapała, ale okazało się, że to tylko opakowanie po żarciu na wynos. Potem skinął głową na Louise.

– Gratulacje. Wasz facet wciąż żyje.

– Dzięki.

– Oczywiście istnieje nikła szansa, że to on kazał załatwić Gimballa – ciągnął Lamb. – Co, jak pewnie sobie wyobrażacie, komplikuje sprawę.

– Shirley i ja i tak wygrywamy – odparła. – Kto to jest?

– Devon Welles. A ty musisz być Louisa Guy.

Poprawiła włosy.

– Tak.

River spojrzała na nią, a potem na Wellesa i przewrócił oczami.

– A to znaczy, że ty jesteś Shirley Dander – ciągnął Welles. – Czyli cała ekipa tu jest.

– Z wyjątkiem Roddy’ego – zauważyła Catherine.

– O tej porze zwykle lubimy sobie pośpiewać – powiedział Lamb. – Ale w tych okolicznościach jedźmy dalej, co? Mógłbyś napisać listę celów. Wieś. „Wodopój”. I tak dalej.

– I twierdzić, że pochodzą z archiwów MI5. I co z tego? To fake news.

– Chyba że mają w zanadru coś jeszcze – odezwał się River.

– O co ci chodzi z tym, że mógł kazać załatwić Gimballa? – spytała Louisa.

– Cóż – odparł Lamb – to zależy od tego, na ile wierzymy tym dwóm klaunom. Zauważ, że oczka Coego aż się błyszczą, a to nigdy nie jest dobry znak. A więc albo on i Cartwright zaliczyli ostry numerek gdzieś po drodze ze Slough, albo nakręciło go coś innego. Ale... – i w tym miejscu znów zwrócił się do Wellesa: – odbiegłem od tematu. Jestem prawie pewien, że nie skończyłeś.

– Wszystko, co musimy zrobić, to zgodzić się, że spędziliście to popołudnie bezpiecznie zamknięci w Slough House – stwierdził Welles. – I cały bałagan znika.

– No cóż, niezupełnie – odparł Lamb. – Bo w tym celu nie musiałbyś się tu pojawiać, prawda? Flyte sama mogłaby nam o tym powiedzieć. Ale jest gdzie

indziej i domyślałam się, że to znaczy, że próbuje namierzyć tę kartkę papieru, którą tak łatwo byłoby sfalszować.

– Akta „Wodopój” – powiedział Coe.

– Dzięki, geniuszu. A skoro to robi, to znaczy, że prawdopodobnie zastanawia się dokładnie nad tym samym co ja.

– Jak to możliwe, że o tym wiedzieli – powiedziała Louisa.

– Wiemy, skąd o tym wiedzieli – powiedział River. – Podsunęli Ho tę łaskę.

Pamiętacie?

– Zabawne, ale tak – odparła Louisa. – Tylko że nie do tego zmierzałam.

– Ale dzięki za twoje jakże męskie objaśnienia, Cartwright – powiedział Lamb. Spojrzał na Louise. – Tak to jest, kiedy mężczyzna mówi kobiecie o czymś, o czym ona już wie, i robi to w protekcyjny, nadęty sposób – dodał powoli i wyraźnie.

– Dzięki.

– Chcesz, żebym ci to powtórzył?

– Nie, nie trzeba.

– Doskonale. – Zwrócił się do Wellesa: – Wszyscy możemy sobie udawać, ile chcemy, że nic nie wiemy o tym, co się dzieje, ale kiedy psy skończą z Ho, to nie wystarczy. Tymczasem najważniejsze pytanie brzmi: jak to możliwe, że te pajace w ogóle wiedziały o istnieniu akt „Wodopój”?

– Właśnie, racja – mruknął River.

– A więc możemy sobie wsadzić głowy w dupy i udawać, że to się nie dzieje, tak jak sugerujesz – ciągnął Lamb. – Albo możemy prześledzić to wstecz i zobaczyć, z kim tak naprawdę mamy do czynienia. Najlepiej, zanim przejdą do następnego punktu w swoim harmonogramie.

Welles rozejrzał się po pokoju. Wszyscy się w niego wpatrywali z wyjątkiem Coego i Shirley Dander. Ten pierwszy był pochłonięty swoimi butami, zaś Dander wpatrywała się uporczywie w ciemniejsze zakamarki, zapewne próbując odnaleźć zaginione żelki.

Westchnął i spytał:

– To jaki ma być ten następny punkt?

Wszyscy odwrócili się w stronę J.K. Coego.

Ten odparł, nie podnosząc wzroku:

– Przejąć kontrolę nad mediami.

Shirley parsknęła kpiąco.

– Jasne, zupełnie jakby to się miało udać.

– Jak dotąd trzymają się harmonogramu – zauważyła Louisa.

– Czyli co, zawładną BBC?

– Cóż, Grahamowi Nortonowi się udało.

– Jeśli przestaliście się już zabawiać – wtrącił się Welles – to może macie jakieś sugestie?

Lamb przeniósł ciężar ciała z jednego pośladka na drugi i wszyscy w pokoju się wzdrygnęli z wyjątkiem Wellesa. Jednak gdy Lamb przemówił, nie towarzyszył temu żaden gastryczny akompaniament.

– Tak, sugeruję, żebyś zaczął intensywnie myśleć. Musisz wymyślić jakąś historyjkę.

– Po co?

– Żeby wprowadzić mnie do Regent's Park – odparł Lamb. – Z jakiegoś powodu nie przepadają za moimi odwiedzinami.

10

Gdy rozeszły się wieści o śmierci Dennisa Gimballa, nad Regent's Park zapadł już zmrok: ciemność miała z czasem się cofnąć, ale wiadomość, która raz się wymknęła, na zawsze pozostaje na wolności. Claude Whelan zmierzał właśnie do drzwi: świeża koszula, kolacja z Claire, wydawało się, że nie prosi o zbyt wiele. Ale czasu starczyło mu tylko na krótki flirt na schodach, na kilka oddechów świeżym powietrzem niosącym letni zapach liści z parku naprzeciwko. Gdy wracał wezwany piszczeniem pagera, w nieunikniony sposób natknął się na Dianę Taverner, która również zmierzała do centrali. Mimo późnej pory i wyczerpujących ostatnich dni wyglądała przytomnie i świeżo. Krążyły plotki, że na jednym z górnych pięter ma pokój, w którym robią jej transfuzję krwi albo w którym składa ofiary z dziewczyc, zakładając, że jakiejś udałoby się ominąć zabezpieczenia ochrony. Naturalnie kręcone kasztanowe włosy nosiła ostatnio krótko. Whelan się zastanawiał, czy musiała je farbować, by zachowały taki kolor. Lady Di uznałaby siwe włosy za oznakę nieuchronnie zbliżającej się słabości.

– Chodzi o Gimballa – brzmiały jej pierwsze słowa.

Whelan jęknął.

– No nie mów. Czyli jednak zdecydował się przemawiać.

– Nie, ale to trafi na nagłówki – odparła Lady Di. – Biorąc pod uwagę jego obecny stan. On nie żyje, Claude.

– Co takiego?

– Nie żyje. Znaleźli go w zaułku w Slough. Ktoś prawie skrócił go o głowę.

– Skrócił o... O Jezu! Czym? Maczetą?

– Puską farby. Nie patrz tak na mnie, raporty są niejasne. Ale to na pewno on, na pewno nie żyje i w tej chwili nie widać żadnych zagrożeń. Co jest... dziwne.

– Ktoś zamordował Dennisa Gimballa puszką farby – powiedział słabym głosem Whelan – a tobie coś wydaje się dziwne?

– To nie pasuje do zwykłego wzorca. Terrorboty nie likwidują celu i nie znikają; zabijają tyle ofiar, ile się tylko da, i odchodzą w blasku chwały. A my mamy tylko anonimowe zgłoszenie, że ktoś widział czarnoskórego mężczyznę z tatuażem na twarzy, a jeśli uwzględnić, na ile wiarygodni są naoczni świadkowie, pewnie się okaże, że to była nastolatka ze znamieniem. O ile to w ogóle nie jest tylko zasłona dymna.

– Wyjdźmy z holu, dobrze? – Ruszyli w stronę schodów i na pierwszym półpiętrze Whelan zatrzymał ją i powiedział: – Rozmawiałem z nim dziś po południu.

– Z Gimballem?

– Zanim pojechał do Slough.

– Rozumiem. Zakładam, że po to, by go ostrzec, żeby publicznie nie jechał po Zafarze Jaffreyu.

– To by było niektórym bardzo nie na rękę – odparł.

– Premierowi – powiedziała Lady Di.

– Zgadza się, w tym przypadku, tak. To tajemnica poliszynela, że Gimball miał dziś wieczorem ogłosić swój powrót do partii, i wydaje się bardzo prawdopodobne, że miał też wypuścić historię, którą on i jego żona trzymali jak asa w rękawie. Chciałem mu to... wyperswadować.

– Wykonywałeś brudną robotę za premiera.

– W interesie kraju.

– Jesteśmy tego pewni?

– Nie obchodzi mnie twój ton, a poza tym to nie pora na przegląd strategii. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz musimy zadbać o to, by ten, kto odpowiada za ten potworny czyn, został jak najszybciej zidentyfikowany.

– Chcesz powiedzieć: zanim ktoś zacznie spekulować, że to byliśmy my?

– To by było absurdalne założenie.

– Oczywiście, ale to nie znaczy, że się nie pojawi – odparła Taverner. – Gimball był twoim, to znaczy naszym, najbardziej zaciętym krytykiem. Jeśli go przycisnąłeś tego popołudnia, którego został zabity, to cóż... nie będzie to dobrze wyglądać. – Wyciągnęła rękę i strząsnęła mały kłaczek z klapy jego marynarki. – Szczerze mówiąc, Claude, to będzie wyglądać, jakbyśmy mieli z tym coś wspólnego.

W głowie Whelana zaczęła się kształtować potworna możliwość, niczym przybierająca kształty chmura.

– A mieliśmy?

– Teraz za tobą nie nadążam.

– Odpowiadasz za operacje, Di. Czy mieliśmy z tym cokolwiek wspólnego?

– To jest zapisane drobnym druczkiem i ciężko przez to przebrnąć, ale jeśli dokładnie się przyjrzyysz instrukcjom, zobaczysz, że nie wolno mi sprzątnąć urzędujących posłów. Ani z twoją wiedzą, ani bez niej.

– Co za ulga.

– Ale zapamiętam, że czułeś potrzebę, by o to zapytać. Trochę zaufania bardzo by się przydało. – Ruszyła przodem w dół po schodach, do następnego półpiętra i dalej do wind. Gdy czekali, powiedziała: – A co, jeśli to jest ze sobą powiązane?

Whelan wciąż przetwarzał nowe informacje.

– Z czym powiązane?

– Z całą resztą. Z Abbotsfield. Z bombą w zoo.

– A jaki mógłby być związek? Tamto to były osobne ataki, a to zamach na konkretnego człowieka.

– Może i tak. Ale w Wielkiej Brytanii działa partyzantka, więc jej ludzie automatycznie trafiają na szczyt listy podejrzanych w przypadku śmierci aktywnego polityka. Bez względu na to, czy spotkałeś się z tym politykiem na kilka godzin przed jego śmiercią. Jesteś szefem tajnych służb, na litość boską. Ludzie mogą myśleć, że byłeś tam, by go ostrzec przed grożącym mu niebezpieczeństwem.

– No tak, ale...

– Ach! – Przyjechała winda. Diana Taverner do niej weszła i powiedziała: – Czyli był przy tym ktoś jeszcze.

– Jego żona. Dodie.

– Ta dziennikarka – powiedziała beznamiętnie.

– Zgadza się. Ta dziennikarka.

– Potrafisz skomplikować sobie życie, Claude. Nie mogłeś tego zrobić przez telefon?

– Cóż, uznałem, że Centrala Łączności Rządowej nie musi o tym wiedzieć.

Wysiedli w centrali i przeszli do gabinetu Lady Di. Gdy już zamknęła drzwi, powiedziała:

– Flyte nie dowiedziała się żadnych szczegółów o tych brudach, które Gimball miał na Jaffreya. Dotarłeś już do tego?

– Od wielu miesięcy Dodie wypisywała na jego temat różne oszczerstwa. Szczegóły są mało ważne, problemem jest moment, w którym to się wydarza.

– Cóż, może dobrym pomysłem byłoby się tego dowiedzieć – stwierdziła Taverner. – Jeśli to prawda, to może być dokładnie to, czego nam trzeba, żeby zająć opinię publiczną, kiedy będziemy tropić ekipę z Abbotsfield.

– Nie sądzę, żeby premier był za tym, żeby narażać Jaffreya na negatywną prasę. Dokładnie tego próbowaliśmy uniknąć.

– Tak, ale premier będzie musiał to jakoś przełknąć. Jeśli będziemy mieli wybór między podaniem mediom własnej głowy na tacy albo rzuceniem im głowy Jaffreya, nie zamierzam się długo zastanawiać, a ty? Zwłaszcza że żona Gimballa może wykonać za nas całą robotę. Musimy ją tylko pokierować we właściwą stronę. Bez względu na to, co myśli o tobie, o nas, Jaffreya z pewnością nienawidzi bardziej.

Whelan zapatrzył się na centralę. Wszyscy ci chłopcy i dziewczyny – zawsze pozostawali chłopakami i dziewczynami i nie miało znaczenia, że niektórzy z nich sami byli ojcami i matkami – skupieni na pracy, głównie na broni, której użyto w Abbotsfield. Bomba rurowa wrzucona na wybieg pingwinów była domowej roboty, tę w pociągu skonstruowano na podstawie instrukcji dostępnych

w internecie. Każdy w miarę kompetentny psychopata mógł zbudować jedną i drugą, o ile miał dostęp do WiFi i w miarę poukładane w głowie. Ale broń automatyczna sugerowała spore wsparcie.

– Claude? – odezwała się Taverner.

– Słucham cię.

– Będziesz musiał podjąć decyzję, po czyjej jesteś stronie. Celem MI5 nie jest bronienie interesów partii rządzącej. Właściwie to można powiedzieć, że partia rządząca jest naszym naturalnym wrogiem. Biorąc pod uwagę, że to ona decyduje o naszych finansach.

– Służymy narodowi, Diano – odparł Whelan. – A partia rządząca została demokratycznie wybrana, by przewodzić temu narodowi. – Znów odwrócił się w stronę szklanej ściany i mrówek robotnic, które za nią pracowały, ale mówił dalej: – Wcześniej próbowałem złapać Flyte, ale jej nie ma. Powiedziano mi, że gdzieś ją wysłałaś.

– Jest w Slough House. Wprowadziliśmy tam lockdown. I może tak zostanie, dopóki nie ustalimy, co łączy ulubionego nerda Jacksona Lamba z Abbotsfield. Zaczął już mówić?

– Kazałem go zostawić, żeby zmiękł – powiedział Whelan. – Wysłaliśmy ekipę do jego domu, zabrali jego sprzęt. Ponoć sporo tego było. Mamy kogoś w Slough?

– Zaczekamy na policyjne raporty. Nasi technicy nie będą lepsi niż ich. W połowie korzystamy z tych samych podwykonawców.

– Informuj mnie na bieżąco. Porozmawiam z Dodie Gimball.

– Nie, pozwól, że ja to zrobię.

– Diano...

– Jeśli myśli, że kazałeś zabić jej męża, to wydaje ci się, że ucieszy się na twój widok?

Milczał przez chwilę.

– Może i racja. W takim razie dobrze. – Odwrócił się do wyjścia, ale się zatrzymał. – Naprawdę nazywamy ich teraz „terrorbotami”?

– Zawsze okazują się pozbawieni osobowości. Jakoś pasuje.

– Jeśli będziemy musieli rzucić Jaffreya wilkom na pożarcie – powiedział – muszę mieć pewność, że na to zasługuje.

Taverner odpowiedziała dopiero, gdy Whelan już wyszedł.

– On nie jest jednym z nas, Claude. To zwykle wystarcza. – Potem przesunęła kontroler na swoim biurku, który matowił szklaną ścianę, i ukryła się przed spojrzzeniami.

„A tak poza tym podobała się pani sztuka, pani Lincoln?”

Stary tekst i musiał uważać, żeby nie wymknął mu się w jakimś niewłaściwym momencie. A dla polityka, który zyskiwał na znaczeniu, to mógł być każdy moment.

„Czyli poza tym podobał się pani przejazd w kawalkadzie, pani Kennedy?”

Zafar Jaffrey przeczesał palcami już i tak uroczro rozczochrane włosy i pokręcił głową, choć był sam.

Oprócz całej tej sprawy z zamordowaniem Dennisa Gimballa i wiadomością, która mniej więcej w połowie spotkania pojawiła się na Twitterze, wieczór w bibliotece przebiegł nie najgorzej. Jego odpowiedź na pytanie o prawdopodobny wpływ Brexitu na miejscową branżę hotelarsko-gastronomiczną w innych okolicznościach doprowadziłaby do dyskusji; jego występ został jednak przyćmiony, a magnes Twittera przyciągnął całą uwagę niczym opiłki żelaza. Kompletny zamęt. Tak jak to zwykle bywa z mediami społecznościowymi, plotkom przypadł szybszy pas ruchu i nim pojawiło się oficjalne potwierdzenie – śmierć, przyczyny wciąż nieznane – obserwatorzy z miejsc tak odległych jak Teksas zdążyli kategorycznie stwierdzić, że Gimballa zaatakowały zamachowczynie ubrane w burki. Ale fakty mogły poczekać. Bezpośrednim następstwem było cudowne oszołomienie związane z pojawianiem się kolejnych wiadomości; poczucie, że mroczne serce politycznego spisku po raz kolejny zostało obnażone.

Jaffrey musiał się dowiedzieć, gdzie był Tyson; co takiego zrobił jego pomagier.

Zwinął się najszybciej, jak się dało – łatwo było powiedzieć, że jest potrzebny gdzie indziej – ale wstrzymał się z dzwonieniem do powrotu do domu.

– Byłeś tam?

– Jestem w samochodzie, szefie.

– Cieszę się, że jesteś w samochodzie, Tyson. – Słyszał zwyczajne odgłosy w tle: szum silnika, dźwięki ulicznego ruchu. – Ale nie o to cię pytałem. Byłeś tam?

– Czy gdzie byłem, szefie?

Zauważył pewną cechę u tych młodych, którzy żyli na granicy prawa; którzy otarli się – a czasem nawet więcej – o styl życia, który szczylił się nieszanowaniem żadnych cywilizowanych norm, i to było właśnie to: byli, kurwa, niewiarygodnie dziecinni. Wydawało im się, że jeśli zrobią wielkie oczy, to będzie dowód niewinności.

– Przyjdź do domu, Tyson. Kiedy już wrócisz.

– Myślałem, że może rano, szefie?

– Nie, Tyson. Dzisiaj.

A więc czekał w ciemności, posilając się coraz mocniejszymi sekwencjami ginu z tonikiem. Ginów z tonikami? Ginów z tonikiem, zdecydował. Element ginu już dawno wkroczył w liczbę mnogą; tonik wciąż dolewał z tej samej półlitrowej butelki. Był złym muzułmaninem, wiedział o tym, ale to, jak silnym i dobrym można było być, miało pewne granice.

Wcześniej rozmawiał z matką. Chciała wiedzieć to samo co zawsze: ilu było ludzi, o co pytali, czy ktoś wspominał o Karimie. Zawsze zadawała to ostatnie pytanie, a Zafar wciąż nie wiedział, czemu właściwie to robiła. Martwiła się, że jego młodszy brat, syryjski „męczennik”, na zawsze storpedował karierę polityczną Zafara? A może po prostu chciała wiedzieć, czy nie został zapomniany. Czasami Zafar miał ochotę jej powiedzieć, że jego życie w przestrzeni publicznej bynajmniej nie zostało ograniczone przez brata. To on tę przestrzeń stworzył; do przebudzenia Zafara doprowadziły wieści o śmierci Karima. To prawda, że byli ludzie, dla których jego związek z bratem ostatecznie odbierał mu polityczną

wiarygodność, i część mediów już zawsze będzie podsycać te płomienie za każdym razem, gdy tylko nadarzy się okazja. Głębsza prawda była jednak taka, że gdyby nie zmarnowane życie Karima, Zafar nigdy by nie wkroczył na arenę publiczną. To dzięki temu poczuł, że musi zmazać plamę pozostawioną przez głupie wybory brata i udowodnić, że bycie muzułmaninem nie oznacza bycia wrogiem we własnym kraju. To wstyd, że musiał udowadniać takie rzeczy, ale w ten sposób kręci się świat.

Wcześniej nie wiedział jednak, jak długo może trwać drzenie wywołane jednym pociskiem hellfire; jak długo te wstrząsy będą poruszać ziemią pod jego nogami, tak wiele mil i lat od detonacji.

Wreszcie zjawił się Tyson; na tyle późno, że było jasne, że nie paliło mu się do tej wizyty. Zafar nalał mu coli i posadził go na sofie. Układ jak przy rozmowie o pracę, podobny do tego, z którego skorzystał, kiedy poznał Tysona Bowmana i dostrzegł w nim młodego człowieka, którego warto uratować. Wielu ludzi nie potrafiłoby przymknąć oka na ten tatuaż.

– Rozmawiałaś z panem Gimballem?

– Tak jakby...

– Tak jakby tak czy tak jakby nie?

Tyson się bał. To była kolejna rzecz, którą warto było pamiętać o młodych: często się bali, bo zawsze istniała szansa, że zostaną wessani w otchłań, której dopiero stopniowo stawali się świadomi. I zawsze usiłowali ukryć ten lęk, ale on nigdy nie znikał.

– W porządku, Tyson – powiedział. – Cokolwiek się stało, można to naprawić.
– To było kłamstwo. – Ale muszę wiedzieć, co takiego mam naprawić.

Stał się światłem przewodnim w życiu tych młodych ludzi: jedynym, który w nich wierzył i ich wspierał, nie żądając w zamian ich duszy. Ale przez to wielu z nich myślało, że jest zdolny do niemożliwych rzeczy, w tym do naprawienia tego, czego nie da się naprawić.

– Chciałem, żebyś tam był i obserwował – przypomniał teraz Tysonowi, czując do siebie niechęć za to, że to robi; za to, że się upewnia, że jego własna niewinność

jest częścią historii Tysona. Ale już zaczął, więc musiał skończyć. – Żebyś z nim porozmawiał, jeśli nadarzy się okazja, ale nie próbował wywierać presji.

– Nie wywierałem presji, szefie.

– Chciałem tylko wiedzieć, co zamierzał powiedzieć.

Bo gdyby okazało się, że Ed Timms miał rację i Gimball szykuje się do rzucania dookoła głównem, Zafar potrzebował tej wiedzy jak najwcześniej. Żeby zwinąć biznes Tancerza Blaine’a, a potem zatrzeć ślady.

– To co się stało?

– Zamierzałem mu wyjaśnić – powiedział Tyson. – Powiedzieć mu, żeby cię szanował. Żeby trzymał głowę na kłódkę.

Serce Zafara jakby się skurczyło, zmieniło w bezużyteczny kawałek gumy wysychający w jego piersi. W wyobraźni zobaczył to tak wyraźnie, jakby wyświetliło się na ścianie jego salonu: Tyson, który dorwał bezbronnego Gimballa, z jednej strony puszenie się i nadmierna pewność siebie, z drugiej paniczna reakcja. Pięści zaciskające się na klapach marynarki. Szamotanina, cios.

– A czy...

Czy co? Zafar nawet nie wiedział, jakie zadać pytanie. Nie istniałaby pocieszająca odpowiedź.

– Pokłóciliśmy się tylko trochę. Nie tknąłem go.

– Nie tknąłeś go?

– Tylko trochę. – Tyson wzruszył ramionami. – Tak, żeby się nie rzucał. Nie chciał stać w miejscu.

To było jak rozmowa z dzieckiem, które zabiło kamieniem kota. „Nie chciałem mu zrobić krzywdy. To była jego wina”.

Pomyślał: Tyson musi zniknąć. I będę musiał dokończyć to, co zaczął. Tak jak z większością jego decyzji, ledwie ją podjął, już obmyślał strategię: będzie musiał odwołać jutrzejsze spotkania, udać, że jest przeziębiony, cokolwiek. To wszystko było wykonalne. Był dobry, jeśli chodzi o szczegóły.

Ale wciąż czuł, że grunt trzęsie się pod jego stopami; te wstrząsy rozrywające ziemię.

– Chyba najwyższa pora, żebyście wyjaśnili, co się stało, nie uważacie? – powiedziała Catherine.

Lamb wyszedł, a Welles za nim, jak ktoś, kogo najpierw ogłuszono, a potem wzięto na smycz: czasem myślała, że należałoby naprawdę powiesić na drzwiach Lamba tabliczkę z ostrzeżeniem. Sama też poszłaby do domu, gdyby nie wyzwanie, jakie stanowiły bary, kluby i sklepy monopolowe. A więc rola przywódczyni skautów znów spadła na jej barki.

Shirley znalazła resztki haribo i zaczęła je pałaszować, zanim Catherine zdążyła ją ostrzec, co Lamb robi z tymi, które mu nie smakują. Louisa opierała się o kaloryfer – byli w pokoju Rivera – i zamartwiała się czymś, może wszystkim. J.K. Coe siedział przy biurku z naciągniętym na głowę kapturem. River też siedział, ale było widać, że doszedł do wniosku, że Catherine zwraca się głównie do niego i łatwo nie zadowolili się milczeniem.

– Mówiliśmy ci – powiedział w końcu. – Jakiś facet wszedł za Gimballem w zaułek i Gimball już stamtąd nie wyszedł.

Catherine wydeła usta. Po chwili River spojrzał na Coego.

– Tak było, prawda?

– Tak było – odparł Coe, nie zdejmując kaptura.

– Żli kolesie byli w Birmingham – zauważyła Shirley.

– Ale nie było zamachu na Jaffreya – odparł River. – Zgadza się?

– Byli w furgonetce. Przegoniłam ich.

– Niech ci będzie – powiedziała Catherine. Znów spojrzała na dwóch mężczyzn. – Cytuję: „Widzieliśmy tylko jednego”.

– Kogo cytujesz? – spytał River.

– Pana Coego. Tak powiedział, kiedy tu dotarliście.

– Cóż, dobrze policzył.

– To nie arytmetyka mnie martwi. Raczej to, że tak chętnie sam z siebie podał informację. Zwykle potrzebuje silnej perswazji, nim odezwie się w towarzystwie. Prawda, panie Coe?

Coe wzruszył ramionami.

– I jak powiedział Lamb, wydawał się trochę bardziej ożywiony niż zwykle. A chyba wszyscy dobrze pamiętamy, kiedy tak było ostatnim razem.

– Chyba nie myślicie na serio... – zaczął River i urwał.

– Czego nie myślimy na serio? – spytała Catherine.

Przez chwilę jedynym odgłosem w pokoju były dźwięki muchy tłukącej się o zakurzoną szybę; kolejna bezowocna próba wydostania się ze Slough House.

A potem zaskoczyło.

– O Jezu! – jęknęła Louisa. – Niemożliwe!

– To był wypadek.

Louisa z szeroko otwartymi ustami spojrzała na Catherine wpatrującą się w jakąś otchłań, która właśnie otworzyła się przed nią. Shirley zamarła w połowie przeżuwania i jej twarz przybrała ten dziwny gumowy wygląd, który się pojawia, gdy zostanie się przyłapanym pomiędzy dwoma różnymi minami. Mężczyźni wymienili się spojrzeniami, a potem powrócili do swoich defensywnych postaw. A mucha jeszcze raz uderzyła w szybę i zwymiotowała, choć nie było tego widać.

Pierwsza odezwała się Catherine:

– Zabiłeś go?

Zwracała się do Coego, a Coe nie odpowiedział.

– Panie Coe? Proszę ściągnąć kaptur i odpowiedzieć na pytanie.

Niespodziewanie zrobił to, co mu kazała.

– Niezupełnie...

– Ale na to wychodzi, prawda? W jakiś niejasny, mało konkretny, może nawet rozmarzony sposób zabiłeś go? Proszę, powiedz, że tego nie zrobiłeś.

– Trafiła go puszka farby.

– Jak?

– Została strącona z rusztowania.

– Przez kogo?

– Kogoś.

– Nawet nie...

– To był wypadek – powiedział Coe.

– Tak, chyba już to ustaliliśmy – wtrąciła się Louisa. – Tylko czyj to był, kurwa, wypadek?

– Jego – powiedział River. Wszyscy w pokoju odwrócili się w jego stronę. – Tak było! Ja walczyłem z facetem z tatuażem!

– Czyli go nie wymyśliłeś?

– Jezu, nie – odparł River. – Zaatakował Gimballa.

– Słabo mi – powiedziała Catherine. – Wiecie? Całkiem poważnie, słabo mi.

– Mówiłam ci, że byli w furgonetce – przypomniała Shirley.

– Co?

– Prawdziwi źli kolesie – powiedziała Shirley. – Cokolwiek zaszło w Slough, to był tylko jeden wielki burdel. Prawdziwi źli kolesie byli w Brum. I ja ich przepędziłam.

– Jasne, świetnie. Dziękujemy ci za to – rzuciła Louisa. – A tymczasem, co zrobimy z tym, że przypadkiem zabiliśmy kogoś, kto mógł być naszym następnym premierem? I nawiasem mówiąc, kiedy mówię „my”, mam na myśli Coego. Ja nie miałam z tym nic wspólnego.

– Ani ja – dodała Shirley.

– Zgadza się – odezwała się Catherine. – Ty byłaś zajęta atakowaniem kogoś innego w innym miejscu.

– Gimball nie żyje, bo ten facet z tatuażem go zaatakował – powiedział River. – I już ustaliliśmy, że to człowiek Zafara Jaffreya. Właśnie to się tam stało. Oprócz tego, że... no wiecie... trwa atak na nasz kraj i tak dalej.

– A więc to, że byłeś tam ty i nasz psychol...

– Louiso...

– ...który go załatwił, to tylko szczegół, tak?

Coś uderzyło ją w pierś i odruchowo to złapała.

Telefon.

– Chcesz zadzwonić na policję? – spytał Coe.

Louisa spojrzała na komórkę, a potem na niego.

– To chcesz zrobić? – powtórzył. – No to proszę bardzo. Nie było cię tam. Tak jak mówiłaś, nie miałaś z tym nic wspólnego. Wszyscy bardzo jasno daliście to do zrozumienia.

Po chwili odezwała się Catherine:

– Według protokołu powinniśmy zgłaszać takie rzeczy do Regent’s Park, nie na policję.

– I to chyba jasne, że tak nie zrobimy, prawda? Chyba że myślicie, że to właśnie robi teraz Lamb.

– Lamb jeszcze o tym nie wie.

– Jasne, bo jest znany z tego, że wolno łapie, co?

Catherine wyglądała, jakby chciała odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie.

– Jeśli tego nie zgłosimy, wszyscy możemy skończyć po uszy w gównie – stwierdziła Louisa.

– To była operacja – powiedział Coe. – Zatwierdzona przez dowódcę zespołu. Odpowiadamy przed nim i tylko przed nim. Cokolwiek innego byłoby naruszeniem ustawy o tajemnicy państwowej. I wtedy też bylibyśmy po uszy w gównie.

– Ostatnim razem się z tego wywinął – powiedziała Shirley do pozostałych.

Wpatrywali się w nią.

– Tylko mówię.

– Zanim ustalimy, jaki będzie nasz następny ruch, poczekajmy na powrót Lamba, dobrze? – odezwała się w końcu Catherine. – I chyba powinniśmy śledzić najnowsze wiadomości.

– Udawanie, że ta rozmowa nigdy się nie odbyła, to chyba też dobry pomysł – stwierdziła Louisa i odrzuciła Coemu jego komórkę.

Welles wszedł na teren Regent’s Park przez parking. Pokazał strażnikowi przepustkę, ale Lamba wpisał, posługując się standardowym pseudonimem gościa: „Lindsay Lohan”; była to pozostałość sprzed kilku lat, kiedy Lohan wszędzie zjawiała się bez zapowiedzi. Strażnik nawet okiem nie mrugnął. Nazwisko Lamba mogło obudzić czujność nawet u młodych i niedoświadczonych, ale jego publiczne

wizyty były tak rzadkie – i tak mile widziane – jak płetwa rekina na plaży w czasie szczytu urlopowego, więc jego wyglądu nikt nie kojarzył. Strażnik prawdopodobnie uznał go za miejscowego agenta pracującego pod przykrywką w kolejce do banku żywności.

W tej części Regent's Park, gdzie kwitł handel i przepływ talentów, szanse na to, by wpaść na kogoś takiego jak Diana Taverner czy Claude Whelan, były niewielkie. Czekaając na windę, która miała ich zabrać na dół, do trzewi Regent's Park, Welles powiedział do Lamba:

– Przypomnij mi, czemu to robię.

– Chcemy wiedzieć, jaki będzie następny ruch tych zamachowców. Musimy się dowiedzieć, kto pociąga za sznurki. Kiedy zastawili pułapkę na Ho, dokładnie wiedzieli, co chcą od niego wyciągnąć. A to znaczy, że mieli informację, która od nas wyciekła, a może nawet kogoś u nas.

– Myślisz, że mamy kreta?

– Takie rzeczy już się zdarzały. Ale szczerze mówiąc, nie, myślę, że ktoś coś spierdolił. Tak się najczęściej okazuje.

– Powinniśmy zwalić to na tych na górze – powiedział Welles. – Zdecydowanie powinniśmy to zwalić na tych na górze.

– Tak, ale zanim popełnimy hare kriszna, zobaczmy, czy w ogóle mamy otwartą furtkę, jeśli chodzi o zwalanie na kogoś winy.

– Harakiri.

– Nie ma za co.

Gdy drzwi windy się otworzyły, znajdowali się na piętrze Molly Doran.

Już jechała na wózku w ich stronę, ponieważ, jak to później wyjaśniła Lambowi, jeśli chodzi o zbliżające się nieprzyjemności, to obdarzona była szóstym zmysłem. Kiedy jesteś w okolicy, wszystko wydaje się mroczniejsze, powiedziała. Przymknął na to oko, jak gdyby usłyszał tę oczywistość o jeden raz za dużo jak na swój gust. Tymczasem tu i teraz Molly była niską kobietą, a gdyby stała, byłaby jeszcze niższa, bo ucięto jej nogi poniżej kolan. Ten brak przyczyniał się do ogólnego wrażenia kulistości, którym emanowała, podobnie zresztą jak – nie

wiedzieć czemu – jej przesadny makijaż. W przypadku każdej innej osoby sprowokowałyby to komentarze, ale jeśli chodzi o Molly Doran, taki komentarz byłby wyzwaniem. Jej policzki były białe, usta szkarłatne. Wózek miał wiśniowy kolor i grube aksamitne podłokietniki.

Na widok Lamba i Wellesa wyraz jej twarzy się nie zmienił, ale światło w jej oczach przeszło z tonu ciemnoczerwonego w ciemniejszy. O Molly Doran zawsze opowiadano historie – o tym, jak strzegła swego królestwa niczym lwica zdobywcy – a ona nie miała nic przeciwko temu, bo Ulica Szpiegów niczego tak nie kocha jak legend, chyba że jest to mit. Różnica między tymi dwoma była cieniutka jak papier, jak przestrzeń między czyimś ostatnim oddechem i tym, co jest potem. Wcześniej Welles spotykał ją tylko przelotnie; raz dość późnym wieczorem zapytał ją, czy potrzebuje pomocy z dostaniem się do windy. Spojrzenia, które otrzymał w odpowiedzi, można by uczyć rekrutów na treningach walki wręcz.

– Jackson Lamb – powiedziała. – Nawet nie muszę pytać, prawda? Czegoś chcesz.

– A czy inaczej bym tu był?

– Zapłać trollowi.

Schylił się i pocałował ją w przypudrowany policzek. Welles poczuł, że ta chwila powinna zostać w jakiś sposób uwieczniona, choć nie za pomocą aparatu telefonicznego czy telefonu. Tu przydałby się Goya z kawałkiem węgla.

– On nie uznaje towarzyskich odwiedzin – zwróciła się Molly do Wellesa. – Rusza swoje tłuste dupsko z fotela tylko wtedy, gdy coś może wyrwać go z nudy.

– Odwiedzałbym cię częściej – odparł Lamb – ale wy, kaleki, sprawiacie, że my, normalni ludzie, czujemy się przy was nieswojo.

– Jezuu, człowieku – westchnął Welles.

Ale Molly Doran tylko się roześmiała.

– Lubi sprawiać wrażenie, że nikomu nie wciska kitu – powiedziała Wellesowi. – Ale prawda jest taka, że wciska, tylko zupełnie inny kit. Co u ciebie, Jackson?

– Kolana dają mi popalić – odparł. – Ale nie oczekuję współczucia.

– Widzisz? – zwróciła się do Wellesa. A potem dodała: – Psy nie mają wstępu na moje piętro.

– Nie wiem, czy masz w tej kwestii jakiś wybór – odpowiedział.

– To dlatego, że nigdy nie testowałeś tego twierdzenia – odparła i uśmiechnęła się słodko.

Płatek pudru sfrunął z jej twarzy, jakby nie spodziewał się drgnięcia tego konkretnego mięśnia.

Welles otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Lamb pochylił się w jego stronę.

– Lepiej rób to, co ci mówi. Przejechała już większych chłopców tym czymś.

– A czyszczenie bieżników trwa potem wieki.

– Przeginasz – powiedział Welles do Lamba i strącił jego rękę ze swojego łokcia.

– Z pewnością jesteś kochanym chłopcem – powiedziała Molly Doran. – Ale na tym piętrze to ja ustalam zasady. I choć ostatnio niewiele rzeczy sprawia mi przyjemność, bronienie tego, co moje, wciąż mnie pobudza.

– A możesz mi wierzyć – wtrącił Lamb – nie chcesz jej widzieć pobudzonej.

Welles patrzył to na jedno, to na drugie.

– Dam wam dziesięć minut – powiedział. – Ale nie więcej. Kiedy dziesięć minut minie, wchodzę tam – wskazał głową na drzwi Molly.

Molly zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem się rozpromieniła.

– Nawet go lubię – powiedziała Lambowi. – Jest mniej uszkodzony niż ci twoi.

– Poczekaj trochę.

– Tym razem, wyjątkowo, możesz zostać tutaj – zwróciła się Molly do Wellesa.

– Tylko żadnego gwizdania. Nie znoszę gwizdania.

Obróciła się w miejscu i pojechała do swojego pokoju.

– Dopóki nie będziemy gotowi, na kłamce będzie wisiała skarpeta – uśmiechnął się krzywo Lamb. – Oczywiście moja – dodał, ruszając za Molly do jej jaskini.

Był to długi pokój z szafkami po obu stronach. Ustawiono je na szynach, co pozwalało zestawić je razem, kiedy się ich nie używało. Przypominały regały

biblioteczne i powodowały podobne poczucie: że wiedza, informacja, słowa nigdy tak naprawdę nie umierają, lecz zakopują się po prostu gdzieś, gdzie nie sięga dzienne światło, i czekają, aż czyjaś ciekawość znów wygrzebie je na powierzchnię. Tutaj znajdowały się starsze sekrety Regent's Park. Te świeższe były oczywiście przechowywane w bardziej dostępnej formie i co za tym idzie, wiele z nich przeżyło swoich piętnaście minut sławy w mediach społecznościowych.

Molly wjechała tyłem do klitki dokładnie na tyle szerokiej, by mieścił się tam jej wózek, i zahamowała. Jackson Lamb z niesmakiem przyjrzał się pobliskiemu stołkowi, ale i tak usadził na nim tyłek. Gdyby to się działo w Slough House, jego ekipa zaczęłaby się intensywnie modlić.

– Słyszałam, że David Cartwright wkroczył w półmrok – zaczęła Molly.

– To dla niego najlepsze miejsce.

– Dla młodego Rivera to musi być trudne.

– Dla młodego Rivera ubieranie się jest trudne – odparł Lamb. – Nie chcę nawet myśleć o jego problemach emocjonalnych.

– Och, on jest całkiem bystry. Jego jedynym problemem jest to, że ma ciebie za dowódcę zespołu. Coś takiego każdego skłoniłoby do kwestionowania własnych kompetencji.

– Nie zachęcam ich, żeby myśleli o mnie jak o dowódcy zespołu – powiedział Lamb. – Wolę „pogańskie bóstwo”. – Spojrzał na ścianę nad jej głową. – Wisiało tam zdjęcie. Czemu je zdjęłaś?

– Bo miałam ochotę na zmianę?

– Lubisz zmiany tak, jak ja lubię mleko. – Rozejrzał się po pomieszczeniu, szukając kolejnych wskazówek, a potem znów utkwiał w niej wzrok. – Przenosisz się?

– Mówią, że powinnam odejść – odparła.

Lamb kiwnął głową i wskazał na koła jej wózka.

– Byle tylko cię gdzieś nie zepchnęli.

– Nie oczekuję współczucia, Jackson. Ale oszczędź mi swojego poczucia humoru. Jestem tu od kilkudziesięciu lat. Zbudowali to pomieszczenie wokół mnie.

To jest to, co znam, to tu dobrze się czuję. Ale najwyraźniej... nie jestem aż tak potrzebna.

Znów kiwnął głową. Niemal całe pomieszczenie pogrążone było w ciemności, tylko ten kątek był oświetlony i to zaspokoilo to coś w nim, co dobrze czuło się w mroku i dziwnych zakamarkach. Te rzędy akt to były tajne historie; niektóre należały do niego. Raporty o nim i przez niego pisane; listy ocalałych i tych, którzy zginęli. Molly Doran żyła wśród jego dawnych wcieleń i wcieleń innych agentów, których znał w czasach zimnej wojny. To tutaj było jej miejsce, tak jak tych teczek związanych czarną wstążką. Skierowała swój wózek do tej kłitki bez wahania, tak swobodnie i odruchowo, jak ktoś inny przechodzi przez drzwi.

– Co zrobisz? – zapytał. I gdyby był przy tym ktokolwiek z kulawych koni oprócz Catherine, zastanawiałyby się, skąd płyną te słowa, skąd wziął się ten ton.

– Cóż, jakoś się nie widzę w roli cywila, a ty? Nawet gdybym znalazła jakąś inną pracę, mogłabym tylko zaznaczać kratki: wiek, niepełnosprawność, płeć. Jak tylko przyjdzie ci do głowy coś obraźliwego, nie hamuj się.

– Nie wiem, czemu zawsze oczekujesz, że to ja będę komikiem – powiedział. – Sama byłabyś niezłą standuperką, gdyby nie oczywiste powody.

Łagodność, która wcześniej zatarła to, co w nim kanciaste, teraz zniknęła.

– Moje życie było pozytywne – odparła. – Miałam na coś wpływ. Teraz chcę mnie zastąpić stażystką, Boże, dopomóż. Co zrobię? A czego byś się po mnie spodziewał, Jackson?

Pociągnął nosem.

– To jeden z planów Lady Di?

– Ona się pod tym podpisała.

– No i proszę – powiedział Lamb. – Słowo Taverner znaczy tutaj tyle, co słowo Boga. Może i Whelan wyciąga kapelusz po datki, ale to ona gra na katarynce. – Jakby znikąd wyciągnął papierosa i zanim Molly zdążyła się odezwać, przewrócił oczami. – Nie zapalę go. To mi pomaga myśleć, to wszystko. Jak zamierzasz to zrobić?

– To?

Przesunął palcem po gardle.

– Zgasić światło. Kiedy już cię zwolnią. Bo zakładałam, że do tego zmierzałaś.

– Ach! Pewnie jakieś tabletki. To chyba najczęściej wybierana opcja, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że to akurat taka dziedzina, w której masz większy wybór niż pozostali. Jakaś ładna nadmorska ścieżka. Duże, strome urwisko. Mogłabyś ustanowić nowy rekord niewspomagane go lotu. – Syknął przez zęby. – Albo przynajmniej osobisty rekord.

– Zawsze umiesz pocieszyć, co? Ale z drugiej strony, nie przyszedłeś tu wysłuchiwać moich smutków.

– Jezu, masz rację! – zgodził się z nią. – Wyglądam, jakbym był z pieprzonej opieki społecznej?

– Mija nam nasze dziesięć minut, a wątpię, żeby nasz przyjaciel dał nam wiele więcej.

– Poprzedniej nocy ktoś przyszedł po Rodericka Ho – powiedział Lamb. Wsunął papierosa za ucho. – To ten, który zajmuje się u mnie internetem i tak dalej. I kiedy mówię, że „ktoś po niego przyszedł”, mam na myśli, że zrobił to z bronią.

– Zakładałam, że mu się nie udało.

– Ho miał to szczęście, że właściwe pogańskie bóstwo było po jego stronie.

– A to szczęściarz – stwierdziła Molly. – Ale z tego, co słyszałam o twoim panu Ho, lista podejrzanych może być bardzo długa.

– Zgadza się – powiedział Lamb – ale tak się składa, że wiemy, kto to był. To ci sami niebezpieczni krety, którzy rozwalili tamtą wioskę w Derbyshire.

– O rany. Wdepnął w coś paskudnego, co?

– I od tamtej pory roznosił to na butach. Oczywiście zauważył to jako ostatni.

– Gdzie teraz jest?

Lamb wskazał w stronę podłogi.

– Ale nie chcesz czekać, aż skończą go maglować.

– Dał coś komuś. Tyle wiemy. Coe nazywa to aktami „Wodopój”.

– Pan Coe? Pamiętam go. Miły młody człowiek.

– O tak. Od tamtego czasu miał przeszczep osobowości. W każdym razie to powojenny dokument, jakieś brednie o destabilizacji państwa trzeciego świata, kraju rozwijającego się czy jak tam je teraz nazywamy. Skończone zadupia?

– Nie jestem pewna, czy to określenie jest poprawne politycznie. Ale chyba wiem, do czego zmierzasz. Skąd pochodził ten dokument?

– Mówimy przecież o Ho. Wytrzasnął go z eteru.

– No i sam widzisz. Jeśli został zdigitalizowany, tutaj go nie będzie. Cały sens wrzucania akt do Bestii polega na tym, żeby nie zabierały miejsca gdzie indziej. Oryginał już dawno temu trafił do niszcarki.

Mianem Bestii Molly określała system baz danych używany przez MI5. Ledwie skrywała nadzieję, że pewnego dnia cała ta wielka budowla runie i jej królestwo pozostanie jedynym bankiem wiarygodnych informacji w posiadaniu tajnych służb.

– Tak właśnie myślałem – stwierdził Lamb. – Tyle tylko że... – Podrapał się po uchu, znalazł tam papierosa, przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym wsunął go z powrotem za ucho. – Tyle tylko że chyba istnieje więcej niż jedna wersja. Tak jak już wspominałem, oryginał pochodził z dawnych czasów... Ale w którymś momencie ktoś starł z niego kurz i w ten sposób trafił do bazy danych. Może nigdy z niego nie korzystano, ale na pewno przynajmniej raz się pojawił w ciągu ostatnich dziesięcioleci.

– Czyli myślisz, że oryginał wciąż może istnieć, bo to, co twój chłopak wyrwał Bestii, to była uaktualniona wersja. – Skrzywiła się i zmarszczyła nos. – To możliwe – stwierdziła w końcu. – Zwłaszcza jeśli osoba, która go aktualizowała, nie chciała, żeby się wydało, że ściągnęła pracę domową od kogoś innego.

– Doskonale – stwierdził Lamb. – Możesz go dla mnie znaleźć?

– No cóż, oczywiście. To znaczy, i tak nie mam nic lepszego do roboty.

– Ci od strzelaniny w Abbotsfield używają go jako wzorca.

– O rany! – powiedziała Molly.

– No właśnie. Więc dobrze by było, gdybyś wzięła się żwawo do roboty. Tak na jednej nodze, wiesz.

Wciągnęła głośno powietrze i przez chwilę wyglądała, jakby mogła wybuchnąć, ale zaraz zamrugła oczami i pokręciła głową.

– Po prostu nie potrafisz się powstrzymać, co, Jackson?

– Cóż, szczerze mówiąc, jesteś niezbyt ruchomym celem.

Ktoś pojawił się w drzwiach i oboje się odwrócili, spodziewając się Wellesa.

Ale to była Emma Flyte.

– Naprawdę zaczynasz mnie wkurzać – powiedziała do Lamba.

Nikt się nigdzie nie wybierał, ale to nie znaczyło, że musieli zostawać tam, gdzie byli. Louisa, Shirley i Catherine poszły do swoich pokoi, żeby czekać na powrót Lamba, i każda z nich zastanawiała się nad możliwym rykoszetem, który być może, najprawdopodobniej, z całą pewnością uderzy w Slough House. Dla Shirley oznaczało to wyjęcie paczuszki koki z kieszeni, wyobrażenie sobie haju, jaki przeżyje, kiedy ją weźmie, i próbę znalezienia przekonującego powodu, żeby tego nie robić. Jedynym, który przyszedł jej do głowy, był ten, że gdyby wzięła ją teraz, nie mogłaby zrobić tego później, gdy być może będzie jej bardziej potrzebować. Jeśli chodzi o Louise, to weszła do internetu. Z początku zaczęła zaglądać na różne podejrzane fora, szukając rozmów o Abbotsfield, ale potem dała sobie z tym spokój i zaczęła przeglądać buty. Znalazła obiecującą parę, może z trochę zbyt spiczastym noskiem – słyszała, że buty nie mogą być zbyt spiczaste, ale nigdy od kogoś, komu całkowicie ufała – jednak tak długo trzymała kursor nad przyciskiem „kup teraz”, że zaczęła się czuć, jakby doznawała paraliżu decyzyjnego, stanu, o którym zawsze sądziła, że jest związany z płcią. Jezu, to były przecież tylko pieniądze. Kliknęła i przez krótką chwilę cieszyła się przyływem endorfin. Na górze Catherine sprzątała miejsca, które i tak były już czyste. Jej biuro było jak komnata jej własnego umysłu: wszystko znajdowało się tam, gdzie powinno być, ale utrzymywanie takiego stanu wymagało ciągłej czujności. Naprzeciw był gabinet Lamba z leniwie uchylonymi drzwiami; w szufladzie jego biurka leżała butelka whisky i bez żadnego świadomego wysiłku Catherine potrafiłaby dokładnie powiedzieć, ile w niej zostało, zupełnie jakby zaznaczono to ołówkiem. To było

trochę tak, jakby ciągle była gotowa do wyjścia i jakby zawsze wiedziała, gdzie znajdują się najbliższe drzwi. W sytuacji awaryjnej chwytaj za szklankę. Albo nie, zapomnij o szklance; chwyć od razu za butelkę.

River i Coe wciąż byli w swoim pokoju i rozdrapywali rany odniesione tego wieczora.

– Myślałem, że wyrzuciłeś telefon przez okno samochodu.

– Masz tylko jeden telefon? – spytał Coe. – Serio?

– A ty zawsze masz zapasowy do dramatycznych gestów, tak?

River przypomniał sobie, jak Coe rzucił telefon Louisie. „Chcesz zadzwonić na policję? No to proszę bardzo”. Być może zapamiętał ten gest, bo wolał to niż zastanawianie się nad konsekwencjami, gdyby Louisa faktycznie to zrobiła.

– Oczywiście całego kraju są zwrócone na zaułek w Slough – powiedział. – Naprawdę myślisz, że nie rozpracują tego, co się tam wydarzyło? Ktoś nas na pewno widział. Nawet jeśli nie ma żadnych kamer, ktoś na pewno nas widział. Samochód Ho będzie na nagraniach, gdy wjeżdża do miasta i stamtąd wyjeżdża.

– Wraz z setkami innych – zauważył Coe. – Poza tym był tam prawdziwy zły koleś, pamiętasz? Próbowaliśmy chronić Gimballa.

– I wykonaliśmy cholernie dobrą robotę.

– Przestań psioczyć. On też będzie na nagraniu, ale nie ma tej przewagi, że jest członkiem MI5. Byliśmy tam, żeby chronić Gimballa. On był tam, żeby zrobić mu krzywdę.

– Ale może mieć swoją historię do opowiedzenia, nie uważasz?

– No cóż – odparł Coe. – To zależy od tego, czy będzie mógł ją opowiedzieć.

– Mówisz poważnie?

– Wyglądał na zawodowca. Powiedzmy to sobie, miałeś z nim problem. Kiedy jego próg przekroczą antyterrorysty, jakie są szanse, że będzie się bronił? – Coe uniósł brwi tak, jakby wzruszał ramionami. River jeszcze nigdy nie widział, żeby jego twarz aż tyle wyrażała, i w tym przypadku oznaczało to „gra skończona”.

– Będzie śledztwo – zauważył River. – Nawet jeśli dopadną tylko trupa tego gościa z tatuażem, na pewno tego tak nie zostawią. Dodadzą dwa do dwóch.

– Od jak dawna się tym zajmujesz? Powstanie oficjalna wersja zdarzeń. Tak to się zwykle robi. A to, co się naprawdę wydarzyło, zostanie zatuszowane, jeśli ktoś uzna to za niewygodne.

– Tak, ale my nie jesteśmy niewygodni – odparł River. – Jesteśmy ze Slough House. Jeśli szukają kogoś, kogo będą mogli za to powiesić, to jesteśmy jak stworzeni do tego celu. Nie wspominając już o tym, że naprawdę go zabiłeś. Wiesz? – dodał. – Więc nawet nie musieliby cię wrabiać.

– Jesteśmy z MI5 – odparł Coe. – Bez względu na to, czy jesteśmy ze Slough House, czy nie. Jeśli to upublicznia, w jednej chwili obiegnie to cały świat. Pół tego świata pomyśli, że wykonywaliśmy rozkazy. Druga połowa będzie tego całkowicie pewna.

– Ciągłe mówisz „my” – zauważył River.

– Mam ku temu powód.

River po raz drugi w ciągu dwóch dni przypomniał sobie, jak to było dzielić pokój z Sid Baker: to wtedy po raz ostatni w tym biurze tak dużo rozmawiano. Właściwie to kłócono się. Powiedział więc:

– Jeśli posiedzimy tu dłużej, zacznę wyrzucać rzeczy przez okno. – I zacznę od ciebie, dodał w myślach. – Jeśli tak ci zależy na skonstruowaniu korzystniejszej narracji, to jaki masz plan?

– „Skonstruowaniu korzystniejszej narracji”?

– Czytuję „Guardiana” – powiedział River. – Czasami. Właściwie to komiksy.

– To, co się dziś wydarzyło, jest częścią sekwencji Abbotsfield – powiedział Coe. – Taka jest narracja. Ten gość z tatuażem, człowiek Zafara Jaffreya, jest uwikłany w szersze wydarzenia. Próbowaliśmy mu przeszkodzić.

River uświadomił sobie, że w drzwiach stoi Shirley, z lewą ręką zaciśniętą w pięść – trzymała w niej coś – i z prawą opartą o framugę.

– Wymyśliliście już jakiś plan? – spytała.

– Myślałem raczej o modlitwie – odparł.

– To twoja najlepsza opcja – przyznała. – Ale i tak masz przejebane.

– Tak. Ale dzięki za dodanie mi otuchy.

– Chcesz żelka?

– Taki masz pomysł na konstruktywną pomoc? Bo muszę ci powiedzieć...

– Powinieneś znaleźć Kim – powiedziała.

– Dziewczyne Ho?

– To jej przekazał akta „Wodopój”. To ona ma związek z ekipą z Abbotsfield. Jeśli ją znajdziesz, znajdziesz też ich. Prawdopodobnie.

– Ho przesiedział w Regent’s Park całe popołudnie – odezwał się Coe. – Na pewno powiedział im już wszystko, co mógł im powiedzieć o Kim, a w takim razie już ją mają albo nie mogą jej znaleźć. Pewnie dlatego, że już nie żyje.

– To prawda, co? – powiedziała Shirley.

– Co takiego?

– Bardzo się ożywasz po tym, jak kogoś zabijesz. – Schowała to, co trzymała w ręce, do kieszeni džinsów. – Lamb pewnie zrobi z tego politykę biurową.

Coe ją zignorował. Zwrócił się do Rivera:

– Próbowali zabić Ho. Wydaje się logiczne, że do tej pory dopięli już wszystko na ostatni guzik.

– Ty byś tak zrobił, prawda? – spytała Shirley.

– Kto co by zrobił? – Louisa ją minęła i weszła do pokoju.

– Och, dyskutowaliśmy tylko o biurowym grafiku – odparł River. – No wiesz, kto będzie teraz musiał pozmywać. Kogo Coe zabije jako następnego. Tego typu rzeczy.

– Wczoraj wieczorem obserwowaliśmy Kim. Cwana z niej typiara – stwierdziła Shirley.

– Nie mówię w języku disco.

– Chodzi mi o to, że próbowali zabić Ho i nawet tego nie dali rady. A on ledwie umie zawiązać sobie sznurówki. Więc myślę, że mogli mieć problem z tym, żeby dorwać Kim. Wydawała się całkiem... bystra.

Coe coś sprawdzał: „Kobieta znaleziona martwa w swoim mieszkaniu w Londynie”. Przeczytał na głos nagłówek. A potem spytał:

– Czarnoskóra?

– W takim razie to nie była Kim – stwierdziła Shirley.

– Uważasz, że jeśli ją znajdziemy, to namierzemy ekipę z Abbotsfield.

– Albo przynajmniej będziemy mieli jakieś pojęcie o tym, jaki może być ich następny ruch – powiedział River.

– Przejąć media – powiedziała Shirley. – To może być cokolwiek.

W dzisiejszych czasach przejmujesz media, jeśli kupisz redakcję gazety.

Po chwili pojawiła się Catherine.

– Próbowaleś sprawdzić jego telefon?

– Zakładam, że jest w Regent's Park. Razem z Ho.

– Myślę, że ma dwa.

Coe posłał Riverowi spojrzenie w stylu: „a nie mówiłem?”.

– Tak, ale jeden z nich może być trochę zepsuty – odparła Shirley.

– Jeśli wciąż jest w nim karta sim, możemy go użyć – powiedziała Louisa.

Ale zepsuty telefon Ho – ten, który Shirley wytrąciła mu poprzedniego dnia, „ratując mu życie”, jak przypomniła wszystkim – nie dostarczył im wskazówek, nawet gdy już go namierzyli w szufladzie jego biurka. Po wybraniu numeru Kim, zapisanego jako „Kim (Dziewczyna)”, słychać tylko było tę pustą, głuchą ciszę, która sygnalizuje całkowite zniknięcie.

– Mówiłam wam, że to cwana typiara – powiedziała Shirley.

– Albo martwa – dodał Coe.

– W każdym razie – odezwała się Louisa – mamy takie same szanse na jej odnalezienie jak jednonogi zawodnik w zawodach kopania się po dupach.

– Chciałabym wiedzieć, kto organizuje takie imprezy – poskarżyła się Shirley. – I kiedy zaostrzą kryteria.

– Jakieś inne świetne pomysły? – spytała Catherine i powiedziała to tak jak nauczycielka z podstawówki, która goni resztkami sił, ale stara się nie dać tego po sobie poznać.

– Spiesz się – powiedział w końcu River. – Wszystko przebiega bardzo szybko.

– Bo nie mają wsparcia – odezwała się Louisa.

Spojrzeni na nią, ale Coe kiwał głową.

Ciągnęła dalej:

– Uwijają się, żeby skończyć, zanim zostaną złapani. Bo jeśli nie skończą planu, nikt nie zrobi tego za nich.

– To by wyjaśniało, dlaczego idą na skróty – powiedziała Catherine. – Ta bomba w pociągu, która nie wybuchła. Odhaczanie pozycji z jakiejś listy ma dla nich większe znaczenie niż robienie rzeczy tak jak trzeba.

– A więc jeśli planują uderzenie w media, zrobią to najszybciej, jak będą mogli.

– Co oznacza, że już to zaplanowali – powiedział J.K. Coe.

– To niczego nie zawęży – zauważył River.

Ale Shirley znów się rozpromieniła.

– Już raz ich znaleźliśmy – powiedziała. – Możemy zrobić to raz jeszcze.

– Przypomnij mi, gdzie ich znaleźliśmy.

– Byli w furgonetce – upierała się dalej. – W Birmingham.

– Jesteś pewna, że byłaś w Birmingham? Wróciłyście bardzo szybko.

– Louisa prowadziła.

Louisa skromnie wzruszyła ramionami.

– No to wyjdźmy z założenia, że Kim wciąż żyje – zaproponowała Catherine. – Odkryła, że nie jest niezastąpiona, i zapadła się pod ziemię. Ale zgodnie z tym, co twierdzi Shirley, jest dość bystra. A więc gdzie mogła się ukryć?

– W ostatnim miejscu, w którym by jej szukali – powiedziała Louisa.

– Czyli gdzie to by mogło być?

– U Ho w domu – odparł River.

11

W studziencie kanalizacyjnej wciąż były odłamki szkła i gdy patrzyło się na nie pod odpowiednim kątem, wzrok przykuwał nagle bijący od nich blask, jednak sam dom był pograżony w ciemności. Zastłony pozostały rozsunięte, a wielkie stłuczone okno zabito deskami i przypominało teraz podbite oko, nadając budynkowi wygląd opuszczonego. Drzwi były obklejone policyjną taśmą. Nieruchomość sprawiała wrażenie, jakby wkrótce miała popaść w ruinę: wystarczy poczekać tydzień, pomyślał River, a zostanie przyozdobiona graffiti i zamieszkają tu młodzi włóczędzy, psy i myszy.

Przyjechali tymi samymi dwoma samochodami: Louisy i Ho. I w tych samych parach. „Po co zmieniać coś, co tak świetnie działa?” – spytała Louisa. River przez całą drogę pracował nad powrotem; teraz, gdy już tu byli, jego uwagę przykuł fakt, że zapasowe klucze przyklejone pod biurkiem Ho nie obejmowały klucza do jego frontowych drzwi. Ale Shirley już się tym zajęła. River spodziewał się, że wyważy drzwi kopniakiem albo zmusi je do posłuszeństwa uderzeniem z główki. Zamiast tego zerwała jednak taśmę, wyjęła zestaw swoich kluczy i zaczęła je kolejno wypróbować. Trzeci zadziałał.

– Masz klucze do domu Ho...?

– Należały do Marcusa.

– Marcus miał klucze do domu Ho...?

– Rany, człowieku – Shirley pomachała kółkiem z kluczami. – Są uniwersalne?

Marcus nie zawsze wywazał drzwi kopniakami. Czasem wchodził po cichu.

Weszli do domu i zaczęli szeptać.

– Psy tu były – stwierdził River.

To było oczywiste: widać było ślady oficjalnej, dociekliwej obecności – powysuwane szuflady, wolne miejsca tam, gdzie wcześniej stał sprzęt elektryczny. Jeden z dogmatów wiary głosił, że wszystko, co da się podłączyć do gniazdka, może przesyłać dane: nawet tostery nie były wolne od podejrzeń. Roderick Ho miał mnóstwo sprzętu, a teraz miał mnóstwo pustych półek.

– Cholera, mam taką nadzieję – odparła Louisa. – To ich praca.

– Czyli jeśli Kim się tu ukrywała, mają ją.

– Chyba że odczekała, aż się tu zjawią i sobie pójda.

To jeszcze dzieciak, miał ochotę powiedzieć River. Oszustka z klubów kantująca takich kretynów jak Ho – co mogła wiedzieć o szpiegowaniu? Ale znów poczuł jakiś ucisk w piersi. Jakby jego narządy zostały ściśnięte trochę bardziej. Dał jednak radę powiedzieć:

– Biorę górę.

– Ja też – stwierdziła Louisa. – Shirley, sprawdź dół. Coe, pilnuj drzwi.

River już miał spytać, dlaczego Louisa wydaje im polecenia, ale jego mądrzejsze anioły uciszyły go. Niedawno pojawiły się przekonujące powody, dla których Riverowi ani Coemu nie należało bez nadzoru dawać do ręki nawet otwieracza do puszek. Natomiast idea Shirley przejmującej dowodzenie, no cóż... Jego mądrzejsze anioły miały ważniejsze rzeczy do roboty, niż dopowiadać to zdanie do końca.

Louisa ruszyła przodem i rozdzielili się u szczytu schodów; ona ruszyła do drzwi sypialni Ho – co tłumaczyło przerażenie na jej twarzy – a River skierował się do salonu z wielkim, teraz rozbitym, oknem.

Ktoś wszedł do pokoju, więc całkowicie znieruchomiała. Była płaszczem na wieszaku, poskładaną bluzą; czymś, co można by znaleźć w szafie – jedno spojrzenie, a potem odwracasz się i zamykasz drzwi. I wtedy zostanie sama w ciemności. Niedługo znów będzie mogła zacząć oddychać.

Cała sztuczka polegała na tym, by zajmować odrobinę mniej miejsca, niż zwykle zajmujesz, a potem robić to dalej i dalej. Na koniec się znikają i nikt nie był w stanie już cię odnaleźć.

Zaskrzypiała deska podłogowa. Coś się otworzyło i zamknęło. Istniała tylko ograniczona liczba miejsc, w których można się było ukryć i które można było przeszukać. Czas, który jej pozostał, był mierzony w sekundach, i czuła, jak umykają, prześlizgują się przez szparę pod drzwiami. To były głośne, hałaśliwe sekundy; takie, które ją zdradzą.

Dom Roddy'ego Ho nie był mądrym wyborem. Lepiej by było, gdyby zaryzykowała pozostanie na ulicach.

Kim zacisnęła pięść, wokół której owinęła wcześniej wieszak z drutu, i czekała.

W kuchni u Ho Shirley pomyślała, że nie jest zbyt często używana.

Przy drzwiach na tyłach domu stała wieża z opakowań po pizzy; obok stał worek, z którego wysypywały się plastikowe butelki: po napojach energetycznych, coli, jakichś innych, których marek nie rozpoznawała. Lodówka była ogromna, ale mało używana, choć w zamrażarce znajdowały się kolejne pizze i dwa opakowania frytek, co Shirley skojarzyło się ze sklepikiem na rogu w niedzielny wieczór. Cóż, własną lodówką też nie za bardzo mogła się pochwalić; zielone było w niej tylko szkło butelek z piwem. Ulżyło jej jednak, że to, co zobaczyła u Ho, było poniżej jej oczekiwań. Gdyby okazało się, że potajemnie jest smakoszem, który trzyma zapas oliwy truflowej i warzywa, których nie byłaby w stanie rozpoznać, miałyby z tym problem.

Sprawdziła już kryjówki mogące pomieścić człowieka, szafki i miejsca pod stołami. Nigdzie ani śladu Kim. To i tak był naciągany pomysł. Prędzej czy później ktoś ją znajdzie w worku na śmieci, równie zniekształconym jak ten tutaj z butelkami, ale bardziej miękkim i zaczynającym śmierdzieć.

Shirley miała nadzieję, że tak się nie stanie, ale nadzieja to jedno, a brutalna prawda to zupełnie coś innego. Nie trzeba było być kulawym koniem, żeby to pojąć.

Otworzyła szafkę, spodziewając się, że zobaczy kubki lub talerze, przyprawy albo mąkę. Było w niej mnóstwo puszek fasoli. Naprawdę mnóstwo.

Klucze Marcusa w kieszeni wydawały się ciężkie. Po raz pierwszy użyła jego zestawu kluczy uniwersalnych, trofeum zwędnzonego z szuflady jego biurka. Liczyła na to, że znajdzie tam jego broń, ale Lamb się nie pieprzył ze zwędnieniem rzeczy po nieboszczyku. Z początku sądziła, że zostawił klucze, bo nie wiedział, że to zestaw do włamań, i założył, że to zapasowe klucze Marcusa, ale zaraz przyszło jej do głowy bardziej wiarygodne wyjaśnienie: Lamb nie wziął kluczy Marcusa, bo miał już własny zestaw. I dobrze. Ale i tak żałowała, że nie była pierwsza po broń.

Jak zauważyłby sam Marcus, były takie chwile, kiedy broń mogła się przydać.

Choć było źle – jej serce biło tak mocno, że szafa pewnie musiała od tego pulsować – to mogło być o wiele gorzej. Szafa mogła być trumną. Wcześniej, kiedy stała przy oknie we własnym domu i było zbyt późno, by się przez nie precisnąć, nie miała takiego poczucia, że czas przecieka jej przez palce; zamiast tego wszystko się zatrzymało. W drzwiach pojawił się Shin trzymający broń. Jej pęcherz nie wytrzymał i w tamtej chwili się nauczyła, że torba z rzeczami nie wystarczy. Tym, czego potrzebowała, było drugie życie, w którym nic z tego wszystkiego się nie wydarzyło... Nie była dobrym człowiekiem, ale uważała, że wynikało to z okoliczności: czyja to wina, że otaczały ją ofiary? Już dawno temu ustaliła, że są dwa typy mężczyzn: tacy, z których można było wyciągnąć pieniądze, a oni uznawali to po prostu za kolejne doświadczenie, i tacy, którzy dostawali szau i zaczęli jej szukać. Kilku ją znalazło. Nie przetrwałaby wielu takich spotkań.

Ale Shin i jego ekipa byli inni. Wiedzieli, kim była, czym się zajmowała, i było jasne, że ich informacje pochodziły od jakiejś nadrzędnej organizacji. Zawsze krążyły plotki o dziewczynach rekrutowanych przez służby wywiadowcze: dziewczynach, które były pokusą, a Kim świetnie potrafiła kusić.

Uważała jednak, że to wyłącznie legendy pochodzące od samych dziewczyn, którym dodawało to tajemniczości: nie były tylko ozdobami na materacu, ale uczestniczyły w grze o wysoką stawkę. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała,

było odkrycie, że natknęła się na prawdziwego szpiega. Jeszcze bardziej nie mieściło się w głowie to, że był nim Roddy Ho, którego obrabiała od miesięcy bez najmniejszego wysiłku. To mogło być nawet zabawne, gdyby grupa Shina nie dała jej jasno do zrozumienia, jakie będą konsekwencje jej odmowy. Miała w Korei Północnej rodzinę – ciotki i wujków, których nigdy nie widziała. Kuzynkę z dwójką małych dzieci – pokazali jej zdjęcia. Ci ludzie mogli być kimkolwiek, a krewni, no cóż – życie Kim nie stało się szczęśliwsze dzięki krewnym, których znała. Doszła do wniosku, że może żyć z tym, że obcych ludzi spotka coś nieprzyjemnego.

Potem pokazali jej lustro; jej własną twarz, jej drobne doskonałości.

O ile łatwo było przekonać Ho, żeby okradał firmy obsługujące karty kredytowe, o tyle namówienie go, by wykradł sekrety, było jak bułka z masłem. Kiedy podała mu kod akt, które od niego chciała, był już przekonany, że wykradnięcie ich było jego własnym pomysłem.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że dostarczenie pliku Shinowi nie zakończy całej historii; że kiedy już zrobi, co do niej należało, ktoś przyjdzie zatrzeć ślady. A więc straciła wyczucie czasu i dała się zaskoczyć przy oknie. Powinna była już wtedy zniknąć i ukryć się gdzie indziej. Ale była dziewczyną z Londynu. W każdym innym mieście zostałaby raczej zwierzyną niż łowcą. A poza tym istniały tylko dwa rodzaje mężczyzn, a Kim nigdy nie grała na jedną stronę, kiedy mogła grać na dwie.

Stała przy oknie, jej torba ze spakowanymi rzeczami leżała już na trawniku na dole. Ułożyła usta we właściwy kształt, by powitać Shina, który zjawił się w drzwiach, trzymając broń.

– Dzięki Bogu, że to ty! – powiedziała i wyciągnęła do niego rękę.

Samochód jechał ulicą z przeciętną prędkością i choć Coe mocniej ścisnął nóż w kieszeni bluzy, nie pokazał po sobie żadnej reakcji. Kierowca i tak mu się uważnie przyjrzał w świetle najbliższej ulicznej latarni. Wszyscy w okolicy na pewno świetnie wiedzieli, że w domu Ho coś się dzieje. Wczoraj w nocy przez

okno wyleciał człowiek i padły strzały; dzisiaj czarnymi furgonetkami wywieziono większość rzeczy należących do Ho. Ale każdy, kto okazałby się na tyle ciekawski, by próbować wypytywać psy, dostałby po łapach. Tego typu wieści szybko się rozchodziły.

A nawet jeśli nie, pomyślał Coe, to jestem złym człowiekiem. Jeśli ktoś chce się zbliżyć, robi to na własne ryzyko.

Kiedy zobaczył, jak puszka farby trafia Gimballa, pomyślał: o cholera. To nie był ładny widok. Teraz jednak myślał głównie o tym, jak szybko doszedł do siebie; niemal równie szybko jak ten facet z tatuażem, który ulotnił się w mgnieniu oka. Chociaż Coe musiał zejść na dół po dwóch drabinach, nie został za nim daleko w tyle; zgarnął Cartwrighta, który wyglądał jak oszołomiona postać z kreskówki, i doprowadził go do samochodu. Był prawie pewien, że nikt nie widział, jak wychodzili z zaułku. To nie oznaczało, że sprawa była załatwiona, ale przynajmniej zadbał o to, że mieli chwilę wytchnienia.

Cartwright sądził, że ten czas dostali na kredyt, ale Coe wiedział, że jeśli coś zostanie zjebane, MI5 lubi bardzo szybko to zatuszować. Londyńskie Zasady oznaczały, że budowało się wysokie mury i najpierw wyrzucało się za nie tych ze swoich ludzi, którzy byli najmniej przydatni. A więc dopóki jest bardziej przydatny niż Cartwright, nie będzie pierwszym, którego wyrzucą za mur. Coe nie czuł się najlepiej z tym, że myśli w ten sposób, ale czuł, że żyje, a to było najważniejsze. W czymś takim siedziało się razem, ale do czasu. To też była jedna z Londyńskich Zasad.

Kolejną rzeczą, nad którą się zastanawiał, było to, czy tamtego wieczoru rzeczywiście był „bardziej ożywiony niż zwykle”. Kiedy wstąpił do MI5, pracował w ocenie psychologicznej i jego zadania polegały na ocenianiu strategii operacyjnych pod kątem wpływu psychologicznego – na cele i na agentów – ale wiązało się to również z przeprowadzaniem indywidualnych ocen: kto był pod wpływem stresu, komu przydałaby się zmiana i kto był psychopatą. W każdej organizacji było takich kilku, zwykle na poziomie kierowniczym. I dobrze było wiedzieć, kim są, na wypadek sytuacji awaryjnej albo biurowej imprezy. J.K. Coe

stał się ekspertem w rozpoznawaniu oznak, ale być może powinien dokładniej przyjrzeć się samemu sobie. Zwłaszcza po tym, jak przeżył traumę. Może to otworzyło drzwi do jego mrocznej strony, które od tamtej pory się nie zamknęły. I to dlatego za każdym razem, gdy coś go przestraszyło, sięgał po nóż, a odbieranie życia dodawało mu pewności siebie i sprawiało, że czuł, jakby miał kontrolę. Gdyby pisał raport do własnych akt oceny psychologicznej, połowa z tego byłaby na zielono.

Ale J.K. Coe myślał, że to jest prawdopodobnie w porządku. Każdy potrzebował jakiejś przewagi. On miał taką.

Samochód odjechał, na ulicy było ciemno i cicho. Jego nóż był tam, gdzie powinien.

Za jego plecami, w domu Ho, rozległ się jakiś hałas i ktoś krzyknął.

Znów zaskrzypiała deska podłogowa i Kim przygotowała się do ucieczki.

Kiedy pierwszy raz zbliżyła się do domu Ho, coś tam się działo. Jacyś mężczyźni z poważnymi minami ładowali do czarnej furgonetki sprzęt komputerowy Roddy'ego. Na chodniku leżało stłuczone szkło, a w ścianie widać było kilka dziur. Wczoraj wieczorem, siedząc z tyłu taksówki, zadzwoniła do Shina i powiedziała: „Jest sam w domu. I słuchaj, zrób to szybko, dobrze? Jest nieszkodliwy”. Czy naprawdę sądziła, że to będzie bezbolesne? Najważniejsze, że to nie jej się to przytrafiało. Takie były zasady gry: przede wszystkim dbaj o numer jeden.

I tak na wszelki wypadek od samego początku zadbała o Shina.

„To ty dowodzisz, prawda?”

„Pozostali muszą robić to, co powiesz”.

„Nie jesteś taki jak oni...”

Żaden z nich nigdy nie był taki jak ktokolwiek inny. Mężczyźni lubili o tym słuchać: pod jakimi względami byli jedyni w swoim rodzaju.

Kim przeszła obok czarnej furgonetki; znalazła sobie kawiarnię, w której spędziła popołudnie, a potem, gdy wróciła, w domu było ciemno. Otworzyła

kluczem, który dał jej Roddy, a potem położyła się na łóżku i planowała swój następny ruch.

Pewnie już nie żył. Pewnie go zabili. Ją też by zabili, gdyby nie rozegrała Shina. „To ty dowodzisz, nie jesteś taki jak oni”. To było konieczne, zwłaszcza dlatego, że przerażał ją Danny, który wyglądał na naprawdę groźnego. I to się opłacało, bo Shin pozwolił jej odejść; patrzył, jak opuszczała się z okna sypialni wyraźnie podbudowany tym, co mu obiecała. Że kiedy to się skończy, będą razem. Że na niego zaczeka. A potem będą się długo i szczęśliwie bzykać.

Ale na każdą sztuczkę, która się opłacała, przypadała inna, przez którą miało się przerażane. A więc teraz skuliła się w szafie, a w domu ktoś był – kilka osób. Jeśli to Shin i spółka, ten sam numer drugi raz nie zadziała. Kiedy był sam, mogła go ugniatać jak plastelinę. Ale Shin, którego obserwują pozostali, to byłaby już zupełnie inna historia.

Nie sądziła jednak, żeby to on był teraz w domu Ho.

Czekała w gotowości, zaciskając palce na wieszaku z drutu; wcześniej go odgięła i owinęła wokół ręki, a haczyk wyprostowała, tak by móc nim dźgać.

Jeśli czyjeś oko miało być ceną jej wolności, to niech tak będzie.

Był przeciąg, bo deska, którą zabito okno, nie pasowała tak jak trzeba. River ją podważył i poczuł na twarzy powiew powietrza. Gdyby miał dość rozumu, by mieć rodziców takich jak Ho, może jemu też zapewniliby nieruchomość i miałyby własne frontowe drzwi i sąsiadów, których czasem widać za dnia. Lecz na myśl o tym, że matka mogłaby dać mu jakąś lokatę, żeby kupił sobie zwykły dom przy zwykłej ulicy, niemal się uśmiechnął. Nie, jego rodzinne wsparcie miało postać S.D., wsparcie, które teraz butwiało, już zbutwiało, w każdej chwili mogło się załamać, a potem będzie już tylko jak wspomnienie drewna: czegoś, co było mocne, stabilne i zawsze pod ręką, aż przestało takie być. Cóż, przynajmniej S.D. nie będzie musiał się dowiadywać o tej masakrycznej wpadce, w której uczestniczył dzisiaj River. To wtedy człowiek wiedział, że jest naprawdę źle: kiedy zaburzenia poznawcze własnego dziadka były dobrą stroną sytuacji.

Odsunął się od okna. Teraz, gdy zabrano zabawki Roddy'ego, niewiele tu było. Psy uporały się z tym szybko i skutecznie; dobrze wiedzieć, bo niedługo będą robić to samo z jego rzeczami. No i powodzenia. Większość tego, co posiadał, można by wyrzucić do kontenera i nikt nie uznałby tego za stratę. Nie, prawdziwą stratą była jego kariera, która okazała się jednym wielkim niewypałem; do tego stopnia, że jego wcześniejsze myśli o odejściu teraz wydawały się mrzonką. Gdy w Regent's Park przeanalizują już wydarzenia tego dnia, poświęcą go albo zamiotą pod dywan. I znów poczuł ten ucisk pod żebrami: zimną panikę. Bał się spojrzeć na telefon, żeby sprawdzić wiadomości; równocześnie chciał usłyszeć czyjś głos, głos kogoś, kto jest po jego stronie. Matki? Gdzie tam! Dziadka? Potrzebowałby głośniejszego sygnału, niż był do tego zdolny jego telefon. A więc kto mu jeszcze pozostawał? Ojciec? Ale Frank był renegatem, miał krew na rękach i jeśli nadarzy się okazja, być może River go zabije.

A więc pozostawało mu tylko tu i teraz, tylko ta chwila. Póki nie przyjdą po niego psy i wszystko się nie rozpadnie, będzie dalej zajmował się bieżącą sprawą i szukał kogoś, kto prawdopodobnie nie żyje. To było trochę jak historia jego życia. Opadł na jedno kolano i sprawdził pod sofą, która była o wiele zbyt niska, by mogła znajdować się tam kryjówka, ale pozwoliło mu to mieć wrażenie, że coś robi. A potem zerwał się, słysząc hałas po drugiej stronie korytarza i krzyk strachu: Louisa.

W pokoju Ho unosił się ciężki, ostry zapach, który, gdyby go złapać i zabutelkować, zabijałby pewnie gryzonia albo starych ludzi. Louisa oddychała ostrożnie. Na liście pokoi, w których nigdy nie spodziewałaby się znaleźć, ten znajdował się tuż za pokojem Benedicta Cumberbatcha, choć z diametralnie różnych powodów. Ale przynajmniej nie było tu Ho. Jedynie dowody na jego istnienie: plakaty anime na ścianach, grupka brudnych kubków z czekoladowym osadem na podłodze.

Nie chciała nawet myśleć o zużytych chusteczkach, które kwitły między nimi niczym nieudane, odrzucone próby origami.

Łóżko było szerokie, pościel granatowa, poszwa kołdry brązowa. Serio? – pomyślała Louisa. Opadła na kolana i zajrzała pod łóżko. Kolejne chusteczkowe róże i tyle kotów z kurzu, że Perfekcyjna Pani Domu dostałaby kota. Przy łóżku wcześniej była lampa, ale znikła – można by pomyśleć, że psy ukradkiem organizowały wyprzedaż – ale w szafce, na której kiedyś stała, były szuflady i Louisa je przetrząsnęła. Dobra, marne szanse na to, że w którejś ukrywała się Kim, ale jak często miało się taką okazję? Wątpliwe, by Ho mógł ukryć coś interesującego w szufladzie: jego życie zostanie spakowane w bitowe pakiety danych i zapisane na laptopach i dyskach, po których w tej chwili pozostały tu jedynie ślady w kurzu. Teraz to wszystko było w Regent's Park, poddawane procesowi rozmontowywania, podobnie jak Ho. Istniała możliwość, że nigdy nie zostanie ponownie złożone do kupy. Louisa nie zastanawiała się, czy dotyczy to również Ho, choć zdawała sobie sprawę, że czuje niecodzienny przebłysk empatii w stosunku do kolegi, który choć rzadko dawał się lubić, przy kilku okazjach jednak się przydał. Ale kim była, żeby tak myśleć? Niespecjalnie się przykładała, by uczynić Slough House szczęśliwszym miejscem. Starła się z Riverem, to prawda, ale Jezu: po tym, co się stało dzisiaj, ten-z-największymi-szansami-na-sukces był skreślony. To, co tutaj robili, bezsensowne poszukiwanie prawdopodobnie nieżyjącego już świadka, było kręceniem się w kółko: River i Coe mieli przerąbane, a reszta z nich potrzebowałaby cudu, by przetrwać oskarżenia, które się potem pojawią.

Myśląc o tym, otworzyła drzwi szafy, a wtedy wyskoczył z niej demon z cienkim metalowym szpikulcem w prawej ręce i dźgnął nim Louisę prosto w twarz.

Ostatnią rzeczą, jaką miała kiedykolwiek zobaczyć lewym okiem, była wrzeszcząca czarownica z czymś spiczastym w ręce – tak niewiele brakowało, by wszystko potoczyło się w ten sposób, że Louisę przez kilka tygodni dręczyło to w snach. Udało jej się jednak szarpnąć głową w bok i się cofnąć. Lewą nogą stanęła na jednym z kubków Ho, który pękł pod jej ciężarem, i runęła jak długa na

podłogę. Przewracając się, krzyknęła i pod przedziwnym kątem niczym fragment puzzli zobaczyła Rivera pojawiającego się w drzwiach sypialni.

Nie było czasu na strategię, tylko na działanie. Kobieta, która otworzyła drzwi szafy, była wykluczona z gry. W następnej chwili dołączył do niej mężczyzna. Kim z całej siły uderzyła go głową w brzuch. Był szczupły – to nie było jak walenie głową w poduszkę – ale jej głowa była twardsza i pełna złych myśli. Zatoczył się do tyłu, a Kim śmignęła pod jego wyciągniętą ręką i rzuciła się w dół schodami, przeskakując po cztery naraz; był to bardziej kontrolowany upadek niż normalne schodzenie, ale zanim dotarła na dół, i tak zmaterializowała się przed nią inna postać i chwyciła ją za kołnierz, odrywając jej stopy od podłogi. Obydwie się przewróciły i Kim dziko wymachiwała za sobą swoją prowizoryczną bronią. Trafiła w coś i usłyszała pełen oburzenia wrzask beczkowatego stworzenia, które ją złapało. Chwył stał się luźniejszy. Kim natychmiast zerwała się na nogi i otworzyła frontowe drzwi. Z góry dobiegł ją jakiś hałas, ta pierwsza i druga postać się podźwignęły i ruszyły za nią. Ale była już na zewnątrz, na ulicy, a tam czekał na nią kolejny przeciwnik: mężczyzna w bluzie z kapturem, od którego bił dziwny zapach. Sięgnął do kieszeni i Kim nie mogła na to pozwolić, wiedziała, po co sięgają tacy mężczyźni. Znów zamachnęła się drucianym wieszakiem, a ten jak błyskawica przeciął nocne powietrze. Mężczyzna szarpnął się do tyłu, ale trafiła go w podbródek: kilka kropli krwi musnęło jej twarz. Nie było czasu się nad tym zastanawiać, bo momentalnie doszedł do siebie, chwycił ją za ramię i przez chwilę wydawało się, że już po wszystkim; tych troje w domu się teraz przemieszczało, a ten ją trzymał, ale Kim bez namysłu wykonała następny ruch i uderzyła go kolanem w jaja: tradycyjne zagranie, ale wciąż efektywne, bo natychmiast zgiął się wpół. Gdy już mu się wyrwała, rzuciła się biegiem ulicą.

Przyczaj się. Znajdź jakieś miejsce i się w nim schowaj. Pozbądź się tego wieszaka, wyglądasz z nim jak kryminalistka.

Nie zwalniając, odwinęła wieszak z dłoni. Upadł na chodnik jak wyrzucona wielkanocna korona. Przebiegła na drugą stronę ulicy, minęła szereg

zaparkowanych pojazdów, dotarła na skrzyżowanie i miała właśnie ostro skręcić w lewo, gdy otworzyły się przed nią drzwi samochodu. Kim uderzyła w nie, odbiła się i tak mocno uderzyła o ziemię, że wszystkie kości w jej ciele zapaliły się jak lampki na choince.

Z samochodu wysiadł ktoś ciężki i stanął nad nią; straszna bestia gotowa zmiążyć swoją zdobycz.

– Jestem zagorzałym przeciwnikiem szowinizmu, jak pewnie wiesz – powiedział potwór – ale lubię otwierać damom drzwi.

Jednak Kim go już wtedy nie słuchała.

12

Whelan przeprowadził kilka rozmów telefonicznych, a gdy mówił i słuchał, obserwował chłopaków i dziewczyny w centrali. Miał na oku zwłaszcza jedną młodą kobietę, całkiem po ojcowsku – przypominała młodą Claire – ale przyglądał jej się baczniej, gdy pochylała się nad biurkiem, by powiedzieć coś do kolegi albo gdy zaglądała do szuflady. Pewne wspomnienia Claude’a Whelana były białą plamą. Wolał, żeby tak pozostało. Gdyby ktoś wypytywał go o szczegóły tamtej nocy, dawno temu, rozmowy z dziewczyną na rogu, wyglądu policjanta po cywilnemu, o godziny spędzone w areszcie, zanim wszystko załatwiono, przez chwilę byłby szczerze zdumiony i nie byłby w stanie sobie przypomnieć, czy to mu się rzeczywiście przytrafiło, czy może to było coś, o czym czytał. Do tego stopnia wyparł tamten epizod. Gdyby go przyciśnięto, powiedziałaby, że to był jednorazowy wyskok, godna pożałowania wpadka, którą miał już dawno za sobą. Był zadowolony z Claire, z ich perfekcyjnego małżeństwa, i nawet jeśli jej zainteresowanie fizycznością osłabło i z niewielkiego przeszło w nieistniejące, nie była to wysoka cena za jej nieustanne wsparcie.

Oczywiście Jackson Lamb wywęszył szczegóły; pokazał je Claude’owi jak pies swoją zdobycz, z pyskiem pełnym pierza. Ale wyglądało na to, że Lamb chciał tylko, by Claude zostawił w spokoju jego i jego ludzi.

Na razie to będzie musiało wystarczyć.

Whelan porozmawiał z naczelnym gazety, w której pracowała Dodie Gimball, potem z prawnikiem tej gazety, następnie z prawnikiem MI5 i jeszcze raz

z naczelnym. Ta druga rozmowa była dość krótka. Gdy miał już wszystkie potrzebne szczegóły, zadzwonił pod numer, który w końcu podał mu redaktor, i porozmawiał z mężczyzną o nazwisku Barrett, którego głębokiego głosu słuchało się z przyjemnością. Barrett, były gliniarz, prowadził śledztwa dla gazety, wypełniając lukę, która powstała w procesie zbierania informacji w czasach, gdy większość dziennikarzy rzadko zapuszczała się poza Twittera i najbliższy automat do kawy. Barrett bez wahania zrelacjonował szczegóły roboty, którą wykonał dla Dodie Gimball. Nie powtarzał się ani nie odbiegał od tematu. Kiedy skończył, Whelan mu podziękował i się rozłączył. Potem znów zajął się spoglądaniem przez swoją szklaną ścianę.

Premier nie będzie zadowolony.

W świetle dziennym noc się nie wychyla, ale zawsze jest obecna, zawsze czeka i niektórzy wcześniej otwierają przed nią drzwi; pozwalają jej wśliznąć się do środka i ułożyć się w kącie. Molly Doran zaliczała się do takich ludzi. Stała się istotą mroku, a najjaśniejsza pora, gdy czuła się swobodnie, była porą zmierzchu i dawno już przeminęła w jej bezokiennym królestwie kilka pięter poniżej tego, na którym znajdował się gabinet Claude'a Whelana. Mieszkała na parterze w nowym budynku, dwadzieścia minut jazdy taksówką od pracy, ale to było tylko pudełko, w którym się chowała, kiedy to było konieczne. To tutaj czuła, że żyje, zwłaszcza teraz, na nocnej zmianie, gdy noc wychodziła ze swojego koszyka i skradała się za nią, a Molly jeździła na wózku między regałami.

W jej archiwum było wiele rzędów teczek i każda z nich zawierała czyjeś życie; były tu drobniaczko zrelacjonowane operacje, których szczegóły nigdy nie będą udostępnione opinii publicznej i Molly to nie przeszkadzało. Tajne służby nazywały się tak nie bez powodu. Transparentność i otwartość były czymś, o czym mogły biadolić grupy nacisku, ale Molly Doran świetnie rozumiała, że to, co zapewnia nam bezpieczeństwo, powinno zostać w ukryciu. Potrzeby utrzymujące przy życiu demokrację bywają niestosowne. Były tu historie, które mogłyby spalić

liberałów, i choć Molly czasem chętnie by się tym ciepłem ogrzała, takie ognisko z łatwością mogło wymknąć się spod kontroli.

Czasem rozmawiała ze swoimi aktami.

– No dobrze, moje drogie – powiedziała na głos. – Czego dzisiaj szukamy?

Teczki oczywiście nie odpowiedziały. Nie była szalona. Rozmawiała ze światem zbudowanym wokół niej jak samotni ludzie uwięzieni w czterech ścianach; to był inny sposób mówienia do siebie, podkreślania własnej obecności.

– „Wodopój” – powiedziała. – Jakie urocze słowo.

Urocze i stare; powojenne, ale wciąż stare.

Jej wózek wydał cichy dźwięk. Często się zastanawiała, czy gdyby opadła na ręce i bezużyteczne kolana, znalazłaby wgłębienia w podłodze po tylu latach bezustannego jeżdżenia tam i z powrotem. Teraz to już nie miało znaczenia. Wkrótce mieli się jej pozbyć – zostało jej tylko sześć tygodni. „Nie ma potrzeby, żebyś do końca pracowała; może zrobisz sobie jakieś małe wakacje?” Jebać ich. Co sobie myśleli – że pojedzie posurfować? Przyszedł jej do głowy pomysł, że mogłaby po prostu odmówić odejścia i zamknąć się tutaj, ale był w tym jakiś brak godności; stałaby się legendą niewłaściwego rodzaju. Lepiej odejść na własnych warunkach.

– Zaczniemy tutaj, dobrze?

Tutaj oznaczało późne lata pięćdziesiąte, nigdy niewdrożone plany awaryjne, strategie i przygody z drugiego końca imperium.

Nie warto było nawet wspominać o tym, że łowy, na które wyruszyła, były wykroczeniem, za które mogłaby wylecieć z pracy. Jackson Lamb stał się do tego stopnia persona non grata, że gdyby Regent's Park był klubem, to takim z zakazem wstępu dla Lamba, a nawet gdyby było inaczej, to istniały jeszcze protokoły i żaden z nich nie przewidywał, że ktoś się po prostu pojawi i poprosi o przysługę. A więc ten cały sześciotygodniowy okres wypowiedzenia – „i czemu nie wybierzesz się w tym czasie na narty?” – może się okazać nieaktualny: wystarczy jedno potknięcie i miałyby szczęście, gdyby bez fanfar wyrzucili ją na bruk, bo

w grę wchodziło też więzienie. Molly Doran niespecjalnie podobała się myśl o więzieniu.

Ale nie podobało jej się też, że karty rozdaje jej Diana Taverner. Wprawdzie Lady Di osobiście się nie zjawiała, ale na tym wszystkim wszędzie były jej odciski palców. Taverner nie ufała ekscentrykom, a za ekscentryka uważała każdego, kogo wizja nie pokrywała się z jej własną. Gdyby jednak spędziła trochę czasu tu, wśród akt, wiedziałyby, że to właśnie ekscentrycy i fantaści, przypadki graniczne, zawsze najwyżej wznosili flagę MI5.

A poza tym: Jackson Lamb. Pokusa, by podać mu linę, której szukał, była zbyt silna, by mogła ją łatwo od siebie odepchnąć. Prędzej czy później Lamb na niej zawisnie – nikt nie mógł być wiecznie Jacksonem Lambem i za to nie zapłacić – ale Molly Doran wystarczała pewność, że jeśli mu pomoże, Lady Di wpadnie w szal. Nagle zobaczyła w wyobraźni zwłoki Lamba dyndające na szubienicy. Ich smród sprawiłby, że opustoszałyby całe budynki. Ale nie chciałby tego zrobić w żaden inny sposób, wiedziała o tym. Po tym, jak przez pół życia walczył z wrogami, poświęcił drugie pół na mszczenie się na świecie, który i tak wszystko spierdolił. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, mógłby być kimś. A tak był widowiskiem; tyle tylko że nie takim, które przyciąga pełne podziwu spojrzenia.

Łatwo odpłynąć w takie myśli. Jej dni, tygodnie i lata tu na dole; tyle z nich upłynęło na skrzydłach fantazji, choć koła wózka przykuwały ją do ziemi. Czuła się tak, jakby akta powoli przeciekały, przesycaly powietrze tajnymi historiami i prywatnymi wizjami.

– To Regent's Park – upomniała się teraz. – A nie pieprzony Hogwart.

Powiedziawszy to, wyciągnęła rękę i zdjęła z półki pierwszy ze skarbów dzisiejszej nocy.

Była sama w samochodzie i to właśnie oznaczała żałoba. Żałoba oznaczała bycie samą w samochodzie.

Zapamięta to czy powinna to zanotować, żeby móc wykorzystać później?

Technicznie rzecz biorąc, Dodie Gimball nie była sama, bo miała szofera, ale takie szczegóły można było pominąć. Jej mąż nie żył, była sama w samochodzie i już zawsze tak będzie. Jej towarzysz życia został zniszczony – w jednej chwili był przy niej, a w kolejnej już go nie było. Co miała teraz zrobić?

Przed nią i za nią były światła; policyjna eskorta jechała bez syren, ale na obu wozach migwały niebieskie światła i wewnątrz bmw na przemian było pełne barw, to znów ich pozbawione. Co jakiś czas się też zamazywało, gdy do oczu Dodie napływały łzy, które jednak nie wydostawały się na zewnątrz. Zupełnie jakby zawór się zepsuł i nie chciał swobodnie przepuszczać wody.

Dennisa już nie było. Zabili go. Zapłacą za to.

Nikt nie potrafił jej powiedzieć, co się właściwie stało. Śledztwo było „w toku”. Było za wcześnie, by móc coś stwierdzić. Teren odgrodzono i gdy kawalkada, w której jechała, opuszczała Slough, na drodze ustawili policyjną blokadę, ale to wszystko było nie dla jej uszu, nie dla jej oczu. W innych okolicznościach zniszczyłaby karierę każdemu, kto znalazłby się w jej zasięgu, ale dziś w nocy czuła się bezsilna. To była żałoba; żałobą było być samą w samochodzie. Ale to było też coś jeszcze, coś, co na razie nie do końca do niej docierało.

Ostatnie słowa, jakie wypowiedziała do Dennisa, brzmiały: „Jeśli cię przyłapią, już nigdy nie pożyczę ci swoich manolosów”. I to by było na tyle.

To też przydałoby się trochę poprawić. „Gdy go objęłam, ogarnęło mnie dziwne przeczucie, takie, które miałam tylko raz wcześniej, gdy moja ukochana babcia – nie, dziadek – babcia” – pieprzyć to, szczegółami mogą się zająć stażyści. „Kocham cię, kochanie. Zawsze będę się cieszyć, że to były ostatnie słowa, które...”

Niebieskie światło przed nią zwolniło, a potem się zatrzymało.

Samochód, którym jechała, zrobił to samo.

Znajdowali się na Western Avenue. Przed nimi była oświetlona siedziba firmy Hoover w trakcie remontu. Na drodze strumień czerwonych świetlików napływał do centrum Londynu; tutaj niebieskie światła wirowały powoli przed nią i za nią,

a jej wóz stał nieruchomo w zatoczce parkingowej, kierowca coś mówił: dotarli do niej słowa: „Proszę pani”.

– Co?

– Poproszono mnie, żebym się zatrzymał.

– Co?

– Ma pani gościa.

A potem kierowca wysiadł i została naprawdę sama w samochodzie.

– Skąd wiedziałeś, gdzie nas znaleźć?

Lamb westchnął.

– Litości. Było jasne, że będziecie szukać dziewczyny, a gdzie indziej mogłaby się ukrywać?

– A poza tym mu powiedziałam – wtrąciła Catherine.

– Cóż, jeśli zależy wam na technicznych szczegółach.

Kim – dziewczyna Roddy’ego Ho – leżała na plecach na podłodze biura, a wszyscy zebrali się wokół niej. Towarzyszyło im pełne spektrum emocji: od troski aż po obojętność, z Catherine Standish na jednym końcu i Jacksonem Lambem tak daleko na drugim, że ledwo go było widać. „Wyczucie czasu” – powtórzył już kilka razy. „To dopiero było wyczucie czasu”.

– Można ją było sprowadzić w jakiś delikatniejszy sposób.

– No jasne... – Lamb przyjrzał się obecnym: J.K. Coe z rozciętym podbródkiem, Shirley Dander z rozerwanym uchem, Louisa i River poruszający się niezwykle ostrożnie. – Bo zabraliście się do tego z takim pieprzonym polotem.

Rozmowa z Catherine odbyła się przez telefon w samochodzie Wellesa po tym, jak opuścili Regent’s Park; Flyte i Welles siedzieli z przodu, Lamb rozwalił się na tylnym siedzeniu.

– Musimy znaleźć dziewczynę – stwierdziła Flyte.

– Wiem.

– O ile jej jeszcze nie zabili.

Ruch był niewielki. Londyn przebrał się w swoją wieczorową suknię: błyszczące cekiny i wypchana torebka. Były takie noce, gdy wyglądał jak cesarzowa w łachmanach. Dziś był zebraczką w designerskich ciuchach.

– Ja bym ją zabił – powiedział Lamb. – Ale te ciule dwa razy próbowały załatwić Ho i nawet nie posiniaczyły mu ego. Biorąc pod uwagę, że pięciolatek mógłby go załatwić nadziewaną czekoladką, nie mam zbyt wielkiego zaufania do ich zdolności. – Zanim Flyte zdążyła odpowiedzieć, przeniósł ciężar ciała i siedzenie zaskrzypiało z oburzenia. – Trudno mi nie zauważyć, że jesteś w samochodzie.

– Ty też – odparła Flyte, szybko zaciskając nos.

– Cóż, nie pójdę przecież do domu na piechotę, prawda? A jaką ty masz wymówkę?

– Uważasz, że powinnam biec za samochodem?

– Uważam, że powinnaś siedzieć w swoim biurze i pisać raport. A jednak jesteś tutaj. – Podrapał się po uchu, a kiedy skończył, trzymał w ręce papierosa. – Bo teraz tkwisz w tym po same uszy. I nasz Kent podobnie.

– Devon.

– Mniejsza z tym. Nawaliłaś, a on w nieodpowiednim momencie postanowił kryć ci plecy. – Lamb zerknął w stronę Wellesa. – Założę się, że żałujesz, że odebrałaś telefon.

Welles go zignorował.

– Gimball nie żyje – powiedziała Flyte.

– Buuu! To co, kupimy misia i przywiążemy go do latarni?

– Mówiłaś, że jest w niebezpieczeństwie. Gdybym tego nie zignorowała, mogłoby to się inaczej skończyć.

Lamb rozwalił się wygodniej na siedzeniu.

– Kiedy cię przeniosą, dam cię do pokoju z Cartwrightem – powiedział. – O ile mnie pamięć nie myli, zderzyliście się kiedyś głowami.

– Prędzej się zastrzelę.

– Mogę ci pożyczyć broń.

To wtedy zadzwonił telefon: Catherine Standish z najnowszymi wieściami ze Slough House.

Kiedy Lamb rozmawiał, Flyte powiedziała do Wellesa:

– Kiedy cię prosiłam, żebyś mnie krył, nie wiedziałam, że wszystko się tak spieszy. Przykro mi. Wciąż nie jesteś oficjalnie na służbie. Możesz odejść, jeśli chcesz.

– Wprowadziłem do Regent's Park tę oto Lindsay Lohan. Będą mnie o to pytać.

Flyte zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym zdecydowała się na odpowiedź, która pasowałaby do wszystkiego:

– Kurwa.

– U mnie całkiem nie najgorzej – oświadczył Lamb po skończonej rozmowie. – Mamy nowy czajnik.

– Chyba ci się to podoba.

– Nazywają to pozytywnym nastawieniem – odparł Lamb. – Patrz i ucz się. Och, i Hampshire? Zmiana planów. Mój zespół myśli, że dziewczyna jest w domu Ho.

– Żywa?

– Za wcześnie, żeby to stwierdzić. Ich ostatnia operacja ratunkowa nie skończyła się za dobrze. Ale warto się tam przejechać.

Welles zjechał do zatoczki.

– Powinniśmy wracać do Regent's Park – powiedział. – Przedstawić to wszystko Whelanowi czy komu tam.

– Kiepski pomysł – stwierdził Lamb. – Pamiętasz?

Flyte przewróciła oczami.

– Co teraz?

Ale to Welles odpowiedział:

– Kiedy przyszedli po ten plan, wiedzieli, czego szukają. Mieli wewnętrzne informacje.

– Kurwa – powtórzyła raz jeszcze.

– A to znaczy, że ktoś jest czarną owcą – powiedział Lamb. – Dobrze byłoby wiedzieć, kto to, zanim tam wparujemy jak jakiś czerwony smok.

– Kapturek.

– Nie ten film. – Spojrzał na Wellesa. – Będziesz tak siedział przez całą noc?

– To zależy, co powie moja szefowa.

– Wytresowałaś go kijem? Czy posłałaś go do szkoły?

– Jeśli mieli informacje z wewnątrz, to dlaczego był im potrzebny Ho? – zastanawiała się Flyte.

– To tylko jedna z wielu rzeczy, których się nie dowiemy, jeśli będziemy tutaj siedzieć.

– Nawaliłam – powiedziała. – Przy tobie to się często zdarza, prawda? To jest jak grawitacja. I oberwie mi się za to. Ale nie zamierzam spędzać reszty dzisiejszej nocy w pokoju obok Roddy’ego Ho. Nie, jeśli jest szansa na to, że możemy dorwać tych sukinsynów.

Pojechali więc do domu Ho i dotarli tam, jak Lamb nieustrudzenie powtarzał, z idealnym wyczuciem czasu.

Teraz w Slough House Catherine uklękła, by podać kolejną chusteczkę Kim, która złapała ją i przycisnęła do nosa. Dziewiątka, którą dali jej Shirley, Louisa i River poprzedniego wieczoru, teraz, po zderzeniu z drzwiami samochodu, zmieniła się w trzy i pół. Może cztery, pomyślała Shirley, jeśli ktoś lubił „takie rzeczy”, czyli siniaki i napuchniętą twarz. Zapamiętaj to sobie, pomyślała, nigdy nie ląduj na twarzy. Z żadnej wysokości. Wysokość była chyba jedyną fizyczną cechą, którą Shirley dzieliła z Kim. Cóż, to i może jeszcze potrzebę, by coś zażyć. Choć w przypadku Kim wynikało to raczej z jej obecnej sytuacji niż codziennego stanu.

– Dużo już powiedziała? – spytał Lamb.

– Przecież cały czas tu stoisz – przypomniała mu Catherine.

– Tak, możliwe, że trochę odpłynąłem – odparł. – Bo mogę jej zajrzeć pod spódnicę.

Catherine poprawiła Kim ubranie.

– Nie zrozum mnie źle – odezwała się Emma Flyte – pytam z czysto akademickiego punktu widzenia, ale czy zamierzasz postraszyć ją bronią i przykuć do krzesła?

– Dwa razy w ciągu jednego dnia? Nie bez nadzoru lekarza.

Kim, która wciąż leżała na podłodze, spojrzała na niego i zaklęła. Robiła to w regularnych odstępach, odkąd odzyskała przytomność w samochodzie w drodze do Slough House.

– Powinniśmy ją zawieźć do szpitala – powiedział znów River tonem sugerującym, że nie za bardzo liczy na to, że zostanie wysłuchany.

– Tak, moglibyśmy – odparł Lamb. – Albo ty mógłbyś się zamknąć.

– Już po północy – odezwała się Louisa.

– Jak tylko będę potrzebował zegarynki, zadzwonię do ciebie.

– Chciałam tylko powiedzieć, że zaczął się nowy dzień. I wygląda na to, że zamierzamy sprawić, by był jeszcze gorszy niż poprzedni.

– Byłaś fanką Gimballa?

– Jestem fanką niemartwienia się, że nas wszystkich aresztują.

– Zaczynam wyczuwać wyrzuty sumienia. – Lamb popatrzył na Rivera, a potem na Coego, na którym jego spojrzenie zatrzymało się na dłużej. – Ciekawe czyje.

– Jeśli ona ma związek z ekipą, która rozwalila Abbotsfield, to powinniśmy zadawać jej pytania – odezwał się Welles. – A nie patrzeć, jak się wykrwawia.

– Możliwe, że źle cię oceniłem, Dorset – zwrócił się do niego Lamb. – Ale jeśli chodzi o sporty widowiskowe, słyszałem już gorsze pomysły. – Opadł na kolana. – Niech to będzie dla ciebie jasne – powiedział do Kim i choć mówił cicho, nikt nie miał problemu z dosłyszeniem jakiegokolwiek słowa. – Wiemy, co zrobiłaś, i wiemy, co się w efekcie stało. Powiesz nam wszystko, co chcemy wiedzieć, albo twoje życie jako wolnej kobiety skończy się dziś w nocy. Rozumiemy się?

– Pierdol się – powiedziała mu przez zaciśnięte zęby.

– To miała być twoja druga opcja.

– Jackson... – ostrzegła Catherine.

– Dobra, w porządku. Jezu! Od kiedy to żarty stały się przestępstwem? – Podźwignął się z powrotem na nogi i odwrócił się do Emmy Flyte. – Proszę bardzo. Rozgrzałem ją dla ciebie.

– Pozwolisz mi to zrobić?

– Ponoć jesteś ekspertem.

Nie zamierzała gratulować mu przyływu zdrowego rozsądku.

– W takim razie – powiedziała – możecie wszyscy się stąd zwijać.

I wszyscy tak zrobili, spojrzawszy najpierw na Lamba w poszukiwaniu potwierdzenia.

Gdy Di Taverner podchodziła do samochodu, w którym siedziała kobieta Gimballa, zadzwoniła jej komórka. Przystanęła na skraju zatoczki, by odebrać. Ruch był niewielki, ale pojazdy poruszały się szybko i musiała prowadzić rozmowę z odgłosami silników w tle.

– Mamy potwierdzenie znanej twarzy w Slough.

– Mów.

– Wychwyciła ją kamera w centrum miasta kilka minut po tym, jak rozeszła się wiadomość o zgonie.

– Szybka robota.

– Zidentyfikował go program do rozpoznawania twarzy. Facet jest mocno zdobiony.

Przez chwilę w umyśle Taverner pojawiły się obrazy orderów za odwagę.

– To żołnierz?

– Były więzień. Z tatuażem na twarzy.

W tym momencie jakiś narwaniec przekroczył granicę prędkości i prawdopodobnie pobił miejscowy rekord.

Taverner odczekała, aż pozostało po nim tylko echo w oddali.

– Może dajmy sobie spokój z metaforami, trzymajmy się faktów.

Królowe Bazy Danych, jak nazywano w Regent's Park plemię odpowiedzialne za komunikację i obserwację, miały skłonność do werbalnych ozdobników;

twierdziły, że to ich jedyna pociecha, bo tak rzadko wychodzą.

– Przepraszam, proszę pani.

– Kim on jest?

– Nazywa się Tyson Bowman. To współpracownik Zafara Jaffreya, który...

– Wiem, kim jest Jaffrey. Jakież pomysły, dlaczego był dziś wieczorem w Slough?

– Jeszcze nie. Policja dopiero zaczęła przeglądać to, co wychwyciły kamery. Uzyskaliśmy wyniki szybciej, bo oflagowaliśmy Jaffreya i wszyscy współpracownicy byli wyróżnieni.

Materiał z kamer monitoringu był dostarczany do Regent's Park i teoretycznie jakimikolwiek trafieniami należało się natychmiast dzielić. Wszyscy wiedzieli, że rzadko tak się działo, ale powody zwykle nie były związane z polityką; częściej informacje napotykały różne przeszkody ze strony biurokracji, która wisiła na granicy jurysdykcji jak lep na muchy.

– Dobra – powiedziała. – Czy Jaffrey też był w Slough?

– Nie. Prowadził spotkanie w Birmingham.

– Dobra – powtórzyła. – Zobaczmy, czy możemy go zgarnąć tak, żeby miejscowi się nie zdenerwowali. To pewnie tylko zbieg okoliczności, ale...

– Zobaczę, kto jest w zasięgu. Szkoda, że nie wyskoczył wcześniej. Mieliśmy tam dwójkę.

Taverner, która już się miała rozłączyć, wstrzymała się.

– Co takiego?

– Dwóch agentów w Slough. Program ich też oflagował.

– Rozumiem – powiedziała powoli. – Tak, szkoda. Przypomnij mi, kto to był.

Z bliska dziewczyna nie przypominała młodszej Claire tak bardzo, jak z początku sądził. Miała bardziej pociągłą twarz, a skórę lekko poznaczoną dziobami po trądziku, okrutnymi śladami, które zostawia dojrzewanie. Ale nawet gdy odarło się ją z innych punktów odniesienia, pozostawało faktem, że była młoda i była kobietą,

a to wystarczało, by przywołać pewne wspomnienia. I było jeszcze to: wezwał ją i miała przyjść. Czasami więcej nie było trzeba.

– Sir?

– Josie.

Czekała.

– Potrzebuje pan czegoś?

Whelan zamrugał i powrócił do rzeczywistości.

– Niejaki Blaine, pseudonim Tancerz. Prowadzi sklep papierniczy w pobliżu katedry Świętego Pawła, ale to ponoć przykrywka dla różnych... aktywności. Mamy go w bazie?

– Mogę sprawdzić.

– Grzeczna dziewczynka. To znaczy, dziękuję.

Obserwował przez przeszkloną ścianę, jak kłusem wróciła do biurka i zaczęła zbierać informacje. Cyfrowe grabie, cyfrowa kosa. Zwrócił uwagę, jak protestuje jej bluzka, kiedy po coś sięgała; jak zagryza dolną wargę, gdy jest skupiona. Przełknął.

Ktoś stał w jego drzwiach.

– Tak?

– To dla pana, sir.

„To” było transkrypcją przesłuchania Rodericka Ho.

Whelan zmarszczył brwi, gdy zobaczył nazwisko u góry. Emma Flyte? Nie miała przypadkiem być w Slough House? Już miał zadać to pytanie, ale znów został sam, a powiernik transkrypcji ponownie osunął się w anonimowość.

Przejrzał strony. Ho był kulawym koniem – wszystkie działy MI5 miały jakieś nieoficjalne nazwy. Sam Whelan był łasicą, ale z kulawymi końmi było inaczej. Ich nazwa była zabarwiona pogardą i podobnie jak u innych tego pokroju krótka biografia Ho stanowiła studium upadku. Z Regent’s Park do Slough House: dystans, który energicznym krokiem można było pokonać w trzydzieści minut, ale ile trwałaby droga powrotna, nie dało się określić, bo jeszcze nikt tego nie dokonał. Co dziwne, wyglądało na to, że w jego aktach nie było żadnej wyraźnej plamy.

Przed wygnaniem następowała zazwyczaj jakaś katastrofalna wpadka; natomiast Ho był tam po prostu przydzielony, jakby wysłano go pod niewłaściwy adres i jakby jego ponowna dostawa była zwykłą korektą błędu.

Ale nie o to chodziło. Cokolwiek sprawiło, że Ho trafił do Slough House, najwyraźniej tam było jego miejsce, bo pułapka, w którą wpadł, była absurdalnie oczywista. Gdyby Regent's Park kiedykolwiek wyprodukował podręcznik szkoleniowy w postaci komiksu, taki byłby wzorzec: dziewczyna z baru przyczepiająca się do internetowego wojownika, którego życie seksualne prawdopodobnie zależy od połączenia WiFi. A kiedy ci, którzy kontrolowali dziewczynę, dostali to, czego chcieli, najwyraźniej postanowili go wyeliminować. W tym miejscu Ho – wbrew wszystkiemu – dopisało szczęście. Ale, do diabła, co tak naprawdę chcieli uzyskać?

Josie wróciła lekko zdyszana, ale Whelan prawie tego nie zauważył. Skupił się na dwóch informacjach z leżącej przed nim transkrypcji, z których pierwsza dotyczyła dziewczyny. Obywatelka Wielkiej Brytanii, ale północnokoreańskiego pochodzenia.

Drugą był charakter dokumentu, który przekazał jej Ho.

– Sir?

Minęła chwila, nim powrócił do rzeczywistości.

– Chciał pan informacji o Tancerzu Blainie – powiedziała Josie.

– Tak?

– Wszystko w porządku, sir?

– Wiesz – odparł Whelan – nie jestem do końca pewny.

– Nazywasz się Kim Park. Jesteś dziewczyną Rodericka Ho albo za taką się podajesz. I dostarczył ci dokumenty, które potem przekazałaś bardzo złym ludziom. Podżegałaś do terroryzmu i wspomagałaś go, Kim. Wiesz, jaka jest za to kara?

– Pierdol się.

Jej nos był rozkwaszony, oczy czarne i napuchnięte, ale usta miała nietknięte i działały bez zarzutu. Jednak pod tą wrogością Emma Flyte wyczuwała strach.

Trudny przypadek czy nie, była młoda i skrzywdzona. A Flyte nie czuła się dobrze, jeszcze na nią naciskając; z drugiej strony ten dzieciak naoliwił machinę zdarzeń, które wstrząsnęły całym krajem. Walnięcie jej w twarz drzwiami samochodu było najłagodniejszym, na co mogła teraz liczyć.

– To nie potrwa długo, bo jeśli nie dostanę odpowiedzi w ciągu pięciu minut, umyвам ręce. Następna ekipa, która po ciebie przyjdzie, potraktuje cię znacznie ostrzej niż ja. Zobaczą młodą dziewczynę, taką jak ty, która zataja informacje, i naprawdę ich to wkurzy. Myślę, że wiesz, co mam na myśli. Są różne sposoby, żeby to zrobić, ale każdy z nich prowadzi do tego, że powiesz wszystko, co wiesz. Twój wybór.

– To jest Anglia – powiedziała dziewczyna. – Nie mogą tego zrobić. Pierdol się.

– To jest Anglia i kilka dni temu sukinsyny, z którymi sobie pogrywałaś, rozstrzelały całą wioskę. Może miałaś powody, żeby do nich dołączyć. Może grozili tobie albo twojej rodzinie. Ale równie dobrze możesz usłyszeć to teraz, bo na pewno usłyszysz to później. Nikomu nie robi różnicy to, jakie siły zadziałały. Nikomu. A jeśli chodzi o resztę z nas, to równie dobrze sama tam mogłaś być, Kim. Równie dobrze to ty mogłaś pociągać za spust.

– Nie byłam nawet w pobliżu.

– To nie ma znaczenia. Z prawnego punktu widzenia nigdy go nie miało, a zwłaszcza przy obecnych nastrojach. Wszystko, co możesz teraz zrobić, to współpracować i mieć nadzieję, że później zrobi się mniej paskudnie. Powiedz mi, że rozumiesz, i nie mów...

– Pierdol się.

– Cztery minuty. Czas mija, Kim.

– Pierdol się.

Ale strach stawał się coraz głośniejszy.

Była sama w samochodzie, ale tylko przez chwilę. Drzwi się otworzyły, wsiadła jakaś kobieta i dołączyła do niej na tylnym siedzeniu. Była mniej więcej w wieku Dodie i nic nie świadczyło o tym, by korzystała z chirurgii plastycznej. Sięgające do ramion włosy były kasztanowe, a kostium Chanel granatowy lub czarny; nosiła

do tego szkarłatną bluzkę. Kiwnęła głową do Dodie i coś powiedziała. Dodie musiała ją poprosić, żeby to powtórzyła.

– Przykro mi z powodu twojej straty – powiedziała kobieta.

– Kim jesteś? Co robisz w moim samochodzie?

– Nazywam się Diana Taverner. – Przerwała, jakby oczekiwała, że Dodie ją rozpozna. – I przepraszam, że przerywam ci podróż, ale koniecznie musimy porozmawiać.

– Jesteś z policji? – Ale już zadając to pytanie, Dodie sama sobie odpowiedziała: zaczęła wściekle kręcić głową. – Nie. Nie jesteś z policji, prawda? Jesteś z MI5.

– Nie mogę potwierdzić swojej funkcji, ale tak, jestem z tajnych służb. – Machnęła jej przed nosem identyfikatorem, który równie dobrze mógł być bonem podarunkowym ze sklepu John Lewis. – I musimy porozmawiać o tym, co się stało.

– Mój mąż został zamordowany.

– Twój mąż zginął, tak. Bardzo mi przykro z tego powodu. Ale przyczyny śmierci trzeba dopiero ustalić. I jeśli zaczną krążyć plotki, to nie pomoże nikomu, a już zwłaszcza tobie.

– Przecież już krążą!

Dodie Gimball nie zamierzała krzyknąć, ale wyglądało na to, że ma równie małą kontrolę nad głosem, co nad swoimi łzami.

– Zobacz!

Pokazała telefon tej kobiecie, tej Taverner. Wpis na Twitterze, popularny hashtag, orkiestra pełnych oburzenia lamentów i wrzasków wniebogłosy.

– Widzisz?

– Wiem. – Diana Taverner oparła się wygodniej, ale nie odrywała wzroku od Dodie. – Równie dobrze można by szukać informacji w gnieździe os – powiedziała.

– To, co się stało, mogło być wypadkiem. Mogło wydarzyć się z przyczyn naturalnych. Nikt nie może mieć jeszcze pewności. Pewni jesteśmy tylko tego, że zaczął się otwarty sezon na życie i karierę twojego męża, i jeśli chcesz uczcić jego

pamięć i zadbać o własną karierę, musisz bardzo uważać, któremu osiołkowi zaczniesz przypinać ogonek.

– Mój Dennis był wspaniałym człowiekiem! O jego życiu będzie głośno!

– I będą temu towarzyszyć zdjęcia niezbyt dla niego pochlebne, Dodie. Wiesz, o jakim rodzaju zdjęć mówię.

Obok nich, na drodze do Londynu, samochody syknęły z dezaprobatą.

– No i proszę – powiedziała Dodie. – Mój mąż nie żyje od kilku godzin, a już wracacie z paskudnymi pogroźkami. Wiecie, ilu ludzi ma takie same... upodobania jak Dennis? Naprawdę myślicie, że to ma znaczenie?

– Tak się składa, że ja tak nie myślę. Ani trochę. Ale ludzie, którzy czytają twoje felietony, już tak, Dodie. Nawet ci, którzy je czytają ubrani w bieliznę swoich żon. Słyszałaś już to wszystko od Claude'a Whelana. Nieważne, jakie to jest niewinne, nieważne, że nikomu nie robi krzywdy ani że nikogo to nie powinno obchodzić. Jest tylko jeden punkt widzenia, który będą przedstawiać gazety takie jak twoja. I będzie to sensacja o małym, brudnym sekrecie. Wiesz, jaka jest różnica między martwym i żywym zboczeńcem? Martwy nie może nikogo pozwać.

– Mój mąż nie był...

– A więc zrobisz tak: opublikujesz tę historię o Zafarze Jaffreyu, tak jak zamierzałaś. Możesz nawet napisać, że Dennis planował ujawnić to wszystko w swoim dzisiejszym wystąpieniu. Tym, co pominiesz, będzie jakakolwiek wzmianka o zaangażowaniu MI5. Czy to jest dla ciebie jasne?

Nie było.

Niebieskie światła wciąż zataczały pętle, z przodu i z tyłu. Ich poświata nadawała twarzy jej gościa różne kolory: indygo, fiolet, a potem nagle upiorna biel. Dodie przyszło do głowy, że dziesięć minut temu sądziła, że te wozy policyjne są tu, by ją chronić. Teraz wydawało jej się, że ich celem od początku było dostarczenie jej kolejnemu dręczycielowi, którego zadanie polegało na sianiu zamętu. Zdążyła się już stęsknić za prostą żałobą, za czasem, który spędziła sama w samochodzie.

– Ale celem wizyty Whelana było ostrzeżenie nas, żebyśmy nie ruszali Zafara Jaffreya – powiedziała i nawet w jej uszach własny głos brzmiał bez życia.

– Wszystko się zmienia – powiedziała jej Taverner. – Sojusze ewoluują. I byłoby dobrze, gdybyś o tym pamiętała, Dodie. Z jakiegoś powodu myślisz, że to my jesteśmy wrogiem. To nie mogłoby być dalsze od prawdy. Pewnie, nie jesteśmy doskonali. Czasem niektóre rzeczy nam umykają. Ale przez resztę czasu, całą resztę, jesteśmy tu i robimy to, co do nas należy.

Odwróciła się i przez chwilę obserwowała ruch pojazdów, jakby świadoma, że on również jest pod jej ochroną. Potem znów spojrzała na Dodie.

– Nic nie przywróci pani męża, pani Gimball. Ale jeśli chce pani, by został zapamiętany jako bohater, możemy w tym pomóc. W swoim czasie. A te drobne, krępujące szczegóły z jego życia nie muszą nigdy wyjść na światło dzienne.

Otworzyła drzwi samochodu.

– Idę już. Jeszcze raz, przykro mi z powodu pani straty. Ale jeśli chce pani, by spuścizna po pani mężu była taka, by mógł być z niej dumny, zapamięta pani, co powiedziałam, i pominie jakąkolwiek wzmiankę o udziale MI5. Jestem pewna, że się rozumiemy.

Poszła. Dodie znów została sama. Ponownie skupiła się na sznurze czerwonych świateł na drodze przed nią zmierzających do centrum miasta. Ledwie zauważyła, kiedy wrócił szofer i mała procesja ruszyła w dalszą drogę.

13

Znów nastał świt i zakradł się niezauważony. W Slough House powitało go niecodzienne widowisko: żywi, budzący się ludzie. Prawdą jednak było, że większość z nich można było uznać za coś innego. River Cartwright i J.K. Coe mieli zamknięte oczy, choć w przypadku Coego odzwierciedlało to wysiłek, by coś sobie przypomnieć: usiłował odtworzyć dokładny kształt emocji, precyzyjną geometrię tej konkretnej chwili, gdy wystrzelił trzy kule w pierś skutego mężczyzny. Tymczasem pod zamkniętymi powiekami Rivera wyświetlał się horror: spadająca bez końca śmiertelna puszka farby i jej wielokrotne zderzenia z ludzką głową. Obaj mężczyźni siedzieli, obaj na podłodze. Właściwie to z nich wszystkich tylko Louisa Guy stała z prostymi jak struna plecami i opierała się o ścianę. Prawą nogę uniosła niemal pod kątem prostym. Utrzymywała tę pozycję przez pełne trzydzieści sekund, potem opuściła nogę i uniosła drugą. Jackson Lamb obserwował ją swoimi krokodylimi oczami, ale jego umysł pochłaniały inne sprawy.

Shirley Dander też była na podłodze, zwinięta w kłębek, ale ona również nie spała; dodawała kolejny dzień do swojej rachuby i zastanawiała się, na czym ta sekwencja liczb się zakończy. Godzinę wcześniej Catherine Standish okryła ją płaszczem i wtedy Shirley przeszył dreszcz. Bycie otulaną niezbyt pasowało do jej stylu życia. Gdy Catherine skończyła już z tym matkowaniem, usiadła na biurowym krześle po drugiej stronie biurka, przy którym rozwalił się Lamb; ta konfiguracja była powtórką tej z gabinetu Lamba, jakby wykonywali ten sam

taniec, bez względu na miejsce. Wydawała się rozbudzona i niewzruszona, włosy miała związane z tyłu, tak jak zwykle, sukienkę tak niezmiętą, jakby włożyła ją godzinę temu. Lamb przyniósł sobie butelkę z góry i teraz stała na biurku przed nim niemal pusta niczym wazownik. Była tam jednak tylko jedna szklanka – Lamba – a spojrzenie Catherine nigdy nie zatrzymywało się dłużej ani na niej, ani na samej butelce.

Znajdowali się w pokoju Rodericka Ho, choć Ho oczywiście był gdzie indziej. Spośród obecnych tylko dwie osoby w ogóle się nad tym zastanawiały i jedną z nich była Catherine.

Z pomieszczenia po drugiej stronie korytarza słyszała cichy szmer, który zaczął się jako pojedynczy strumień słów Emmy Flyte, ze sporadycznymi wtrąceniami. Teraz pojawił się stłumiony kontrapunkt, z początku pełen wahania, niczym kapanie z zepsutego kranu, które stawało się coraz regularniejsze; ciągła strużka, która z czasem wypełni każde podstawione naczynie. Tak właśnie się działo, kiedy ktoś się otwierał: nie dało się już zatrzymać tego, co się zaczęło. Był to jeden z powodów, dla których Catherine czuła nieufność wobec spotkań AA.

Teraz pomyślała o twarzy tej biednej dziewczyny, o rozbitym nosie i czarnych, zapuchniętych oczach; a potem o telewizyjnych relacjach z Abbotsfield, spokojnej osady w Derbyshire zmiecionej strzałami z broni, po części z powodu tego, co zrobiła ta dziewczyna. Dziwne, że mimo to jej współczuła. Albo że nawet teraz martwiła się o Roddy'ego Ho, choć tak naprawdę powinni wieki temu połączyć siły i wywiesić go za okno. Sprawić, by do niego dotarło, że poza bańką jego ego istnieją twarde fakty; między innymi najbliższy chodnik.

Lamb się poruszył.

– Przytulnie, co?

– Ja bym ją już skłoniła do mówienia – odezwała się Shirley głosem stłumionym przez własne ramię.

– Skłoniłabyś ją do wrzasków, to pewna różnica.

– A co, jeśli ona nic nie wie? – odezwała się Louisa.

– Cóż, jeśli jest taką pieprzoną ignorantką, to może dołączyć do zespołu – powiedział Lamb.

Catherine włączyła iPada i przejrzała kanały z wiadomościami. Wszędzie gorąca była ta sama historia: śmierć Dennisa Gimballa w zaułku w Slough. Towarzyszyły temu najróżniejsze spekulacje, od zamachu przeprowadzonego przez zwolenników pozostania w Unii Europejskiej – nieprawdopodobna teoria, ale to było nieuniknione – aż po spisek uknuty na Downing Street. Wprawdzie ta druga opcja nie była relacjonowana na mainstreamowych stronach, za to zdobyła popularność wśród idiotów w mediach społecznościowych. A przecież to idioci z mediów społecznościowych ostatnio decydowali o tym, co działo się na świecie, i najwyraźniej byli na fali.

Poza tym były też dodatkowe relacje w związku z Abbotsfield; rzecznik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych mówił, że śledztwa trwają i wkrótce zostaną przeprowadzone aresztowania. Brak konkretnych szczegółów tłumaczono potrzebą nienarażania trwających operacji; potrzebą, która – jak rozumiała większość czytelników – zostanie natychmiast wyrzucona za burzę, gdy tylko pojawią się jakieś konkrety. Tymczasem po południu w opactwie westminsterskim zaplanowano nabożeństwo upamiętniające zabitych w Abbotsfield, pierwotnie w intencji cywilnych ofiar wojny. Mieli w nim wziąć udział młodszy książęta, premier i wszyscy, którzy pragnęli, by ich łzy nagrano dla potomności. Mniej pompatyczne i nieco ukryte w cieniu nabożeństwo miało się odbyć w samym Abbotsfield. Znalazła filmik z chwiejącym się obrazem nagrany w wiosce: kościół, stary, omszały cmentarz, wielokolorowe plamy witraża oglądanego od niewłaściwej strony. Cmentarna brama udekorowana wieńcami i drobnymi pamiątkami ofiarowanymi zmarłym przez żywych: zabawki i wstążki, kwiaty, zdjęcia. Catherine nie była pewna, co w związku z tym czuje. Ale z drugiej strony, to nie była jej żałoba.

– Przejąć kontrolę nad mediami – powiedział Lamb. Z wysuniętą dolną szczęką wyglądał, jakby się dąsał. To mogło u niego oznaczać wszystko, od głębokich rozmyślań po zbliżające się wiatry.

Shirley usiadła. Lewe ramię sportowej bluzy miała pochłapane krwią z rozerwanego ucha. Próby splukania plam bez zdjęcia bluzy tylko znacznie pogorszyły jej wygląd. Ucho też nie wyglądało za ładnie. W apteczce nie było plastrów odpowiedniej wielkości i zanim Catherine przycięła większy tak, żeby pasował, Shirley załatwiła już sprawę sama kawałkiem taśmy klejącej. I faktycznie zatamowało to krwawienie, ale teraz wyglądała przez to jak naprawiona lalka.

– Telewizja – odezwała się. – To będzie ich kolejny cel. BBC w Shepherd's Bush albo coś takiego. A gdzie jest Sky?

Przez krótką, pełną zdziwienia chwilę Catherine sądziła, że Shirley pyta, gdzie jest niebo. Bardziej jednak zmartwiło ją to, że uznała to za sensowne pytanie.

– Nie będą próbować przejąć kontroli nad żadnym nadawcą telewizyjnym – powiedziała Louisa. – Dajcie spokój, serio?

– Czemu nie? – spytał River.

– Bo nie potrafili nawet porządnie podłożyć bomby w pociągu. A nie łudźmy się, to niewiele trudniejsze, niż zapomnieć parasola.

– Ktoś wszedł do Dobsey Park i wysadził w powietrze mnóstwo pingwinów – przypomniał jej River.

– No tak, pingwiny. To miał być trudny cel czy co?

– Dobra, ale weszli, wyszli i nie zostali złapani.

– To nie więzienie o podwyższonym poziomie zabezpieczeń, tylko zoo. Kupuje się bilet. Studia telewizyjne mają punkty kontrolne, ochronę, trzeba mieć przepustkę. Trzeba wiedzieć, co się robi. A oni już dwa razy potknęli się o własne fiuty.

– Trzy razy – powiedziała Shirley.

– Nieważne. W każdym razie to nie jest jakaś Drużyna A. Otworzenie ognia we wsi zamieszkaną przez emerytów to jedno. Ale najlepiej wychodzi im wypadanie przez okno.

– No dobra, to może nie telewizja – zgodził się z nią River.

– Gazeta? Ta sama historia – podjęła Louisa. – Nie wchodzi się ot tak do budynku redakcji. A już zwłaszcza nie wchodzi się do...

- Radio? – podsunął River.
- Mogliby powiesić paru DJ-ów – zasugerowała Shirley.
- ...do budynku gazety.
- Czy to jest burza mózgów? – spytał Devon Welles. – Często się zastanawiałem, jak to wygląda.
- Przejąć. Media – powtórzył Lamb i wszyscy na niego spojrzeli. – Gdzie tam jest mowa o jakimś budynku?
- Oryginalny plan... – odezwał się J.K. Coe.
- Akta „Wodopój” – uzupełnił River.
- ...dotyczył kraju rozwijającego się. – Coe mówił powoli, jakby czytał z notatek. – Sprzed czasów satelitów. Sprzed czasów internetu. Takiego, gdzie byłby tylko jeden kanał w telewizji. Jedna radiostacja. A więc przejęcie kontroli nad mediami byłoby prostą sprawą.
- Dałoby się to zrobić z pomocą kilku karabinów maszynowych – stwierdziła Shirley.
- Mniej więcej to chcę powiedzieć.
- Ale w wielkim Londynie to już nie jest takie proste, prawda? Inne zasady.
- Coe potarł podbródek i zadrapanie zrobione wieszakiem znów zaczęło krwawić.
- Welles wbrew sobie dał się wciągnąć.
- Przypomnijcie mi, jak próbowali sparaliżować transport.
- Bombą, która nie wybuchła – odparowała Shirley.
- W pociągu – stwierdził Welles. – To jest kluczowe. Podłożyli bombę w pociągu.
- No... tak – przytaknęła Louisa.
- Bombą, która nie wybuchła – powtórzyła Shirley. – Już ustaliliśmy, że są do bani. I jak nam pomoże to, co jest zapisane małym druczkiem?
- Nieważne, że nie wybuchła – powiedziała Louisa. – Ważne, że była w pociągu.

– Bo wysadzenie pociągu, nawet działającą bombą, to tylko wysadzenie pociągu – odezwał się Welles. – To by nie było sparaliżowanie infrastruktury. Rozumiecie?

– Odhaczają pozycje na liście – stwierdziła Louisa. – Dobrze myślisz.

– Jezu, jak się napaliła – powiedział Lamb.

– Czyli co, wysadzą telewizor? – spytała Shirley. – Podpalą gazetę?

– Nie media – odezwał się River. – Jakieś wydarzenie medialne.

Drzwi się otworzyły i weszła Emma Flyte.

– Powiedziała coś? – spytał Welles.

– Powiedziała – odparła Emma.

Claude Whelan pociągnął luźną nitkę przy kołnierzyku koszuli i zaraz pożałował, że to zrobił. Czasem, kiedy coś się pociągnęło, tylko pogarszało się sprawę.

O Boże, pomyślał, za wcześnie jeszcze dzisiaj na symbolizm.

W innym świecie zrobiłby to, co zamierzał wczoraj wieczorem: wyszedłby z pracy, pojechał do domu, zjadłby kolację z Claire. W niektóre noce spali w tym samym łóżku, ale nieczęsto, i zawsze grzecznie, bez seksu. Przecież nic dziwnego, że... ale nie ma sensu iść dalej tą drogą. Kochał swoją żonę. Zadzwoił do niej o północy, by powiedzieć jej, że nie wróci do domu; że dużo się dzieje, a on ma nad tym kontrolę. Kiedy to mówił, widział w wyobraźni młodą Josie. On na niej, kontrolujący jej ruchy. Czy to jego wina? Przypuszczał, że odpowiedź zależałaby od tego, kogo by zapytał.

Wróciła do niego z podsumowaniem o Tancerzu Blainie.

– To drobny oszust, sir. Fałszywe dokumenty, czasem kryjówki albo używana broń. Ale głównie dokumenty.

– I pracuje dla nas?

– Nie zgłasza nam wszystkiego, bo już dawno wyłowilibyśmy go z rzeki. Ale jest pomocny.

Przyniosła cały stos wydruków. Na oko widać było, że Blaine pomógł unieszkodliwić kilkunastu bandziorów, nikogo naprawdę większego formatu,

i w związku z tym pozwolono mu dalej prowadzić jego smętny, brudny interesik przy katedrze Świętego Pawła. To płotka, pomyślał Whelan, wertując strony. Taka, którą wrzucamy z powrotem do wody. Czy aby na pewno są jakieś argumenty przemawiające za tym, by zamiast tego wyrzucić go na śmieci? Powiedzmy to sobie wprost, grube ryby wciąż tam są. Oszczędzanie płotek nigdy tego nie zmieni.

Ale było późno, wszystko szło nie tak, a zasad nie zmienia się, gdy trwa gra. Miał pewność, że taki był jeden z dyktatów Lady Di.

– Sir?

Musiał zbyt długo wpatrywać się w te strony.

– Życzy pan sobie czegoś jeszcze?

Boże, nie. Nie powiedziała tego. Nie powiedziała nic w tym stylu.

Wróciła do centrali. Wszyscy pracowali do późna; teraz, gdy już wiedzieli, że nie mają do czynienia z islamskim ekstremizmem, zmieniła się perspektywa. Sieć, którą zarzucili, miała zbyt duże oczka. ISIS przyznało się do zamachu, to prawda, ale zatrzymajcie wszystkie zegary: banda średniowiecznych faszystów uprawiających kult śmierci zrobiła sobie urlop od ścinania głów zakładnikom, żeby wciskać innym pierdoły. I gdyby powiedział to na głos, to on miałby kłopot: „pierdoły” to brzydkie słowo... Nic dziwnego, że był wykończony. Patrzenie, jak świat popada w obłąd, było męczące.

Di Taverner weszła do jego gabinetu i wpatrywała się w niego.

– Dobrze się czujesz?

– Przepraszam. – Przyczesał włosy palcami i już gdy to robił, pomyślał, że to raczej teatralny gest, a nie próba poprawienia wyglądu. – Dzieje się.

– Zawsze tak jest.

To była prawda. Czy to wczoraj powierzono mu zadanie zadbania o to, by Zafar Jaffrey był czysty jak łąza? I wypełnił tę misję, doprowadzając do tego, że będzie dokładnie na odwrót. A to oznaczało, że premier nie będzie zadowolony. Z drugiej strony dni premiera były policzone, a to, że Jaffrey nie jest czysty jak łąza, było tylko kolejnym gwoździem do czegoś, co zaczynało wyglądać na nazbyt wymyślną trumnę.

– Oficjalnie nie było cię wczoraj u Gimballów – powiedziała mu Lady Di. Zdjęła płaszcz i powiesiła go na oparciu krzesła dla gości. Nie usiadła, ale nie zaczęła też przechadzać się tam i z powrotem; wołała dalej stać, z jedną ręką lekko opartą o krzesło, jakby pozowała do zdjęcia dla czasopisma.

– Dziękuję – powiedział.

– Trzymamy się razem – odparła. Co odczytał jako: tak długo, jak jej to będzie pasować. Teraz nie był odpowiedni moment, by jej szefa pochłonęły fale, bo płynęli tym samym statkiem. Wołała mieć go pod ręką, dopóki nie pojawi się szalupa ratunkowa. – No dobrze. A co się działo?

Wstał, zamknął drzwi i wrócił na swoje miejsce. Następnie zmatowił przeszkloną ścianę gabinetu. Josie i pozostałe dziewczyny i chłopcy zmienili się w niewyraźne kształty skulone przed monitorami.

– Te zamachy. To nie ISIS. To Korea Północna.

Taverner kiwnęła głową. To, że nigdy nie okazywała zaskoczenia, było jedną z jej bardziej irytujących cech.

– No dobra. Chyba wszyscy się czegoś podobnego spodziewaliśmy. Premier o tym wie?

– Jeszcze nie. To nie wszystko.

„Oczywiście, że nie wszystko”, zdawało się mówić jej milczenie.

Opowiedział jej o dokumencie przekazanym przez Ho.

Niewyraźne kształty na zewnątrz dalej wykonywały swoje zamazane ruchy. Tu jedynym, co się poruszało, był mijający czas, gdy do Taverner docierało, co to wszystko oznacza.

– Używają naszego scenariusza – powiedziała w końcu.

– Cóż, to niezupełnie...

– Używają naszego scenariusza.

Kiwnął głową.

– Coś takiego – powiedziała – nie będzie dobrze przyjęte.

– Zawsze sobie cenię twój wkład. Ale sam do tego doszedłem.

– Tajna północnokoreańska operacja. Tutaj. Jezu! – Nareszcie padło z jej ust jakieś przekleństwo, choć wyraz jej twarzy się nie zmienił.

Zastanowił się, czy używała botoksu; pomyślał, że może warto byłoby sprawdzić. Odłożył tę myśl na półkę jako w tej chwili nieistotną.

– To jaka jest kolejność? – spytała.

– Że co?

– Robią to według listy. Co ma być następne?

– Nie sprawdziłem.

– Nie uważasz, że warto byłoby wiedzieć? – spytała po chwili milczenia.

– Nie uważam, że powinniśmy zostawiać ślad w papierach – odparł. – Nie, jeśli chcemy być w stanie wszystkiemu zaprzeczyć.

Taverner kiwnęła głową.

– Jak już mówiłam, robisz postępy. Czym się zajmują chłopcy i dziewczyny?

– Sprawdzają miejsca pobytu obywateli Korei i osób zbliżonych etnicznie. To nie najlepszy moment na poprawność polityczną.

– Oczywiście, że nie. Ale to dobrze. Jesteśmy bliżsi złapania ich. To znaczy teraz, gdy już wiemy, kim nie są.

– Wiemy też, że nie próbują wyrznąć sobie drogi przez nasze wsie. Wykorzystują naszą własną imperialną przeszłość jako paliwo. To przewrót propagandowy, by wywrócić wszystko do góry nogami.

– Tylko jeśli ukończą swoją misję – odparła Lady Di. – To z pingwinami, to też byli oni?

– I chyba ta bomba w pociągu. A śmierć Gimballa to jeden wielki bajzel, ale spokojnie pasuje do wzorca.

– Tak, i spokojnie mogłaby być jednym z odpadów codziennej rzeczywistości. Witaj w roku 2017. – Podeszła do zmatowionej ściany. Z bliska było to jak patrzenie na świat przez gazetę. Tak jakby po drugiej stronie były duchy; albo rzeczywistość po tamtej stronie, a duchy po tej. – To wszystko wygląda na jakiś wielki plan wymyślony przez fantastę mieszkującego kątem u mamusi. Musimy ich znaleźć i popsuć im plany, zanim ujawnią, co robią. – Mówiła to wszystko do

ściany albo do siebie. – Najwyższy Wódz może gadać, ile chce, o tym, jak jego zespół realizował brytyjski scenariusz, a my możemy powiedzieć: „No jasne. A o tym, że głowy bojowe lecą od was w Morze Japońskie, było nawet u Nostradamusa”.

– Pokażą dokument.

– A my zaprzeczemy jego autentyczności. Daj spokój, Claude. To jest bawienie się w wojnę propagandową. Zwycięży ten, komu najlepiej uda się zachować pokerzystowatą twarz.

– „Pokerzystowatą”?

– Jest druga w nocy. Czego się spodziewasz? Willa Selfa?

– A jeśli zabójcy się ujawnią i powiedzą: „Patrzcie, co zrobiliśmy”?

– No cóż, tak. Do tego nie możemy dopuścić. – W końcu odwróciła się w jego stronę. – Muszą umrzeć, Claude. Myślałam, że to oczywiste.

– To nie może wyglądać jak egzekucja.

– Nieważne, jak będzie wyglądać. Myślisz, że ich śmierć postawi nas w złym świetle? Może za rok, kiedy jedna z niedzielnych gazet przeprowadzi wnikliwe śledztwo. Ale trzy dni po Abbotsfield? W The Mall będzie impreza na ulicy, a tłumy będą się ustawiać w kolejce, żeby zobaczyć ich zwłoki. A lewacy wykrzykują, że to morderstwo w majestacie prawa, będą musieli włożyć kaski.

– To jedna z takich decyzji, jakich nie podejmujemy bez udziału Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Pieprzyć to – powiedziała Lady Di. – Oni to zaczęli. Jeśli chcieli grać według Londyńskich Zasad, powinni byli wiedzieć, że najpierw trzeba było napisać testament. – Pokręciła głową. – My to zakończymy. A potem przyjrzymy się długo i uważnie pierdolonemu koreańskiemu wywiadowi. Jednak na początek urwiemy im jaja.

Kiedy wyszła, próbował się zdrzemnąć, ale zmieniło się to w gorączkowe dziesięciominutowe zapasy: obudził się z erekcją przerażająco bliską radosnego okrzyku zwycięstwa. Z wciąż żywym wspomnieniem pulsującego krocza ochlapał sobie twarz wodą i zrobił obchód po centrali. Zawisł nad biurkiem Josie, próbując

przywołać ojcowskie uczucia. Spytał ją, czy kiedykolwiek wychodzi do domu; roześmiała się i odparła, że mogłaby spytać go o to samo. Coś wisiało w powietrzu, jak ozon trzaskający w sytuacji pełnej napięcia.

Około piątej dwa nazwiska wyskoczyły niemal równocześnie. Studenci z chińskimi paszportami; obaj zniknęli w poprzedni weekend.

– Dowiedzmy się, gdzie są – powiedział, jakby wypowiedzenie tych słów cokolwiek zmieniało. Wszędzie wokół chłopcy i dziewczyny byli już skupieni właśnie na tym zadaniu.

Te luźne nitki, pomyślał znowu. Zacznijmy za nie szarpać.

– Tancerz Blaine – powiedział do Josie.

– Sir?

– Zadzwoń do niego – polecił jej Whelan. – Pora, żebym zamienił z nim parę słów.

–To dzieciaki.

– Dzieciaki?

– Studenci. Dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Coś koło tego. Zasadzone tutaj wiele lat temu. Mogę dostać herbaty?

Catherine zrobiła ruch, jakby chciała po nią pójść, ale Devon Welles był szybszy: zniknął już za drzwiami, zmierzając w stronę czajnika, zanim ona zdążyła się podźwignąć.

Emma Flyte usiadła na krześle, które zwolnił. Choć była wykończona, wciąż biła od niej poświata. Ostre światło świetlówek pod sufitem sprawiało, że wszyscy pozostali – z wyjątkiem Wellesa i Shirley – zdawali się bezbarwni. Ale padające na Flyte światło wydobywało ukryte złoto i szarości.

– Bliski Wschód? – spytał River.

– Korea Północna.

Louisa gwizdnęła cicho.

– Gruba sprawa.

– Ale to nic nowego – powiedział Lamb. Wylał resztki z butelki do szklanki. – Tłusty Dyktatorek sponsorował już tyle zamachów terrorystycznych, że to cud, że nie kazał sobie drukować z tej okazji T-shirtów. Zamknęłaś ją?

– Możesz mi wierzyć – powiedziała Flyte. – Donikąd się nie wybiera.

Welles wrócił z kubkiem herbaty, który z wdzięcznością przyjęła.

– Dzięki. Zrekrutowali ją parę miesięcy temu. Zgarnęli ją w jakimś klubie. Mówiła, że ma krewnych. Pokazali jej zdjęcia.

– Pewnie już nie żyją – stwierdził Coe. Gdy wszyscy na niego spojrzeli, wzruszył ramionami. – Tak załatwiają sprawy. Departament bezpieczeństwa państwa.

– DBP – rzucił River.

– Dzięki. Jeśli będę miał problem z jeszcze jakimiś skrótami, nie krępuj się.

– Zajmowała się już wtedy Ho – ciągnęła Flyte. – Najzwyczajniej w świecie go kantowała.

– Mówiłam wam – odezwała się Shirley.

– A oni ją w to wciągnęli, zgodnie z instrukcjami DBP. Chcieli ten wzorzec. Ten... jak mu tam?

– Akta „Wodopój”.

– O których już wiedzieli – powiedział Lamb jakby do siebie. – A to ciekawe.

– Tak się cieszę, że coś przykuło twoją uwagę – zareagowała Flyte.

– Jak to się stało, że jej nie zabili? – spytała Louisa.

– Zrobiła to, czym się zajmuje. Owinęła sobie wokół palca jednego z nich.

– Wątpię, żeby to był palec.

– Cóż, to wersja z kontrolą rodzicielską. Ma na imię Shin. To tak udało jej się przeżyć. Pozostali myślą, że ją zabił po tym, jak próbowali dorwać Ho.

– Sprzątają po sobie – stwierdził Welles. Teraz, gdy nie miał już krzesła, oparł się o ścianę obok Louisy, która przerwała ćwiczenia.

– Mhm. Bo już prawie skończyli.

– A kiedy ten Shin przewracał się z boku na bok, żeby mogła go podrapać po brzuszku, wspomniał może, jaki ma być ich ostatni numer? – zapytał Lamb.

Nieświadomi, że to robią, wszyscy pochylili się w stronę Flyte.

– Niezupełnie – odparła. – Powiedział jej natomiast, że cały świat będzie się przyglądał. A potem jeszcze coś o wężu zjadającym własny ogon.

Wszyscy przez chwilę milczeli.

A potem Louisa powiedziała:

– O do kurwy nędzy.

– Przykro mi. Tak powiedziała.

– Z czego to jest? Z Sun Zi?

– Bardziej z Kung Fu Panda – powiedział River.

Ale Lamb stwierdził:

– Ciągle zapominam, że wszyscy jesteście idiotami.

Katedra Świętego Pawła była skąpana w niebiańskim blasku, a przynajmniej trudno było uniknąć tej myśli. W głębi serca Zafar Jaffrey wiedział, że wcale tak nie jest, i czułby to samo, gdyby to był meczet. Który nawet trochę przypominała. Ale tę myśl lepiej zachować dla siebie.

W kolejce podmiejskiej, otoczony przez biznesmenów i wyborców, usiłował zniknąć; okryć się wczesnoporannym przygnębieniem zabarwiającym cały wagon. Chciał tylko anonimowości – być po prostu kolejnym wyprostowanym sztywniakiem w trakcie codziennej pielgrzymki. Przemknąć przez półcienie, dać się wyrzucić na peron i zniknąć pod ziemią. Ale ledwie wyjechali z Birmingham, jakiś facet pochylił się w jego stronę i dotknął jego łokcia.

– Podróżujesz pierwszą klasą, co? – zaśmiał się. – Czyli jednak tylko udajesz, że jesteś jednym z nas.

– Spierdalaj – powiedział na to Zafar.

Stracił głos, ale zyskał chwilę.

Wczoraj w nocy dał Tysonowi całą gotówkę, jaką miał pod ręką; kazał mu wyjechać jak najdalej i jak najszybciej. Rada na bieżącą chwilę, ale tylko taką Tyson prawdopodobnie był w stanie zrozumieć. Dla tego młodego człowieka myślenie długoterminowe zawsze stanowiło problem. Co mogło być ważniejsze niż

tu i teraz? Dla dobra Tysona Zafar powinien był zadzwonić do adwokata. Tak naprawdę zyskał tylko chwilę wytchnienia.

Adres miał w pamięci.

– Sklep papierniczy?

– Artykuły biurowe i tego typu rzeczy, tak.

Z jakiegoś powodu to właśnie na tym szczególnie zahaczyła się wyobraźnia Jaffreya; że nielegalny biznes był prowadzony ze sklepu papierniczego. Kup kilka piór kulkowych, notes, samoprzylepne karteczki. A może chcesz do tego jakiś fałszywy paszport? Prawo jazdy? Broń?

„Potrzebuje reszty pieniędzy, tak? Śmiesznie wygląda ten koleś”.

Powiedział facet z tatuażem na twarzy, pomyślał Jaffrey.

Tyson wyszedł z kieszenią pełną gotówki. Jaffrey zastanawiał się, jak daleko dotrze. Wkrótce zacznie się polowanie na Tysona Bowmana, o ile już się nie zaczęło. A on nie był człowiekiem, który nie rzuca się w oczy; sam się postarał, by być kimś, za kim ludzie się oglądają. Był żywym pogwałceniem prawa zdrowego rozsądku: kimś, kto jako nastolatek zajmował się przestępczą działalnością, i żeby wszystkim ułatwić sprawę, sam się jako taki napiętnował. Zafar Jaffrey zastanawiał się, czy to dlatego zrekrutował Tysona. Nie żeby zaproponować mu odkupienie, tylko na wypadek, gdyby pewnego dnia potrzebował współnika w jakimś przestępstwie. To Tyson wiedział, jak rozwiązać problem Jaffreya, Tyson pokazał mu drzwi Tancerza Blaine’a. To tak działał świat. Jeśli zamoczyłeś palec u nogi w kryminalnych kałużach, zawsze mogłeś go wysuszyć. Ale gdy zrobiłeś sobie tatuaż na twarzy, nikt ci już tak naprawdę nie uwierzy.

Jaffrey z łatwością znalazł sklep papierniczy, ale jeszcze go nie otwarto, więc krążył po pobliskich ulicach, ciesząc się, że może trochę odroczyć tę chwilę. Jak właściwie należało do tego podejść? „Nazywam się...” Jasne, kurwa! „Chyba masz coś dla mnie?” W jednym ze swoich częściej wygłaszanych przemówień zwracał się do młodych ludzi z grupy ryzyka, by im wyjaśnić, że życie przestępcy jest łatwiejszą opcją, ale muszą wierzyć, że są zdolni dokonać trudniejszego wyboru. Ale teraz zaczął się zastanawiać, czy to prawda. Przestępczy biznes wiązał się

z trudnościami, które nigdy dotąd nie przyszły mu do głowy. Obowiązywał tu cały zestaw nowych reguł.

Londyn budził się do życia. Wcześniej ruch i tak był spory, ale to byli ludzie śpieszący się do pracy. Teraz napłynęła nowa fala, ci, którym się nie śpieszyło. Ci, którzy mieli czas zaglądać do sklepowych witryn albo zatrzymać się na rogu i zajrzeć do telefonu.

Kiedy znów dotarł do sklepu, ten był już otwarty, wszedł więc do środka.

Jedynym widocznym stworzeniem był dość młody mężczyzna: za ladą, czytał coś na telefonie. Na półce obok niego parował jakiś napój w kubku, nie na tyle aromatyczny, by zamaskować słodkawą woń marihuany bijącą od jego ubrania. Nie zauważył, że Jaffrey wszedł. Ledwie podniósł wzrok, gdy Zafar się do niego odezwał:

– Szukam pana Blaine’a.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

No dobra, pomyślał Jaffrey. To co teraz? Kupić ryżę A4 i powędrować z powrotem do Euston? Sięgnął do kieszeni i wyjął kopertę, którą nosił przy sobie od wielu dni, ponieważ bał się, że gdyby ją gdzieś zostawił, mogłaby zniknąć. Przerazająco duża część jego konta oszczędnościowego. Druga połowa tego, co był winien Blaine’owi. Mocno uderzył kopertą o ladę; dźwięku pieniędzy nie można pomylić z niczym innym.

Młody człowiek podniósł wzrok.

– Teraz już o nim słyszałeś? – spytał Jaffrey.

Zwłoki zaczynały śmierdzieć.

Tak naprawdę wcale nie było jasne, że to zwłoki. Ciało było owinięte folią stretch, która powinna sprawić, że zachowa świeżość. Były też inne możliwe źródła. Na przykład Shin i An, i Chris. Tył furgonetki był jak mobilny piekarnik, a minęło kilka dni, odkąd którykolwiek z nich brał prysznic. A więc możliwe, że Joon był niewinny i jako jedyny nie przyczyniał się do dusznej, śmierdzącej atmosfery, ale w tej chwili tylko on był martwy, więc były małe szanse, by mógł uniknąć winy.

Powietrze psuł nie tylko smród zwłok, było w nim też napięcie.

– Będą tam uzbrojeni policjanci – powiedział Shin.

– Nie wiemy tego – odparł An.

– I śmigłowce.

Znowu:

– Nie wiemy tego.

Danny kiwnął głową, by pokazać, że zgadza się z Anem. Shin to zauważył i się skrzywił.

Shin jakby się skurczył w ciągu jednej nocy i jego obecność nie była bardziej zauważalna niż Joon. Przestali w niego wierzyć. Shin mógł jeszcze zagrozić, że poruszy to w swoim bezcennym raporcie dziennym, pomyślał Danny, ale nie zrobił tego, bo wiedział, jaki by się wtedy im wydał słaby. Kiedy twarz Shina wykrzywiała się z frustracji lub ze złości, udawał, że jest wściekły, bo ma za ciasny kołnierzyk albo za luźny pasek, i przez chwilę zajmował się tą domniemaną przyczyną gniewu. Ale w rzeczywistości złościł go Danny i An; to, że przejrżeli go na wylot, jego słabość i nierzetelność.

Opuścili Birmingham godzinę temu. Chris znów siedział za kierownicą. Z nich wszystkich tylko on wydawał się niezmienny wydarzeniami; zadowolony z prowadzenia samochodu, czekania, wykonywania rozkazów.

– Wiedzą, do czego jesteśmy zdolni – powiedział Shin.

An kucał – Danny nie mógł uwierzyć, by taka pozycja mogła być wygodna w poruszającym się pojeździe – i trzymał na kolanach jeden z karabinów szturmowych. Jedną dłoń położył płasko na kabłąku spustu, a lufę skierował w tylne drzwi.

– I będą się spodziewać, że wykonamy ruch.

– Ale nie mogą wiedzieć gdzie – odparł An.

Przesunął ręką po broni.

Shin spróbował jeszcze raz:

– Będą wiedzieć, którym dokumentem się kierujemy. Ho na pewno im to powiedział. Nie działamy już w ciemności.

– Ale Ho nie wie nic o naszych prawdziwych planach – powiedział An. – Nie ma nic, co mógłby im wyjawić.

– Ale może dziewczyna... – zaczął Shin i urwał.

Furgonetka podskoczyła na wyboju: na drogach zawsze były wyboje. Cały ten kraj wpadał w jakąś dziurę, kawałek po kawałku.

– Co powiedziałeś? – spytał Danny.

– Nic. Nic nie mówiłem.

– Mówiłeś coś o dziewczynie.

– Dziewczyna też o niczym nie wiedziała. Tylko tyle chciałem powiedzieć.

– Dziewczyna nie żyje – zauważył Danny.

– Tak – potwierdził Shin.

– To po co mówisz, że o niczym nie wiedziała?

– Bo nawet gdyby żyła, to i tak w niczym by im nie pomogło. Tylko o to mi chodziło.

– Mówiłeś, że ją zabiłeś.

– Bo zabiłem.

– Kiedy wyszedłeś z jej domu, powiedziałeś nam, że nie żyje, że ją załatwiłeś.

– Tak.

– Ale nikt oprócz ciebie nie widział jej zwłok.

– Ja widziałem jej zwłoki – powiedział Shin.

Danny spojrzał na Ana, czekając, aż dojdzie do oczywistego wniosku: że Shin kłamie. Że Shin ich zdradził.

Ale An milczał.

– Czemu zadajesz mi te pytania? – spytał Shin. – Zapomniałeś, kto dowodzi?

Nikt nie zapomniał, kto dowodzi.

Słońce świeciło coraz wyżej i upał panujący w furgonetce był teraz znacznie gorszy. Siedzieli tu od wielu godzin, od wielu dni i ich dawne życie zniknęło, zgubione jak zrzucona przez węża skóra. Ale to prawda, że nie działali już w ciemności; gdzieś tam pukano do drzwi, przeglądano rejestry komputerowe,

zbierano nazwiska i opisy. Teraz pozostała im do zrobienia już tylko jedna rzecz i tylko to się liczyło.

Bo byli żołnierzami. W tym dziwnym świecie jako student Danny dziwił się słowom i błazenadom tych, którzy wyobrażali sobie, że mogą robić sobie ze swoim życiem, co zechcą, i nigdy nie zdawali sobie sprawy, że to, czego – jak im się zdaje – pragną, zostało im narzucone przez siły potężniejsze od nich. Tylko jeśli zaakceptowało się te siły, można było odnaleźć prawdziwą wolność. Przykład: kiedy Danny się dowiedział, że Najwyższy Wódz zarządził egzekucję własnego wuja z użyciem działka przeciwlotniczego, zrozumiał, że coś takiego było konieczne jako kara za odmienne poglądy. Później, gdy się dowiedział, że tę historię wymyśliły zachodnie media, pojął, że Najwyższy Wódz jest łagodnym człowiekiem szkalowanym przez swoich wrogów. W żadnym z tych dwóch różnych światów jego wiara w Najwyższego Wodza nie została zachwiana.

Jakby czytając Danny'emu w myślach, An się odezwał:

– To nie ma znaczenia. Spodziewają się nas albo i nie. Na jedno wychodzi. Wykonamy zadanie.

Sięgnął po radio tranzystorowe zwisające z haczyka na pasku; małe, tanie, chyba niezniszczalne urządzenie, któremu nie przeszkadzało, że uderza o panel za każdym razem, kiedy skręcali albo podskakiwali na wybojach. Przekreślił gałkę i zaświergotały wiadomości. Mówiono o nabożeństwie, które miało się odbyć tego popołudnia w opactwie westminsterskim z udziałem ksiąząt i polityków, między innymi premiera, i wszystko to miało się dziać na oczach kamer z całego świata.

– Nie boję się – powiedział Shin. – Mówię tylko, że powinniśmy być ostrożni. To wszystko.

Danny się nie odezwał. Shin wypuścił dziewczynę. Naraził ich wszystkich. Był zdrajcą i tchórzem i powinna go spotkać za to kara. Spróbował przekazać to wszystko Anowi, ale An miał zamknięte oczy i spojrzenie posłane mu przez Danny'ego prześliznęło się tylko po jego twarzy.

Jechali dalej w coraz dłuższy dzień.

14

Gdy wychodzisz na poranne powietrze – z gabinetu stomatologa albo z rozmowy o pracę – i stwierdzasz, że twoje stopy znów stoją mocno na chodniku, a dzień rozciąga się przed tobą pusty i szeroki jak tor wyścigowy, wtedy wiesz, że żyjesz, pomyślał Zafar Jaffrey. Wydostał się z labiryntu zaułków i zerknął jeszcze na katedrę Świętego Pawła, chwila czystości, którą poczuł aż po czubki palców. W kieszeni kurtki miał ukrytą paczkę, którą właśnie odebrał. Wciąż jeszcze mogło się okazać, że było warto. Nawet po tym bajzlu, w który wdepnął Tyson, śmierci Dennisa Gimballa – nie istniało żadne prawo, które by mówiło, że wszystko nie może się jeszcze ułożyć.

Tancerz Blaine, jak zauważył Tyson, był zabawnie wyglądającym kołesiem o przetykanych siwizną włosach splecionych w warkocz i wiewiórczych brązowych oczach za grubymi okrągłymi okularami. Nawet podczas ich krótkiej rozmowy dał Jaffreyowi do zrozumienia, że uczciwie zapracował na swoją ksywę; że był zwinny jak kot. Jaffrey uprzejmie kiwał głową. Dziwne, ale bez problemu potrafił wyobrazić sobie to stworzenie unoszące się cal czy dwa nad parkietem; z łatwością widział, jak wykonuje baletowe ruchy. Nie potrafił natomiast wyobrazić sobie kobiety, która byłaby jego partnerką. Brudny warkocz i ospowata, przetłuszczona skóra kryły odór zgnilizny. Blaine śmierdział tak jak paznokcie u nóg Jaffreya, kiedy zbyt długo zwlekał z ich obcinaniem.

Ale to nie miało znaczenia. Tancerz Blaine był oszustem, człowiekiem z półświatka, i zrobił to, co robią takie typy: rozwiązał problem Jaffreya. A więc

mimo całej tej gadki, której musiał wysłuchać – z powodu tej gadki – Jaffrey był teraz lekki i wolny i znów wierzył w to, że wszystko jest możliwe. Do ziemi przywiązany był tylko przez nawyk, nic więcej. Nagle poczuł wilczy apetyt. Odczuwał ogromną ulgę.

Obok była kawiarnia z wystawionymi stolikami, choć chodnik w tym miejscu był bardzo wąski. Jaffrey usiadł i zamówił kawę i dwa croissanty. Wyciągnął nogi na całą długość. Ciężar w jego kieszeni był ciężarem jego serca. Zadzwoił do matki i porozmawiał z nią o wszystkim i o niczym; słuchał, co mówiła, do chwili, gdy przynieśli mu kawę, a potem powiedział jej, że musi już kończyć, bo ma spotkanie. Umierał z głodu. Nie tyle jadł, co pochłonał pierwsze ciastko i zanim dopił pierwszą kawę, zamówił już drugą.

Przymknął oczy. Tancerz Blaine mówiący: „Interesy z tobą to przyjemność”. Nie był w stanie odpowiedzieć. Przyjemność polegała na tym, że miał to już za sobą.

Padł na niego cień.

Zafar Jaffrey nie otworzył oczu. Dopóki były zamknięte, mógł ignorować tę nową rzeczywistość. To była kelnerka, która przyszła dolać mu kawy do filiżanki, albo menedżerka, która chciała spytać, czy jest ze wszystkiego zadowolony. Dopóki nie otwierał oczu, to spokojnie mogło być prawdą: wszystko było zadowalające, wszystko lśniło.

– Panie Jaffrey?

To też się zdarzało. Został rozpoznany, ludzie znali jego twarz. Nawet tutaj, w wielkim Londynie, gdzie obowiązywały inne zasady.

– Panie Jaffrey?

– Odpoczywam – odpowiedział.

– Nazywam się Claude Whelan – powiedział cień i Zafar wiedział, że wkrótce będzie musiał udać, że się budzi.

–Emma Flyte.

– Dzień dobry pani.

– Kiepsko wyglądasz. Ciężka noc?

– Miewałam lepsze.

Miewała też gorsze.

Spotkały się w holu z windami: Flyte dopiero co wróciła do Regent's Park; Diana Taverner potrzebowała chwili wytchnienia od centrali. Flyte wyglądała na zmęczoną, to była prawda. Sama Taverner nie pamiętała, od ilu godzin już nie śpi, ale mogłaby poczekać dekadę, a i tak wyglądałaby bardziej świeżo niż Flyte. Było w niej coś, co czuło się najlepiej w sytuacjach kryzysowych, i bił od niej jakiś wewnętrzny blask. Mimo to nie łudziła się, że przyćmiewa Flyte, bo powiedziec o niej, że kiepsko wygląda, to jak stwierdzić, że Trump prezentuje się jak prawdziwy prezydent: nawet całe myślenie życzeniowe na świecie nie sprawiłoby, że tak się stanie. Ale Taverner była Drugim Biurkiem i przewyższała rangą wszystkie lustra w budynku. A Flyte raczej nie pójdzie się uskarżać do działu kadr.

– Cóż, na pewno byłaś bardzo zajęta.

– Jak my wszyscy.

– Tyle tylko że w twoim przypadku przeszkodziło ci to w wykonaniu instrukcji. Miałaś być w Slough House.

– Tak.

– W którym miał obowiązywać lockdown. Istnieje jakiś szczególny powód, dla którego tak się nie stało?

– Sytuacja wymknęła się spod kontroli – powiedziała Flyte.

– Tak się zdarza, kiedy ma się do czynienia z Jacksonem Lambem – przyznała Taverner. – Dlatego to ciebie do tego przydzieliłam. Nie jesteś przypadkiem specjalistką od panowania nad tłumem?

– Tylko że on nie jest tłumem, prawda? Jest bardziej jak wypadek drogowy.

– Dobre porównanie. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego tu wróciłaś i przesłuchiwałaś Rodericka Ho.

– Wydawało mi się ważne, by wydobyć z niego, co wie.

– Wie, że przekazał tajny dokument swojej dziewczynie. Przyjdzie mu za to długo cierpieć.

– Doprawdy?

– Słucham?

– On twierdzi, że ten dokument nie był tajny – powiedziała Flyte.

– To jego linia obrony? No to powodzenia w sądzie. Ściągnął go z bazy danych MI5, Flyte. To nie to samo co zwędzić karteczki samoprzylepne. Wiesz, do czego ten dokument został użyty?

– Wiem.

– I widzisz, to też mnie martwi. Ta wiedza leży daleko poza twoim zakresem kompetencji. Zresztą przesłuchanie Ho bez wcześniejszej zgody tak samo. Zechcesz mi łaskawie powiedzieć, co takiego kombinujesz?

– Z całym szacunkiem, ale jestem upoważniona do przesłuchiwania członków MI5 według własnego uznania.

Taverner milczała przez chwilę. To była prawda: jako szefowa psów Flyte mogła przesłuchać każdego członka MI5, z nią włącznie, choć jeśli kiedykolwiek by do tego doszło, lepiej, by miała przy sobie sekundanta i czekającą w gotowości karetkę.

– Ale przerwałaś lockdown, który zarządziłam. Kto cię do tego upoważnił?

– Jako szefowa działu mogę wedle uznania przekazywać obowiązki podwładnym. Wyznaczyłam Devona, żeby mnie zastąpił.

– Devona?

– Devona Wellesa. Trudno go przeoczyć. Wyróżnia się na tle innych psów.

– Możliwe, że nie dość szybko uciekłaś przed Lambem – stwierdziła Taverner.

– Wyglądasz na zarażoną. – Zerknęła na swój telefon, zdając sobie sprawę, że Flyte aż kipi. Przyniosła wieści i nie mogła się doczekać, by je przekazać.

– Proszę pani...

– Chwileczkę. – Skończyła sprawdzać służbowy grafik i podsunęła go Flyte pod nos. – Według tego Welles nie był na służbie. Powinien być w połowie czterdziestoosmiodzinnego wolnego czasu.

– Tak, powinien. Ale jak wspomniałam, poprosiłam go, żeby mnie zastąpił.

– I wciąż tam teraz jest?

– Tak.

– Czyli możesz kategorycznie stwierdzić, że zespół Lamba był zamknięty przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny?

Flyte wzięła głęboki oddech.

– Mogła wystąpić niewielka przerwa.

– To by oznaczało dyscyplinarne...

– Oznaczałoby. Ale czy to może poczekać? Muszę się zobaczyć z panem Whelanem.

– Nie ma go w budynku. Widzisz się ze mną.

– Wolałaby pani tego nie usłyszeć.

– Zdecydowanie chcę usłyszeć wszystko, czego wolałabym nie usłyszeć – powiedziała Taverner. Utkwiła spojrzenie we Flyte. – Chodźmy do mojego gabinetu.

Chłopcy i dziewczyny w centrali nie podnieśli wzroku. Byli zbyt zajęci odbijaniem się od siebie jak piłeczki we flipperze: przychodził taki moment, gdy przestawało mieć znaczenie, że są osobnymi jednostkami. Tworzyli rój. Flyte przypomniała sobie coś, co kiedyś czytała: był taki dzień, gdy przylatywały wszystkie motyle. Chodziło chyba o jakieś miasto nad Morzem Czarnym. Tylko przez jeden dzień wraz z nadejściem lata miasto było całe w motylach. Ta myśl przysła jej do głowy na widok gorączkowej aktywności w centrali. Nie chodziło tylko o wykonywaną pracę. Była w tym też świadomość, że jej efekty nabierają kształtów. Chłopcy i dziewczyny zamieniali się w motyle.

Możliwe, że Diana Taverner wcale tego tak nie odbierała, bo gdy tylko znalazły się w jej gabinecie, zmatowiła szklaną ścianę.

– Lepiej niech to będzie coś dobrego – powiedziała.

– Ostatnia pozycja w aktach „Wodopój” – odparła Flyte.

– Że co?

– Tak to nazywają. Akta „Wodopój”.

– Sama też robię pewną listę – powiedziała Taverner. – I z każdą chwilą staje się coraz dłuższa. Jaka jest ta ostatnia pozycja?

– Przejąć kontrolę nad mediami – powiedziała Flyte. – Ale nie chodzi o dosłowne znaczenie.

– Wydajesz się sporo wiedzieć na ten temat.

– Właściwie to Lamb to dostrzegł. Ta ostatnia pozycja, ta z mediami, będzie oznaczała, że przeprowadzą jakiś atak przed kamerami. Gdzieś, gdzie jest dużo prasy, dużo mediów. W publicznym miejscu. I to niedługo.

– Opactwo – stwierdziła Taverner.

– Tak, opactwo. Dzisiaj. Nabożeństwo za ofiary z Abbotsfield.

Przynieśli mu jakąś pizzę. Zamawiał taką z mnóstwem mięsa, a ci żartownisie przynieśli mu najprostszą wersję z serem i sosem pomidorowym, i z dodatkiem anchois. Dowcipni, pomyślał, kręcąc głową i zsuwając palcem niepasujące mu kawałki za krawędź. Dowcipni.

Potem zostawili go samego.

Trwało to przez całą noc. Po sesji z Emmą, gdy już skończył wyjaśniać jej parę rzeczy, zjawili się ci dowcipni koleś i musiał wałkować to wszystko jeszcze raz. Nie rozmawiacie ze sobą? – miał ochotę zapytać. Ale Roddy Ho wiedział, jak to jest, bo jego dziewczyna, Kim, była dokładnie taka sama. Zawsze, gdy byli razem dłużej niż dziesięć minut, to było dla niej zbyt intensywne i potem musiała przez jakiś czas pobyć sama w jakimś spokojnym miejscu. Taka polityka płciowa w pigułce – dziewczyny potrzebują trochę czasu dla siebie. Miał rację czy miał rację?

Ale pomijając to wszystko, fakt, że go tutaj trzymali, wskazywał, że jakieś poważne zagrożenie nadal trwa. To miało sens, że trzymali go pod kloszem – przecież nikt nie chciałby dać złym koleśom takiej okazji propagandowej jak sprzątnięcie Rodmana – ale można by pomyśleć, że wszyscy zdążyli się już połapać: że jeśli ktoś tu kogoś sprzątnie, to na pewno zrobi to Roddy Ho.

Bo istniało określenie na to, jaki jest zajebisty: był jak kot. Wystarczyło tylko spojrzeć na koty, by wiedzieć, że nigdy nie postawią łapy nie tak, a jeśli im się to już zdarzy, to tylko na chwilę, tak dla zmyłki. Koty spadały zawsze na cztery łapy.

I właśnie taki zajebisty był Roddy Ho. Czasem mogła mu się zdarzyć jakaś przygoda – jakaś mała bójka, tak jak poprzedniej nocy – ale zawsze było wiadomo, czyje na koniec będzie na wierzchu.

A równocześnie mógł się równać z najlepszymi z nich, typowy indywidualista. To, co najlepsze z obu światów.

Tak jak powiedział tym dowcipnym koleśiom: „Tak, jasne, przysłali kogoś, żeby mnie sprzątnął. I patrzcie, co z tego mają. Następnym razem będą wiedzieć, żeby przysłać dwóch”.

A ci koleśie wymienili spojrzenia.

Skończył pizzę, z wyjątkiem anchois, i gdy tak siedział, oblizując palce, przyszło mu do głowy, że jeszcze nikt mu nie powiedział, co się stało z Kim, jego dziewczyną. Teraz, gdy już im wyjaśnił, że dokument, który jej pokazał, nie był nawet tajny – Roddy przekazujący tajemnice? Serio? – na pewno uwolnili ją już od wszystkich podejrzeń prócz tego o ciekawość, a od kiedy to jest przestępstwo? Ale nic na ten temat nie wspominali.

A może...

Ale był taki zakątek umysłu, którego Roderick Ho wolał nie odwiedzać, i teraz się wycofał. To był zakątek, gdzie podejmowano różne decyzje i osiągano różne cele; gdyby spędził tam więcej czasu, mogłoby do niego dotrzeć, że jest bardziej kulawym koniem, a mniej Rodsterem. Oznaczałoby to, że gdy w jego życiu pojawiła się Kim, zaczął zadawać więcej pytań i otaczało go więcej ludzi, którzy mogliby na te pytania odpowiedzieć. Ale nie było powrotu. Tym właśnie teraz był, a Kim była jego dziewczyną, prawda? Kim była jego dziewczyną. I jeśli teraz nie o wszystkim wiedział, to cóż, tak to właśnie było w świecie tajemnic. Był po prostu zbyt... tajny.

Roddy pokręcił głową. Pewnie wszystko wyjdzie w praniu. A tymczasem prawdopodobnie będzie musiał tu zostać, żeby nikt się o niego za bardzo nie martwił. Uśmiechnął się do siebie. Pewnie teraz się zastanawiają: co to za gość? Jakieś połączenie Bonda i Q? Za dnia prowadzi zwiad w dark webie, a nocą chodzi po klubach z superseksowną dziewczyną i wyrzuca złoczyńców przez okno?

Co to za gość?

Nad tym się teraz zastanawiają.

W sąsiednim pokoju dwóch facetów jadło pizzę z mnóstwem mięsa. Niewiele się odzywali, ale po jakimś czasie jeden z nich przerwał jedzenie i powiedział:

– Co to za gość?

A potem obaj pokręcili głowami i jedli dalej.

Claude Whelan znów był na Downing Street, w jednym z inkubatorów. Premier kazał mu na siebie czekać – niezbyt dobry znak – ale ten czas szybko mu minął za sprawą telefonu od Di Taverner, która zadzwoniła z najnowszymi wiadomościami z centrali. Gdy w końcu zjawił się ubrany na pogrzeb premier, jego twarz była czerwona z wysiłku.

– Cały ranek jestem w gabinecie i potem nie będzie czasu, żeby się przebrać. Ten garnitur jest strasznie obcisły. Nie wyglądam w nim grubo?

– Naprawdę nie... – Whelan zdążył się powstrzymać; zaczął jeszcze raz. Dopóki nie przekroczy tego mostu, nic się nie stanie. – Czarny wyszczupła.

– Tak się mówi, ale kiedy stanę bokiem... „Przysadzisty” to takie okrutne słowo. Ale słyszy się szepty.

– Wygląda pan... jak premier.

Wyglądał jak szynka na weselnym półmisku, ale nikt nie chciałby czegoś takiego usłyszeć.

– Powinienem więcej ćwiczyć – zadumał się premier. – Ale wszyscy koledzy, z którymi grywałem w tenisa... no cóż... – Jego twarz przybrała szekspirowski wyraz. – Ci, którzy kiedyś mieli odwagę krzyknąć „aut”, teraz okazują się podstępnyimi żmijami. To sporo o nich mówi, nie sądzi pan?

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać o ważniejszych rzeczach.

Premier teatralnie westchnął.

– Myśli pan, że o tym nie wiem? – Rozpiął najniższy guzik marynarki i wypuścił powietrze. – Zafar Jaffrey jest w areszcie. To wciąż tylko plotka, ale prawdziwa, prawda?

– Obawiam się, że tak.

– Chciałem mieć pewność, że jest godny zaufania, a okazuje się, że ma związki z jakimś oszustem. Serio? – Zabrzmiało to tak, jakby to Whelan był za to odpowiedzialny. – To jak z jakiegoś kiepskiego filmu z Michaeliem Caine’em.

Technicznie rzecz biorąc, premier był za młody, by pamiętać inne filmy z Caine’em, ale teraz nie był odpowiedni moment na to, żeby coś takiego powiedzieć.

– Być może. Ale wiadomość o Gimballu przyćmi wszystko inne, przynajmniej dzisiaj. W tej chwili ma pan przewagę. Proszę teraz wydać oświadczenie i w ten sposób ludzie dowiedzą się od pana.

– Oświadczenie? Jeszcze nawet nie wiem, co kombinował. Że jest kim? Potajemnym zwolennikiem ISIS? Nie wierzę w to, Claude. Ten facet...

– Chodzi o jego brata.

– Jego brat ginie w Syrii, nawiasem mówiąc, z własnej winy, bo był na tyle głupi, i to znaczy, że co? Zaff nawraca się na ich sprawę?

– Jego brat nie zginął.

– Och.

– To jego brat był powodem, dla którego potrzebował fałszywego paszportu.

– Och. – Premier wciągnął powietrze i ponownie zapiął marynarkę. – Wszyscy myśleliśmy, że zginął.

– Jego własna rodzina też tak myślała. Pocisk hellfire wystrzelony z drona. Sierpień 2016. Młody Karim nie był celem, ale wiadano, że był w pobliżu miejsca wybuchu, i znaleziono tam jakieś zwłoki. – Whelan pokręcił głową. – Przy takich pociskach odczyt daje dziewięćdziesiąt pięć procent pewności... Karim zaliczał się do pozostałych pięciu procent. Tak się zdarza.

– Czyli co, po prostu sobie stamtąd poszedł?

– Nie znamy szczegółów. Wiemy tylko, że cztery miesiące temu skontaktował się ze starszym bratem. W tej chwili jest we Francji, ledwie wiąże koniec z końcem. Zagrał kartą marnotrawnego. Chce tylko odzyskać swoje dawne życie, bo teraz już zobaczył, jak to jest, przekonał się, że dżihad nie jest usłany różami.

- No cóż, mogłem mu to powiedzieć. Każdy mógł mu to powiedzieć.
- A Zafar zgodził się mu pomóc.
- Może nazwie mnie pan pedantem, ale odnoszę wrażenie, że ISIS nie przepada za ludźmi, którzy zmieniają zdanie. To jakby zamienić Celtic na Rangersów.
- Zgadza się. Stąd w ogóle ten interes z oszustem załatwiającym lewe papiery.
- Ach. No oczywiście. Czyli Jaffrey załatwił nową tożsamość dla swojego brata, żeby mógł niepostrzeżenie wrócić do starej dobrej Anglii i co... po prostu zacząć w miejscu, w którym przerwał? Tyle tylko że udawałby kogoś innego, żeby uniknąć kary za grzechy?
- Coś w tym stylu – potwierdził Whelan.
- Czemu Zafar nie przyszedł z tym do mnie?
- Może dlatego, że zadbałby pan o to, żeby młody Karim trafił przed sąd i do więzienia. Gdzie pewnie by go zabili.
- No tak, to prawda.
- A chodziło raczej o to, żeby tego uniknąć.
- Krewni bywają upierdliwi, co? Niech mi pan przypomni: ma pan jakieś rodzeństwo? – Premier nie czekał na odpowiedź. – Mniejsza z tym. Chyba dobrze, że o tym wiem, zanim temu wszystkiemu zaprzeczę. Kłamstwa w parlamencie nigdy dobrze nie wyglądają. Przy czwartym czy piątym wyraźnie wyczuwa się dezaprobatę.
- Jest coś jeszcze.
- Zawsze jest coś jeszcze. – Premier wyjął z kieszeni spodni metalowe pudełko miętusów na odświeżenie oddechu. – Chce pan?
- Dziękuję. – Whelan wziął miętusa do ust i mówił dalej: – Dziś po południu może dojść do zamachu w opactwie.
- Podczas nabożeństwa.
- Podczas nabożeństwa. Nie są to dane wywiadowcze jako takie. Bardziej przypuszczenie oparte na posiadanych informacjach.
- A skąd pochodzą te informacje?
- Od Diany Taverner.

– Ach. Od pięknej Lady Di. – Premier poprawił węzeł krawata. – Tylko że nie pięknej. A jednak. Ładna klaczka. Chętnie bym ją wziął na padok. Choć jeśli kiedykolwiek dowie się, że to powiedziałem, każę pana zabić.

– Cóż, ponieważ w tym celu musiałby pan z nią rozmawiać, chyba mijałoby się to z celem – odparł Whelan. – W każdym razie ona uważa, że to realne zagrożenie. Dotarło do niej pewne sformułowanie, wąż zjadający własny ogon. Innymi słowy kampania zatacza pełen krąg i ma się skończyć podczas nabożeństwa za ofiary pierwszego zamachu. Lista potencjalnych ofiar to marzenie każdego zamachowca. Na pewno wiedzą, kto tam będzie. Książęta, pan, przywódczyni opozycji...

– O Boże. Ona.

– ...połowa ludzi z pierwszych rzędów w parlamencie, burmistrz i tak dalej. Oczywiście podjęte zostaną najwyższe środki bezpieczeństwa, ale i tak istnieje spora możliwość poważnych strat. Tak jak zawsze. Musi im się udać tylko raz.

Liczni krytycy premiera uwielbiali podkreślać jego polityczne tchórzostwo, ale czasem, gdy nikt tego nie widział, zdarzało mu się zabłysnąć.

– No cóż, nie odwołamy tego i nie będziemy wchodzić do opactwa w formacji żółwia. Ale zadbajmy o to, żeby tłumy znajdowały się trochę dalej niż zwykle, co? Na wypadek, no nie wiem, szrapnela...

– Naturalnie.

– Nie ma czasu na posiedzenie COBRA, ale porozmawiam z dowódcami o zwiększeniu obecności wojska. Nie żeby dało się ją jeszcze jakoś znacznie zwiększyć. Co najmniej trzy tysiące na ulicach i strzelcy... nazywają ich strzelcami, tak? Nie snajperami?

– Tak sędzę.

– Strzelcy na każdym dachu. Boże, człowieku. Do czego to doszło! Kiedyś Londyn był miejscem, w którym można było czuć się bezpiecznie. Były jakieś zasady.

– Nie jesteśmy odporni na problemy świata. Nigdy nie będziemy. – Whelan przesunął miętusa od jednego policzka do drugiego. – Oczywiście będziemy musieli ostrzec Pałac.

Premier parsknął.

– Chciałbym to widzieć. Nie, wszystko przebiegnie zgodnie z planem. W dzisiejszych czasach każde publiczne wydarzenie może być celem zamachu. Ale co mamy zrobić, ukryć się w piwnicy?

– Oczywiście, że nie.

– Nie chcę narażać niczyjego życia, jeśli tylko można tego uniknąć. I chcę tych sukinsynów schwytych żywcem, Claude. Chcę więźniów na ławie oskarżonych. Chcę się przyglądać, jak będą się ubiegać o pomoc prawną, jak nie przyznają się do winy, jak będą się odwoływać do sądu najwyższego i korzystać ze wszystkich praw, jakie im dajemy. Chcę, żeby świat zobaczył, jak błagają o łaskę system, którym gardzą. I chcę, żeby gnili w więzieniu przez resztę ich żalosego pierdolonego życia. Na pewno nie chcę, żeby zrobiono z nich męczenników. Mamy zbyt wielu tych pieprzonych tak zwanych męczenników.

Whelan przegryzł miętusa i poczuł, jak pęka mu między zębami. Przez jedną paskudną chwilę wydawało mu się, że to ząb pękł, i żeby się upewnić, musiał zgarnąć kawałki językiem i poczuć je jeden po drugim. Był prawie pewien. Prawdopodobnie to był tylko miętus. Premier mówił dalej:

– Wie pan, to może być mój ostatni wielki dzień. Wilki już zbierają się pod bramą, o ile tak się w ogóle mówi. Gimball poprowadziłby szarżę, ale wie pan co? Teraz, gdy go nie ma, niespodziewanie pojawią się inni. Nikt nie zamierzał się ruszyć, skoro on i tak był pewniakiem w wyborach. Ale teraz gra jest otwarta. Wszyscy są pewni tylko jednego: kto nie zdobędzie głosów. I tym kimś jestem ja.

– Nie może pan być tego pewny – odparł Whelan, choć sam był przekonany, że właśnie tak jest.

– Nie, moje dni są policzone. Ale wie pan co? Złapcie te pieprzone świnię na mojej warcie i będzie to mój łabędzi śpiew. Potem chyba kupię sobie domek na wsi. Napiszę wspomnienia. – Znów przyjrzał się sobie, najwyraźniej pogodził się już z faktem, że nie ma sposobu, by w ciągu najbliższych trzydziestu minut zgubił półtora kilo, więc pokiwał głową. – Żyjemy w ciekawych czasach, Claude. Owocne spotkanie. – A potem sobie poszedł.

Whelan przełknął kawałki miętusa i sprawdził językiem zęby. Ostatnie dni nie dawały powodu do dumy, pomyślał. Jaffrey do tej pory musiał już ściągnąć prawnika, ale wiedział, że jego kariera jest skończona, a wybory przegrane. I nie było to za dobre. Nie dla ludzi z West Midlands. Byłby dobrym burmistrzem, a tym, co stanęło mu na drodze, nie były chciwość, nienawiść ani żadna z wielu pokus związanych z piastowaniem publicznego stanowiska, lecz miłość do brata, dla którego byłoby lepiej, gdyby spalił go na popiół tamten pocisk. A może nie miłość – może lojalność. Nie trzeba kogoś kochać, żeby pozostać mu wiernym. Któż może wiedzieć, czy działa to też na odwrót?

A jeśli chodzi o Dennisa Gimballa, to – mimo wszystkich jego wad – to, co zrobił sam Whelan, było pozbawione skrupułów: wykorzystał nieszkodliwą skłonność, żeby wywrzeć na niego presję. Jakbym sam był lepszy, pomyślał Claude. Ale tak się stało. Miał obowiązki i robił, co mógł, żeby je wypełnić. Będą ofiary, bo zawsze jakieś są, ale był też wyższy cel i jego obowiązkiem było do niego dążyć. Gdyby oczekiwał przebaczenia od tych, których skrzywdził, nie dotarłby do punktu, w którym był teraz.

Oczywiście miał też inne problemy. Czasem trzeba było zadbać o własne plecy – Diana Taverner nazwałaby to Londyńskim Zasadami.

Na początek oznaczało to, że pokazowy proces, którego chciał premier, nigdy się nie odbędzie.

Whelan wyszedł z budynku i sięgnął po telefon. Tego popołudnia na ulicach Londynu będzie najwięcej uzbrojonych żołnierzy od czasów ostatniej wojny, a jego zadanie polegało w tej chwili na tym, by się upewnić, że wszyscy dostaną takie same instrukcje. Ale najpierw chciał szybko zamienić parę słów z żoną. Jej głos zawsze brzmiał w jego uszach jak coś w rodzaju wybaczenia. A w tej chwili potrzebował wybaczenia za wiele rzeczy.

Zaparkowali kilka mil od celu i zjedli to, co im zostało: jakiś posklejany makaron z turystycznej lodówki, która się nie domykała. Danny czuł na języku posmak zepsutego jedzenia, a równocześnie delectował się tym doświadczeniem: działające

usta, ciało otrzymujące pożywienie. Możliwe, że nie będzie już zbyt wielu posiłków.

Wyglądało na to, że Shin nie czuje podobnie. Pierwszy kęs jedzenia wypluł w chusteczkę, resztę zostawił.

Danny wiedział, że można być wojownikiem na różne sposoby. Ale Shin nie znał żadnego z nich. Shin był tchórzem i w głębi duszy zdawał sobie z tego sprawę. To dlatego nie mógł teraz jeść. To dlatego pozwolił dziewczynie żyć.

To samo w sobie Danny mógłby jeszcze wybaczyć. To był błąd i zdrada, ale zlitowanie się nad kobietą było słabością, którą można wybaczyć, i gdyby to było jedyną winą Shina, Danny nie miałby żadnej przyjemności z patrzenia, jak z tego powodu ginie. Ale wypuszczając ją, Shin naraził misję, a potem, kłamiąc na ten temat, okazał pogardę Danny'emu, Anowi i Chrisowi. A więc kiedy Shin będzie umierał, Danny spojrzy mu prosto w oczy, żeby wiedział, że nasika na jego trupa i spali go w jakimś rowie.

A jeśli przeżyją ten ostatni atak, znajdzie Kim i ją też zabije. Ponieważ to było częścią ich misji, a żadna część nie może pozostać niedokończona.

An zerknął na zegarek.

– Cztery godziny – powiedział. Podobnie jak Danny założył ten sam niekompletny mundur, który miał na sobie w Abbotsfield; podobnie jak Danny nosił teraz rewolwer w kaburze przy pasku. Kiedy przyjdzie pora, nie będzie żadnych prób wmieszania się w tłum. Przybędą jak furie, przynosząc gromy wojny.

– Jest spokojnie – powiedział z nadzieją Shin.

– Spokojnie czy nie, wchodzimy za cztery godziny.

– Powinniśmy wysłać kogoś przodem. Żeby się upewnić, że droga jest czysta.

– Zaczyna ci się wszystko plątać – powiedział mu Danny. – Jesteś jak pies przywiązany do budy. Szczekasz, kiedy słyszysz jakiś hałas. Szczekasz, kiedy jest cicho.

– Jeśli ma nam się udać, musimy postępować ostrożnie – odparł Shin. – I ruszamy na mój rozkaz, nie na twój – dodał, patrząc na Ana.

– Boisz się – stwierdził Danny.

- Nie bardziej niż ty.
- Ja się nie boję – odpowiedział mu Danny.

To była prawda. Czuł coś, nie był pewny co – być może uniesienie na myśl o chwale – ale się nie bał. To, co teraz nastąpi, nawet jeśli będzie oznaczać jego śmierć, będzie heroizmem, którym niewielu może się wykazać. Będzie wypełniał wizję Najwyższego Wodza i jego imię będzie płonąć jak wieczna świeca. Jeśli chodzi o przyszłość, nie dano mu za wiele możliwości, ale z tej zamierzał skorzystać.

Natomiast Shin skuliłby się na myśl o każdej przyszłości bardziej niebezpiecznej niż nadgnity makaron.

- Wypuściłeś dziewczynę – powiedział teraz Danny.
- Zabiłem ją.
- Kłamiesz.
- On jest głupcem – powiedział Shin do Ana, ale zadrżał mu głos.
- Słyszeliście to? – spytał Danny. – On wie, że ja wiem. Wszyscy to wiemy.

Wypuścił dziewczynę.

- Dość tego – powiedział An.
- Wypuściłeś ją? – spytał Chris. – Nie powinieneś był tego robić.
- Naraził całą misję – stwierdził Danny.
- Nie naraziłem misji! – krzyknął Shin.

Jego słowa rozbrzmiały we wnętrzu furgonetki, jakby ktoś rzucił w nią kamieniem.

- Zanim ją puściłeś – powiedział Danny. – Zanim nie wykonałeś rozkazów.

Powiedziałeś jej, co później planujemy?

- Nic jej nie powiedziałem.
- Ale ją puściłeś.
- Nie zaniedbałem wypełnienia rozkazów. Ja tu dowodzę!
- Nie zasługujesz na to.
- Kim niby jesteś, żeby mówić...
- W Abbotsfield strzelałeś na ślepo. Strzelałeś w niebo. Zabiłeś kurnik.

– W Abbotsfield spełniłem swój obowiązek – odpowiedział Shin głosem drżącym z wściekłości.

– A dzisiaj? Czy dzisiaj możemy ci ufać?

– A możemy ufać tobie? – odpowiedział Shin. – Ja tu dowodzę. Kiedy mówię, mówię w imieniu Najwyższego Wodza.

– Martwię się, że wypuściłeś dziewczynę – powiedział Chris.

– Dość! – rzucił An.

– Kiedy już ruszymy, kiedy pójdziemy wypełnić misję – nie przestawał Danny – co tym razem zrobisz? Schowasz się za kontenerem na śmieci? Podniesiesz rękę do góry i się poddasz?

– To wszystko znajdzie się w moim raporcie! – krzyknął Shin. – To ty jesteś zdrajcą!

Danny spojrzał na Ana.

– On naraża nas wszystkich.

– Ja tu dowodzę!

– Kto wie, co powiedział dziewczynie? Może już po nas idą.

– To ty jesteś zdrajcą – odparł Shin. – Nie przestrzegasz hierarchii. Plujesz na samego Najwyższego Wodza.

– Dość – powtórzył An.

– Tak, dość tego – powiedział Danny. Popatrzył na Chrisa, a potem na Ana. – Nie można mu ufać. Jeśli mamy wykonać swoją misję, musimy to zrobić bez niego. Zdradzi nas wszystkich.

– Kłamca! – krzyknął Shin.

An wyjął broń z kabury i strzelił Danny’emu w twarz.

Kiedy echo już przebrzmiało, zwrócił się do Shina:

– Najwyższy Wódz uczynił cię dowódcą. Kwestionowanie tego to jak kwestionowanie Wodza.

Shin w osłupieniu kiwnął głową.

– Wchodzimy za cztery godziny – powiedział An, odłożył broń i znów zabrał się do jedzenia makaronu.

15

Południe nadchodzi z biciem dzwonów, bo to jest Londyn, a Londyn jest miastem dzwonów. Od jego serca aż po poszarpane krawędzie dzwony przecinają dzień swoim biciem. Dzwonią z iglic i wież zegarowych, z kościołów i ratuszy, ich dźwięki nakładają się na siebie w świętowaniu prostego faktu, że czas przemija. W upalnym powietrzu można niekiedy niemal zobaczyć, jak ich dźwięk wędruje niesiony rozedrganym w oddali mirażem. A równocześnie z dzwonami odzywają się też inne urządzenia: zegary na rogach ulic i wiszące nad witrynami jubilerów głośno wybijają godziny, trochę za wcześnie albo trochę za późno, ale zawsze – zawsze – jest taka jedna chwila, gdy wszystkie rozbrzmiewają razem. A przynajmniej miło byłoby udawać, że tak jest; że dwa razy w ciągu doby, w południe i około północy, miasto mówi jednym głosem. Ale nawet gdyby to była prawda, trwałoby to tylko przez chwilę, a potem powróciłaby normalna kakofonia; odgłosy kłótni, połajanki, pocieszanie, głosy opowiadających dowcipy, zebranie o lody, o powrót kochanków, oferujące zmianę i szukające aprobaty; nakładające się na siebie w nieustannym chórze radości i skarg, błogości i zdrady, wielkich i małych smutków i niespodziewanych zachwytów. Każdy dzień jest taki jak ten: jednocześnie znajomy i niepowtarzalny. Dzisiaj, podobnie jak jutro, jest zawsze inne i zawsze takie samo.

A dzisiaj Londyn wkroczył na wojenną ścieżkę. Uzbrojona policja na ulicach to niefortunny tego rezultat, ale wygląda na to, że trzeba zapłacić pewną cenę za powszechne swobody, którymi cieszy się miasto: za to, że jego mieszkańcy mogą

chodzić po ulicach, pokazywać swoje odsłonięte twarze i publicznie trzymać się za rękę. Cywil całymi miesiącami może nie widzieć broni. Ale ostatnie lekcje były brutalne, ludzie zginęli w stolicy i w zaprzyjaźnionych miastach, więc teraz na ulicach wszędzie obecna jest uzbrojona policja. W okolicy opactwa chodniki oddzielono metalowymi barierkami, a za nimi gromadzą się londyńscy i przyjezdni, żeby złożyć hołd zabitym w Abbotsfield, bo Abbotsfield mogło być wszędzie, także w stolicy. Właśnie tego nauczył się Londyn i inne miasta: że płynąca z nienawiści zbrodnia zatruwa dusze, ale tylko dusze tych, którzy ją popełniają. Kiedy ci, którzy oplakują zabitych, stoją razem, a ich osobne głosy stają się jednym choćby przez chwilę, pozostają niesplamieni. A więc ludzie zbierają się i czekają, uzbrojeni policjanci przyglądają się nowo przybyłym, dwunasta nadchodzi wraz z biciem dzwonów i rozpoczyna się popołudnie.

Minęło wiele godzin, odkąd którekolwiek z nich spało. Claude Whelan był z powrotem w Regent's Park; czuł ulgę, siedząc przy swoim biurku, gdzie mógł przynajmniej udawać, że ma nad tym wszystkim jakąkolwiek kontrolę. Di Taverner również była na miejscu, choć teraz przechadzała się po centrali i zaglądała dziewczynom i chłopakom przez ramię. Zatrzymała się dłużej niż zwykle przy jednym z biur: młodej kobiety – Josie – której koszulka w paski podkreślała kształt jej piersi i która nieśmiało mrugała, kiedy się do niej mówiło. Przypadkowy obserwator za nic nie byłby w stanie odgadnąć, o czym myślała Taverner, lecz ktoś bardziej doświadczony w przyglądaniu się Lady Di wiedziałby, że coś sobie zapamiętała.

– Raport sytuacyjny – powiedziała.

Josie zamruła i przeczytała z monitora:

– Rodzina królewska ma przybyć do opactwa za pięćdziesiąt minut. Premier za czterdzieści. Na Great Street doszło do zakłóceń, ale sytuacja już wróciła do normy. Kilku pijaków się awanturowało.

– Nie nazywamy ich rodziną królewską i nie nazywamy go premierem – odparła Taverner. – Stosuj się do kodów z protokołu.

– Przepraszam, proszę pani.

– A nasz status na ulicach?

– Pustułka Jeden na Millbank, Dwa na Westminster Bridge. Żaden nie zgłasza nic podejrzanego. Trzy, Cztery i Pięć rozrzućni wzdłuż Whitehall. Twierdzą, że tłum jest w większości opanowany, choć było parę wybuchów złości. Skandują coś o Dennisie Gimballu. Pewnie zaaranżowało to jakieś prawicowe ugrupowanie.

Taverner nie była specjalnie zaskoczona tym, że powiązano masakrę w Abbotsfield i śmierć Dennisa Gimballa. Teorie spiskowe rozkwitały w tempie stu czterdziestu znaków na sekundę.

– Jakież aresztowania? – spytała.

– Wiemy o kilku, proszę pani.

Taverner oparła rękę na podłokietniku krzesła Josie. Był ciepły w dotyku.

– Informujesz na bieżąco pana Whelana?

– Tak, proszę pani.

– Mailowo czy...

– Woli, kiedy przychodzę do jego gabinetu.

Taverner pokiwała głową, jakby jej myśli pochłaniało zupełnie coś innego.

– Bądź ostrożna – powiedziała i wróciła do swojego pokoju.

Kim Park, dziewczyna Rodericka Ho dostarczona przez Flyte i Wellesa, była teraz na dole. Przy pierwszym zapytaniu miała do powiedzenia niewiele ponadto, co powiedziała już Flyte, ale jej przesłuchanie miało trwać jeszcze przez jakiś czas. Kim świetnie znała swoje prawa; wiedziała, jak długo może być zatrzymana bez postawienia jej zarzutów. Teraz właśnie dowiadywała się, że to by się liczyło tylko wtedy, gdy zostałaby aresztowana, a nie została. Z prawnego punktu widzenia ją porwano. I jeśli będzie chciała zrobić z tego problem, to powodzenia, pomyślała Taverner. Pomogła przynajmniej sporządzić portrety pamięciowe osób podejrzanych o terroryzm, choć obrazy, które były tego efektem, tak jak wszystkie, które widziała Taverner, bardziej przypominały roboty: baterii nie było na wyposażeniu. Podejrzewała, że ich żywe odpowiedniki wyglądały tylko trochę inaczej. Wcześniej nazwała ich terrorbotami. Ci, którzy byli gotowi mordować

w imię swoich przekonań, musieli być zupełnie pozbawieni empatii, a światło człowieczeństwa w ich oczach dawno już zgasło. Czasem sama się czuła trochę oderwana od rzeczywistości. Ale nigdy dotąd nie była zmuszona toczyć wojny z dziećmi.

Josie wydawała się łatwym celem. I jeśli przekazując Claude'owi notatki służbowe, siadała mu na kolanach, to lepiej niech będzie gotowa nauczyć się, co oznaczają straty uboczne.

Taverner na chwilę przymknęła oczy. Sytuacje awaryjne były testem dla systemów, również dla jej własnego. Kiedy to się skończy, będzie musiała przespać czterdzieści osiem godzin. Ale jeszcze nie teraz.

Włączyła telewizor i znalazła kanał z wiadomościami. Na ekranie pojawiły się zdjęcia Londynu z lotu ptaka. Jeszcze dziesięć lat temu wyglądał zupełnie inaczej: nie było Heron Tower, nie było Needle. Gdyby cofnąć się o dwadzieścia lat, straciłoby się Gherkin, London Eye, połowę panoramy miasta. A jak będzie za dwadzieścia lat? Któż to może wiedzieć? Może pojawi się kolej jednotorowa łącząca stupietrowe wieże. Ale to wciąż będzie Londyn, bo taka była zasada. Pod całym tym blichtrzem i najlepszymi ciuchami biło to samo serce.

Tymczasem na poziomie ziemi ulicami rządził w tej chwili komendant londyńskiej policji. Ale Di Taverner też miała tam swoich agentów; Pustułki od Jeden do Pięć obserwowały, mierzyły puls miasta. Gdyby doszło do ataku, było mało prawdopodobne, by terrorystów ujęto żywcem. Obecność agentów na miejscu trochę zwiększała szanse, by sprawy przybrały taki obrót.

Ale tak czy inaczej, to się wkrótce skończy; a potem będą inne zadania. Trzeba będzie się uporać z Emmą Flyte i jej pomagierem Devonem Wellesem. Tych dwoje na razie nie mogło opuszczać Regent's Park. Przez mniej więcej siedemdziesiąt procent czasu Taverner podejrzewała spisek; to, co wywinęła Flyte, zaliczało się prawdopodobnie do kategorii spieprzonych spraw, ale to wystarczało, by móc porządnie się do niej dostać. Plany Taverner obejmowały też Slough House. Już najwyższa pora, żeby Jackson Lamb to załapał: wśród bijących dzisiaj dzwonów były też takie, które biły dla niego.

Ochrona MI5 zawsze była jej najwyższym priorytetem i tym razem nie było inaczej. Odrąbywanie martwych gałęzi, które mogły zadusić zdrowy pień – to była odpowiednia pielęgnacja.

Na ekranie na obu kanałach pokazywano zbierające się tłumy. Londyńczycy wychodzili na ulice, by pokazać solidarność z ofiarami z tak odległego miejsca. Była to przewidywalna, godna podziwu reakcja i zabójcy na to właśnie liczyli. Di Taverner miała nadzieję, że jutro nie będzie żadnych ofiar, których pamięć będzie trzeba uczcić. Jednak każdego tłumy dotyczyła zasada, że jeśli rozłoży się go na części składowe, zawsze będą wśród nich jakieś ofiary.

River Cartwright był w tłumie i przeciskał się przez skupiska ludzi, w większości poważnych, zamyślonych, świadomych brzemienia tego dnia i tego, co chcą przekazać. „Nie boimy się”. Rozmawiano o Abbotsfield, często pojawiał się też temat śmierci Dennisa Gimballa i łączono te fakty. Za każdym razem, gdy zaglądał na stronę BBC, spodziewał się, że znajdzie tam swój własny wizerunek – obok wizerunku Coego. *Ci mężczyźni są poszukiwani przez policję.* Ale jak dotąd nic.

Dwa razy musiał pokazać identyfikator MI5, by przepuszczono go przez barierkę: nie przypominał sobie, by w Londynie kiedykolwiek zastosowano aż takie zabezpieczenia, ale to miało sens. Zamach podczas nabożeństwa za ofiary Abbotsfield byłby czymś więcej niż uderzeniem propagandowym; byłby niczym sztylet wbity w serce establishmentu, nawet gdyby zamachowcom nie udało się zbliżyć do samego opactwa. I nie uda im się. Jakikolwiek uzbrojony wróg w centrum Londynu nie przeżyłby teraz dłużej niż kilka sekund. Co nie oznaczało, że nie mógłby zabrać ze sobą kilkudziesięciu przypadkowych osób i trafić na nagłówki na całym świecie.

„Wąż zjadający własny ogon...”

Był wykończony, ale nie mógł sobie nawet wyobrazić, że potrafiłby zasnąć. Każdy nerw w jego ciele był napięty jak struna.

Zadzwoił do Louisy.

– Gdzie jesteś?

- Przy Storey's Gate. A ty?
- Niedaleko. Zostaniesz tam?
- Prosisz czy mi rozkazujesz?
- Proszę.
- W takim razie dobra.

Rozłączył się i ruszył dalej ulicą; to, co w normalnych okolicznościach zajęłoby dwie minuty, teraz będzie trwało raczej dziesięć.

Kilka godzin wcześniej wszyscy byli w Slough House. Flyte i Welles wyszli, zabierając ze sobą Kim; kulawe konie były w pokoju Ho, bo teraz, gdy jego regularnego użytkownika zabrakło, stał się ich wspólnym pokojem. River pomyślał, że powinni się pozbyć mebli; wstawić tu flippera. Albo szafę grającą. Nie żeby mógł się długo cieszyć takimi udogodnieniami. Ten pomruk, który słyszał w oddali, to nie był ruch uliczny wzbierający przy London Wall. To było napierające przeznaczenie.

Catherine, która czytała coś na iPadzie, powiedziała:

– Spodziewają się tysiący ludzi. Kilkudziesięciu tysięcy. Tak to jest, gdy przydarza się jakaś tragedia. Ludzie chcą pokazać solidarność.

– No cóż, lepiej by na tym wyszli, gdyby zaparkowali swoje dupska w domach – stwierdził Lamb. – Zmarli i tak mają to gdzieś.

– To jest ważne – odparła ostro. – Kiedy niewinnym ludziom przydarzają się złe rzeczy, reszta z nas powinna stanąć razem. Inaczej równie dobrze możemy żyć za barykadą.

– A wiesz, czemu dobrym ludziom przytrafiają się złe rzeczy? – spytał Lamb. – To przez tych wszystkich debili.

– No to jeden wielki problem teologiczny mamy z głowy. Wielkie dzięki. – Rozejrzała się po zebranych w pokoju zespole. – Wszyscy są wykończeni. Nic nie możemy zrobić. Czemu nie pójdziecie do domu?

- Powinniśmy być tam na miejscu – odparła Shirley. – W opactwie.
- I co robić? – spytał Lamb. – Rzucać w złych koleśi zszywaczami?
- Zszywacz potrafi narobić sporych szkód – mruknęła.

– Flyte zgłosiła wszystko w Regent’s Park, a oni poinformowali londyńską policję – stwierdził River. – Będzie tam policja, będzie wojsko, a MI5 będzie miało ludzi w terenie. Myślę, że jakoś sobie bez nas poradzą.

– Pewnie przyszło im już do głowy, że dzisiejsze nabożeństwo może być zagrożone – powiedziała Catherine. – Nie pozwoliliby przecież na to, by ksiądz brał w tym udział bez solidnej ochrony.

– Potwierdzone podejrzenie staje się roboczą teorią – odezwał się Coe.

– Dziękujemy ci, Konfucjuszu – odparł Lamb. Zwrócił się do Rivera: – Kto raz się sparzył, ma zimnego ducha?

– Nawet nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć – stwierdził River.

– Że ta mała przygoda wczoraj wieczorem sprawiła, że stronisz od broni. O co chodzi? Nie chcesz być w pobliżu, bo może się zdarzyć więcej... wypadków?

– Chcę się tylko trochę przespać.

– Tak jak my wszyscy – powiedziała Catherine. I powtórzyła: – Wszyscy powinniśmy iść do domu. Cokolwiek się dzisiaj stanie, to nie będzie na naszej warcie.

Zupełnie jakby się nie odzywała, Lamb powiedział:

– Nie wiem, co się stało w Slough, ale wy dwaj najwyraźniej naszczaliście pod prąd. Jakie są szanse na to, że niedługo wszyscy będziemy z tego pić?

Louisa ostentacyjnie się przeciągnęła.

– Cóż, Catherine ma rację. Jeśli jutro mamy pić szczyzny, równie dobrze możemy się najpierw trochę przespać.

– Nie jestem pewna, czy coś takiego powiedziałam.

Coe wyglądał przez okno.

– Czyli wspominam o Slough – odezwał się Lamb – i wszyscy chcą iść do domu. Komuś o podejrzliwym umyśle mogłoby to się wydać interesujące.

– To oni byli w Slough – zauważyła Louisa. – Ja pojechałam do Birmingham. I z powrotem. I nie spałam.

– Czyli nie zamierzacie przeszkadzać w opactwie?

– W tym stanie? Byłabym mniej więcej tak skuteczna jak Donald Trump junior.

– To jest Donald Trump junior? Jezu! A już myślałem, że nie może być gorzej.

Zadzwoił telefon, ale nikt nie sięgnął do kieszeni.

– Może ktoś uciszyć to cholerstwo? – spytał Lamb.

– To twój – stwierdziła Catherine.

– W takim razie możecie wszyscy stąd wypierdalać?

Wyszli i zebrali się ponownie w pokoju Shirley.

– Teraz jest dobry moment – stwierdziła Catherine. – Po prostu sobie idźcie.

Wszyscy.

– On wie, prawda? – spytał River.

– Jeśli tak, to pewnie lepiej na tym wyjdiesz – odparła. – Jeśli to, co się stało, wyjdzie na jaw, Slough House będzie miał kłopoty. A to znaczy, że on będzie po twojej stronie tak długo, aż wszystko się wyprostuje.

River wątpił, by wszystko mogło się szybko wyprostować, chyba że Lamb miał moc przywracania życia.

Shirley znikła. Coe znów wkładał sobie do uszu słuchawki, choć można było tylko zgadywać, czy słuchał kanału informacyjnego, czy swojej niekończącej się ścieżki jazzowej.

– Dobra, ja mam dość – powiedział River i wyszedł z budynku.

Na Aldersgate Street poczekał, aż dogoni go Louisa.

– Idziesz do domu?

– Wygląda na to, że tak nam kazali.

– To idziesz?

– Gdzie tam, do diabła.

– Ja też nie.

– Nie spodziewałam się tego. A co się stało z „myślę, że jakoś sobie bez nas poradzą”?

– Ostatnią rzeczą, na jaką teraz mam ochotę, jest znów dostać do pary Coego. Albo Shirley.

– Myślisz, że też się tam wybierają?

– Co do Coego nawet nie próbuję zgadywać. Cokolwiek będzie robił, mam nadzieję, że będzie daleko ode mnie. Ale Shirley tak.

– Pewnie masz rację. Jedziemy metrem?

Zostawił kluczyki do samochodu Ho na jego biurku; poza tym ruch w centrum Londynu pewnie całkiem zamarł.

– Tak.

Po przybyciu na miejsce rozdzielili się i zaczęli patrolować ulice, które powoli, a potem coraz szybciej wypełniały się ludźmi. Nie miało to większego sensu, ale mieli to zaprogramowane. To do tego byli szkoleni, zanim sobie przesrali w papierach. To właśnie ta maleńka iskierka nadziei, która nie do końca zgasła i którą wciąż troskliwie podsycali, mogła oświetlić ich drogę z powrotem do pracy w zawodzie. Po dwóch godzinach spotkali się na cołą i znów ruszyli w tłum. Teraz, dziewięćdziesiąt minut później, nabożeństwo żałobne miało się wkrótce zacząć, gotowe na uderzenie rwanej antyfony, gdy wybije pierwsza. River dostrzegł Louise przed sobą, przy latarni; w jednej ręce trzymała dwa kubki kawy i sprawdzała coś na telefonie.

– Coś zauważyłaś? – spytał, odbierając od niej kubek.

– Nic. A ty?

– Też nie.

Kawałek dalej przejeżdżały samochody. Dojazd do opactwa był zarezerwowany tylko dla VIP-ów. To pewnie księżęta, pomyślał River. Albo premier. Zaczyna się.

– Widziałaś Shirley?

– Nie. Coego też nie.

– Pewnie poszli do łóżka.

Louisa wypluła kawę.

– Jezu, nie. Chodziło mi o...

– Wiem, o co ci chodziło. Po prostu...

– Tak.

– Potrafisz to sobie wyobrazić? – Wsunęła telefon z powrotem do kieszeni. – Myślisz, że wszystko dobrze pójdzie?

– Z nabożeństwem?

– Ze wszystkim. – Rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy nikt nie słucha, ale i tak zniżyła głos: – Z Coem. I cała ta sprawa z Gimballem. Cholera, River, to naprawdę gruba afera.

– Nie wiem, co będzie – odparł bezbarwnym głosem. Zaczęli iść, minęli rząd zaparkowanych samochodów.

– Myślałeś o tym, żeby zgłosić to wyżej?

– Tak.

– No i?

– Nie wiem, w czym by to miało pomóc. Byłem tam tak samo jak Coe. Oboje wiemy, co to będzie oznaczać, jeśli dojdzie do wydawania wyroków. Są powody, dla których Regent's Park mógłby chcieć to zatuszować, ale pewnie jest o wiele więcej powodów, żeby tego nie robić. Między innymi taki, że nie jesteśmy ich ulubieńcami. – Miał za gorącą kawę. Gorąca kawa w gorący dzień. Ale to lepsze niż nic. – Powiedzieć ci coś śmiesznego?

– Powiedz.

– Zamierzałem odejść. Zanim wszystko się porąbało. Doszedłem do wniosku, że mam dość, i chciałem to rzucić. Zacząć nowe życie. – Roześmiał się: to nie był prawdziwy śmiech. – To były dobre czasy.

Louisa położyła mu rękę na ramieniu.

– Wszystko zważyło ci się teraz na głowę. To z twoim dziadkiem i cała reszta.

– Tak. Ale mimo wszystko...

– Nie podejmowałabym teraz żadnych wielkich decyzji. Nie, dopóki... Żółty samochód.

– Co?

– Nic. Dopóki wszystko się trochę nie uspokoi. Jeśli złapiemy tych koleś, będziemy bohaterami. To zmieni cały obraz. A poza tym, no wiesz... Lamb. On ma sposoby, by wszystko wyprostować.

– Istnieją pewne granice – odparł River. – A poza tym ze złapania tych koleś nic nie będzie, prawda? Realistycznie patrząc. Nawet jeśli się tutaj zjawia. Bo

szczerze mówiąc, w takim wypadku prędzej nas zastrzelą, niż zostaniemy bohaterami.

Louisa wyrzuciła kubek do kosza.

– Przestań siać taki defetyzm. – Znowu wyciągnęła telefon. – Nadal uważam, że to dziwne, że nie widzieliśmy Shirley.

– To wielki tłum. A ona jest malutka.

– Ale potrafi sprawić, żeby wszyscy poczuli jej obecność. Zadzwońię do niej.

– Pewnie ją obudzisz.

– Tak, to też będzie zabawne – powiedziała Louisa i zadzwoniła.

Na ścianie wisiały dwa telewizory, w tej chwili wyciszone. Oba pokazywały relacje z opactwa westminsterskiego. Premier właśnie zniknął w budynku, cienie pochłonęły go tak, jak z pewnością lada moment pochłonie go historia. Ale z drugiej strony ludzie mówili tak już od jakiegoś czasu. Na drugim ekranie widać było tłumy stojące przy ulicach. Mogłoby to być jakieś święto państwowe, ale powiewało niewiele flag. Na zbliżeniach widać było poważne twarze, czasem łzy.

– Widziałeś kiedyś tylu niebieskich na ulicy? – spytała Emma Flyte.

– Podczas ślubu w rodzinie królewskiej?

– Nawet wtedy nie było ich tylu. A do tego khaki. Muszą tam być ze dwa pełne pułki. Można by zainscenizować wojnę w centrum Londynu.

– Martwisz się, że coś się stanie? – spytał Welles. – Czy że się nie stanie?

Siedzieli w kwaterze psów, zwanej oczywiście Psiarnią, po tym, jak Taverner kazała im tam zostać przez najbliższy czas. W przypadku Flyte mogło się okazać, że to wcale nie będzie tak długo. Wczoraj siedziała w Slough House przykuta do krzesła i słuchała, jak ci idioci dyskutują, który może zginąć: Gimball czy Jaffrey. Gdyby poszła z tym prosto do Regent's Park, być może Gimball przetrwałby noc. A tak jej kariera o wiele go nie przeżyje.

No i teraz była tutaj i wciągnęła w to Devona. Ale jak dotąd na nic nie narzekał.

– Ta ekipa z Abbotsfield, ilu ich było? Pięciu? A teraz jest pewnie o jednego mniej, bo ktoś wyleciał przez okno – powiedziała.

– Dwa słowa – odparł Welles. – Oddział samobójców.

– Dobra. Ale nawet w takim wypadku, na ile udałoby im się zbliżyć do opactwa? W promieniu ćwierci mili nie ma ruchu. A pieszo nie uda im się podejść tak blisko. Nie teraz, gdy każda para oczu wypatruje podejrzanych typów.

– Nie muszą podchodzić blisko – odpowiedział Welles. – Tu nie obowiązują reguły pola walki, pamiętasz? Żeby być celem, wystarczy, że się zjawisz. Jeśli ci goście skoszą tłum na przejściu dla pieszych, uznają to za dobry wynik. Jakikolwiek tłum, jakakolwiek ulica. Wystarczy, że otworzą ogień.

– Pewnie – odrzekła. – Ale to by raczej nie było przejęciem kontroli nad mediami, prawda?

– Ekip z mediów tam nie brakuje.

– Nie podoba mi się to.

– Nikomu się to nie podoba. – Welles podźwignął się z krzesła. W kącie był stolik, na którym mrucał coś do siebie prastary ekspres do kawy. – Chcesz też?

– Mam w sobie już tyle kawy, że aż trudno w to uwierzyć – odpowiedziała Flyte. – Jeśli wypiję więcej, będziesz musiał zeskrobywać mnie z sufitu.

– To nie byłby pierwszy raz. – Napełnił papierowy kubek z dzbanka. – Nawet nie powinno mnie tu być – przypomniał jej. – Nie jestem na służbie.

– Pewnie. Buuu!

– Czuję, że czeka nas niedługo proces o nękanie.

– Robisz taki dramat z tego, że jesteś czarny – powiedziała. – Spróbuj sobie być blondynką. Wtedy się dowiesz, co to jest prześladowanie.

Roześmiał się.

Na jednym z ekranów zmieniło się ujęcie i Flyte cała się usztywniła. Jakieś zakłócenie, ludzie napierający do przodu do tego stopnia, że przewrócili barierkę.

– Dev?

Zdażył już odstawić kawę; kubek przewrócił się na blat i stoczył na podłogę.

A potem na ekranie pojawili się policjanci; pomagali ludziom wstać. Przenieśli barierkę, żeby nikt więcej się nie potknął.

Welles ciężko wypuścił powietrze.

Flyte powiedziała jakby do siebie:

– Tylu ludzi. Jak podczas koronacji.

– „Nie boimy się” – zacytował Welles. – Chcą tam być, pokazać tym sukinsynom, że nie wygrywają. Że nigdy nie wygrają.

– Ale niektórzy z nas i tak przegrają. – Na ekranie pokazano kogoś, kto najbardziej ucierpiał; młodą kobietę z twarzą wykrzywioną z bólu. Złamana noga? Jakieś inne złamanie. Dwóch policjantów kucą przy niej, jeden położył jej rękę na czole.

– Wolałabyś, żeby ulice były opustoszałe? – spytał Welles. – Żeby odbyło się nabożeństwo żałobne, na które nikt nie przyjdzie?

– Do tej pory wybierali sobie łatwe cele – odparła. – Tym razem czeka ich szok.

– Wątpię, żeby znalazło się wiele osób, które będą ich żałować.

– Nie. Ale zastanawiam się, czemu nagle stali się tacy ambitni. Nawet się nie zbliżą do opactwa.

– Wąż zjada własny ogon. To by się nie zdarzyło, gdyby nie zabili tych ludzi w Abbotsfield. Sami zapewnili sobie frekwencję ofiar. Co się stało?

Emma potwornie zbladła.

Lamb był niedaleko od Regent's Park i czekał na skrzyżowaniu w miejscu, gdzie nad chodnikiem pochylało się drzewo.

Nie było tu żadnych tłumów; poza okolicą opactwa Londyn był wyciszony, jakby łuk błękitnego nieba był przewróconą miską tłumiącą wszystko.

Specjalnie się spóźnił, ale nie wystarczająco, bo dopiero po całej minucie pojawiła się Molly Doran. Jej wiśniowy wózek inwalidzki brzęczał, jakby goniło go stado komarów. Lamb zapalił papierosa, a potem przesunął palcem po kołnierzyku.

Palec zrobił się wilgotny.

– Jaką prędkość wyciągasz na tym czymś? – spytał, gdy znalazła się w zasięgu głosu.

– Większą, niż można by pomyśleć.

Lamb parsknął.

– Może sam sobie taki sprawię. Chodzenie przy tej pogodzie to piekło. Puchną mi od tego stopy.

– Czy jest choćby jakaś mała część ciebie, której się to kiedyś znudzi?

Uśmiechnął się krzywo.

– Nie mam małych części. Pamiętasz?

– Praca pod tobą to musi być niezły ubaw, Jackson. – Wjechała wózkami w cień. – Opowiedz mi o Catherine Standish.

Na chwilę stała się rzecz niemal nieprawdopodobna i Jackson Lamb wyglądał na zbitego z tropu. Znajdował się jednak ponad linią wzroku Molly Doran i możliwe, że tego nie zauważyła.

– Jest pijaczką. Robi mi herbatę. Zajmuje się pisaniem na maszynie. No i co z tego?

– Nikt już nie pisze na maszynie.

– Nie interesuje mnie mikrozarządzanie. Na maszynie czy na czym tam. A czemu o to pytasz?

– To chyba sprawiedliwe, że w zamian dostanę jakieś informacje.

– W zamian za co? Jeszcze nic mi nie powiedziałaś.

– Naprawdę myślałaś, że zdradzę ci moje, nie poznawszy najpierw twoich? Daj spokój, Jackson. Nawet kiedy miałam nogi, nie rozkładałam ich tak łatwo. Była asystentką Charlesa Partnera, zgadza się?

– Nigdy jej nie poznałaś?

– Była na poziomie wykonawczym. Nie bywałam tak często na górze.

– Mogłaś pozostawić to mnie – odparł. – Musi się w tym kryć jakaś puenta.

– Pojawia się tu i ówdzie w aktach. W teczce Partnera. A teraz to tylko kolejna z tych historii, których zakończenia nigdy nie usłyszę.

– Jest kulawym koniem – odparł Lamb. – Tak jak wszyscy pozostali.

– Tyle że była pierwszą z nich, prawda? To ją zabrałaś ze sobą z Regent's Park. Dlaczego ją wybrałaś? To jest moja cena.

– Potrzebowałam kogoś, kto będzie robił mi herbatę. I pisał na maszynie.

– Pierdol się, Jackson.

Wyjął z ust papierosa i przyjrzał się rozżarzonej końcówce. Jaskrawopomarańczowe żyłki pod cienką warstewką popiołu. Dmuchnął na nią i popiół zniknął. Po chwili znów się pojawił.

– Pracowała w terenie – powiedział w końcu.

Molly Doran się zaśmiała. Trochę szyderczo, trochę rehotliwie. Tu, na ulicy, wyglądała jak ktoś, kto nie należy do świata, w którym pada dzienne światło.

– Przez całą karierę trzymała się biurka. Kiedy nie ujeżdżała połowy dostępnych w okolicy facetów. Jak widzisz, potrafię czytać między wierszami.

– Partner używał jej jako zasłony.

Teraz Molly głęboko wciągnęła powietrze. Satysfakcja malowała się na jej twarzy jak dodatkowa warstwa makijażu.

– Czyli plotki o Partnerze są prawdą.

– Cóż, raczej bym tego nie rozgłaszała. Sprawa nadal jest dość drażliwa.

– Czyli jego samobójstwo...

– Dość – powiedział kategorycznie.

Przerwała i powiedziała zamiast tego:

– Ale ją wykorzystał. I w twoich oczach czyni to z niej agentkę.

– W Slough House moje oczy są jedynymi, które się liczą. Skończyłaś już swoje gierki?

– Będzie mi tego wszystkiego brakować.

– Jeśli udam, że choć trochę mnie to obchodzi, przejdiesz wreszcie do rzeczy?

– Jackson, Jackson, Jackson. – Pokręciła głową, jakby odpędzała kilka złych myśli. – Ten dokument, który ukradł twój chłoptaś, Ho.

– Znalazłaś oryginał?

– Mhm.

– I są ślady w papierach?

– Och, ciężko ci przyjdzie w to uwierzyć – powiedziała Molly Doran.

– Źle to zrozumieliśmy – powiedziała Flyte. – Wszyscy źle to zrozumieli.

– Co masz na myśli?

– Chodzi o nabożeństwo żałobne, zgadza się. To tam zaatakują. Ale nie w opactwie westminsterskim. Wróć do Abbotsfield.

– Myślisz...

Ale Flyte już była w ruchu, za drzwiami; zmierzała do centrali.

–Pora, żebyś wydał rozkaz – powiedział An.

Ułożyli zwłoki Danny’ego na Joonie, tak że obaj leżeli jak kłody; ten na dole lśnił owinięty folią stretch, ten na górze z minuty na minutę stawał się coraz bardziej woskowy. Ostatnie myśli Danny’ego rozbryznęły się na bocznej ścianie furgonetki, ale teraz zasychały i miały już na zawsze pozostać tylko jego.

Shin spróbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Sięgnął po butelkę wody i upił spory łyk. Potem spróbował jeszcze raz.

– Ruszamy – powiedział.

– Głośniej.

– Ruszamy.

Siedzący z przodu Chris uruchomił silnik. Furgonetka zjechała ze skraju zapuszczonej drogi, pozostawiając za sobą chwasty i wysoką trawę, w której była dotąd zaparkowana, by znów rozpocząć walkę o powrót do pionu.

W dole Abbotsfield czekało na ich drugie nadejście.

Shirley odebrała po trzecim sygnale.

– Tak, co jest?

– Gdzie jesteś?

– A ty?

– Jestem przy opactwie, Shirl. Z Riverem. A ty też tu jesteś? Nie widzieliśmy cię.

– No tak, to pewnie dlatego, że mnie tam nie ma – odparła. – Proste.

Louisa stłumiła pełne irytacji westchnienie.

– No to gdzie jesteś?

– W Abbotsfield – powiedziała Shirley.

16

Gdy tylko Lamb opuścił Slough House, Shirley zakradła się do jego gabinetu. Może „zakradła się” nie było właściwym słowem, tak jak ukrywanie się nie było tym, co robiła tuż przed jego wyjściem. Ale to prawda, że nie chciała zostać przyłapana na tym, jak przeszukuje jego biurko, i dlatego prawie podskoczyła do sufitu, kiedy J.K. Coe powiedział do niej od drzwi:

– Szukasz broni Lamba?

– To broń Marcusa – udało jej się w końcu wydusić.

Wzruszył ramionami.

Słyszała, jak drzwi na tyłach budynku kilka razy otwierały się i zamykały, i uznała, że wszyscy sobie poszli. Gdyby miała obstawiać, postawiłaby pieniądze na to, że Coe wyjdzie jako pierwszy.

– Zresztą, to i tak nie twoja sprawa.

– Nie.

Dolna szuflada po lewej stronie była zamknięta na klucz. Shirley pogrzebała w kieszeni; znalazła zestaw kluczy Marcusa.

– Pewnie i tak mi powiesz – odezwał się Coe. – Jeśli będę tu stać dostatecznie długo.

– Strzelali do mnie – powiedziała. – Pod domem Ho. Jeśli znów będą do mnie strzelać, chcę odpłacić im tym samym.

– Pod opactwem?

– Tak.

– Każdy, kto wyjmie dziś broń w pobliżu opactwa, po dwudziestu sekundach będzie karmą dla kota.

Shirley nie odpowiedziała.

Najmniejszy klucz pasował. Otworzyła szufladę i znalazła pudełko po butach.

– Tyle tylko że nie wydaje mi się, żeby wybierali się do opactwa – stwierdził Coe.

– Którzy?

– Ekipa z Abbotsfield.

– Czemu nie?

– Bo grają w wioskowego krykieta, a opactwo to mecz reprezentacji narodowej.

Zdjęła wieczko z pudełka. W środku leżały dwa pistolety. Pierwszy marki Heckler & Koch, który, jak się domyślała, należał do Lamba, i glock Marcusa.

– I nie sądzę, żeby te dzieciaki chciały się mierzyć z najlepszym, co ma do zaoferowania Londyn. Myślę, że wolą łatwy cel.

– To dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Bo w tej chwili nikt mnie nie słucha.

– To pewnie dlatego, że zabiłeś Dennisa Gimballa.

Glock był naładowany; to miło. Drugiego nie sprawdzała. Kradzież pistoletu Lamba, pomyślała, byłaby gorsza niż zwęczenie mu lunchu, a nikt nigdy nie zwędził Lambowi lunchu.

Wzięła glocka, potem odłożyła wieczko na pudełko, schowała je z powrotem do szuflady i zamknęła ją na klucz.

– Jeśli poczujesz się od tego lepiej, pewnie powinni postawić ci pomnik – powiedziała.

– Dzięki.

– Ale nie postawią. Wsadzą cię do więzienia. Przykro mi.

– Masz to, czego chciałaś?

– Mhm.

– Czyli teraz ruszasz do opactwa.

To tam pojechali Louisa i River; te gnojki na nią nie czekały. A Coe miał prawdopodobnie rację, jeśli chodziło o wymachiwanie dzisiaj bronią, ale nie zamierzała nią przecież wymachiwać, prawda? Brała ją tylko na wszelki wypadek. Następnym razem, kiedy ktoś będzie do niej strzelał, nie rzuci się na ziemię za jakimś samochodem.

– Myślałam, że poszedłeś już do domu – powiedziała, wstając.

– Uważasz mnie za psychopatę?

– W sumie to się nad tym nie zastanawiałam – skłamała. – Tak, możliwe.

Dlaczego pytasz?

– Tak tylko się zastanawiałem.

– Nie jestem specjalistką, no wiesz. To tylko moje zdanie.

– Wiem.

– Właściwie to ty jesteś z oceny psychologicznej. Jak ty uważasz?

– Nie jestem pewien. Mogę nim być.

– Na pewno ostatnio jesteś rozmowniejszy.

– To akurat niekoniecznie musi o czymś świadczyć.

– Załóżmy, że nie. – Czują się trochę niezręcznie, trzymając podczas tej rozmowy broń. Mógł sobie pomyśleć, że miała potrzebę, by się przed nim bronić.

Broń nie bardzo się mieściła w kieszeni jej kurtki. Będzie potrzebowała torby albo czegoś podobnego.

– Nie spytałaś, gdzie według mnie się pojawiają.

– Gdzie się według ciebie pojawiają?

– W Abbotsfield – powiedział Coe.

– Poważnie?

– Dzisiaj odbywa się tam nabożeństwo upamiętniające ofiary. O tej samej porze, co w opactwie westminsterskim. Pewnie będzie tam jakaś ochrona, ale nic, co mogłoby się równać z tą w Londynie. I będą media.

– Chcą uderzyć tam drugi raz?

– Nie jestem pewien, czy ktokolwiek to kiedyś zrobił – stwierdził Coe.

– Słodki Jezu na rowerku!

– Pewnie trzyko...

– Musisz o tym komuś powiedzieć!

– Nikt mnie nie słucha. – Potarł nos i dodał: – Z powodu tego, co się stało w Slough.

– Tak, ale...

– I mogę się mylić.

– Tak, ale...

– A więc pomyślałem, że wybiorę się tam sam.

– Serio?

– To jakieś trzy godziny jazdy samochodem. Trochę więcej.

Podrzucił do góry kluczyki i je złapał. Domyśliła się, że od wozu Ho.

– A co, jeśli masz rację? Co jeśli tam są?

– Teraz masz broń, prawda?

Powinnam się trzymać planu A, pomyślała. Wszyscy pozostali trzymali się planu A. Nie chciała angażować się w plan B, kiedy wszyscy pozostali będą się dobrze bawić.

– Albo możesz się wybrać pod opactwo. Dołączyć do tłumów. – Znów podrzucił kluczyki. – Twój wybór.

– Czemu chcesz, żebym jechała z tobą?

– Do pomocy?

Nie potrzebował pomagiera, pomyślała. Potrzebował zaklinaczki fiuta. Ale na jedno wychodzi.

Co by zrobił Marcus? Opactwo czy Abbotsfield? Wszyscy wybrali się do opactwa. A to oznaczało, że gdyby miała się znaleźć jakaś chwała do podziału, udziały będą nędzne, tak że nikt tego nawet nie zauważy.

– To jak, jedziesz?

Marcus upewniłby się, że wszystkie wyjścia są obstawione, pomyślała.

– No dobra, niech będzie.

I teraz byli tam.

Spędzili trzy i pół godziny w samochodzie. Niewiele rozmawiali. Po dwóch godzinach się zamienili i Shirley prowadziła drugą połowę drogi przy ćwierkającej od czasu do czasu nawigacji satelitarnej. Czuła przy ciele broń, która tworzyła niewygodne wybrzuszenie kieszeni. W drugiej miała paczuszkę koki. Przyszło jej do głowy, że gdyby zostali zatrzymani i przeszukani, to połączenie nie świadczyłoby o niej za dobrze. A więc doszła do wniosku, że byłoby najlepiej, gdyby nie zostali zatrzymani i przeszukani. Niektóre problemy rozwiązywało się łatwiej niż inne.

Krew na podbródku Coego zaschła, ale jej nie wytarł. Shirley czuła w uchu nieprzyjemne ciepło, ale dzięki taśmie klejącej przynajmniej nie kapała z niego krew.

Za każdym razem o pełnej godzinie sprawdzali wiadomości: nic szczególnego. Dennis Gimball wciąż zapełniał nagłówki – były to jego ostatnie chwile skupiania na sobie uwagi. Napływały też relacje z okolic opactwa westminsterskiego, gdzie na ulice wyległy tłumy oplakujących ofiary.

Lepiej niech to się nie okaże stratą czasu, złamasie, pomyślała Shirley, ale nie powiedziała tego na głos. Nie dlatego, że Coe mógł być psychopata, ale na wypadek, gdyby nim nie był. Bo jeśli miał uczucia, jego przyszłość malowała się ponuro nawet bez Shirley, która by je raniła.

W Derbyshire znaleźli się w innym świecie. Wszędzie wokół wznosiły się wzgórza, a drzewa rzucały cień na drogi. Pojawiły się żywopłoty, czasem ustępujące miejsca przydrożnym rowom, i gdziekolwiek spojrzeć, pasły się owce i krowy.

Ostatnim razem, gdy była na wsi, widziała pawia. Był jedną z nielicznych spotkanych tam przez nią żywych istot, która raczej nie była rosyjskim szpiegiem.

W miejscu, gdzie droga zaczęła opadać w dół, pojawił się znak z napisem ABBOTSFIELD. „Dojechałeś do celu”, zaćwierkała nawigacja satelitarna. Miło mieć konsensus.

– Hej – powiedziała. Nie wiedziała, jak się do niego zwracać: Coe? J.K.? Można by pomyśleć, że ta kwestia jakoś się wyjaśniła w ciągu poprzedniego roku,

ale bez względu na to, co wolał, w tej chwili spał, albo przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Shirley pacnęła go w ramię: lekko, ale nie na tyle lekko, by mógł udawać, że śpi dalej. Otworzył oczy. – Jesteśmy na miejscu.

Coe wyjął z uszu słuchawki i się rozejrzył.

Było tu całkiem sporo policjantów; wyglądali na nieuzbrojonych i zatrzymywali ruch. Coe machnął jednemu przed nosem identyfikatorem MI5, co sprawiło, że tamten uniósł brwi. Po jednej stronie głównej ulicy stały zaparkowane samochody, a po drugiej dwie ekipy telewizyjne kręciły ujęcia z dziennikarzami. Kolejne samochody były zaparkowane wzdłuż trzech bocznych ulic, z których każda po jakichś stu jardach przechodziła w nicość. Tymczasem główna ulica zataczała pętlę wokół kościoła, wciskając się między coś, co Shirley chciała nazwać ogródkiem na tyłach, choć było tam pełno nagrobków, a wysokim murem, który prawdopodobnie otaczał dwór albo coś w tym stylu. Wieś rządziła się swoimi zasadami i Shirley nie była pewna, czy je rozumie. Ale bez względu na to, jakie były, miały swój początek za tym murem albo za jakimś jemu podobnym.

Przed kościołem, przy czymś przypominającym ganek, który udekorowano kwiatami, zabawkami i różnokolorowymi kawałkami papieru powycinanymi w różne kształty, stał policyjny radiowóz. Serduszka i jeszcze więcej kwiatów. Kolejna furgonetka należała do trzeciej ekipy telewizyjnej zajmującej w tej chwili ścieżkę prowadzącą do kościoła, co Shirley uznała za natarczywe. Z drugiej strony, sama zjawiała się z bronią w kieszeni. To też mogło się wydawać trochę niepożądane.

Teraz, gdy już tu była, miała nadzieję, że okaże się inaczej.

Ruszyła pętlą wokół kościoła, znalazła miejsce, w którym samochód Ho prawie się mieścił, i wbiła się w tę przestrzeń. Wyłączyła silnik i automatycznie poklepała się po kieszeni – broń wciąż tam była, bo gdzie niby miałyby się podziać? – a potem rozejrzała wokół. Za kościołem stał rząd chałup, ze skrzynek na kwiaty zwisały barwne plamy, w innych miejscach bukiety poprzywiązywano do słupów latarni i było też coś narysowanego na drodze kredą, co wyglądało jak rysunek dziecka: jeszcze więcej kolorów. I więcej kwiatów, zdała sobie sprawę Shirley,

a potem: to było miejsce, gdzie upadła jedna z ofiar. Na pewno był tu gdzieś pomnik ofiar wojny, w większości wsi taki był. A teraz Abbotsfield miało taki pomnik wszędzie, gdzie tylko spojrzeć.

– Czemu tak naprawdę to robisz? – zapytała Coego.

Przez chwilę patrzył prosto przed siebie.

– Jeśli po mnie przyjdą z powodu Gimballa? – powiedział w końcu.

– Przyjdą.

– Wtedy dobrym pomysłem może być zrobienie czegoś, co będzie przemawiać na moją korzyść.

„No więc zabiłem deputowanego”, pomyślała, „ale pojechałem aż do Derbyshire, licząc na to, że może uda się złapać jakichś drani”.

Naprawdę nie sądziła, żeby jedno mogło zrównoważyć drugie.

– I co teraz?

– Główna ulica jest całkiem nieźle pilnowana – stwierdził.

– Przez nieuzbrojonych policjantów.

– Przynajmniej trzech z nich ma broń – zauważył. – Dwóch na tamtym rogu.

I jeden dalej, przy ulicy. Mijaliśmy go pierwszego, tuż za znakiem z nazwą wsi.

Sądziła, że wtedy spał.

– Karabiny?

– Jeden. I dwa karabiny maszynowe.

– Niezły w tym jesteś.

– Mam lekką paranoję – odparł. – To pomaga.

Zastanawiała się przez chwilę, czy to był żart, a potem uznała, że to nie ma znaczenia.

– To co sugerujesz?

Wzruszył ramionami.

– Przyjechaliśmy tutaj i na tym moje pomysły się kończą.

– Ja chyba wejdę do kościoła.

– W takim razie lepiej nie noś tego w kieszeni.

Postanowiła, że wsunie broń za pasek dzinsów i zakryje ją kurtką.

I tak właśnie zrobiła, kiedy wysiedli z samochodu. Coe pokiwał głową, pewnie potwierdzając w ten sposób, że teraz pistolet mniej rzuca się w oczy, a potem wskazał ręką na drogę.

– Ja się rozejrzę tam.

A kiedy już to zrobi, pomyślała, będzie mógł przejść się jeszcze kawałek w drugą stronę i sprawę będą mieli mniej więcej z głowy.

Sama przeszła na drugą stronę ulicy. Kiedy wjeżdżali do wioski, biły dzwony, ale teraz ich bicie ustało. Ludzie z ekipy telewizyjnej przynosili swój sprzęt ze ścieżki wiodącej do kościoła na chodnik. Przyglądali jej się przez chwilę, ale najwyraźniej doszli do wniosku, że nie jest dla nich dobrym materiałem.

– Pełna widownia? – spytała, mając na myśli kościół.

Jeden z nich, około trzydziestki, w T-shircie z napisem W TWOJEJ SPRAWIE, rzucił na nią okiem i powiedział:

– Tak.

– A stacji telewizyjnych?

Zastanowił się.

– Może cztery ekipy...

Przejąc media, pomyślała Shirley.

– I dwie z radia, robią teraz sondę uliczną przy sklepie – dorzuciła jakaś kobieta. Słowo „radio” wypowiedziała tak, jakby chodziło jej o odrę; jedną z tych rzeczy, o których można by pomyśleć, że do tej pory udało się ich już pozbyć.

Zostawili ją na nieregularnie wybrukowanej ścieżce prowadzącej przez cmentarz do ganku kościoła. Leżały tu kolejne sterty kwiatów: pozostawiona sama sobie masa bukietów, przez co Shirley zaczęła się zastanawiać, jaki to ma sens; piętnaście czy dwadzieścia funtów wydane na gest, którego nikt nie zauważy i który będzie tylko częścią wielkiej, masowej orgii uczuć. Jediną osobą, która czuła się od tego lepiej, była florystka. Ale gdy przechodziła obok, poczuła zapach: uderzył w nią jak wahadłowe drzwi. W tym samym momencie zadzwonił jej telefon.

Jej pierwszą idiotyczną reakcją było sięgnięcie po broń.

Na szczęście nie było nikogo, kto mógłby to zauważyć. Z wnętrza kościoła dobiegał wspólny szmer rytualnych odpowiedzi, a potem szuranie, które mogło być czymkolwiek, ale było odgłosem dużego zgromadzenia sięgającego po śpiewniki kościelne. Shirley odebrała telefon po trzecim sygnale.

– Tak, co jest?

– Gdzie jesteś? – spytała Louisa.

– A ty?

– Jestem przy opactwie, Shirl. Z Riverem. A ty też tu jesteś? Nie widzieliśmy cię.

– No tak, to pewnie dlatego, że mnie tam nie ma – odparła. – Proste.

Louisa stłumiła pełne irytacji westchnienie.

– No to gdzie jesteś?

– W Abbotsfield.

– Że co?

– Jesteśmy tu z Coem.

– Co wy, u diabła, tam robicie?

To samo, co Louisa i River robili przy opactwie, pomyślała Shirley. Byli w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie.

Zaczęły się śpiewy. Oczywiście coś sakralnego i przepełnionego smutkiem. Shirley rozpoznała melodię, ale nie mogła sobie przypomnieć, co to takiego.

– Nic specjalnego – odparła. – Co się tam dzieje?

Czekała, ale Louisa nie odpowiedziała. Do Shirley dotarło, że zgubiła sygnał. Znajdowała się na takiej zapadłej prowincji, że cud, że jej telefon w ogóle zadzwonił.

Schowała go, otworzyła drzwi i wśliznęła się do środka. Kościół był wypełniony po brzegi i wszyscy stali i śpiewali; powietrze było gęste i ciepłe; światło poznaczone wzorem kolorów. Kiedy weszła, kilka osób się odwróciło, ale niewiele, i najciszej, jak potrafiła, zamknęła za sobą drzwi. W tylnych ławach były wolne miejsca, ale teraz, gdy już się tu znalazła, nie była pewna, czy chce zostać. Nie chciała też od razu się wycofywać. To byłby brak szacunku. Stała więc przy

drzwiach i się rozglądała. Ile minęło czasu, odkąd ostatnio była w kościele? I czy miała teraz coś do powiedzenia Bogu? Pewnie chciałyby go zapytać, czemu uważa, że to w porządku, że ci mordercy wdarli się do tego spokojnego miejsca. Ale on od niepamiętnych czasów przyglądał się masakrom na wsiach. Do tej pory powinien mieć albo niezawodną odpowiedź, albo go to nie obchodziło.

Hymn przeszedł w refren i kościół wypełniły dźwięki.

Minęło dobrych parę minut, nim ktokolwiek zdał sobie sprawę, że padły strzały.

Kiedy Chris zobaczył znak z napisem ABBOTSFIELD, na którym znajdowała się też sugestia, by goście jechali ostrożnie, przyśpieszył do trzydziestu, trzydziestu pięciu mil na godzinę.

– Jedź normalnie – syknął za jego plecami Shin.

Ale An powiedział:

– Nie, tak jest dobrze.

Shin miał na koszuli nie swoją krew.

Trysnęła na niego, gdy umierał Danny. I miał na sobie coś jeszcze, co wyglądało jak jajecznicza, więc gdyby wyszedł na światło dzienne, wyglądałby strasznie.

Ale i tak będzie wyglądał strasznie, gdy znów zjawi się na ulicach Abbotsfield.

– Będą tam kamery – powiedział An. – Nasze zwycięstwo zobaczą na całym świecie.

A co potem? – zastanawiał się Shin. Sam Najwyższy Wódz zobaczy ich zwycięstwo, to prawda, ale co potem?

– My bierzemy kościół – powiedział An jakby w odpowiedzi na jego pytanie. – To tam się teraz zebrali. Będą się modlić, ale nie dostaną tego, o co się modlą.

Trzydzieści pięć, czterdzieści.

– Przykujemy ich uwagę na całą wieczność.

Furgonetka kołysała się i podskakiwała na nierównej nawierzchni.

Kawałek przed nimi na drogę wyszła policjantka i machnęła, żeby się zatrzymali.

Kiedy J.K. Coe zobaczył zbliżającą się furgonetkę, pomyślał, że nie jest dobrze.

Pojazdy były teraz bronią. Wszystko było bronią.

Dotarł na najodleglejszy skraj wioski, miejsce, w którym doszło do zamachu, a potem zawrócił w stronę kościoła. Koło jedyne go sklepu, przed którym wystawiono na plastikowym stojaku gazety, podeszło do niego dwóch dziennikarzy. Jeden z nich trzymał mikrofon, ale Coe odpędził ich machnięciem ręki. Kawałek dalej zatrzymała go policjantka i znów pokazał swój identyfikator, ale nie podał żadnego wyjaśnienia swojej obecności tutaj. „Jestem tu, bo jeśli pójdę do domu, będę tylko czekał na pukanie do drzwi”. Przyjrzała się identyfikatorowi, jakby pierwszy raz taki widziała, bo pewnie zresztą tak było, a potem powoli ruszyła dalej patrolować ulicę. Pół minuty później, po tym, jak obszedł szerokim łukiem dwie ekipy telewizyjne, coś go skłoniło, by obejrzeć się za siebie. Zobaczył szybko zbliżającą się furgonetkę.

Niedobrze.

Policjantka wyszła na drogę, żeby ją zatrzymać.

Nie miała broni. Zresztą, gdyby była uzbrojona, to też nie zrobiłoby wielkiej różnicy. Gdy furgonetka ją ścieła, poleciała na ścianę najbliższego domu i zawisała na niej na ułamek sekundy, nim osunęła się na ziemię. Po zderzeniu furgonetką zarzuciło, z udręczonym zgrzytem zahaczyła o zaparkowany samochód, a potem wyrównała i zbliżała się szybko w stronę Coego.

Coe również opadł na ziemię i schował się za samochodem.

Rozległy się krzyki i odgłosy biegnących ludzi. Ktoś wrzeszczał przez przypięte radio. Dziennikarze też biegli w stronę leżącej policjantki, ale gdy furgonetka ich mijala, tylne drzwi się otworzyły i Coe usłyszał „puk-puk-puk” strzałów z broni automatycznej. Jednego z dziennikarzy odrzuciło na bok i odbił się od maski jakiegoś samochodu.

Ktoś krzyczał.

Gdy furgonetka przemknęła obok, z bocznej ulicy wynurzył się policjant, wycelował i oddał trzy strzały, za każdym razem trafiając w tylne drzwi, które bujały się na zawiasach i na chwilę znów się zatrzasnęły. A potem ponownie się

otworzyły, gdy furgonetka gwałtownie podskoczyła: z miejsca, w którym się przycisnął, Coe widział przez moment postać ubraną w strój khaki, stojącą, uzbrojoną. Poczł zapach strachu, metalu i radości i zobaczył, jak policjant próbuje wykonać piruet i rezygnuje w połowie. Jego karabin uderzył o ziemię sekundę po tym, jak upadło na nią ciało. Furgonetka zatrzymała się w poprzek drogi.

Za jego plecami ktoś krzyknął:

– Kręcisz to?

Kierowca wysiadł z furgonetki, uniósł broń i zginął na miejscu, gdy dwóch uzbrojonych policjantów równocześnie otworzyło ogień.

W całym tym zamęcie Coe podniósł się na nogi. Z zaciekawieniem odkrył, że jego ciało wydawało się podejmować własne decyzje. Działo powoli, ale skutecznie. Z tyłu furgonetki wyskoczyły co najmniej dwie postacie, a jeden z policjantów przebiegł przez cmentarną bramę na teren kościoła i teraz strzelał zza osłony muru. Drugi ukrył się za opuszczoną furgonetką i przyjął pozycję do strzału, ale nie użył broni; wykrzykiwał do kogoś instrukcje. Do samego siebie?

Coe przeszedł na drugą stronę ulicy i pochylił się nad leżącym policjantem. Chciał sprawdzić puls, ale wyglądało na to, że ma to niewielki sens, bo brakowało mu znacznej części gardła. Coe zastanowił się, jak się z tym czuje, i doszedł do wniosku, że jeszcze nie czuje nic. Może z wyjątkiem tego, że wolałby, żeby go tutaj nie było. Niemniej przekonał się, że sięga po leżący na ziemi karabin.

– Odłóż to! Rzuć broń!

Tym razem polecenie było wyraźnie skierowane do niego, więc zrobił właśnie to, odłożył karabin, a wtedy kolejne strzały przecięły polecenie na pół:

– Rzuć bro...

Nie było już dla niego jasne, gdzie podziiali się uzbrojeni napastnicy. Nie widział żadnego z nich, przy założeniu, że było ich dwóch, *tylko* dwóch. Widział natomiast policjanta, który chwilę wcześniej do niego krzyczał: leżał bezwładnie na drodze. A więc napastnicy byli poza polem jego widzenia. Musieli być za rogiem kościoła, na drodze, która zataczała wokół niego pętlę, tam, gdzie zaparkowała

Dander. Ich kierowca wciąż był przy furgonetce, tak samo jak on podziurawionej kulami. Bonnie i Clyde, pomyślał Coe.

Jakaś ekipa telewizyjna wyszła na otwartą przestrzeń i filmowała wydarzenia.

Należałoby coś z tym zrobić, pomyślał, ale nie miał najmniejszej chęci zgłaszać się na ochotnika. Zamiast tego znów podniósł karabin i ocenił jego ciężar, zupełnie jakby wiedział, co robi. Jakies sto jardów za nim ktoś zawodził: tylko tak można było to nazwać. Ze zdziwieniem zauważył, że pogoda wciąż była piękna, niebo nad głową wciąż błękitne. Z karabinem w rękach ruszył w stronę furgonetki.

To nie było mądre, pomyślał. Powinien się kulić, ukrywać, za czymś schronić. Ale ktokolwiek strzelał, znajdował się teraz za róg. Kule, pomyślał Coe, nie radzą sobie najlepiej ze skręcaniem za róg. Dopóki pozostanie na głównej ulicy, będzie bezpieczny.

Dotarł na róg i się zatrzymał. Czy zachowywał się jak psychopata? Na pewno nie było to rozsądne. Zastanawiał się, gdzie się podziała Shirley Dander i czy zaraz pojawi się, miotając ogniem, czy też może już nie żyje. W ostatnich latach spędził dużo czasu, licząc na to, że nic się nie stanie, a jeśli już się stanie, on będzie daleko od tego miejsca. I co teraz wyprawiał? Nie był do tego stworzony. Kiedy ostatnio kogoś zabił – no dobrze: kiedy ostatnio umyślnie kogoś zabił – ten człowiek był nieuzbrojony i przykuty do kaloryfera. Ryzyko było niewielkie. I nawet wtedy odrzut zwichnął mu kciuk.

Najbliższa ekipa telewizyjna filmowała teraz jego. Nie mieli broni, może powinien ich po prostu zastrzelić. Zamiast tego wyszedł za róg.

Po drugiej stronie drogi policjant za niskim kościelnym murkiem wypuścił dwie szybkie serie, które pozostawiły schludną linię dziur w rzędzie zaparkowanych samochodów; jeden z nich należał do Rodericka Ho. I to za samochodem Ho ukrył się napastnik: siedział na chodniku, z wyciągniętymi nogami, oparty plecami o drzwi od strony kierowcy. Zmieniał właśnie magazynek i skończył, gdy Coe na niego spojrzał. Następnie na wpeł przetoczył się na kolana, oparł broń o maskę samochodu i wypuścił serię w stronę policjanta. Kule strzaskały witraże wzdłuż bocznej ściany kościoła. Coe zastanawiał się, czemu ten człowiek

nie patrzy na niego. On sam widział przeciwnika doskonale, a ten jakby go w ogóle nie zauważył. Znajdował się jakieś pięćdziesiąt jardów od niego. Blaszana kaczka na strzelnicy. Ale lepiej dmuchać na zimne. Napastnik miał półautomatyczną broń; mógł wystrzelić znacznie więcej pocisków niż Coe. Gdyby Coe teraz strzelił i chybił, spotkałoby go coś o wiele gorszego niż zwichnięty kciuk.

A więc podszedł bliżej, powoli, równym krokiem, cały czas trzymając napastnika na muszce.

Śpiew zaczął się załamywać, zanim posypało się szkło.

Shirley widziała to jako serię eksplozji: boczne witraże kościoła rozpadające się na barwne gradowe kule. Odłamki posypały się aż do połowy nawy, nim spadły na głowy zgromadzonych. Brzmiało to jak poruszane wiatrem dzwoneczki, brzmiało jak lód. A wtedy harmonie również rozpadły się i rozsypały i hymn przeszedł w histerię. Organy umilkły i rozległy się krzyki. Ludzie kulili się i uchylali, osłaniali siebie i bliskich przed kalejdoskopowym gradem, a ci przy końcach ław rzucili się do drzwi, przy których stała Shirley.

Nie mogą wyjść, pomyślała. To tam są karabiny.

W zamku tkwił wielki staromodny klucz; przekręciła go, wyjęła, a potem stanęła przodem do tłumu, z szeroko rozrzuconymi rękoma.

– Nie! – krzyknęła albo tak jej się wydawało; wszystko załamało się tak nagle, że nie mogła być pewna, czy wydobywa z siebie głos. Szkło przestało się sypać, ale nagła zmiana światła, ostre słońce zamiast kolorów, była jak uderzenie w twarz. Jak szybko wierni zmienili się we wzburzony tłum; jak szybko powietrze wypełnił krzyk. Jakiś młody mężczyzna potknął się, próbując wyjść z ławy, a człowiek, który był za nim, stratował go w dzikiej furii ucieczki.

– Nie! – krzyknęła znowu, ale tłum już na nią napierał; przyciskał ją do drzwi, uniemożliwiając oddech. Modlitwa przeszła w panikę, inną jednoczącą siłę, ale taką, która nie ma czasu myśleć o swoich częściach składowych. Ktoś nadepnął jej na stopę i wyszarpnął ją, ale to było jak walka z pędzącym stadem. Ci, którzy znajdowali się z przodu, tak jak Shirley, byli unieruchomieni, zaś ci z tyłu, wciąż

zaprogramowani na ucieczkę, pchali i napierali, jakby to mogło im coś dać. Wydało jej się, że słyszy na zewnątrz kolejne strzały. Ale to był odległy problem, bo po tej stronie drzwi, w tej gęstwinie ciał, wszystko zaczęło jej się zamazywać przed oczami i strach pochłonął jakąkolwiek racjonalność. Jeśli tak dalej pójdzie, zginą ludzie. I ona będzie wśród nich. Ktoś znów nadepnął jej na stopę, czyjś łokieć trafił ją w twarz. Czyjaś głowa uderzyła ją w nos i pojawiła się krew.

Jakiś mężczyzna gdzieś z tyłu szarpał ludzi znajdujących się przed nim. Zacisnął ramię na szyi jakiejś kobiety i rzucił ją na podłogę.

Shirley zamknęła oczy i poczuła, że drzwi jęczą. Gdyby teraz ustąpiły, zostałyby zmiażdżona przez ten napór zombie.

Powinna była im pozwolić pobiec wprost na uzbrojonych napastników. Krzyk się nasilił, panika wzbierała. Coś wciskało jej się w brzuch, jakaś część czyjegoś ciała, i nie potrafiła powiedzieć jaka, ale było to jedno z jej ostatnich doznań. Powolne oduczanie się oddychania. To właśnie tak czują się grzebani żywcem. Pogrzebana żywcem przez ludzi. Przełknęła krew: jej ostatni posiłek. Gdyby mogła sięgnąć po broń, zastrzeliłaby się. W chwili, gdy podjęła tę decyzję, zdawała się ona bardziej jak modlitwa albo przynajmniej coś, co najbardziej przypominało modlitwę od czasów, gdy stała się dorosła. Pozwól mi sięgnąć po broń. Nie zrobię krzywdy nikomu innemu.

Potem rozległo się bicie dzwonu.

Ludzie wciąż krzyczeli i napierali, Shirley wciąż walczyła o oddech, ale teraz przez cały ten hałas przebijały się dźwięki dzwonu. Były pod tym hałasem, za nim, obok niego, a wreszcie nad nim. Były dźwięczne i melodyjne i im bardziej stawały się natarczywe, tym cichsze stawały się krzyki. Ktoś cofnął łokieć z twarzy Shirley, to, co wbijało jej się w brzuch, przestało napierać i znów mogła oddychać: powietrzem pełnym potu, strachu i smrodu niedoszłej śmierci. Ale powietrzem. Uświadomiła sobie, że kurczowo coś ściska – czyjeś ramię – i je puściła. Ludzki walec się cofnął. Niektórzy wciąż leżeli na podłodze, słychać było płacz, jęki i inne pełne przerażenia odgłosy, ale krzyki ustały, a dzwon ciągle dzwonił.

Shirley widziała teraz ołtarz, gdzie stał pastor i wymachiwał dzwonkiem. Gdy tak patrzyła, zwolnił, a potem przestał. Rozeta za nim pozostała nietknięta. Ale wysokie wąskie witraże w ścianie po prawej były roztrzaskane i wszystkie historie, które kiedyś opowiadały, leżały we fragmentach na podłodze i ławach lub uwięzły ludziom we włosach. Na zewnątrz zakończyła się też inna historia: strzały umilkły. W ich miejsce pojawiły się jakieś radiowe trzaski i głosy, ciskane przekleństwa i syreny w oddali.

A teraz na samym końcu głównej nawy pojawił się młody mężczyzna trzymający karabin maszynowy z krótką lufą.

Tłum odpadł od Shirley, a ona przeszła nad tymi, którzy pozostali na podłodze. Stopniowo wszyscy uświadamiali sobie obecność mężczyzny z bronią, ale zamiast nowego napadu paniki ludzi ogarnął jakiś rozpaczliwy spokój. Ci, którzy wciąż siedzieli w ławach, pochyłili głowy, jakby odmowa patrzenia na to, co zamierzał zrobić, negowała efekt jego działań, a ci, którzy zdołali dotrzeć do drzwi, rozpięzchli się, szukając czegoś, za czym mogliby się schować.

Ale niektórzy nadal stali i mierzyli go wzrokiem.

Jak się tutaj dostał? – zastanawiała się Shirley.

A potem: tylne drzwi. Zawsze są jakieś tylne drzwi.

Niemal nie zdając sobie sprawy, że to robi, sięgnęła po swoją broń, pistolet Marcusa, i oburącz uniosła go przed sobą.

Sześć kroków i ona też znalazła się w przejściu pośrodku głównej nawy.

– Rzuć broń – zawołała.

Mężczyzna gapił się na nią. Zerknął na swoją broń, a potem znów zaczął wpatrywać się w Shirley.

Powinna zastrzelić go bez ostrzeżenia. Był uzbrojony i niebezpieczny. Był już tu wcześniej. Wokół były dziesiątki niewinnych ludzi i każdy mógł stać się celem, a on w ciągu kilku sekund mógł ich pociąć na wstążki. Nawet w chwili, gdyby umierał, palec zaciśnięty na spuście mógł wciąż odbierać ludziom życie. Powinna strzelić do niego teraz: wpakować mu kulę w głowę. Była dobrym strzelcem. Mogłaby go stąd zabić.

Sądząc po wyglądzie, miał jakieś siedemnaście lat. Może osiemnaście. Trudno powiedzieć.

– Odłóż to – powiedziała. – Albo cię zabiję.

Nie odłożył broni.

Nie przestawała iść w jego stronę. Już teraz to był łatwy strzał i z każdą chwilą stawał się łatwiejszy.

Ktoś dobijał się od zewnątrz do drzwi kościoła.

– Odłóż to – powtórzyła.

Gdzieś na lewo od niej przerażone dziecko dostało czkawkę.

Znów łomot do drzwi, który przeszedł w głucho dudnienie, jakby używano tarana.

Za napastnikiem stojący przed ołtarzem pastor zamknął oczy i szeptał modlitwę.

Usta napastnika drżały.

– Już – nalegała.

Jeden strzał. Mogła wpakować mu kulę w każde z oczu: to zależało od niego. Albo mógł rzucić broń, ale musiał to zrobić teraz.

Gdyby zrobiła kolejny krok, wylot jej lufy dotknąłby jego czoła.

Jeszcze raz spojrział na swoją broń. Pokręcił głową, jakby zaprzeczając jej realności albo tej chwili, albo swojej obecności tutaj.

Powinna go teraz zabić. Zanim się opamięta. Zanim nauczy Abbotsfield, jak umrzeć jeszcze raz.

Dotknęła lufą jego czoła.

– Strzelałem w niebo – powiedział.

Shirley sięgnęła po jego broń, a on wypuścił ją z rąk.

Za jej plecami drzwi rozpadły się w drzazgi i ustąpiły, a kościół znów wypełnił się hałasem.

To mogło być nazajutrz, a może jeszcze następnego dnia.

Późne popołudnie przejęło Slough House, otaczając go zwarzonym upałem. Louisa Guy zdrapywała farbę z ramy okiennej w swoim pokoju w nadziei, że uda jej się otworzyć okno i wpuścić do budynku powiew wiatru. River Cartwright sięgał po dzwoniący telefon, J.K. Coe studiował ruch uliczny. Woń wilgoci patrolowała klatkę schodową; czaiła się na piętrach, zrywała tapety ze ścian. Shirley Dander leżała na plecach i słuchała gorączkowego tykania zegara. Zastanawiała się, czy to czas przyśpieszył, czy ona sama zwolniła. Za zamkniętymi drzwiami Catherine Standish czesała włosy, po raz dziewiąty, dziesiąty, jedenasty. Miała skończyć na trzydziestu. Rodericka Ho nigdzie nie było. A Lady Di Taverner wchodziła po schodach, próbując nie dotknąć niczego, nawet stopni.

– Spierdalaj – warknął Lamb ze swojego gabinetu, gdy uniosła dłoń, żeby zapukać.

– Nie zamierzam tego nawet zignorować – oświadczyła, wchodząc, po czym zamknęła za sobą drzwi i podeszła do jedyne go okna w pokoju.

Lamb siedział z nogami na biurku, jeden papieros tlił się w pustej paczce odbywającej służbę jako popielniczka, drugi tkwił w jego ustach. Siwe włosy sterczały mu w miejscu, gdzie brakowało guzika koszuli, i drapał je z roztargnieniem, obserwując, jak manipulowała przy żaluzji z oczywistym zamiarem otwarcia okna.

– Powiedziałbym ci, że tracisz czas – stwierdził – tylko że nawet mnie to bawi. Poddała się.

– Tu nie ma czym oddychać. Mógłbyś zgasić to cholerstwo?

– Jasne. – Zgasił papierosa i zapalił kolejnego. – To wszystko, czego sobie życzysz?

– Chciałbyś. – Z niesmakiem przyjrzała się krzesłu dla gości i odsunęła je kawałek dalej od biurka Lamba. Potem położyła ręce na oparciu. – Musimy porozmawiać o twoim...

Lamb uśmiechnął się krzywo.

– To ja, a nie jakaś stażystka. Żarty o fiucie nie załatwią sprawy.

– Każdy może mieć swoje zdanie.

– J.K. Coe. Jakież przemyślenia?

– Według ostatnich doniesień jest bohaterem. – Lamb ziewnął. – Z drugiej strony, znajomość sugeruje, że jest fiutem. Podejrzewam, że prawda leży gdzieś pośrodku. Jak zwykle.

– Dzięki za twoją wnikliwą opinię. Policjant, który był na miejscu wydarzeń, mówi, że Coe podszedł prosto do napastnika, który prowadził wtedy ostrzał z broni półautomatycznej, i z bliska strzelił mu w głowę. Z karabinu.

– Tak, widziałem zdjęcia. Wyglądało, jakby Jackson Pollock wyrzygał się na pizzę.

– Coego spytano, dlaczego napastnik nie widział, jak się zbliża. I wiesz, co powiedział? Powiedział, że podchodził do niego bardzo, bardzo cicho.

– Chyba zacznę zamykać drzwi na klucz – oświadczył Lamb. – I tak chodzą mi ciarki po plecach, kiedy tak siedzi i gapi się na swoje palce.

– Natomiast Shirley Dander naraziła kościół pełen ludzi, wymachując nierejestrowanym pistoletem. Jej cel też miał broń półautomatyczną. Aż strach pomyśleć o potencjalnej liczbie ofiar. Powinna była wyeliminować go w pierwszej chwili.

– Chodziła na kurs kontroli złości. Najwyraźniej zadziałało to przeciwko niej. Ale spójrz na pozytywne strony. Jednego z nich dostałaś żywego. Czy to nie jest smakowity kąsek dla tych twoich łamaczy kostek? Chociaż nie, poczekaj! Czyżbym słyszał jakąś plotkę?

– Został ranny w wymianie ognia przed wejściem do kościoła – odparła Lady Di. – Gdy zawieziono go do najbliższego szpitala, stwierdzili zgon.

– Zabawne, Dander nic nie wspominała, że był ranny. – Czekał, ale kamienny wyraz twarzy Taverner się nie zmienił. – Hmm. Cóż, ze względu na niego mam nadzieję, że postrzelono go z autoryzowanej broni. Skończyliśmy już?

– Nawet nie jesteśmy blisko. Wysłałeś dwoje swoich ludzi do Abbotsfield. Straciłeś rozum?

– Opinie są różne.

– Możesz mi wierzyć, nie w Regent's Park. No i jest jeszcze Slough. Coe! Znowu on. Cartwright i Coe byli w Slough tego wieczoru, kiedy zabito Gimballa.

– Cartwright i Coe – powiedział Lamb. – Brzmi to jak nazwa kancelarii notarialnej, nie uważasz?

– Mieliście mieć lockdown. Ale o ile nie mają bliźniaków jednojajowych, mamy nagrania z kamer monitoringu, jak czają się w pobliżu miejsca, gdzie to się stało.

– Myślisz, że znaleźli jakieś wskazówki?

– Londyńska policja na pewno da nam o tym znać. Przekazujemy im to. Przypuszczam, że twoi ludzie zostaną zaproszeni na przesłuchanie jakieś dwadzieścia sekund później.

Lamb wyjął z ust papierosa i przyjrzał mu się uważnie. Jego twarz nic nie zdradzała.

– Przekazałabyś dwóch agentów londyńskiej policji?

– Nie są agentami, Lamb. W Slough House nie ma agentów. Pozwolono ci z łaski prowadzić to miejsce ze względu na to, co zrobiłeś dla MI5...

– Tak, świetnie to pamiętam.

– ...ale są pewne granice, a ty je poważnie przekroczyłeś.

– Nikt nie dał mi żadnego planu. Wręczono mi klucze. Wciąż je mam.

– Cóż, no tak. Wkrótce zostaniesz poproszony o ich zwrot. Zrobił się z tego za duży bałagan. Twoje wyrzutki mają być przykute do biurka, a nie szwendać się wszędzie. I nawet jeszcze nie zaczęliśmy rozmawiać o Rodericku Ho. Zdrajca? Tutaj? Nie masz funduszy, żeby wymienić wieszaki na płaszcze, ale jesteś na tyle wspaniały, żeby pozwalać sobie na własnego zdrajcę?

Lamb wsunął papierosa z powrotem do ust i jego warga zawinęła się ku górze, gdy się zaciągał. Chyba że to był uśmiech. Trudno powiedzieć.

– A więc jego też nie dostaniesz z powrotem – powiedziała Di Taverner. – Wygląda na to, że twoje szczęśliwe dni dobiegły końca, Jackson.

– Chyba że – powiedział Lamb.

– Chyba że co?

– Chyba że mogę spełnić wszystkie twoje marzenia.

Chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

Gdzieś tykał zegar, ale go nie widziała.

– Czy to ma być kolejny dowcip o twoim...

– Może ci się poszczęści. Ale przede wszystkim jest o naszym tak zwanym zdrajcy. Rzecz w tym... Ten tajny dokument, który doprowadził do tych wszystkich kłopotów? Ten, na którym ci tak bardzo zależało, żeby opinia publiczna się o nim nie dowiedziała? – Wypuścił dym. – Nie był tajny.

Taverner się zaśmiała.

– Znowu to. Był w bazie danych. Wszystko tam jest tajne.

– Ale nie to. – Lamb otworzył szufladę, wyjął kartkę papieru i jej podał. – To tylko kopia. Ale sprawdź kody.

Zrobiła to, mrużąc oczy.

– To ma być jakiś dowcip?

– O, teraz jednak chcesz, żebym żartował? Nie, to nie jest dowcip. – Z wciąż otwartej szuflady wyciągnął butelkę i dwie szklanki. Postawił je na biurku, odczekał chwilę, po czym jedną szklankę schował. Do drugiej nalał sobie absurdalnie wielką porcję szkockiej. – Opowiedzieć ci historię?

– Jestem pewna, że i tak mi ją opowiesz.

– Tak, ale usiądź.

Nawet nie drgnęła.

– Mówię poważnie. Musisz to usłyszeć. Ale lepiej usiądź.

– Twój teren, twoje zasady, co? – W końcu jednak usiadła na krześle, wciąż trzymając kartkę.

Lamb wskazał głową na papier.

– Dziewiętnaście lat temu to zostało odtajnione, tak jak wskazują na to kody. Podpisane przez Charlesa Partnera, bo to on był wtedy Pierwszym Biurkiem. A nikt prócz Pierwszego Biurka nie może odtajniać dokumentów.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Ale to nie był jego pomysł. To było częścią operacji o nazwie „Lista Zakupów”. Bo w tamtym czasie w MI5 był zdrajca. Och, nie taki wielki jak sam Partner, o nim już wiemy. Ale zdrajca na niższym poziomie, którego nazwisko nie ma znaczenia. To był człowiek, który miał poważne długi i pomyślał, że jednym ze sposobów ich uregulowania byłoby sprzedanie kilku sekretów.

Uniósł szklankę do ust i przełknął.

– Na swoje nieszczęście Pan Nikt ledwie zaczął rozkręcać ten interes, kiedy został nakryty. Nie doczekał wypłaty. Ale jakiś wielki bystrzak doszedł do wniosku, że to całkiem niezłe działa. I w ten sposób narodziła się operacja „Lista Zakupów”. Widzisz, Pan Nikt zdążył się już ubrudzić na tym niepewnym gruncie i było kilka zainteresowanych stron, które wiedziały, że był na sprzedaż. I teraz chciano się dowiedzieć, jakie smakowite kąski oferował.

– Więc daliśmy mu kilka – powiedziała Lady Di.

– O tak. Dostał całą furę starych sekretów. Wszystkie podrasowane, żeby wyglądały na lśniące nowością. Nie ma to jak nakarmić przeciwnika miską psiego gówna udającego kawior. Ale zanim to psie gówno mogło zostać mu podane jako przynęta, musiało zostać odtajnione, bo inaczej operacja „Lista Zakupów” sama w sobie byłaby zdradą. Nie możesz oferować tajnych materiałów na sprzedaż, nawet w ramach przekrętu. Nawet jeśli te materiały nie mają żadnej wartości strategicznej.

– Tak jak akta „Wodopój” – stwierdziła.

– Właśnie. Bezużyteczna śmieszna strategia wymyślona przez jakiegoś kolesia, który wrócił z kolonii w czasach, kiedy ostatnim krzykiem mody były korkowe hełmy. Ale w sumie dobrze to brzmiało. Jak zdestabilizować państwo. Wystarczy pominąć fakt, że ta strategia była pięćdziesiąt lat do tyłu, i już masz mnóstwo śliniących się na jej widok Doktorów Zło.

– I co się stało?

– Pan Nikt skończył ze sobą, to się stało. Przytłoczony wstydem albo sam nie wiem czym, za mocno zacisnął węzeł przy waleniu konia w piątek wieczorem. Tak

więc operacja „Lista Zakupów” nigdy nie wyszła poza początkowe stadium, które miało za zadanie dostarczyć listę smakowitych kąsków zainteresowanym stronom.

– I to wyjaśnia, skąd Koreańcy wiedzieli o jej istnieniu.

– O, tak. Dokument był dostępny. Zdjęto go tylko z półki, zanim otworzył się sklepik. Ale proszę bardzo, dwadzieścia lat później koreański departament bezpieczeństwa państwa dochodzi do wniosku, że dobrze byłoby położyć na nim swoje brudne łapska ze względu na mocno kłopotliwą sytuację, w jakiej by nas postawili, gdyby zrealizowali ten scenariusz tutaj, w miłej, zielonej, starej Anglii. Okazałoby się, że to, co wydawało się przypadkową serią zamachów, ma na sobie odciski palców MI5 za sprawą dokumentu, który wygląda, jakby nie miał nawet dwudziestu lat. No i proszę.

– No i proszę – zgodziła się. – Ale wciąż czekam, żeby się dowiedzieć, jak to ma spełnić moje marzenia.

– Cóż – powiedział – chodzi o tożsamość wielkiego bystrzaka, który puścił to wszystko w ruch.

Di Taverner na chwilę zamknęła oczy. Kiedy znów je otworzyła, były pełne mrocznego światła.

– Claude Whelan – powiedziała.

– We własnej osobie.

Wskazała głową na szklanekę w jego ręce.

– Polejesz mi?

– Jak wiesz, jestem szczodłą duszyczką, ale, kurwa, sama kupuj sobie drinki.

– Kto jeszcze o tym wie?

– Jak dotąd? Ty, ja i Molly Doran. Domyślam się, że sama chciałabyś powiedzieć o tym Claude’owi.

– Że jego przebiegły mały plan właśnie ugryzł nas wszystkich w tyłek? Tak, chyba spodoba mi się ta rozmowa.

– To dobrze. W takim razie wszyscy będziemy zadowoleni.

– I pora na rachunek. Czego chcesz, Jackson?

– Tego, co zawsze, Diano. Chcę, żeby dano mi spokój.

– Mnie to odpowiada.

– Mnie i moim ludziom. Więc możesz dać Ho popalić, ile tylko chcesz, ale potem przyślij go z powrotem tutaj. Jeszcze z nim nie skończyłem. A co do pozostałych dwóch...

– Istnieje duże prawdopodobieństwo, że byli zamieszani w śmierć Gimballa.

– Buuu! Nie, myślę, że się okaże, że Gimball wyszedł zapalić i oparł się o rusztowanie, na którym jakiś palant zostawił puszkę farby. – Wolną ręką zatoczył spiralę. – Grawitacja znów atakuje.

– Mówisz poważnie?

Lamb wzruszył ramionami.

– Wszyscy ciągle mi powtarzają, że palenie jest niebezpieczne dla zdrowia. Niemożliwe, by wszyscy się mylili. A jeśli się mylą, to cóż, pomagier Zafara Jaffreya też tam był. A jeśli nie możesz zrobić czarnego byłego więźnia w śmierć Gimballa, to co się porobiło z tym krajem? – Zrobił pobożną minę. – On tego by właśnie chciał.

– Może zdecydujemy się uznać, że to był wypadek – powiedziała Taverner. – I to wszystko? Chcesz z powrotem swoich ludzi?

– I jest jeszcze Molly Doran. Mówiła mi, że chcesz się jej pozbyć. – Pokręcił głową. – Nic z tego.

Taverner znów założyła nogę na nogę.

– Ktoś o podejrzliwym umyśle mógłby się zastanawiać, czemu chcesz trzymać na smyczy Molly. Nie chcesz, żeby ktokolwiek inny pełzał po jej małym królestwie, co? Kto to może wiedzieć, co można by tam wykopać. Co znaczy, że nie brakuje ci sekretów.

– Z tym, co ci dałem, Pierwsze Biurko masz w zasięgu ręki. Claude nie przetrwa, gdy wszyscy się dowiedzą, że to on był architektem Abbotsfield. Nie wspominając nawet o tych wszystkich pingwinach. I w przeciwieństwie do innych wpadek w ostatnim czasie tę można przypisać wyłącznie jemu, a nie błędowi systemu. Więc masz wolną drogę. – Zgasił papierosa najpaskudniej, jak się dało. –

Więc zrobisz, jak ci mówię, i będziesz się przy tym uśmiechać. Jak każda inna profesjonalistka.

– Co z Flyte?

– A co z nią? Nie należy do moich ludzi.

– Masz swój własny kodeks, co, Jackson? – Wstała. – A więc dobrze. Dostaniesz to, czego chcesz. I nawet tu i teraz się uśmiechnę. Ale nie lubię, kiedy ktoś mi stawia warunki. Nigdy tego nie lubiłam. Powinieneś mieć to na uwadze.

– Kiedy chodzi o ciebie, mam na uwadze wszystko.

Gdy odwróciła się, by wyjść, Lamb sięgnął po kolejnego papierosa, ale to wszystko coś w nim wywołało, i jego twarz stała się purpurowa. Opadł na oparcie krzesła wstrząsany kaszlem, z jedną ręką przyciśniętą do piersi; drugą złapał się biurka, strącając przy tym szklankę na podłogę. Do oczu napłynęły mu łzy bólu czy strachu, a wysiłek, jaki kosztowało go wciągnięcie powietrza, pozwoliłby powalić spore drzewo. Wygląda jak jakiś lądowo-wodny ssak, który męczy się przy porodzie, pomyślała Diana Taverner. I wydaje takie odgłosy. Obserwując go, zgodnie z obietnicą się uśmiechnęła. A potem wyszła z jego gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

Po drugiej stronie korytarza zapukała raz do drzwi Catherine Standish i weszła, nie czekając na odpowiedź. Catherine, schludnie uczesana, siedziała przy biurku. Trzymała w ręce plik papierów i pukała nimi o blat biurka, wyrównując krawędzie. Na widok Taverner przestała.

– Nic mu nie jest?

– Nawet nie zaczynaj. – Taverner oparła się o drzwi. – Powiedz mi, Catherine. Jest coś, nad czym zawsze się zastanawiałam. Czy Lamb ci kiedyś powiedział, jak naprawdę umarł Charles Partner?

Kiedy wreszcie przychodzi zmierzch, wypełza z zakamarków, w których czekał przez cały dzień, i rozlewa się po Slough House, tak jak atrament rozlewa się w wodzie; najpierw wypuszcza macki, potem zmienia się w gęstą czarną chmurę, a na koniec jest wszędzie, tak jak zawsze tego chciał. Jego starsza siostra noc ma

dłuższy krok i mocniejszy głos, ale to zmierzch jest w rodzinie podejrzanym typem i zbieraczem sekretów. W każdym z biur przechadza się wzdłuż ścian, liże listwy przypodłogowe, sprawdza rury, a na piętrach głaszcze klamki, prześlizguje się przez dziurki od klucza i jest zadowolony. Opiera się mocno o frontowe drzwi – te, które nigdy się nie otwierają ani nie zamykają – i popycha lekko te na tyłach, które zacinają się przy każdej pogodzie. Naciska na wszystkie stopnie schodów równocześnie, tak że żaden z nich nie skrzypi, i zagląda z obu stron przez każde okno. W zamkniętych szufladach szuka młodszych braci i sióstr i z każdym, kogo znajdzie, staje się trochę ciemniejszy. Zmierzch jest i zawsze był istotą tymczasową. Im szybciej się karmi, tym szybciej przechodzi w noc.

Ale na razie jest tutaj, w Slough House, i gdy porusza się i nabrzmiewa, zbiera wszystkie ślady dnia, obejmuje je palcami z dymu i wyciska z nich sekrety. Słucha rozmów, które odbyły się w tych ścianach i wyblakły teraz do szeptu niesłyszalnego dla ludzkich uszu, a potem się nimi obżera. Zza kaloryfera w pokoju Shirley Dander zabiera wspomnienie tego, jak Shirley rozwija paczuszkę i wciąga jej zawartość pięciofuntowym banknotem. Powrót do punktu wyjścia, powiedziała na głos Shirley, gdy już skończyła, i choć zmierzch nie rozumie słów – nie zna żadnych – bierze jej arogancki pełen żalu ton i chowa do swojej sakiewki. W pustym pokoju Rodericka Ho nie znajduje nic, ale na następnym piętrze są pewne ciekawe chwile, pozycje, nad którymi warto się zastanowić. Louisa Guy zostawiła po sobie ślad zapachu: zmierzch nie ma powonienia, ale rozpoznaje znajome intencje, wciąż wyczuwalne poczucie celu. W swoim czasie zmierzch niejedno widział. Docenia wysiłek wkładany przy takich okazjach.

W kolejnym pokoju zwleka dłużej, delektując się pozostałościami dnia. Wciąż słyszy ostatnią rozmowę telefoniczną Rivera Cartwrighta, rozmowę, która składała się tylko z jednego słowa. „River?” A potem połączenie się urwało, pozostawiając Rivera chwytającego się pustej przestrzeni. „Sid?” – powiedział być może; to słowo jest tylko odgłosem i łatwo się gubi wśród innych doznań: na przykład takich, że River rozumie, że jakakolwiek ochrona zapewniana przez Lamba będzie trwać tylko tak długo, jak długo będzie kulawym koniem. Bo Lamb jest gotów na

wszystko, żeby chronić agenta, ale będzie obserwował z lekkim rozbawieniem, jak reszta świata się wiesza. Być może to nieprawda – są takie zakamarki w życiu Lamba, o których River nie wie – ale przynajmniej na razie wygląda na to, że rezygnacja nie wchodzi już w rachubę; taki wniosek unosi się w pokoju po tym, jak River z niego wyszedł. J.K. Coe też już dawno temu opuścił budynek, ale zanim to zrobił, stał przez chwilę i jakby się uśmiechnął, gdy zmierzch wyjrzał z dziury w dywanie. Zmierzch, nieprzyzwyczajony do takich powitań, zastanawia się, czy Coe nie wziął go za jego starszą siostrę noc. Może należałoby się przedstawić? Ale zanim mogło do tego dojść, Coe już wyszedł i może tak jest nawet lepiej, bo ci, którzy jak równy z równym mierzą się z nocą, rzadko wychodzą z takiego spotkania bez szwanku.

Znowu schody, zmierzch już się po nich wspiał. Teraz sobie przypomina, że leżał za szafką na akta w pokoju Catherine Standish, kiedy Diana Taverner opowiadała o ostatnich chwilach jej dawnego szefa; o tym, jak Jackson Lamb zamordował Charlesa Partnera w wannie; usankcjonowane morderstwo, ale morderstwo mimo wszystko; to, które doprowadziło do wygnania Lamba i dało mu Slough House. Życie, które wie teraz Catherine, jest zbudowane na zyskach ze zbrodni Jacksona Lamba. Diana Taverner pomyślała, że Catherine Standish powinna o tym wiedzieć. I gdy Taverner już sobie poszła, zmierzch czekał, aż Catherine zacznie płakać, krzyczeć albo się wściekać, ale nic nie usłyszał; a kiedy przyszła pora, by wypełznął ze swoich kryjówek, zastał pusty pokój, a Catherine Standish już nie było.

A więc zmierzch wreszcie dociera do gabinetu Jacksona Lamba, gdzie oczywiście już sam na siebie czeka. I stwierdza, że nie ma tu nic do znalezienia, bo Jackson Lamb nosi w sobie własną ciemność i uważa, by nic nie zostało w niepilnowanych kątach. Wszystko, co przypomina o jego niedawnej obecności, oprócz rozlanej whisky i popiołu, to brudna przegniła chusteczka zwisająca z kosza na śmieci. Zmierzch się nad tym zastanawia i dodaje to do swojej wiedzy o minionym dniu; wiedzy, którą wkrótce porzuci, bo taka jest zasada w Londynie i w każdym innym miejscu: wszystko, co się dzieje, dobre i złe, zmierzch

dostrzega, wchłania, a potem najczęściej o tym zapomina. Bo gdyby zmierzch o wszystkim pamiętał, ten ciężar by go przytłoczył i przeszkodziłby mu w wiecznych poszukiwaniach jego brata bliźniaka, świtu, którego nigdy nie poznał. Zawsze jest o pół kroku przed nim albo o pół kroku za nim. Nigdy tego nie wie.

Tymczasem starsza siostra zmierzchu, noc, która przez ostatnią godzinę wisiała mu nad głową, zaczyna tracić równowagę i opadać. Niedługo wszystko znów będzie inne, tak jak zawsze. Zmierzch rozgląda się po raz ostatni, ale psuje mu się wzrok i coraz słabiej słyszy. Był wszędzie i widział wszystko. Pora stąd odejść. Już wyszedł. Pograżony w ciemności Slough House śpi i chrapie.

Ale przede wszystkim Slough House czeka.

Podziękowania

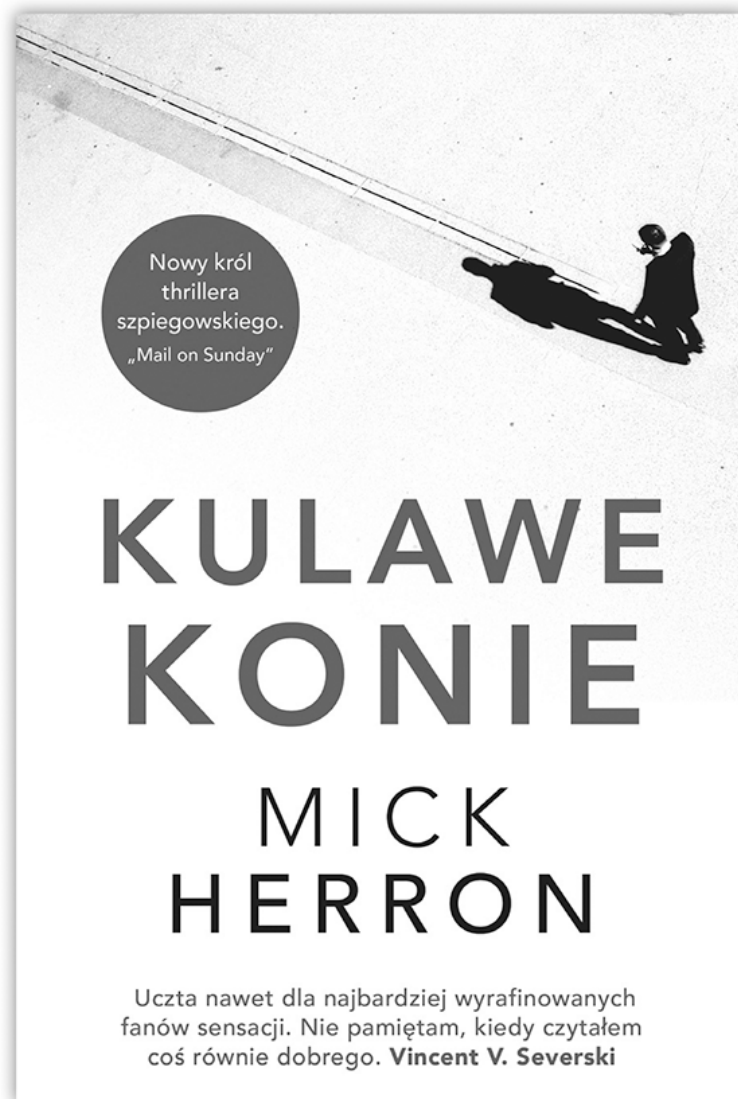
Jak zawsze ogromne podziękowania dla moich przyjaciół z John Murray w Londynie i z Soho Press w Nowym Jorku; szczególnie zasłużyli na to Mark Richards, Yassine Belkacemi, Emma Petfield i Becky Walsh tu na miejscu i Bronwen Hruska, Juliet Grames oraz Paul Oliver tam. Dziękuję też oczywiście Juliet Burton za dopilnowanie, by wszystko było tak jak trzeba.

Jakiś czas temu miałem szczęście być obecny przy tym, jak Helen Giltrow i Steph Broadribb dyskutowały o Tomie Hiddlestonie. Mam nadzieję, że nie przeinaczyłem ich opinii. A pytania, które zadawali Mark Billingham, Sarah Hilary i Will Smith, podsunęły mi kilka możliwości, które z wdzięcznością wykorzystuję w tej powieści i w kolejnej. Dziękuję za to wszystkim.

Jestem też wdzięczny czytelnikom za ich entuzjazm, wsparcie i delikatne poprawianie błędów. Szczególnie pomocni byli Aakash Chakrabarty i David Craggs, ale wszyscy ludzie, którzy piszą do mnie maile, nieważne, jak krótkie byłyby ich wiadomości, wnoszą w moje dni trochę światła. Mam też dług wdzięczności wobec pracowników Summertown Library w Oksfordzie za tolerowanie mojej niemal codziennej obecności, bo szperam im po półkach, grzebię w DVD, czytam ich gazety i używam ich komputerów. Pewnie będzie dla nich zaskoczeniem, że od czasu do czasu udaje mi się trochę popracować.

Zasady żółtego samochodu zacytowane przez Louise w rozdziale 7 zostały ustalone przez Johna Finnemore'a w jego cudownym cyklu *Cabin Pressure* w Radio 4. Dzięki niemu gram w żółty samochód mniej więcej od 2014 roku i mało prawdopodobne, żebym kiedykolwiek przestał.

MH
Oksford
wrzesień 2017

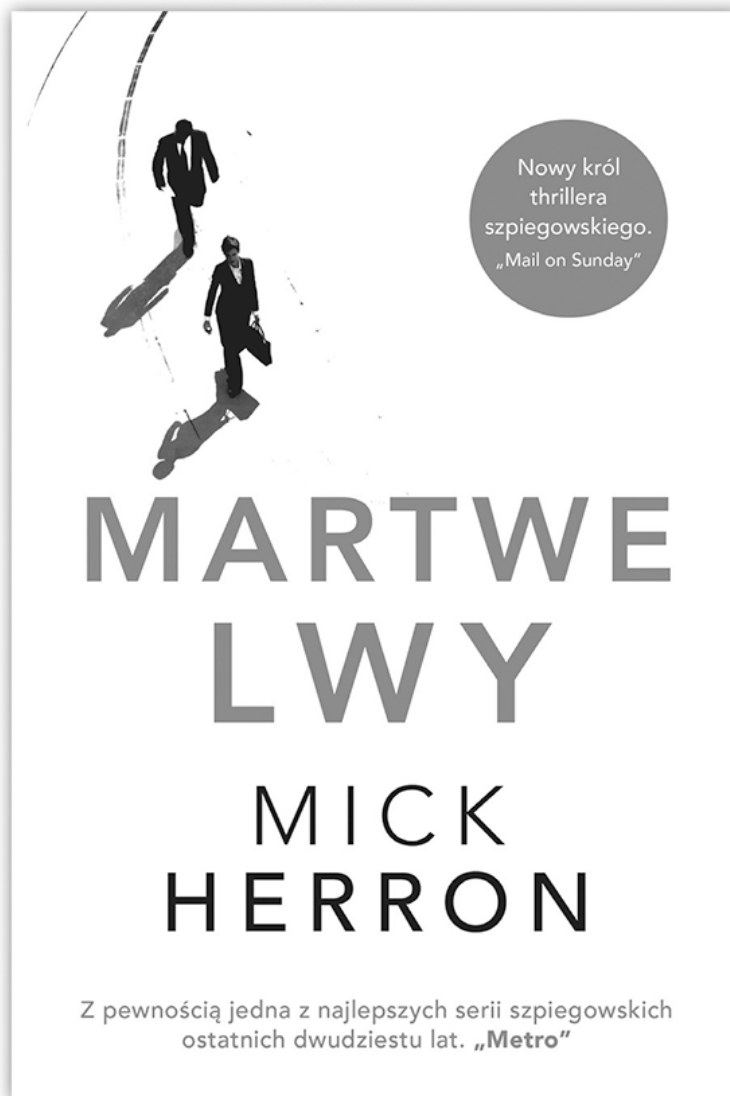


Wykluczeni z grona czempionów z Regent's Park, zesłani do Slough House za narkotyki i pijaństwo, za rozpustę i wpadki, za politykowanie i zdrady... Fatalnie dobrani i znakomicie wyszkoleni przeciętniacy pod wodzą Jacksona Lamba nie przeprowadzają już operacji. Przekładają tylko papiery.

Żaden z nich nie wstąpił jednak do kontrwywiadu po to, by stać się kulawym koniem.

Zostaje porwany chłopak. Zapowiedziano internetową transmisję na żywo z jego ścięcia.

Odgórne instrukcje są jednoznaczne – ale przecież kulawe konie ze Slough nie będą siedzieć cicho i patrzeć...

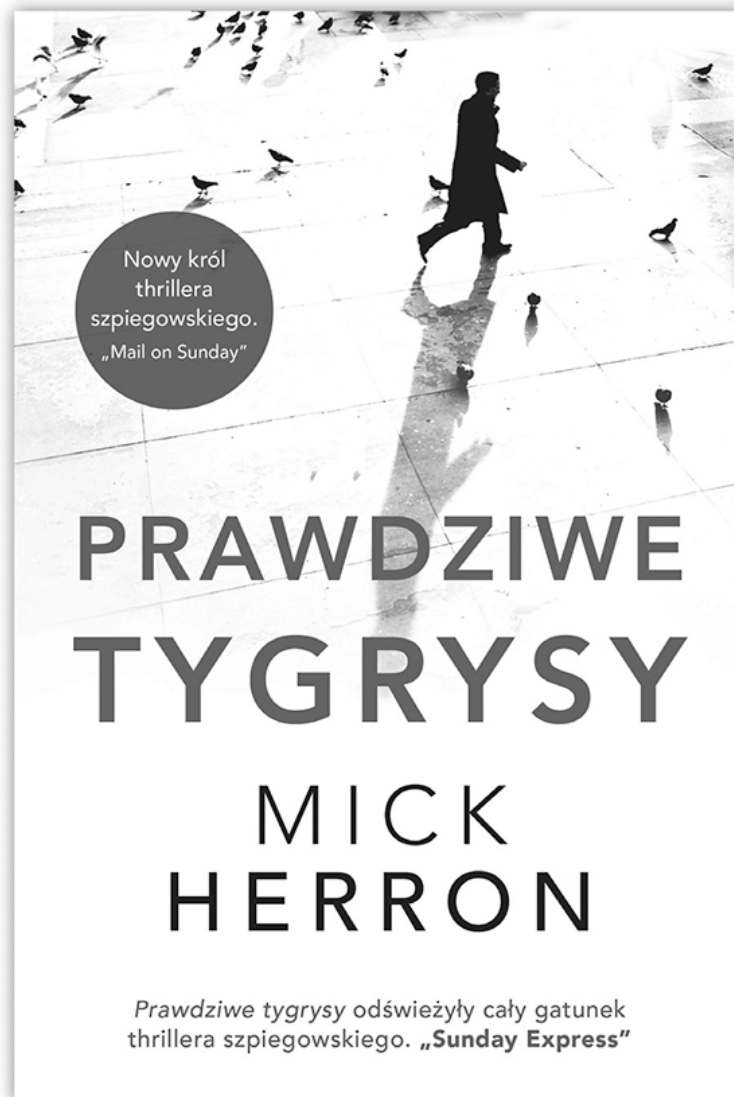


Trudno uważać Dickiego Bowa za oczywisty cel zamachu.

Szpieg jednak zawsze pozostanie szpiegiem. Z Dickiego był całkiem niezły tajniak – robił za cień, a potem kładł szefom na biurka cudze sekrety. Właśnie znaleziono go martwego w autobusie.

Przed laty Dickie Bow siedział z Lambem w zoo szpiegów – w Berlinie. A teraz Lamb ma już tylko telefon dawnego kumpla z jego ostatnią tajemniczą wiadomością, która pozwala sądzić, że pod samym nosem brytyjskiego kontrwywiadu ktoś prowadzi operację w starym moskiewskim stylu.

W Slough House, przechowalni skompromitowanych agentów, Jackson Lamb i jego ekipa znów ruszają do akcji...

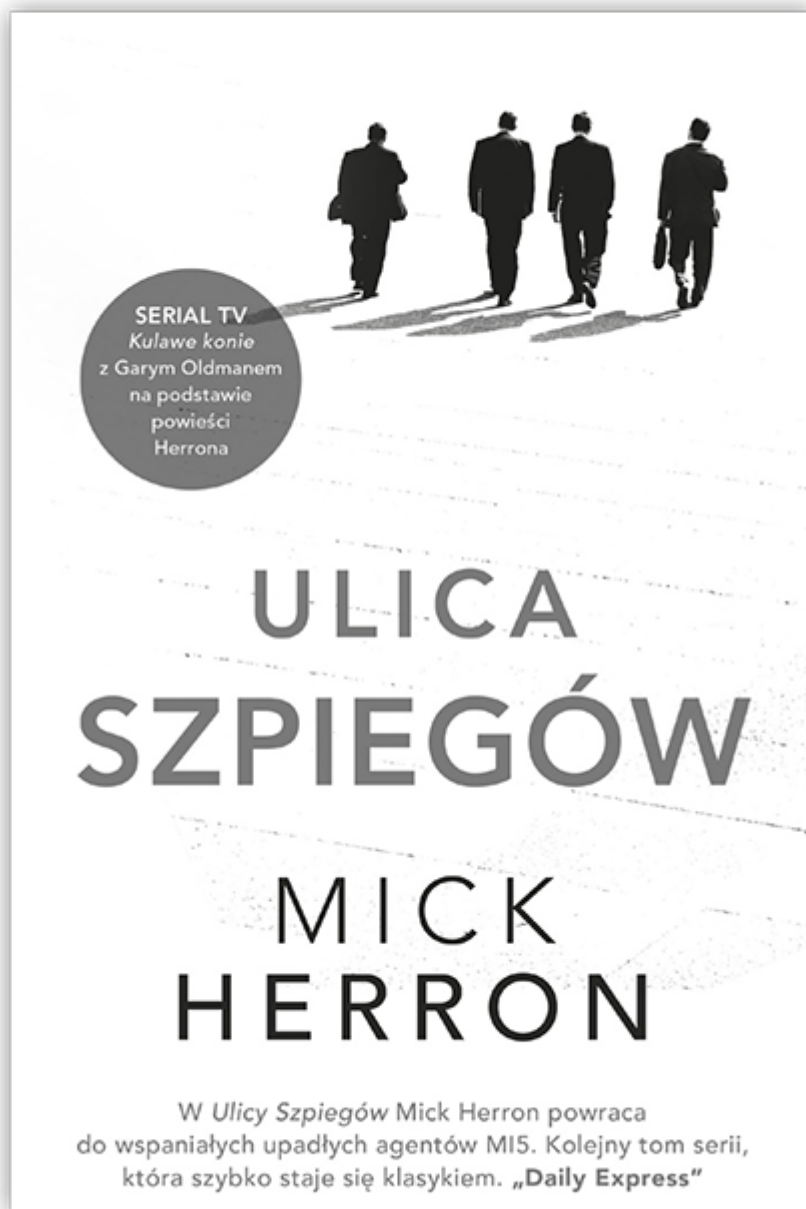


Catherine Standish wie, że szpiegom nie zdarzają się przypadkowe spotkania. Pracuje w kontrwywiadzie wystarczająco długo. Zdążyła się już przekonać, czym są zdrada, dwulicowość i wbijanie noża w plecy.

Nie ma jednak pojęcia, w jakim celu ktoś mógłby obrać za cel właśnie ją – alcoholiczkę na odwyku, która w królestwie Jacksona Lamba wraz z resztą przegrywów przekłada papiery z jednej sterty na drugą.

Ktokolwiek przetrzymuje Catherine jako zakładniczkę, na pewno nie robi tego z powodów osobistych. Chodzi mu o Slough House. A najprawdopodobniej o samego Jacksona Lamba.

Lamb... Da się o nim wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że mógłby zostawić swojego człowieka na lodzie. W zasadzie pod tym względem można mieć do niego bezgraniczne zaufanie...



Starzejący się szpieg traci rozum. Co wtedy? Czy służby specjalne prowadzą dom spokojnej starości dla tych, którzy wiedzą zbyt wiele, ale zapominają, że ich wiedza jest ściśle tajna? A może ktoś sprawuje stałą opiekę nad zniedołężniałymi pracownikami kontrwywiadu?

Takie pytania zaczyna sobie zadawać River, wnuk Davida Cartwrighta, tajnego agenta z czasów zimnej wojny i szarej eminencji MI5 – i powinien znaleźć na nie odpowiedź jak najszybciej. Dziadek, który zasłużył sobie na miano prawdziwej

legendy kontrwywiadu, zaczyna bowiem zapominać o zakładaniu spodni i wszystko wskazuje na to, że cierpi na paranoję prześladowczą.

Tyle że River Cartwright, agent ze Slough House, placówki MI5 dla skompromitowanych szpiegów, ma teraz inne zmartwienia. W zatłoczonym centrum handlowym doszło do eksplozji. Zginęło czterdzieści niewinnych osób. Kulawe konie ze Slough House robią wszystko, by odkryć, kto stoi za tym aktem terroru, zanim sytuacja przerodzi się w poważny kryzys.